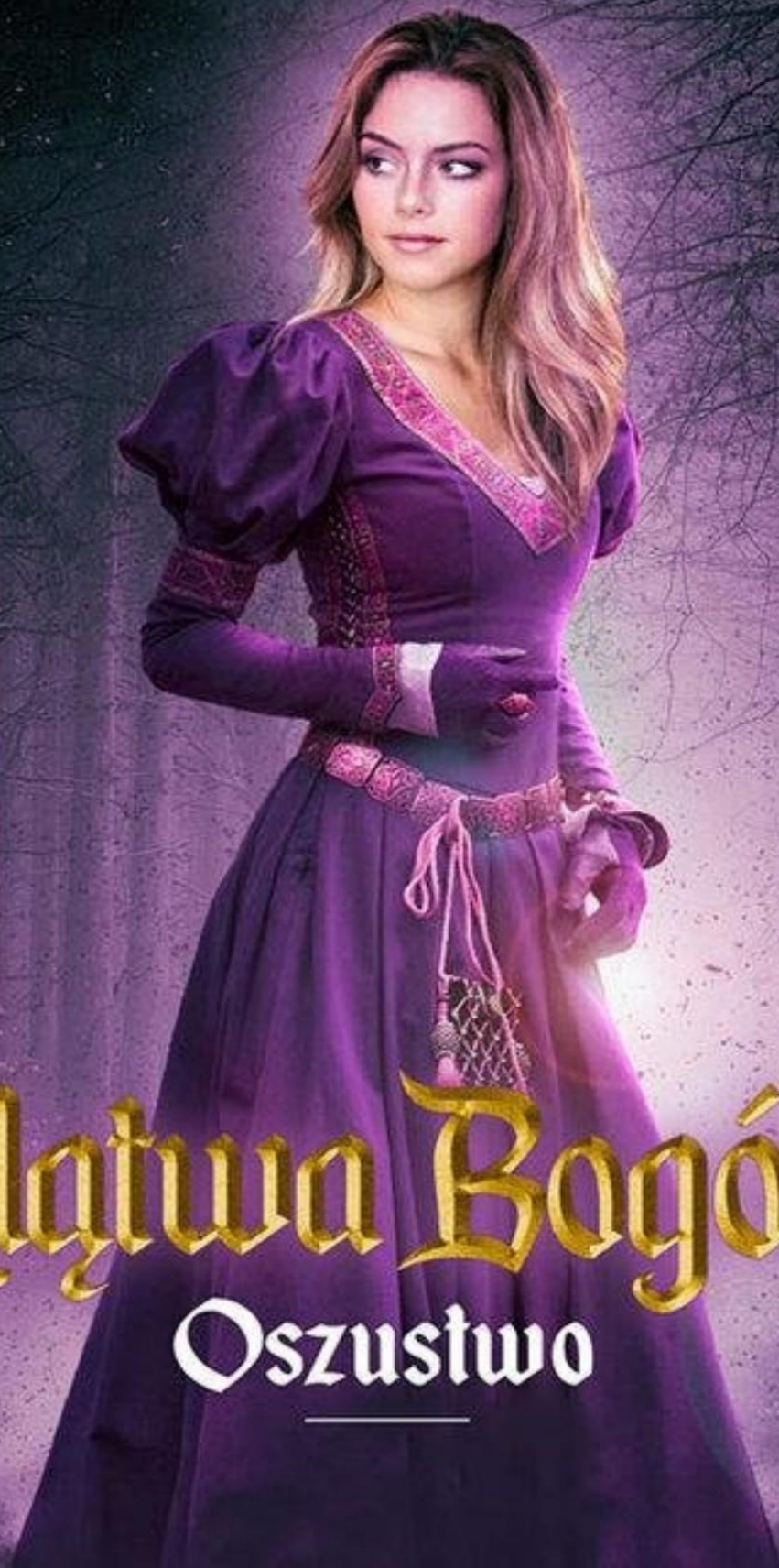


Jaymin Eve Jane Washington



Klątwa Bogów
Oszustwo

Jaymin Eve
Jane Washington

Kłątwa Bogów
Oszustwo

PRZEŁOŻYŁA
Anna Piechowiak

*Do Jane: dzięki za nic, mało
Oraz do Jaymin: idź do domu, jesteś pijana.*



SŁOWNICZEK

klik – minuta

rotacja – godzina

cykl słońca – dzień

cykl księżyca – miesiąc

cykl życia – rok

minateur – żołnierz

bykoń – zwierzę

spiączek – pająk

futrosek – gąsienica

sol – rasa dominująca

ziemianie – rasa służąca

Minatsol – świat ziemian i sol

Topia – świat bogów

Luciu – dryfujące miasto bogów

Sodel – pierwsze miasto sol

Dvadel – drugie miasto sol

Tridel – trzecie miasto sol

JEDEN

Niektóre rzeczy w życiu są pewne. Jak choćby to, że sol stanowią most pomiędzy ziemianami a bogami. Że niektórzy z nich po śmierci dostąpią boskości, natomiast tacy jak my obrócą się w proch. Że zawsze będą ważniejsi, zaś ziemianie pozostaną ich niewolnikami do czasu, aż nie znikną zupełnie, a sol nie przejmą we władanie całego świata.

Pewnym było także to, że nie zostanę wybrana na adeptkę Akademii Bożylasu, jako że nigdy nie wybierano mnie do niczego. Mimo to zamierzałam iść na ceremonię selekcji, żeby wesprzeć Emmy. To ona z pewnością miała zostać wybrana. Była dostatecznie mądra i dopisywało jej wystarczająco dużo szczęścia, a ludzie cholernie ją uwielbiali – czego nie można było powiedzieć o kimś takim jak ja. Mnie nikt cholernie nie uwielbiał. Wręcz przeciwnie, wszyscy zwykli uciekać cholernie daleko. To nie tak, że byłam złą osobą czy coś, po prostu... przytrafiało mi się dużo wypadków. Nie chodzi mi o takie akcje jak regularne jedzenie kleju i zlewanie się w spodnie. Po prostu potykałam się częściej niż inni i przypadkowo podpalałam więcej rzeczy, niż można by uznać za normalne. Wyrzucono mnie z wioskowej szkoły zaledwie jeden cykl księżyca przed jej ukończeniem, bo przypadkowo sprawiłam, że pewien nauczyciel z mojej winy wyłysiał. Jak można przypadkiem doprowadzić kogoś do wyłysienia? Doskonałe pytanie. Wszystkim, czego potrzeba, jest wiadro roztopionej smoły, którą należy przypadkiem wylać na głowę delikwenta. Skąd wziąć wiadro ze smołą? Otóż wcale nie trzeba go szukać, a przynajmniej ja nie szukałam. Stało po prostu przy drodze przed szkołą, a ja uznałam, że powinnam zanieść je do środka, żeby zapytać, co to takiego.

Nikt z nas – mieszkańców tego zapyziałego grajdołka – nie miał żadnych doświadczeń ze smołą. Tu wszystkie drogi były polne. Lecz naczelnik wioski ciągle próbował sprawić, żebyśmy stali się sławni, a pomysły czerpał z różnych mądrych ksiązek, których miał zatrzęsienie. Książek, które zapewne skądś podprowadził. Zupełnie jakby bogów w jakimkolwiek stopniu obchodziło, czy nasze drogi są polne czy żwirowe. Żaden sol nie mieszkał w pobliżu, a do tego nasza wioska znajdowała się strasznie daleko od środkowego pierścienia, centrum całej społeczności, dlatego bogowie nawet by nie zauważyli, gdybyśmy pomalowali drogi na fioletowo i zaczęli chodzić nago.

No ale wróćmy do smoły.

Okazuje się, że jak się ma włosy pokryte smołą, jedynym sposobem, żeby się jej pozbyć, jest ogolenie całej głowy. I tym sposobem nasz nauczyciel wyłysiał. Incydent ów stał się przyczyną, dla której nikt nie spodziewał się mojej obecności na ceremonii selekcji. Przynosiłam wstyd. Byłam wioskową idiotką. Przeklętym dzieckiem, którego wszyscy najchętniej by się pozbyli. Ale mogli mi co najwyżej naskoczyć. Nie zamierzałam zrezygnować z tej imprezy, bo powinnam wspierać moją przyjaciółkę Emmy i towarzyszyć jej w momencie, gdy ogłoszą, że została wybrana. A przede wszystkim chciałam zobaczyć minę Casey, kiedy nie otrzyma nominacji, ale ten powód nie był nawet w połowie tak ważny, jak udzielenie wsparcia Emmy.

Mimo wszystko Casey wciąż mogła dostąpić tego zaszczytu – każda z peryferyjnych wiosk miała prawo wysłać do Bożylasu dwójkę najlepszych ziemian, by służyli najmądrzejszym, najdzielniejszym i najpotężniejszym sol na świecie. Bożylas był najświętszym miastem Minatsol i właśnie tam znajdowała się jedyna akademia poświęcona bogom, którzy zstępowali raz na cykl księżyca, by przyjrzeć się, jak sol walczą na arenie lub podczas gier strategicznych. Nie każdy sol mógł zostać wybrany, by dołączyć do bogów, ale wszyscy ci, których spotykał ten zaszczyt, pobierali nauki w Bożylesie.

Nikt z nas, ziemian, tak naprawdę nie rozumiał, jak przebiegał ów proces, lecz rozumienie nie należało do naszych obowiązków. Większość takich jak my nigdy nie miała nawet postawić stopy w Bożylesie. Pisane nam było pozostać w wioskach, szkoląc się na nauczycieli lub pomagając w prowadzeniu rodzinnego interesu. Jednak w każdym kolejnym cyklu życia dwójka szalenie utalentowanych ziemian miała zostać wybrana, by prowadzić całkiem inną egzystencję. By stać się kimś innym i wejść do świata sol. Emmy z pewnością należała do grona tych ziemian i nie wątpiłam w to ani

odrobinę. Była piękna, inteligentna, wytrwała i dzielna. Któregoś razu w ciągu jednej nocy zupełnie sama odbudowała warsztat stolarza. Chyba nie istniało na tym świecie nic, czego nie potrafiłaby zrobić.

No... może tylko nie mogłaby stać się sol. Albo bogiem. To akurat było niemożliwe.

– Willa!

Emmy wpadła właśnie do domu, wytrzeszczyła oczy na mój widok i pisnęła przeraźliwie.

– To nic takiego – odparłam, odskakując, zanim zdążyła mnie chwycić.

– Krwawisz, idiotko!

– Od kiedy krwawienie czyni z człowieka idiotę? Wszyscy krwawimy, to zupełnie naturalne.

Przewróciła pięknymi, brązowymi oczami, jeszcze raz próbując mnie złapać. Prychnęłam, wyciągając rękę w jej stronę. Tak naprawdę wcale nie krwawiłam, ale oparzenie na mojej dłoni wyglądało na tyle paskudnie, że na pierwszy rzut oka mogło przypominać krwawiącą ranę. Emmy odwróciła się do pieca i chlusnęła wodą na ogień buzujący pod płytą do gotowania, a potem zaczęła przeszukiwać szuflady w maleńkiej kuchni mojej matki. Pierwsze trzy, które otworzyła, zazwyczaj zawierały małe pakiety medyczne z opatrunkami, ale okazało się, że wszystkie zostały zużyte.

– Tam. – Postanowiłam jej pomóc, wskazując głową na posłanie w kącie izby.

Było to jedyne porządne łóżko w naszej chacie. Matka kupiła je, gdy zmarli rodzice Emmy. Powiedziała wtedy, że Emmy może zamieszkać u nas i dzielić ze mną nowe wyrko. Sama natomiast miała spać na mizernym materacu rozłożonym na podłodze. Nie trwało długo, jak to my na nim wylądowałyśmy, a ona zajęła wygodne posłanie.

Emmy znalazła pod łóżkiem czwarty pakiet medyczny i szybko zabandażowała mi rękę.

– Mówiłam ci, żebyś nie korzystała z pieca – złażała mnie, marszcząc brwi. – Właśnie dlatego gotuję zapas jedzenia, który powinien wystarczyć na cały tydzień, jeśli tylko będziesz go przechowywać w odpowiedni sposób.

– Kiedy ja wcale niczego nie gotowałam, przysięgam! Nigdy w życiu bym nie próbowała, nawet gdybyś mnie zmusiła.

– To czemu palił się ogień?

– W środku coś było. Pomyślałam, że jeśli rozgrzeję piec, to coś wypełźnie na zewnątrz.

– Przez zamknięte drzwiczki?

– Ups...

Roześmiała się, kończąc opatrywać moją dłoń, i odwróciła się do pieca. Ta podłużna, niezgrabna konstrukcja z kamienia i gliny przypominała trochę komin. Palenisko znajdowało się pod kamienną szafką z odlanymi z żeliwa drzwiczkami, a całość łączyła się z kominem. Emmy owinęła sobie rękę ścierką i otworzyła drzwiczki. Właśnie tutaj popełniłam błąd – dotknęłam ich gołą ręką.

Skrzywiła się, po czym zamknęła drzwiczki.

– Wygląda na to, że mamy dziś szczura na kolację.

Przyjrzałam się swojej zabandażowanej dłoni i westchnęłam cicho.

– Emmy, nie mogłabym zatrzymać cię tutaj? Jesteś taka przydatna. Co ja pocznę bez ciebie?

– Wiesz, mogą mnie nie wybrać – przypomniała mi łagodnym głosem.

Bała się. Nie wiedziałam dlaczego. Może nie chciała zostawiać mnie samej, a może martwiła się o to, co ją czeka, jeśli zostanie wybrana. Bożył was był zupełnie innym światem dla nas, ziemian z rubieży. Światem, o którym prawie nic nie wiedzieliśmy.

Niespodziewany szmer wytrącił mnie z zamyślenia. Odwróciłam się, by zobaczyć, jak moja matka osuwała się na łóżko, mamrocząc coś pod nosem.

– Mamo – burknęłam z wyrzutem, podchodząc bliżej, po czym pociągnęłam ją za nogę. – Ceremonia selekcji jest w tym cyklu słońca, pamiętasz?

– Daj spokój, zostaw ją. – Emmy złapała mnie za rękę. – Spóźnimy się.

Byłam wkurzona. Nie chciałam, żeby moja matka wystawiła Emmy w tak ważnym dniu, ale ewidentnie spędziła całą noc w tawernie Cyana. Znowu. Próbowałam nie zastanawiać się nad tym, jakie życie prowadziła – w końcu była dorosła i samodzielnie podejmowała wszelkie decyzje – ale byłam niemal pewna, że spała z podróżnikami nocującymi w tawernie, żeby zarobić trochę sztonów. Myśl, że zapewne większość z nich przepiła, wprawiało mnie w jeszcze bardziej podły nastrój. Nie należała do

szczególnie odpowiedzialnych matek. Zdawała się ledwie zauważać, że w ogóle tu jesteśmy. Emmy dbała o to, żeby miała co jeść, a ja czasami zdejmowałam jej buty, gdy o świcie zalegała pijana na łóżku. Mniej więcej do tego aktualnie sprowadzała się nasza relacja. Może byłoby inaczej, gdyby Emmy z nami nie zamieszkała. Może potrzebowałabym jej bardziej, a to zmuszałoby ją do tego, by zachowywała się jak matka.

Emmy zaczęła ciągnąć mnie do wyjścia, lecz obie zatrzymałyśmy się w drodze do drzwi na widok czasomierza dogorywającego na podłodze. Każde domostwo mogło posiadać jedno takie urządzenie, a ja najwidoczniej zrzuciłam nasze, kiedy oparzyłam rękę i w szale miotalam się po izbie. Szklana pokrywa się roztrzaskała, a wskazówki poruszały się z trudem. Ta dłuższa i cieńsza, która miała za zadanie krążyć wokół tarczy, odmierzając kolejne kliki, podrygiwała tylko nad tą samą cyfrą. Natomiast krótsza i grubsza, wyznaczająca upływ jednej rotacji, była złamana.

– Nie martw się – powiedziała Emmy. – Zajmiemy się tym później.

Złapałyśmy za płócienne plecaki i wybiegłyśmy z domu. Jej worek był pewnie pełen książek i przydatnych rzeczy. W swoim nosiłam przedmioty pożyteczne dla mnie: koc gaśniczy, scyzoryk oraz antidotum na wszelkie trucizny, za które przehandlowałam duszę w wędrownym cyrku – to znaczy wszystkie sztony, jakie kiedykolwiek zaoszczędziłam. Przez całe moje krótkie życie udało mi się odłożyć aż trzy. No dobra, tak naprawdę to dwa i pół. Nie miałam pojęcia, gdzie się podziała druga połowa tego ostatniego. Wyglądał trochę tak, jakby ktoś ją odgryzł, ale to byłoby zarówno niemożliwe, jak i niehigieniczne. Sztony wytwarzano z brązowego metalu i zawsze były dość brudne. A więc przehandlowałam moje cenne dwa i pół sztona za – najprawdopodobniej – fałszywy eliksir. Miałam niemal całkowitą pewność, że nie zadziała, ale nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego, więc sprzedawcy nie musieli zbytnio się wysilać, by przekonać mnie, że to najrzadsza z mikstur warta znacznie więcej, niż za nią płacę. Miałam też w plecaku jeszcze jeden pakiet medyczny oraz banana. Na wypadek gdybym zgłodniała.

– Może ciebie też wybiorą i wyjedziesz razem ze mną – zażartowała Emmy, zerkając na mnie kątem oka.

– Pfft! – parsknęłam odrobinę zdyszana, bo Emmy była znacznie szybsza ode mnie, a ja próbowałam za nią nadążyć. – Najchętniej w ogóle nie pozwoliliby mi skończyć szkoły.

– A jednak to zrobili.

– Tylko dlatego, że włamałam się do pokoju z dokumentami i zrobiłam z siebie genialną uczennicę.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – zachichotała. – Skończyłaś szkołę z lepszym wynikiem niż większość uczniów. Mało brakowało, a prześcignęłabyś w rankingu nawet mnie, a oni nie mogli nic z tym zrobić.

– Nie mogli – przyznałam i cmoknęłam z satysfakcją. – Dokumenty są oficjalne. Wiążące.

– Po prostu nie chcieli przyznać przed naczelnikiem Grahamem, że udało ci się włamać do biura i sfałszować papiery. Zwolniłby ich wszystkich.

– No dobra, to bardziej prawdopodobne wytłumaczenie.

Dotarliśmy do szkoły, czyli kompleksu zbudowanych z kamienia budynków i lawirując między ludźmi, ruszyliśmy ku placowi zebrania. Ustawiono tam scenę, na której zajął już miejsce naczelnik we własnej osobie. Parsknęłam, wskazując na niego, a gdy Emmy spojrzała w tym kierunku, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Naczelnik Graham zawsze starał się wyglądać na kogoś ważnego. Miał przed sobą z dziesięć stron notatek, za nim zaś stał cały tłum wioskowych doradców. A wszystko dlatego, że miał ogłosić dwa imiona.

– Witam was, cni ziemianie – zaczął zaraz po tym, jak przysiadłyśmy na wolnych miejscach z tyłu i wyjrzałyśmy zza głów osób przed nami, żeby lepiej go widzieć. – Tak oto dotarliśmy do kresu kolejnego cyklu życia. W związku z tym dwójka najlepszych z nas uda się do Bożyłasu, by poświęcić wszystkie siły i całe zaangażowanie służbie soli.

W tym miejscu zrobił pauzę, by pierwszy rząd ziemian mógł poderwać się z miejsc, krzycząc z ekscytacją. Zauważyłam, że większość z nich to znajomi z klasy.

– Emmy. – Szturchnęłam przyjaciółkę. – Chyba powinnyśmy siedzieć z przodu.

Odpowiedziała mi szturchnięciem, więc wstałam z miejsca i zgarbiona ruszyłam środkową alejką, a Emmy podążyła za mną. Tymczasem naczelnik kontynuował swoją przemowę:

– Jak wszyscy wiecie, Bożyłas to miejsce narodzin pierwszej rodziny sol setki tysięcy cykli życia temu. Pierwsza rodzina nie starała się zdobyć siły na bożą chwałę, dlatego nie została wybrana, by wstąpić do Topii i zasiąść pośród bogów. Teraz jednak sol wiedzą, co należy robić, i w całym Minatsol zbierają swoich najlepszych ludzi, by wysłać ich do Bożylasu, gdzie będą trenować dla zaimponowania bogom. I tak jak my dokładamy wszelkich wysiłków, by służyć sol, tak sol dokładają wszelkich wysiłków, aby służyć bogom. Zawsze musimy pamiętać, że niektórzy z nich mogą dostąpić zaszczytu dołączenia do boskiego grona, co oznacza, że nasi wybrani ziemianie będą towarzyszyć nie tylko najbardziej szanowanym sol tego świata, lecz także naszym przyszłym bogom. W całym Minatsol nie ma szlachetniejszej profesji dla ziemianina.

– Może oprócz pozostania na miejscu i przypadkowego spalenia całej wioski – mruknęłam do Emmy. – Myślę, że moja przyszła profesja jest superszlachetna.

Parsknęła śmiechem, ale pacnęła mnie w ramię, żebym się ogarnęła, co nie było szczególnie dziwne, bo nie lubiła, kiedy mówiłam takie rzeczy. Chłopak, przy którego krześle właśnie przykucnęłam, posłał mi nieprzyjemne spojrzenie, więc zamknęłam się i skupiłam uwagę na naczelniku Grahamie.

– A więc – potrząsnął kartką papieru, która znajdowała się na wierzchu pliku, i odchrząknął – nie przedłużajmy. Wybrani ziemianie ukończyli szkołę z wyśmienitymi wynikami w nauce, a do tego są rodzeństwem. Niech przyniosą zaszczyt swojej rodzinie i naszej wiosce. Emmanuelle i Willa Knight... Wejdźcie, proszę, na scenę.

Zamarłam, a z ust wyrwał mi się jęk. Cholera... Cholera! Nie pomyślałam, że to w oparciu o szkolne dokumenty zapada decyzja, kogo wysłać do Bożylasu.

– Willa! – pisnęła Emmy za moimi plecami. – W moich papierach też grzebałaś?

– Zmieniłam tylko twoje nazwisko – wymamrotałam jak w transie, bo przez mój umysł przemykało zbyt wiele chaotycznych myśli, by mógł wyprodukować wiarygodne kłamstwo. – Jesteś moją siostrą, potrzebowałaś mojego nazwiska.

– Och, Willa... Coś ty narobiła?

Nie miałam szansy odpowiedzieć, bo Emmy wyprostowała się, złapała mnie za rękę i pociągnęła do góry. Próbowalam kucnąć z powrotem, ale nie pozwoliła. Święci bogowie, jaka ona była silna! Zawlekła mnie na scenę i postawiła obok naczelnika, który uścisnął rękę najpierw mnie, potem jej, a później zaprezentował nas mieszkańcom wioski. Nawet nie klaskali. Po prostu siedzieli przed sceną z rozdziawionymi ustami, podczas gdy w tle grały świerszcze.

Naczelnik zmarszczył brwi, najwidoczniej zachodząc w głowę, co się dzieje. Nigdy nie interesował się ludźmi, którym przewodził, o ile nie potrzebował zmusić ich do zrobienia czegoś, czego chciał. Albo podczas rzadkich okazji, kiedy minateurowie przeprowadzali inspekcję w naszej wiosce.

Złapał mnie za ramiona i zmusił, bym zrobiła krok naprzód.

– Chciałabyś coś powiedzieć? – zapytał w sposób dający do zrozumienia, że tak naprawdę to wcale nie pytanie. – Może podziękować swoim nauczycielom?

– Dziękuję, eee, nauczyciele – wydukałam słabym głosem.

Naczelnik zmarszczył brwi jeszcze mocniej i odwrócił się do Emmy, która stanęła obok mnie i odchrząknęła.

– Nie zawiedziemy naszej wioski – zapewniła zdecydowanym głosem, który w końcu wyrwał zgromadzonych z oszołomienia. – Będziemy pracować ciężiej niż inni wybrani ziemianie i wrócimy tu z błogosławieństwem bogów. To obietnica.

Przemówienie było bardzo krótkie, ale wygłosiła je Emmy, więc wystarczyło, by wzbudzić wśród zgromadzonych kilka entuzjastycznych okrzyków. Reszta jednak wciąż milczała, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem. Naczelnik Graham najwidoczniej postanowił dać sobie z nami spokój i wskazał nam bok sceny, gdzie odeszliśmy posłusznie, pozwalając mu paplać jeszcze trochę o kilku legendarnych sol, którzy dostąpili zaszczytu wstąpienia do Topii.

Wreszcie całe to przedstawienie dobiegło końca, a ludzie poszli do domów. Wtedy właśnie w wieczornej ciszy rozbrzmiał śmiech Emmy. Naprawdę się śmiała. Siedziała na scenie z głową między

kolanami i wyglądała, jakby kompletnie jej odbiło. Kiedy podniosła twarz, zobaczyłam mokre od łez policzki.

– Nie mogę uwierzyć w nasze szczęście. Po prostu nie mogę uwierzyć. Nawet nie śmiałam o tym marzyć. Wyjeżdżamy do Bożylasu, Willa! Obie! – Znowu wybuchnęła śmiechem, a ja poważnie zaczęłam się martwić o jej zdrowie psychiczne.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, klękając przy niej na scenie i kładąc jej dłoń na plecach. Zaczęła szlochać. Co, u licha...?

– Odchodziłam od zmysłów, odkąd wyrzucili cię ze szkoły – przyznała między jednym spazmem a drugim. – Jesteś taka mądra, poradziłabyś sobie. Ale potem... Potem wszystko nagle się rozpadło. Myślałam... Myślałam, że będę musiała odmówić, jeśli zostanę wybrana.

Poczułam, że jeszcze chwila, a też się rozplaczę. Z trudem powstrzymałam łzy i objęłam Emmy, a potem zaczęłam gładzić jej srebrzyste włosy, mamrocząc słowa pocieszenia. W rzeczywistości chciałam powiedzieć, że pewnie umrę. Dosłownie. Byłam ostatnią osobą, która nadawała się, by służyć w szkole dla elitarnych sol. Jeśli dostatecznie mocno wkurzę kogoś z nich, wyślą mnie do jakiejś świątyni, gdzie zostaną złożona bogom w ofierze. Poważnie, pewnie umrę.

– Poradzimy sobie – powtórzyłam. – To będzie niesamowite, zupełnie nowe życie. Zobaczysz, Emmy.

* * *

Jeden cykl słońca później Emmy i ja stałyśmy już na skraju wioski, każda z tobołkiem w dłoni, i przygotowałyśmy się do wielkiej chwili naszego życia. Do odejścia z jedyne go domu, jaki kiedykolwiek znałyśmy. Zostawiałam matkę, która prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy, że jadę do Bożylasu – od czasu ceremonii rzadko była obecna albo przytomna. Nie miałam pewności, czy rozumiała, co się wydarzyło. Może nie wiedziała nawet, że Emmy i ja opuszczamy dom i że nigdy nie wrócimy. Wbrew temu, co obiecała Emmy, ziemianie nie wracali z Bożylasu do wiosek na rubieżach. Przeznaczano ich do większych i lepszych spraw... jak na przykład złożenie w ofierze bogom za przypadkowe potknięcie się i uderzenie kogoś ze świętych sol w jego nie mniej święte jaja. Nie myślcie, że to niemożliwe, doświadczyłam podobnych wydarzeń już pięć razy, i to tylko w obecnym cyklu życia. Tortury – oto co przyszłość dla mnie szykowała.

Po ceremonii powiedziałam Emmy, że nie mogę się doczekać wyjazdu. Że będzie fantastycznie, najlepiej na świecie i poproszę to samo w następnym życiu, a potem jeszcze bisy. Ale kiedy nastała ciemność i nie było w pobliżu nikogo, komu musiałabym okazywać fałszywy entuzjazm, ogarnęła mnie groza. Wyobraźnia zaczęła podsuwać mi makabryczne sceny z milionem sposobów na sprowadzenie katastrofy na sol i Bożylas. Próbowałam sobie wmówić, że nie ma czym się martwić. Że akademia i tak za długo cieszyła się nieskałaną reputacją i mała skaza dobrze jej zrobi. Podkręci atmosferę. O ile nie postanowią użyć mojej krwi, żeby zmyć tę plamę na swoim honorze.

Tłum wokół nas rósł, kiedy czekałyśmy na wóz przy najstarszej ruzszy o rozłożystych konarach. To olbrzymie powykrzywiane drzewo rosło tuż za wioską na rozstajach dróg, z których jedna prowadziła na północ do Bożylasu, a druga do ostatnich śladów cywilizacji w Minatsol. Co leżało dalej, tego nie wiedział nikt. Żaden człowiek nie dotarł na południe dalej niż do ostatniej wioski, a nawet jeśli ktoś się odważył, to już stamtąd nie wrócił. Nikt z nas nie wiedział, co znajdowało się w najbardziej tajemniczej części Minatsol. Więcej śmierci, to pewne. A może znajdował się tam raj i dlatego nikt nie kwapił się z powrotem? Sęk w tym, że to dość duże ryzyko: śmierć albo raj.

Tylko dwie wioski znajdowały się dalej od Bożylasu niż nasza, a ich mieszkańcy musieli toczyć z naturą ciężką walkę o plony, jako że zasoby wodne mieli ograniczone. Nie zmieniało to faktu, że naczelnicy obu miejscowości przy niejednej okazji wyrażali wdzięczność losowi, że nie muszą użerać się ze mną. Zawsze coś.

Można powiedzieć, że ukształtowanie Minatsol przypominało okręgi rozchodzące się na wodzie. W centrum znajdował się Bożylas. Właśnie tam życie kwitło najbujniej, jednak z każdym kolejnym „pierścieniem” warunki coraz bardziej się pogarszały. Ja mieszkałam w siódmym, natomiast za nim istniały jeszcze dwa, a dalej na śmiałków czeka jedna z opcji: śmierć albo raj.

Podniosłam wzrok, szukając ukojenia w widoku rozkołysanych liści zabarwionych czerwienią i zielenią. Panował środek pory gorącej, ale mimo braku wody to stare drzewo nadal dawało cień i schronienie. Wedle ludowych opowieści rosło tu od najdawniejszych czasów. Nikt nie lubił za wiele mówić o tym, co było kiedyś. Nie jestem pewna, czy którakolwiek z tych historii faktycznie oddawała prawdziwe piękno naszego świata. W każdym razie podobno nie tylko Bożylas, ale całe Minatsol przypominało niegdyś Topię, która uchodziła za najpiękniejszy ze wszystkich światów. Nie żeby ktokolwiek z nas wiedział coś o innych światach. Zakładaliśmy po prostu, że istniały. Gdzieś tam. Tak jak Topia.

– Jesteś gotowa, Will? – spytała Emmy, zaciskając palce na mojej dłoni.

– Jak myślisz, kiedy mama zorientuje się, że nas nie ma? – mruknęłam, obserwując tłum.

Wedle zwyczaju cała wioska żegnała rekrutów wysyłanych do Bożylasu, ale nigdzie nie widziałam zmęczonej twarzy swojej rodzicielki. Lekki podmuch sprawił, że srebrne włosy Emmy zafalowały i musnęły jej policzki. Wyglądała wyjątkowo ślicznie. W sumie nic dziwnego, ponieważ poświęciła dziś swojej aparycji sporo czasu i uwagi. Ja z kolei założyłam najporządniejszą ze swoich koszul, która była prawie całkiem czysta, pomijając plamę z sadzy na plecach – pamiątkę po tym, jak przypadkiem wpadłam do paleniska.

– Pewnie gdy odkryje, że pakiety medyczne przestały znikać i skończyło się jedzenie – odparła Emmy.

Tak, matka używała tych pakietów niemal tak często jak ja, gdyż – wiercie lub nie – istniała na tym świecie osoba, która potrafiła wywołać tyle samo chaosu. Różnica polegała na tym, że ona nie urodziła się z tą przypadłością. Nabawiła się jej przy wydatnej pomocy alkoholu.

Gwar wśród zebranych ludzi wzmógł się wydatnie i zauważyłam wóz powoli toczący się w naszym kierunku. Cztery drewniane koła wzniewały żółtobrazowy pył. Wierzono, że w świętych ścianach Bożylasu znajdowały się środki transportu, które poruszały się bez pomocy bykonii – wielkich, czarnych stworzeń o spiczastych głowach. W końcu nazwa „Bożylas” nie wzięła się znikąd. Bogowie dali jego mieszkańcom magię i technologię, o których ziemianie mogli tylko pomarzyć. Właśnie stamtąd musiała pochodzić książka o smole: z miejsca, gdzie codzienność była lepsza niż nasze najjaśniejsze cykle słońca.

Emmy pociągnęła mnie w stronę wozu, z nerwów jeszcze mocniej zaciskając palce na mojej dłoni. Ludzie sięgali ku nam, by nas dotknąć. Wierzyli, że w ten sposób zaskarbiają sobie łaskę bogów. Właśnie dlatego służyliśmy sol. Znaczy... pomijając fakt, że gdybyśmy tego nie robili, zapewne spaliliby nasze wioski do gołej ziemi. Chcieliśmy, żeby bogowie nas nagrodzili i zauważyli naszą użyteczność. Dlatego gdy któryś z ziemian został wybrany, by służyć sol, inni publicznie okazywali mu poparcie. Mieli nadzieję, że kiedyś ich warstwa społeczna zostanie uznana za coś więcej niż tylko najniższa forma życia.

Nigdy nie dotknęłam żadnego z poprzednich wybrańców, bo wychodziłam z zupełnie innego założenia. Zajmowałam najniższą pozycję pośród najniższych i jeżeli moje osiemnaście cykli życia czegoś mnie nauczyło, to tego, że nic się nigdy nie zmienia. Ziemianie zawsze pozostaną bezwartościowi dla reszty świata, a ja zawsze będę bezwartościowa dla tych bezwartościowych.

Zupełnie jakby za długo panował spokój, potknęłam się o wystający korzeń i zanim Emmy zdążyła mnie podtrzymać, robiąc użytek ze swojej szalonej siły, którą nie ustępowała umięśnionemu mężczyźnie, torba wyleciała mi z ręki i uderzyła w bok wozu. Wozu, na którym widniał królewski herb Bożylasu. Symbol kreatora, Pierwotnego Boga: kostur ze srebrnym grotem. Zawsze srebrnym, gdyż taki właśnie był kolor Kreatora. Słyszałam w szkole, że każdego z bogów określał konkretny kolor, ale zapamiętałam z tej lekcji jedynie to, że kolorem Śmierci jest czerń. Wydawało mi się to takie... przewidywalne. Gdzie wasza kreatywność, bogowie? Nie rozumiałam, czemu Śmierć nie może mieć różu. Albo fioletu. A co, jeśli lubi błyszczeć?

Torba upadła ciężko na ziemię, wzbijając w powietrze kłęb kurzu, a zaraz potem rozległ się zduszony zbiorowy okrzyk. „Nie no, ludzie, dajcie spokój. Przecież nie powinniście być zaskoczeni, prawda? Czyżbyście myśleli, że z powodu nominacji nagle nabiorę gracji typowej dla sol?”. Cóż, byłoby miło, ale nikt nie powinien się łudzić, że tak się właśnie stanie. Moja klątwa niezdarności nigdzie się nie

wybierała. Mimo to i tak na moment ogarnęła mnie wdzięczność, że ani nikogo nie zabiłam, ani nie uszkodziłam wozu na tyle, żeby stał się bezużyteczny.

– Willa – syknęła Emmy. – Co ty masz w tej torbie?

Przyjrzałam się uważniej herbowi. Pojawiło się na nim wgniecenie, dokładnie pośrodku, a kostur, jeszcze przed chwilą idealnie prosty, teraz był wykrzywiony. Ups.

– Myślę, że to był rondel – wyszeptałam, podnosząc tobolek z ziemi.

– Po jakie lichy zabrałaś rondel? – zapytała, spoglądając na mnie z niedowierzaniem.

– A nie będziemy go potrzebować do gotowania?

Pośpiesznie zasłoniła usta dłonią, ale było już za późno.

Usłyszałam jej śmiech. Zamachnęłam się torbą, w pełni gotowa, żeby przyłożyć nią przyjaciółce, a zebrani ludzie znów wydali zduszony okrzyk.

Emmy tylko pokręciła głową.

– Jak myślisz, ile razy mogę walnąć w wóz, zanim nas zamordują? – mruknęłam z przekąsem, gdy odwróciłyśmy się do mieszkańców wioski, żeby im pomachać.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, na przemian otwierając i zamykając usta.

– To twoja wina, Will – wykrztusiła w końcu. – Co ja ci mówiłam o chodzeniu?

– Że powinnam zostawić to ekspertom – wymamrotałam z udawaną skruchą.

Jej twarz wydała mi się bledsza niż zwykle i zrozumiałam, że boi się o mnie, nawet jeśli droczyła się tak jak zawsze. Nie ja jedna nie mogłam spać zeszłej nocy, dręczona wizjami rozlicznych tortur, jakim niemal na pewno zostanę poddana. Może i ziemianie prowadzili prostą egzystencję skoncentrowaną na pracy, ale w wioskach było w miarę bezpiecznie. Moją klątwę ledwo tutaj tolerowano, lecz lokalna społeczność tak naprawdę nic nie mogła zrobić, żeby na dobre się mnie pozbyć. Większość ziemian doszła do wniosku, że w którymś cyklu słońca po prostu rozwiązę problem sama, wpadając na jeden z zaostrzonych pali ostrokołu. Pfft! Już to zrobiłam i wcale nie byłam aż tak blisko śmierci.

– Chodź – powiedziała Emmy, szarpiąc mnie za rękę.

Moja torba została umieszczona przez przewodnika z tyłu wozu, ale dopiero po tym, jak przeszukał ją z wielką podejrzliwością. Do bagażu Emmy nawet nie zajrzał. Nie żeby mnie to zaskoczyło. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby stwierdzić, że jedyną nielegalną rzeczą, jaką mogłaby przeszmuglować do Bożylasu, była para majtek z przypadkowym rozdarciem. Nawet nie celowym – przypadkowym.

Przewodnik został zapewne wynajęty przez Akademię Bożylasu. Podróż przez siedem pierścieni mogła potrwać wiele cykli słońca, lecz prędzej czy później miałam dotrzeć do miejsca mojej zagłady. Przyjrzałam się uważnie wozowi, pełna obaw, że okaże się nie dość wytrzymały, by przetrwać mojego pecha. Posiadał część bagażową z zaokrąglonym zadaszaniem i podejrzewałam, że właśnie tam będziemy spać, gdy zapadnie noc. Do dyszła zaprzęgnięto dwa bykonie. Uprzęże dla nich zostały zrobione z pasów splecionych z bardzo wytrzymałych włókien winorośli rosnącej jedynie w dwóch miejscach poza Bożylasem. Nic innego nie mogłoby utrzymać w ryzach tych silnych, czarnych bestii. Przystanęłam na chwilę, by im się przyjrzeć. Z początku wydawało mi się, że są bezwłose, lecz zaraz zauważyłam bardzo krótką sierść pokrywającą ich nieco tyczkowate ciała o chudych nogach. W wytrzeszczonych oczach dostrzegłam tylko ciemność, ale słyszałam, że czasami wokół źrenicy bykonia można dojrzeć wąską otoczkę tęczówki. Starłam się nie podchodzić za blisko, by nie zdenerwować tych dzikich i niebezpiecznych stworzeń, choć większość ludzi zdawała się ignorować zagrożenie i udawać, że zostały z powodzeniem udomowione.

Przewodnik okazał się młodszy, niż sądziłam. Musiał liczyć około trzydziestu cykli życia. Miał bujną rudą czuprynę, nos upstrzony piegami i jasnoniebieskie oczy.

– Pozdrowienia, ziemianki. Nazywam się Jerath i odeskortuję was bezpiecznie do Bożylasu, gdzie rozpoczniecie swą błogosławioną posługę dla sol.

Od strony tłumu podniosły się radosne okrzyki. Nie po raz pierwszy.

– Płacz byłby bardziej na miejscu – mruknęłam półgębkiem do Emmy. – Mogliby chociaż udawać smutek, dopóki nie odjedziemy.

Pokręciła głową i szturchnęła mnie lekko, po czym wspięliśmy się na jedną z ławek. Przewodnik miał zająć drugą, tę bardziej z przodu. Siedzenie znajdowało się na tyle wysoko, że ponad głowami zebranych zobaczyłam naszą wioskę. Miejsce przy studni, gdzie chowałam się w największe upały, by pryskały na mnie lodowate krople, gdy mieszkańcy wioski czerpali wodę. Budynki szkolne, gdzie spędziłam najbardziej kształtujące moją osobę cykle życia, i chatę uzdrowiciela, do której posłałam przynajmniej pięciu nauczycieli pracujących nad moją edukacją. Incydent ze smołą okazał się kroplą, która przelała czarę goryczy, ale wcześniej napelniało tę czarę wiele, wiele innych kropel. Zapewne zbyt wiele. W zasadzie nauczyciel Garat miał więcej cierpliwości niż inni.

Jeden z bykoni drgnął, kiedy wśród tłumu wybuchł jeszcze większy harmider. Ci ludzie musieli być pijani. Nie istniało żadne inne wytłumaczenie, dlaczego dorośli ziemianie reagują na nasz wyjazd z taką radością. Ewidentnie otrząsnęli się z szoku, jaki musiała wywołać w nich moja nominacja, i teraz uważali ją za dar od bogów.

Dranie.

Jerath stał nieopodal wozu i rozmawiał z Grahamem. Widziałam wymianę darów i prawdopodobnie sztonów, które wioska otrzymała w nagrodę za oddanie do wyniszczającej pracy kolejnych ziemian – w tym wypadku nas dwóch. Nie wątpiłam, że naczelnik spał na łóżku zrobionym z błyszczących monet.

W końcu rudowłosy przewodnik wdrapał się na wóz i dał znać, że czas ruszać, zaś Graham zwrócił się do nas:

– Siódmy pierścień życzy wam długiego życia w służbie. Zostałyście pobłogosławione. Teraz musicie uczynić wszystko, co w waszej mocy, by przynieść chlubę waszym ludziom. Cokolwiek uczynicie, odbije się to na nas. Wioska została wynagrodzona za waszą ciężką pracę.

„Mhm, taa. Daj mi chwilę, żeby otrzeć łzy”.

Emmy kiwnęła głową.

– Sprawimy, by wioska była z nas dumna. Możecie oczekiwać wielu sztonów za naszą posługę.

„Tak, tak. Z wyjątkiem tych, które zostaną odjęte, kiedy przypadkiem przykleję świętą głowę jednego z sol do świętej dupy drugiego”.

Jerath złapał za lejce, a my pomachałyśmy na pożegnanie i wóz wreszcie ruszył. Spojrzałam za siebie, w myślach żegnając się z matką. Wprawdzie zachowywała się jak zapijaczona zdzira, ale ostatecznie to ona mnie urodziła. Na tym świecie miałam tak niewiele, że nawet ona wydawała mi się bliska. Emmy ścisnęła moją dłoń. To wystarczyło, żebym odwróciła się i popatrzyła tam, gdzie czekała mnie nowa przyszłość.

Wszystko miało się zmienić i tylko bogowie wiedzieli, czy na lepsze czy gorsze.

DWA

Wciągu czterech pierwszych cykli słońca zaliczyliśmy dwa pęknięte koła, ucieczkę bykonia oraz trzy ataki dzikich zwierząt. Biorąc pod uwagę moją zdolność przyciągania katastrof, uważałam to za ogromny sukces. Znajdowaliśmy się teraz w trzecim pierścieniu i zaczęłam dostrzegać pierwsze różnice w krajobrazie. Poprzednie pierścienie wyglądały mniej więcej jak nasz: piaszczyste drogi, twarda, bezlitosna ziemia, budynki z kamienia i zagrody bykonii. Mijane wioski mogły mieć trochę więcej drzew, studni i może nawet staw, w którym ziemianie pewnie się kąpali... Ale w większości przypominały naszą.

W trzecim pierścieniu świat jednak znacząco się zmieniał. Tutaj drogi były utwardzone, domy miały szklane okna oraz murowane parapety, a ludzie ledwo zwracali uwagę na przejeżdżający wóz, mimo że nosił symbol Kreatora. Najwyraźniej często takie widywali.

– To Tridel – szepnęła Emmy, choć i tak nikt nie usłyszałby nas przez głośny turkot kół. – Pierwsze miasto sol. Albo w sumie ostatnie, zależy, skąd przyjeżdżasz. Następne będą Dvadel i Soldel, a potem znajdziemy się w Bożylesie.

Nawet nie pytałam, skąd to wiedziała. Najwyraźniej ukradła wszystkie dobre geny całej reszcie żałosnych wieśniaków. Wyprostowałam się na siedzeniu, zerkając na twarze ludzi, którzy kompletnie się nami nie interesowali. Sol nie różnili się wyglądem od nas, ziemian. Patrzyłam, jak czekają na coś w kolejce przed sklepem, trzymając konopne worki.

– Nie wyglądają na aż tak świętych – mruknęłam do Emmy.

Powiodła wzrokiem za moim spojrzeniem, po czym parsknęła śmiechem.

– To są ziemianie. Sol mają niewolników nawet w Tridel.

Zarumieniłam się odrobinę ze wstydu i odwróciłam głowę, by popatrzeć, co się dzieje z drugiej strony wozu. Naprzeciwko nas zobaczyłam idącą skrajem drogi parę. Mężczyzna był kilka cali wyższy od trzymającej go pod ramię kobiety. Albo w porównaniu z ziemianami wyglądali nieco inaczej, albo stanowili wyjątkowo atrakcyjną parę sol. Niezależnie od przyczyny słońce zdawało się świecić prosto na nich, jakby podkreślało ich urodę. Szczeka opadła mi odrobinę. Włosy tej kobiety lśniły, oczy także. Ba! Zęby mężczyzny lśniły również, tak samo jak ubrania obojga. Może wszystkiemu winne było jedynie światło, ale i tak gapiłam się na nich jak sroka w gnat.

– Błyszczą – wybełkotałam, doprowadzając przyjaciółkę do śmiechu.

Mężczyzna musiał ją usłyszeć, bo spojrzał w naszą stronę i z uśmiechem pozdrowił nas skinieniem głowy. Wiedział, dokąd zmierzamy, cel naszej podróży był dość oczywisty. Dwie ziemianki na wozie z insygniami Kreatora mogły wybierać się tylko do Bożylasu, by służyć przyszłemu bogom.

– Uśmiechnął się do mnie – powiedziałam do Emmy półgębkiem, usiłując udawać, że wcale o nim nie mówię.

– Wiem, głuptasie – odparła bez emocji.

W tym momencie wóz zachwiał się lekko, a koło wpadło w kałużę, pryskając brudną wodą na błyszczącą parę.

– Ups. – Szybko odwróciłam głowę i utkwiliam wzrok przed sobą, jakby to była moja wina.

Z tyłu dobiegła nas bogata wiązanka przekleństw. Męski głos obrzucał Jeratha stekiem wyzwisk, lecz przewodnik albo nie słyszał, albo miał to gdzieś. Podejrzewałam, że Jerath również jest ziemianinem, choć dostatecznie ważnym, by służyć sol w Bożylesie. Czy to podnosiło jego status na tyle, by mógł przypadkiem opryskać sol brudną wodą? Najwidoczniej.

Zaczynałam widzieć jakieś światełko na horyzoncie.

– Pamiętasz, co ci mówiłam, Will?

Emmy przyglądała mi się z uwagą. Czułam ciężar jej spojrzenia. Nie miałam bladego pojęcia, o czym mówi, ale tego zdążyła się już domyślić. Oczekiwała, że powiem: „Co?” i sprowokuję wygłoszenie obszernego wykładu o bezpieczeństwie w Bożylesie.

– „Nie śpij w łóżku z nożem na wszelki wypadek”? – zapytałam zamiast tego, uśmiechając się

chyttrze.

Zmrużyła oczy, żeby dać mi do zrozumienia, że to nie czas na żarty.

– Nie to.

– „Nie obściskuj się z synem nauczyciela Hardy’ego, który pewnie ma jakąś chorobę, bo ciągle drapie się po kroczu”?

– Nie...

– „Nie zostawiaj odsłoniętych okien, kiedy tańczysz nago”? „Nie jedz wszystkiego, co przed tobą postawią”, zwłaszcza kiedy to ja sama postawię coś przed sobą? „Nie...”

– Will...

– „Nie zaszywaj wszystkich dziur podczas reperowania koszuli, bo gdzie potem włożysz ręce”?

– Will...

– „Nie pij wody ze stawu”? „Nie wierz we wszystko, co przeczytasz”? „Nie odpowiadaj «nie» za każdym razem, kiedy cię o coś pytam”?

– Nie gadaj tyle, kiedy próbuję wygłosić ci wykład!

Roześmiałam się, widząc, jak poczerwieniała na twarzy.

– Dobra, w porządku – zgodziłam się w końcu. – Dajesz! Wyrzuć to z siebie. Jestem gotowa. Czekam. Zrobmy to.

Zaczynała się irytować. Niemal widziałam wydostający się z jej uszu dym – ale jeśli miałam być szczerą, starałam się odsunąć rozmowy na poważne tematy, odkąd tylko opuściłyśmy wioskę. Emmy przygotowywała się na możliwość wylądowania w Bożylesie, ale ja nie. Przerazało mnie to, co zamierzała mi powiedzieć.

– Skończyłaś już? – zapytała wreszcie, unosząc jedną brew.

– Nie, czekaj... – Sięgnęłam do tobołka po torebkę z kanapkami z miodem. Emmy przygotowała zapas na całą podróż. – Dobra, już możesz. – Kiwnęłam głową, odwijając chleb z płótna, po czym wepchnęłam sobie do ust tyle, ile tylko się dało.

Może zachowywałam się niedojrzale, ale będzie prościej, jeśli zamiast rozmowy zrobimy z tego jednostronny wykład. Emmy nie miała nic przeciwko i od razu przeszła do rzeczy:

– Will, nie masz pojęcia, co się wydarzy, kiedy tam dotrzesz, ale ja tak. Podczas ostatniego cyklu księżycy nauczyciele poświęcili temu tematowi dużo czasu. Ważne, żebyśmy obie były przygotowane.

– Oghej – wymamrotałam, przeżuując powoli kanapkę.

– Cykle słońca będziemy spędzać w klasach i dormitoriach. Dostaniemy rozkład zajęć sol, ale nie będziemy brać udziału w ich lekcjach, tylko podczas nich służyć. Do każdej sali zostaje przydzielonych pięciu ziemian, którzy pozostają do dyspozycji sol i profesorów. Po skończonych zajęciach każda z nas uda się do przydzielonego jej wcześniej dormitorium, by utrzymywać je w czystości i zajmować się mieszkającymi w nich sol. Nie wiem, kiedy będziemy miały czas jeść... Nauczyciele nigdy o tym nie mówili.

– A co ze spaniem? – zażartowałam. – Chyba będziemy miały czas na spanie, prawda? I na inne podstawowe czynności... jak na przykład oddychanie?

– Możesz robić więcej niż jedną rzecz naraz.

Prychnęłam, pochłaniając resztę kanapki.

– Jęcza – burknęłam.

– Coś ty powiedziała? – prychnęła Emmy, porywając z moich kolan torebkę z kanapkami.

– Kocham cię – poprawiłam się szybko, co wywołało jej głośny śmiech.

Emmy powstrzymała się od dalszych wykładów, nawet kiedy przejechałyśmy przez Dvadel i dotarłyśmy do znajdującego się w pierwszym pierścieniu Soldel. Miasto różniło się od innych miejsc, które dotychczas widziałam. Położone było na zboczu i wyglądało tak, jakby ktoś poustawiał jedne budynki na drugich, tworząc coś w rodzaju gigantycznych schodów sięgających niemal do nieba. Jakim cudem sięgały tak wysoko?

Z otwartymi ustami gapiałam się na ten widok, a Emmy musiała zauważyć moją niezbyt rozgarniętą minę, bo powiodła za moim spojrzeniem.

– Och! – westchnęła z zachwytem. – Całe życie chciałam zobaczyć niebosięgi. Wiedziałaś, że

setki sol mogą mieszkać w jednym budynku? To genialne!

Wszystkim, co usłyszałam, było „wiedziałaś, że setki sol mogą zginąć jednocześnie?”. W słowniku Emmy „genialny” ewidentnie oznaczał „szalony”. Nie ma mowy, żebym kiedykolwiek weszła do czegoś takiego. Toż to jawna prowokacja dla mojej klątwy niezdarności.

– Skoro sol są tacy błogosławieni, no wiesz, z tym swoim błyszczeniem, darami i możliwością włożenia w dupę bogom, dlaczego żyją jedni na drugich?

Nie widziałam w tym żadnego sensu. Marzyłam o mieszkaniu we własnym domu w otoczeniu rzeczy należących wyłącznie do mnie. Miałabym pakiety medyczne dokładnie tam, gdzie je ostatnio zostawiłam. Kubki wieszalabym na haczykach na ścianie. No wiecie, cieszyły mnie myśli o takich drobnostkach.

Tymczasem Emmy nie odrywała wzroku od budynków, a w jej ciemnobrązowych oczach lśniło uwielbienie dla sol. Najwidoczniej zakochała się w niebosięgach.

– One są luksusowe, Will. Naprawdę bardzo, bardzo luksusowe. Tylko najbogatsi sol mogą pozwolić sobie na mieszkanie w niebosięgu. Wyobrażasz sobie? Być tak blisko bogów...

– A skąd możemy wiedzieć, że bogowie mieszkają w niebie? Nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w teorię nauczyciela Hardy’ego. Jadał sardynki na obiad. Lepiej nie ufać komuś, kto śmierdzi sardynkami.

– Wiesz, może i nie żyją w niebie, ale wątpię, żeby mieszkali pod ziemią. Poza tym za każdym razem, gdy ktoś opowiada o bogach odwiedzających Bożylas, wspomina, że „zstępują” do akademii.

– Okej, ale wróćmy jeszcze na chwilę do niebosięgów. Jak oni w ogóle sikają? W sensie dziura w podłodze to poważny problem dla sol mieszkających niżej.

Nawet Jerath parsknęła na dźwięk tych słów.

– Mają w mieszkaniach specjalne rury, które ratują ich przed prysznicem z sików – poinformował nas z szerokim uśmiechem na twarzy. – Poza tym mogą nawet kąpać się w domach, bo posiadają prywatne łaźnie.

W domach? Łaźnie? Zaraz, zaraz, ale skąd brała się woda? I dokąd odpływała? Miałam wrażenie, że mózg zaraz mi eksploduje od tych wszystkich pytań.

Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym więcej niebosięgów nas otaczało. Między nimi tu i ówdzie stały kamienne budynki ogrodzone wysokimi płotami. Nie miałam pojęcia, czemu w ogóle potrzebują tu ogrodzeń. Pewnie sol byli takimi twardzielami, że trzymali dzikie bykonie jako zwierzątka domowe – ot tak, dla zabawy.

Najwidoczniej zbliżaliśmy się do szczytu Soldel, bo w oddali dostrzegłam Dvadel, miasto znajdujące się w drugim pierścieniu. Wreszcie dotarliśmy do niezwykle rozległego budynku, który rozmiarami dorównywał niemal całej naszej wiosce. Nie został wzniesiony z ciemnoszarego kamienia jak większość innych budowli, lecz z jakiegoś białego materiału, a w ścianach umieszczono lśniące skalne bloki. To był lider wśród budynków, ten, który powtarzał: „Patrzcie na mnie, patrzcie na mnie!” i sprawiał, że wszystkie inne budowle w Soldel czuły się jak gówna.

– Niech zgadnę, to akademia Soldel? – zapytałam, wskazując na eleganta.

Emmy pokręciła głową.

– Nie, ale byłaś blisko. Tutaj mieszczą się sale obrad minateurów i placówka treningowa. W trakcie ostatniego cyklu życia w akademiach sol są tu rekrutowani, przez kolejne cztery cykle odbywają przeróżne szkolenia, a później albo zostają członkami rady, którzy debatują o sprawach dotyczących bogów i dziewięciu pierścieni, albo dołączają do patroli. Patrole przemierzają ulice, odpowiadają na wezwania pomocy i utrzymują spokój. To bardzo zaszczytna ścieżka życia i tylko najlepsi sol zostają minateurami.

– Szybkie pytanie. – Pochyliłam się do przodu, próbując rozciągnąć obolałe plecy. Droga do Bożylasu trwała całą wieczność. – Jakim cudem się zaprzyjaźniłyśmy? Ja spędziłam swoje cykle życia, starając się nie zostać największą katastrofą naszej ery, podczas gdy ty uczyłaś się zdecydowanie za dużo. Nigdy nie mówili nam tego w szkole, więc wytłumacz mi, skąd to wszystko wiesz?

Dla większości ziemian uczenie się o funkcjonowaniu innych kręgów poza własnym nie miało absolutnie żadnego sensu. Nie było czasu na podróżowanie. Zresztą ziemianie mogli wyjeżdżać tylko po

zebraniu tony sztonów, załatwieniu trzydziestu pięciu różnych papierków, zdobyciu specjalnego pozwolenia i złożeniu ofiary bogom czy coś w tym stylu. Nie mieliśmy żadnych praw i w związku z tym nie potrzebowaliśmy żadnej wiedzy poza podstawową, z której wynikało mniej więcej tyle: „Jak trzymać się cholernie daleko od sol, o ile nie wezwą cię na służbę”.

– Informacje czekają tylko, aż zechcesz je znaleźć – powiedziała Emmy. – Całe życie przygotowywałam się do Bożylasu. Wiesz, że nauczyciel Howard to dawny adept akademii?

Howard? Ach tak, ten, co zatrzymał się u nas na jedną porę zimną, kiedy byliśmy w szóstym cyklu szkolnym. Zdałam sobie sprawę, że w zasadzie miałam wielu nauczycieli.

– Sześć szwów i lekkie wstrząśnienie mózgu? – zapytałam, chcąc się upewnić, że myślę o właściwym ziemianinie.

Emmy powstrzymała się, by nie przewrócić oczami. W ogóle bym się nie zdziwiła, gdyby jednak to zrobiła, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie podsumowałam skutki incydentu, który mógł przytrafić się przynajmniej trzem innym nauczycielom.

– Uwielbiał żółte spodnie – kontynuowałam. – W kółko nosił te same skarpetki, choć czuliśmy jego stopy, zanim jeszcze wszedł do sali. Opowiadał szalone historie i w bolesny sposób przekonał się o tym, że nigdy nie należy prowadzić zajęć z tkactwa, jeśli ja biorę w nich udział. A przynajmniej nauczył się, żeby nigdy nie podawać mi obcinaczki i pasków w tej samej chwili.

Nadal nie wywróciła oczami. Ćwiczyła cierpliwość superziemianki.

– Tak, Will, o nim mowa. Zdenerwował czymś ważnego sol w Bożylesie i w ramach kary oddelegowano go, by nauczał w dziewięciu pierścieniach. Zaszczytą funkcja, ale z jej powodu musiał odejść z błogosławionej stolicy, choć przez całe życie pracował na to, by się do niej dostać. Polubił mnie. Mówił, że przypominam mu siostrę, która teraz służy jednej z najbardziej utalentowanych rodzin sol. Nauczył mnie naprawdę wiele. To dzięki niemu zdobywałam taką wiedzę i postawiłam sobie za cel dostanie się do akademii.

– I w jakiś sposób twoja najlepsza niezdarna przyjaciółka załatwiła sobie zaproszenie do tej podróży. Choć zasłynęła wyłącznie z wkładania we wszystko minimum wysiłku i przynajmniej jednego prawie-końca-świata na cykl słoneczny.

– Nie wydaje mi się, żeby umyślne grzebanie w ocenach było „jakimś sposobem”, Will. – Mimo tego komentarza Emmy przytuliła mnie mocno. – Nawet w ósmym cyklu życia nie kochałam cię tak bardzo jak teraz – wymamrotała w moją koszulę. – Nie, w ósmym byłam zdeterminowana, by dostać się do Bożylasu, za wszelką cenę. A potem pojawiłaś się ty i wiedziałam, że w którymś cyklu słońca będę musiała cię zostawić. Ta myśl łamała mi serce. Każdego ranka po przebudzeniu zastanawiałam się, czy to, co obrałam za cel, naprawdę jest tego warte. Każdy cykl słońca zaczynałam z postanowieniem, że odrzucę nominację, ale potem z upływem czasu byłam coraz mniej tego pewna. Niezależnie od myśli kłębiących się w mojej głowie nigdy nie przestawałam starać się ze wszystkich sił, by zostać wybraną. Zupełnie jakbym musiała udowodnić, że mogę być najlepsza. Gdybym zrezygnowała z wyjazdu, miałabym świadomość, że to mój wybór. – Odsunęła się, żeby na mnie spojrzeć. – Fakt, że zostałam wybrana razem ze mną, to najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek mogła mi się przytrafić. Chociaż raz twoja klątwa niezdarności okazała się prawdziwym darem.

Darem.

Nigdy wcześniej nikt nie nazwał mojej klątwy w taki sposób. Nawet po to, bym poczuła się lepiej. Tylko sol otrzymywali dary, a moja klątwa była dla wszystkich dostatecznym utrapieniem, by nie traktować jej jak coś pozytywnego.

– A czy ty zastanawiałaś się nad odrzuceniem nominacji, Will? – zapytała Emmy z pewnym wahaniem, jakby rozmyślała na ten temat, ale bała się go poruszyć. – Znaczący... Wiem, że wszystko wydarzyło się tak szybko, ale... Myślałaś o tym?

Tak naprawdę nie myślałam ani razu, co było o tyle dziwne, że miałam niemal niezachwianą pewność, że zginę w Bożylesie. Z drugiej strony jednak świadomość pewnej śmierci towarzyszyła mi każdego cyklu słońca, więc to zrozumiałe, że nie wywoływała we mnie paniki. A przynajmniej nie aż tak wielkiej paniki.

– Nawet przez głowę mi to nie przeszło – przyznałam w końcu. – Tak musiało się stać. To

bogowie zdecydowali o naszej przyjaźni, a co za tym idzie również o podróży.

Posłałam Emmy całusa i korzystając z okazji, że moja rozmarzona mina odwraca jej uwagę, błyskawicznym ruchem porwałam z torby pudełko z fioletowymi jagodami gaja, które zebrała w czwartym pierścieniu. Zostało tylko kilka sztuk, a ona strasznie mi ich skąpiła.

Obrzuciła mnie morderczym spojrzeniem, widząc, jak wkładam do ust pierwszy kwaśny owoc. W siódmym pierścieniu nie było jagód, ale czasami kupowałyśmy je od handlarzy. Emmy sięgnęła w moim kierunku, lecz zanim doszło do bójki, wóz zwolnił i naszą uwagę przykuł zagradzający drogę wysoki mur, przed którym stało w rzędzie sześcioro sol. Zakładałam, że to sol, gdyż prezentowali się równie olśniewająco co inni przedstawiciele tej rasy. Nie wspominając o tym, że jeden z nich trzymał płomień w gołej dłoni i z tego, co widziałam, nie wrzeszczał ze straszliwego bólu, a jego ręka nie spaliła się do smętnego kikuta. Ziemianie dobrze radzili sobie z wieloma rzeczami: z harowaniem od świtu do zmierzchu, zamienianiem trzech fig w ciasto dla całej wioski i nawet z przeskakiwaniem nad ogniskiem po przyjęciu hojnej ilości alkoholu. Ale nie potrafili kontrolować żywiołów. Tym darem zostali obdarzeni sol. Cholerni farciarze.

Jerath zatrzymał bykonie i zeskoczył z wozu, a potem podszedł do osoby stojącej najbliżej – do kobiety, która mierzyła jakąś stopę więcej niż ja, miała ode mnie ładniejsze włosy i ogólnie była piękniejsza oraz budziła większy respekt. Nie żebym się porównywała. Przewodnik zamienił z nią kilka słów, po czym podał nam jakieś papiery.

– Dlaczego ci sol tak wywalają na nas gały? – syknęłam Emmy, starając się nie poruszać za bardzo ustami.

– Standardowa kontrola bezpieczeństwa przed wjazdem do Bożylasu – odparła zupełnie normalnym tonem, więc najwyraźniej nie było potrzeby szeptać.

Sol poświęcili kilka klików, żeby zbadać nasz wóz i popieścić mnie iskrami energii, które zdawały się bić od nich, kiedy przechodzili w pobliżu. W końcu zezwolono nam na wjazd, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że pochłaniam jagody gaja jedna za drugą, obserwując otwierającą się bramę. Musiałam coś zrobić, by zapanować nad zdenerwowaniem, które lada moment mogło mnie rozsadzić. Emmy zrezygnowała z próby odzyskania pudełka z jagodami, a zamiast tego położyła mi dłoń na kolanie, żebym przestała tak dziko nim podrzucać.

Minęło przynajmniej osiemdziesiąt pięć cykli życia, zanim brama w końcu się otworzyła. Kiedy wreszcie to nastąpiło, byłam już ledwie żywa. Przeciąganie nikomu nie wychodziło na dobre.

Nieładny pokaz władzy, szanowni sol, oj nieładny.

Bykonie zdawały się wahać przed wejściem na teren Bożylasu. Jerath musiał wykazać się wyjątkową cierpliwością. Lejce śmigły w powietrzu, kiedy zachęcał bestie do wznowienia marszu. Sol nie spuszczał z nas wzroku. Na ich twarzach nie pojawił się choćby cień uśmiechu i nie padło ani jedno słowo, ale czułam, że mnie osądzają.

Nie powinno cię tu być.

To nie twoje miejsce.

Nie jesteś jedną z nas.

Brama zamknęła się za nami. I nagle... nerwy dopadły mnie ze zdwojoną siłą. Splotłam ze sobą palce i kurczowo je zacisnęłam, usiłując opanować drżenie ciała.

Wciąż znajdowaliśmy się na szczycie wzgórza i najwidoczniej nadszedł czas, by z niego zjechać. Po prawej dostrzegłam wodospad, który z przytłumionym łoskotem wpadał do doliny. Tyle że woda nie spływała ze skał, a po prostu spadała sobie w otwartej przestrzeni. Wszystko dookoła było zielone. Ziemię okrywały kobierce soczystej trawy, wręcz zbyt jaskrawej, by na nią patrzeć, nie mrużąc oczu.

Wóz nabrał prędkości i zgodnie z ostrzeżeniem Jeratha chwyciłam się mocno poręczy. Kiedy w pędzie zjechaliśmy ze stromizny i znaleźliśmy się na w miarę płaskim terenie, krzyknęłam mimowolnie, choć wcale tego nie chciałam.

Wiedziałam, że Bożylas jest sercem dziewięciu pierścieni, a w każdym z nich znajduje się wiele wiosek – i na tym kończyły się moje informacje o świecie. Nie miałam za to pojęcia, że Bożylas to w zasadzie wyspa. Sam koncept był jak mit opakowany w bajki i doprawiony solidną porcją roziskrzanej magii. Odkąd wyschły wielkie rzeki i jeziora, a pierścienie Minatsol zmieniły się w krainę kurzu

i rozpaczy, wyspy przestały być wyspami. Okazało się jednak, że nie dotyczy to Bożylasu.

– Będziemy musieli popłynąć barką – poinformował Jerath, zatrzymując swój wóz obok innych.

Inne wozy! Byłam tak pochłonięta widokiem centralnego pierścienia – ziemi otoczonej wodą, do której wpadało wiele wodospadów takich jak ten, który minęliśmy kilka chwil wcześniej – że nie zauważyłam stojących w rzędzie wozów. Najwidoczniej w tym miejscu zbierali się rekruci ze wszystkich dziesięciu pierścieni i czekali na tę całą barkę, która miała zabrać nas za wodę.

Wysiadaliśmy z wozu.

– Co to jest barka? – syknęłam do Emmy, próbując utrzymać się na zmartwiałyach nogach.

Zresztą Emmy też nie wyglądała lepiej. Chwiała się i mamrotała coś pod nosem. Najwyraźniej zostałyśmy ukarane za to, że przez zbyt wiele czasu pozostawałyśmy w totalnym bezruchu i nie było z nas żadnego pożytku.

– Nie mam pojęcia – odparła, kiedy Jerath podał nam torby.

Spojrzała na moją spod zmarszczonych brwi, zapewne wciąż usiłując odgadnąć, jakim cudem zmieściłam w niej rondle, sól kamienną i tygodniowy zapas ubrań. Skoro tak się tym martwiła, równie dobrze mogła sama spakować moje rzeczy. To jej wina.

Zaraz...

– Jak to nie masz pojęcia, co to barka? – zapytałam osłupiała. – Przecież wiesz wszystko. Ja już nawet nie zawracam sobie głowy szukaniem nowych informacji w książkach, tylko pytam ciebie, a ty odpowiadasz.

– Ta, podejrzewam, że to będzie musiało się zmienić – zauważyła z rozbawieniem. – Ale nigdy nie czytałam o barkach i nikt mi o nich nie opowiadał.

– Cóż, widocznie wcale nie jesteś aż taka mądra. Głupio ci teraz, co? Wstydzisz się, bo nie wiesz, co to barka?

– Nie.

Złapała mnie za rękę, posyłając mi uśmiezek, i pociągnęła w kierunku Jeratha. Odkąd ogłoszono nasze imiona na ceremonii selekcji, Emmy wyrobiła sobie nawyk ciągnięcia mnie wszędzie. Pewnie myślała, że w każdej chwili mogę dostać ataku paniki, ukraść bykonia i pocwałować na nim najdalej od Bożylasu, jak tylko się da. Coś takiego nie przeszło mi nawet przez myśl, ale nie powiedziałam jej o tym. Zabawnie było patrzeć, jak obserwuje mnie cały czas kątem oka.

Dotarliśmy do ustawionej w parę grupy ziemian, jednej z wielu zebranych na czymś w rodzaju podestu. Nie byłam pewna, ile osad znajduje się w Minatsol – to znaczy Emmy kiedyś mi mówiła, ale zdążyłam już zapomnieć. W każdym razie liczba zgromadzonych sugerowała sporą populację ziemian.

Nagle od strony wyspy dobiegł przeciągły odgłos przypominający dźwięk rogu. Wszyscy jak jeden mąż odwróciliśmy głowy w tamtą stronę. W naszym kierunku zmierzała masywna platforma. Przemieszczała się po wodzie!

– Ach! – Odskoczyłam i złapałam Emmy za rękę. – Co to jest, do czarta?!

– Barka – odpowiedział Jerath zamiast niej, krzyżując ręce na piersi i szczerząc zęby, podczas gdy to coś podплыnęło do nas.

Ziemiańskie znajdujący się najbliżej wody odsunęli się lękliwie od krawędzi. Ktoś mnie popchnął, ktoś inny załadował mi łokieć w brzuch. Zebrani cofali się w popłochu, by znaleźć się jak najdalej od barki. Jerath jednak bez krztyny strachu ruszył w jej stronę, więc Emmy złapała moją rękę i znowu zaczęła mnie ciągnąć. Barka znajdowała się na tyle blisko, że widziałam ludzi na pokładzie. Dwaj z nich przerzucili coś na brzeg, tworząc w ten sposób prowadzący do barki most nad wodą.

– Chodźcie – zachęcił Jerath, kierując się w tamtą stronę.

Inni przewodnicy robili to samo: prowadzili ziemian do platformy unoszącej się na wodzie.

Gdy tylko postawiłam na niej stopę, od razu tego pożałowałam. Zakręciło mi się w głowie i wrzasnęłam mimowolnie, czując, jak podłoga kołysze się pode mną w przód i w tył. To było straszne... dopóki nie zauważyłam, że Emmy uśmiecha się do mnie szeroko. Szybko wmówiłam więc sobie, że w tym bujaniu nie ma nic przerażającego, bo nie chciałam wyjść na mięczaka.

Przesunęliśmy się na bok, pozwalając, by wsiadający na barkę ziemianie zepchnęli nas bliżej krawędzi. Nie wiedzieć czemu wszyscy usiłowali stanąć pośrodku barki. Po krótkim namyśle usiadłam,

zwieszając stopy z brzegu barki, Emmy zajęła miejsce obok, a Jerath stanął za nami. Nasze torby znalazły się na stercie z innymi, a ja co chwila na nie zerkałam, ponieważ nie zamierzałam stracić rondli. Nie obchodziło mnie, co mówiła Emmy. Rondle były ważne. W międzyczasie oglądałam barcę i wszystko inne, co miało związek z tym wodnym cudem. Platforma była za gruba, by nasze stopy dotykały wody, lecz kiedy zaczęliśmy płynąć w stronę Bożylasu, poczułam na skórze zimne krople. Wydawały się ostre jak szpilki.

Z zapartym tchem patrzyłam na zbliżającą się wyspę. Na mozaikę przybrzeżnych domów ustawionych na palach. Na wielkie budynki z kolorowego kamienia i imponujące niebosięgi. Pośrodku tego wszystkiego, na wzniesieniu okolonym gigantycznym murem, stała bardzo dziwna budowla czyniąca owo miejsce centrum całego świata.

– Co to jest? – zapytałam, wskazując palcem. Nie zwracałam się konkretnie do Emmy czy Jeratha, tylko do tego, kto odpowie pierwszy.

– Akademia Bożylasu – odparła Emmy pełnym przejęcia głosem. – Wygląda dokładnie tak, jak ją opisywano.

– Tereny Bożylasu obejmują więcej niż samą akademię – dodał Jerath, spoglądając na szczyt razem z nami. – Za tymi murami znajduje się Świątynia Kreatora oraz Arena Świętego Piasku.

Wstałyśmy, kiedy barka zaczęła zwalniać. Złapałam swoją torbę, zanim ktokolwiek zdążył choćby pomyśleć o jej dotknięciu. Podłoga barki przestała się w końcu kołysać i ruszyłam za resztą ziemian, którym bardzo się śpieszyło, by znów postawić stopy na stałym lądzie. Przewodnicy pokierowali nas na biegnącą z boczem niewielkiej góry ścieżkę, po której wspięliśmy się do bramy. Pilnowali jej dwaj sol. Spojrzałam na szczyt muru i zauważyłam twarz innego sol, który wyjrzał na moment zza krawędzi.

– To wszyscy? – warknął jeden ze strażników do Jeratha.

Podczas marszu udało nam się dotrzeć na sam przód długiej procesji, ale wcale nie dlatego, że byliśmy odważniejsze, silniejsze czy szybsze niż inni... Tylko dlatego, że to Emmy była odważniejsza, silniejsza i szybsza niż inni, a mnie wlokła za sobą. Stała teraz obok z niewzruszoną miną w oczekiwaniu na inspekcję straży. Ja natomiast dyszałam ciężko zgięta wpool, z dłońmi opartymi o kolana. Strażnik obejrzał mnie i uśmiechnął się z pogardą, po czym przeniósł wzrok na tyły naszej procesji.

– Wejdźcie – zezwolił, wskazując głową bramę i schodząc nam z drogi.

I tak oto wkroczyłam do świata, który dla Emmy stanie się domem na resztę życia, a dla mnie pewnie na jakąś połowę cyklu słońca. No, może przy dobrych wiatrach nawet na cały cykl. Musiałam tylko trzymać się z dala od ognia, smoły, rzeczy ostrych, spiczastych, ząbkowanych, gorących, oddychających, żyjących i świętych.

Gdy tylko znaleźliśmy się na wyłożonym wielobarwnymi kamieniami dziedzińcu, stanęłam jak wryta, wybałuszając oczy na widok wiekowego drzewa rurszy o grubych konarach i białych niczym papier, powykręcanych korzeniach. Zdałam sobie sprawę, że jest co najmniej dwukrotnie większe niż to w naszej wiosce oraz że na dziedzińcu pośród brukowanych alejek rośnie więcej takich drzew. Nie to jednak najbardziej mnie zaskoczyło, tylko przywiązany do pnia chłopak oraz drugi, który stał przed nim z kuszą. Miał zasłonięte oczy, a jego unieruchomiony kompan zaśmiewał się do rozpuku, jakby postradał rozum. Obaj ewidentnie należeli do rasy sol, gdyż byli wyżsi niż ziemiańscy mężczyźni. Wyżsi nawet, niż spodziewałabym się po sol. Ten przywiązany do drzewa wyglądał na trochę tylko starszego ode mnie. Jasne oczy błyszczały mu od śmiechu. Miałam ochotę podejść bliżej i sprawdzić, jaki mają kolor, albo przekonać się, czy jego włosy faktycznie są olśniewającym połączeniem złota i czerni, bo właśnie takie sprawiały wrażenie z większej odległości. Spojrzał na nas i zaczął się śmiać jeszcze głośniejsze.

– Odwróć się! – zawołał.

Towarzyszący mu chłopak obrócił się powoli, wciąż trzymając naciągniętą kuszę przed sobą. Jerath jęknął, ale nikt nie zrobił nic, by powstrzymać szalonego sol. Przyjrzałam mu się uważnie. Jego włosy też wyglądały na muśnięte złotem, lecz miały ognisty odcień. Poza tym był zbudowany tak, jakby dla rozrywki wyrzywał drzewa z korzeniami. Opaska zasłaniała nie tylko jego oczy, ale i część twarzy, a mimo to wciąż dostrzegałam leciutki uśmieszek na ustach.

– Stop! – zawołał ten przywiązany do drzewa.

Kusza oraz trzymający ją chłopak znieruchomieli. Bełt zadrżał... i spojrzenia wszystkich przeniosły się na mnie, ponieważ został wycelowany prosto w moją pierś.

– Nie przejmuj się nimi – szepnął pocieszająco Jerath, robiąc krok w tył.

– Naprawdę mówisz to, jednocześnie się ode mnie odsuwając? – syknęłam cicho.

– To Bracia Abklęci, znaczy, dwaj z nich. Coen ma dar Bólu, a Siret Oszustwa.

– Niech zgadnę, koleś od daru Bólu to ten z kuszą?

– Tak...

– Poważnie? – jęknęłam, choć moje serce wzniecało właśnie bunt, a wzrok miałam skupiony na irytująco nieruchomym bełcie. – Ledwo zdążyłam postawić nogę w Bożylesie.

W następnym momencie poleciałam do tyłu, bo Emmy podcięła mi nogi. Poczułam pęd powietrza na twarzy, coś szarpnęło mnie za włosy, a potem usłyszałam wymowny głuchy odgłos bełtu wbijającego się w drewnianą bramę za nami. Spojrzałam w tamtą stronę z rozdziawionymi ustami i chwilowo niedziałającym mózgiem, a potem przeniosłam wzrok na Coena, który zerwał opaskę i zrobił kilka kroków naprzód. Miał jasnozielone oczy i teraz zauważyłam, że jego włosy są koloru ciemnej czerwieni z zaledwie kilkoma złotymi pasemkami. Spojrzał na mnie, wciąż leżącą na ziemi, zmarszczył brwi, a potem odszedł, oparłszy kuszę na ramieniu.

Pozostawiony pod drzewem Siret wyplątał się z lin, przeskoczył nad korzeniami i ruszył w naszym kierunku.

– Najdrożsi mali, brudni ziemianie! – zawołał śpiewnie, unosząc ręce i szczerząc zęby, kiedy brama znów zaczęła się otwierać, zapewne po to, by wpuścić do środka resztę nowo przybyłych. – Witajcie w Bożylesie u progu reszty waszego życia! Starajcie się nie wchodzić w drogę mojemu bratu, kiedy dojdzie do wniosku, że mu się nudzi.

– Albo kiedy ty dojdiesz do wniosku, że ci się nudzi – wymamrotał Jerath pod nosem.

Siret podszedł bliżej i wyciągnął rękę w moim kierunku. Nie chciałam jej chwycić, naprawdę, ale Emmy chrząknęła znacząco, dlatego szybko złapałam jego dłoń. Beż żadnego wysiłku postawił mnie na nogi, demonstrując zgromadzonym znacznie większą siłę, niż było to konieczne, a ja przypadkowo nadepnęłam mu na stopę. Zdawał się tego nie zauważyć. Otrzeptał moje ramiona, podczas gdy ja starałam się nie gapić w jego zielono-złote oczy. Były jaśniejsze niż u brata, ale równie olśniewające. Czy wszyscy sol mieli tak olśniewające oczy?

Przez niego omal nie zginęłaś!

Racja. Pieprzyć jego oczy. Miał oczy do bani, podobnie jak ten drugi.

– Do zobaczenia, Kamieniu – powiedział, omiatając mnie wzrokiem, po czym odwrócił się i pobiegł tą samą drogą, którą wcześniej poszedł jego brat.

– Kamieniu? – wydukałam.

Wszyscy bardzo mocno starali się udawać, że nic się nie wydarzyło, ale widziałam podenerwowanie na ich twarzach i współczujące spojrzenia, które mi posyłali. Marnowali tylko energię, bo takie posrane akcje przytrafiały mi się cały czas. No, może nie tego samego kalibru co „święty sol z Bożylasu usiłujący zabić mnie bez absolutnie żadnego powodu”, ale podobnego.

Emmy zachichotała ukradkiem, co oznaczało, że musiała rozpracować mój pseudonim.

– No co? – ponagliłam ją.

– Padłaś na ziemię jak worek kamieni.

– To wcale nie było śmieszne – odparłam z nachmurzoną miną.

TRZY

Ostatnie metry dzielące nas od wewnętrznych terenów Bożylasu pokonałiśmy jako posępnie milczący, spocony tłum. Jedno spotkanie z utalentowanymi sol wystarczyło, byśmy wszyscy zdali sobie sprawę, że zrobiło się poważnie. Naprawdę poważnie. Ziemianin w swojej wiosce mógł wieść skromne, nieszczęśliwe życie, ale tam wszyscy z grubsza mieli te same prawa. Tutaj co i rusz będą nam uświadamiać, że jesteście tylko pyłem pod błogosławionymi stopami błogosławionych sol.

Brudni ziemianie.

W Bożylesie zapewne nie pochwalano walenia sol pięścią w nos. Odnotowałam w myślach, by później sprawdzić ten punkt w regulaminie, zaraz po tym, jak nauczę się trafiać pięścią w nos. Chociaż powinnam pewnie zostać przy ładowaniu z kolanka w krocze, co stanowiło jedną z moich specjalności. W sumie mogłabym też wylać na nich trochę smoły. Nie wątpiłam, że Siret i Coen przestaną być tacy hop do przodu, kiedy sytuacja zmusi ich do ogolenia tych swoich ślicznych włosków.

– Za mną – nakazał Jerath dostatecznie głośno, by wszyscy go usłyszeli. – Nie ma czasu. Musicie znaleźć swoje prycze i zostawić tam bagaże, a potem odbędzie się przydział dormitoriów i waszych obowiązków. Decyzje w tej kwestii wydał komitet do spraw ziemian na długo przed waszym przybyciem, więc nawet nie próbujcie się wyklócać. Wasze przydziały nie ulegną zmianie, o ile żaden sol o to nie poprosi. Nie ma wyjątków.

Świetnie. Jakie jest prawdopodobieństwo, że przypadło mi szorowanie umywalni do końca życia? Może bycie złożoną w ofierze bogom nie jest najgorszą opcją, jaka mogła mi się tu przytrafić? Skupiłam się na chłonięciu jak największej ilości otaczającego mnie piękna, zanim zacznę dzielić swój czas między czyszczenie nocników a kłanianie się sol.

Główna sala budynku, w którym znaleźliśmy się niedługo potem, była ogromna, z kopułowym sklepieniem. Przez okna złożone z małych kawałków kolorowego szkła wpadały promienie słońca rozświetlające ściany i kolumny z białego marmuru. Nie dostrzegłam tu zbyt wielu rzeczy, a przynajmniej jeśli chodzi o meble. Odniosłam wrażenie, że stąd można dostać się do innych budynków.

Jerath, który najwidoczniej przeszedł w tryb przywódcy – bo ewidentnie pozwalał, żeby władza uderzała mu do głowy – machał właśnie ręką, ponaglając nas, byśmy szli dalej.

– Pośpieszcie się. Nie ma teraz czasu na rozdziawianie gęb i dziwowanie się światu.

Przegonił nas przez wąskie i ciemne przejście prowadzące w dół po drewnianych stopniach. Widziałam też schody biegnące w górę, lecz najwidoczniej chciano nas umieścić tak daleko od bogów, jak to tylko możliwe.

– To schody ziemian – zadudnił Jerath. – W miarę możliwości będziecie ich używać do poruszania się po Bożylesie. Sol cenią sobie prywatność. Chcą, żeby wszystko zostało załatwione należycie, ale bez konieczności oglądania i wachania was.

Uznałam, że rozgadany wódz Jerath jest moim najmniej ulubionym ze wszystkim Jerathów. Wydawał się dużo fajniejszy, kiedy w milczeniu bryzgał na sol brudną wodą.

W tej części akademii było ciemno i trochę wilgotno. Preferowałam otwarte przestrzenie i mniej łokci w moich żebrach. Poza tym wynikająca z nerwów nadmierna potliwość stawała się poważnym problemem węchowym. Sol pewnie powinni wykreślić „brak konieczności wachania ziemian” ze swojej listy zachcianek. To się zwyczajnie nie uda.

W końcu po przejściu czterech milionów stopni dotarliśmy do części przeznaczonej dla ziemian. Nie było tu żadnego naturalnego światła. Musieliśmy znajdować się bardzo głęboko pod ziemią.

– Czy uprzedzono ich o tym, że strop zaraz się na mnie zawali? – wyszeptaliśmy do Emmy. – Ktoś powinien ich ostrzec.

– Jesteśmy tylko jedno piętro pod ziemią, Will. Nic ci się nie stanie – rzekła, kręcąc głową.

Jedno?! Czy ona oszalała? Przecież te schody ciągnęły się w nieskończoność!

– Dormitoria dla dziewcząt są po lewej, a dla chłopców po prawej – oznajmił Jerath, wskazując wymienione kierunki. Cała swoboda, która przepełniała go podczas podróży, wyparowała bez śladu. –

Będę czekał na was w głównym holu. Macie czas do dzwonów na następne zajęcia.

To powiedziawszy, obrócił się i ruszył w górę niekończących się schodów.

Emmy była w nastroju bojowo-zadaniowym. Otoczyła mnie ramieniem w pasie, a potem zaczęła przepychać się przez tych wszystkich biednych ziemian, którzy sądzili, że będą mogli pierwsi wybrać sobie łóżka. Z tego, co zdążyłam po drodze zarejestrować, pomieszczenie wyglądało dość nijako. Kamienny sufit, kamienne ściany, kamienna podłoga. Niezwykle przytulne miejsce, zwłaszcza z całym tym kurzem i brakiem naturalnego światła.

– Czy wszyscy ziemianie tu mieszkają? – zapytałam, starając się nie wciągać powietrza, którym ewidentnie ktoś już przede mną oddychał. Tu na dole nie było nic świeżego, to pewne.

– Nie, miejsce jest przeznaczone tylko dla nowych. Tyle że nowych jest zawsze dużo. Sol nie obchodzi się ze swoimi zabawkami szczególnie delikatnie – usłyszałam w odpowiedzi, lecz tym razem nie był to głos Emmy.

Okazało się, że ktoś jeszcze posiadał jakąś wiedzę, co dawało mi nadzieję, że nadal nie będę musiała przekopywać się przez księgi w celu uzyskania potrzebnych informacji. Odwróciłam głowę i zobaczyłam drobną dziewczynę o bujnej blond czuprynie. Dobrze sobie radziła z dotrzymaniem kroku mojej szalonej przyjaciółce. Ogromne lazurowe oczy sprawiały, że wyglądała uroczo, choć odrobinę dziwnie. Wydawała się jednak sympatyczna.

– Więc gdzie trafiają ziemianie, którzy wytrzymują dłużej niż jeden cykl życia? – zapytałam.

Po drodze do Bożylasu Emmy powiedziała mi, że przez pierwszy cykl życia będziemy miały status rekrutek, a później zostaniemy ziemiankami-rezydentkami. Pomyślałam, że to co najmniej niepokojące: „Cześć! Jestem tylko ziemianką-rezydentką. Będę czekała w lochu na dole, jeśli zapragniesz napić się herbaty”. W każdym razie to miało sens, że przesiedzimy tu cały cykl życia, dopóki nie staniemy się rezydentkami.

– Do innego budynku – odparła dziewczyna. – We wschodniej części akademii. Słyszałam, że tamto dormitorium też jest pod ziemią, ale wygląda trochę lepiej. Moja kuzynka była tu przez wiele cykli życia, teraz służy w Soldel.

Dotarliśmy do dormitorium dla dziewcząt, które wyglądało równie paskudnie co poprzednie pomieszczenie, a do tego znajdowało się w nim jakieś dwadzieścia pudeł udających pokoje. Emmy ciągnęła mnie do pudełkowego pomieszczenia najbliżej drzwi, ale wparłam stopy w podłogę i wskazałam na tabliczkę nad wejściem: „Janelle Brown i Samsa Neel”.

– Chyba musimy znaleźć nasze imiona – powiedziałam.

Wyczuwałam nastrój Emmy, dlatego zachowywałam się ostrożnie. Prychnęła na mnie jak dzika kotka.

– Powinniśmy być blisko wejścia, żebyśmy nie przegapiły żadnego wezwania.

No tak. To była i moja pierwsza myśl oczywiście. Tymczasem Emmy zaczęła wlec mnie od jednego pokoiku do drugiego, aż w końcu zauważyłyśmy napis: „Emmanuelle Knight”. Co dziwne, jej imieniu nie towarzyszyło moje. Z dokonanych przeze mnie obserwacji wynikało, że pary pochodzące z jednej wioski mieszkają razem, pomijając przypadki, kiedy jedno z nich było chłopakiem, a drugie dziewczyną.

Wzruszyłam ramionami i weszłam za nią do środka. Ku swojej uldze odkryłam w pokoiku dwa łóżka.

– Widocznie o mnie zapomnieli. Zdarza się.

To był początek, czułam to. Początek końca egzystencji Willi Knight.

Metaliczne dzwonenie przerwało ciszę. Odgłos był przytłumiony, jakby dobiegał gdzieś z daleka. Zapewne znad czterech milionów czy-coś-koło-tego stopni.

Emmy pobladła. Cisnęła przez pokój torbą, która uderzyła o ścianę, po czym pacnęła na wąskie wyrko po lewej.

– Czy to było naprawdę konie...

– Dzwony – przerwała mi nerwowo. – To są cholerne, przeklęte dzwony!

– Nienawidzę tego miejsca – jęknęłam, kiedy Emmy załadowała mi kopniaka w sam środek tyłka, by przyspieszyć moje ruchy. – Poważnie, Emmy, czy ty mnie właśnie kopnęłaś?

– No i czego tak stoisz jak chłop przy stercie gnoju? Po kiego grzyba trzymasz w swoich durnych rękach tę durną torbę z durnymi garami?!

Rzuciłam się na nią i zaczęłam łaskotać w najwrażliwszych miejscach – czyli wszędzie tam, gdzie mogłam dostać się do odsłoniętej skóry. Nie znałam drugiej osoby równie podatnej na łaskotki.

– Musisz wyluzować, i to porządnie! – oznajmiłam, podczas gdy ona fukała wściekle i odpychała moje ręce, próbując zachować powagę. – Przysięgam na bogów, wyglądasz teraz, jakbyś miała czterdzieści pięć cykli życia!

Na zewnątrz naszego pudełkowego pokoiku rozległy się kroki. Wiedziałam, że trzeba się zbierać do wyjścia, bo Emmy albo Jerath naprawdę mnie zabiją, jeżeli spóźnimy się na pierwszy punkt programu. Poprawiłam ubranie, rzuciłam swoją durną torbę z durnymi garami na drugie łóżko i pobiegłam za przyjaciółką. Postanowiłam powstrzymać się od wygłaszania opinii, jakie cisnęły mi się na usta odnośnie obleśnej nory, do której nas wepchnięto. O czym ja w ogóle myślałam, kiedy podrabiałam dane w szkole? Uważałam dostanie się tutaj za zaszczyt? Szczerze mówiąc, wołałabym już zostać w wiosce, gdyby ktoś pytał. Oczywiście nie zrobiłabym tego, bo nie opuściłabym najlepszej przyjaciółki, co nijak nie poprawiało mojego zdania o tym miejscu.

Jedno musiałam przyznać: droga w górę po schodach wydawała się znacznie krótsza niż w dół. W pełnym biegu wypadliśmy z wąskiego przejścia, a ponieważ spodziewałam się zobaczyć Jeratha stojącego z dłońmi na biodrach, to na widok trojga sol doznałam tak wielkiego szoku, że potknęłam się i zwałam z nóg jakichś piętnastu ziemian.

Ci, którzy runęli razem ze mną, błyskawicznie poderwali się z podłogi i zaczęli rozglądać się dookoła, usiłując odgadnąć, kto ich przewrócił. Ja również patrzyłam na wszystkie strony, marszcząc brwi i... szukając łamagi, która narobiła takiego zamieszania.

Cóż, przetrwanie to jednak poważna sprawa.

Sol podeszli bliżej, a ja zdałam sobie sprawę, że coraz mniej przejmuję się wpadką sprzed chwili, a coraz bardziej tym, jak bardzo błyszczą. Pomiędzy dwoma mężczyznami znajdowała się wysoka kobieta odziana w białą, mieniącą się suknię podkreślającą smukłą sylwetkę. Miała złote loki i oczy w kolorze burzowego nieba – przerażające i fascynujące jednocześnie. Nie mogłam oderwać od niej wzroku.

– Witajcie, ziemianie – odezwała się chłodno. – Jestem Elowin, przewodnicząca komitetu do spraw ziemian w Bożylesie. To dla was zaszczyt, że znaleźliście się tutaj w tym cyklu słonecznym, by służyć sol oraz bogom.

„To dla was zaszczyt”? Naprawdę to powiedziała?

– Tylko najlepsi ziemianie w całym Minatsol mogą usługiwać sol w Bożylesie. Ci, którzy wykazali się inteligencją, talentami i dyskrecją. Nikomu nie zdradzicie, co dzieje się w tych murach. Macie zachowywać się tak, by was nie widziano i nie słyszano. Skupcie się na swojej pracy, a dostaniecie za nią nagrodę. Po spędzeniu tu siedmiu cykli życia otrzymacie propozycję zatrudnienia u szlachetnej rodziny w Soldel, Dvadel lub Tridel. Przyszłość znajduje się w waszych rękach. Nie zaprzepaście jej.

Dwaj mężczyźni ewidentnie służyli jej za ozdobę. Ten po prawej, brunet z włosami związanymi nad karkiem, zaczął rozdawać nam arkusze pergaminu. Potrafiliśmy czytać i pisać we wspólnym języku. To była jedna z niewielu umiejętności, jakie wieśniacy pieczołowicie przekazywali swoim dzieciom. Każdy pierścień posiadał swój dialekt, lecz wszyscy porozumiewali się we wspólnym. W języku bogów.

Na pergaminach widniał plan zajęć, grafik oraz lista zadań z przypisanymi do nich osobami. Przebiegłam wzrokiem po literach. Zauważyłam, że Emmy miała zajmować się biblioteką i kuchnią, a także salami 325, 2010 i świetlicą 8. Przypadły jej też żeńskie dormitoria 10-15. Czytałam dalej w poszukiwaniu swojego nazwiska, mając nadzieję, że przynajmniej będę blisko niej, bo w przeciwnym razie istniało niebezpieczeństwo, że przez nawał obowiązków nigdy więcej nie zobaczę swojej przyjaciółki.

W końcu odnalazłam „Will Knight” daleko za nazwiskami dziewczyn. Cholera, mogłam się domyślić, że moja klątwa tak spieprzy mi życie. Zostałam przypisana do areny, prac związanych z treningami oraz do sal 346 i 2213, świetlicy 8 i męskich dormitoriów 1-5.

– To chyba wyjaśnia brak twojego imienia na drzwiach sypialni – powiedziała Emmy ze

zrezygnowaną miną. – Myślą, że jesteś chłopakiem.

– Ale...

– Ciiii! – syknęła. – Po prostu przyjmij swoje zadania. Jerath mówił, że nie możemy prosić o żadne zmiany. Tak zarządzili bogowie.

Prychnęłam, nie będąc w stanie ściszyć głosu.

– W zasadzie najpewniej zarządził tak nasz dumny naczelnik wioski, który pewnie był zbyt nawalony, żeby zauważyć, że źle wpisał moje imię.

– To nic takiego – syknęła cicho Emmy.

Wyraźnie usiłowała nie urządzić sceny akurat teraz, kiedy Elowin dzieliła nas na dwie grupy, żebyśmy mogli zapoznać się z terenem akademii. Chłopaków wysłała z jednym ze swoich towarzyszy, a my ruszyliśmy za Pachółkiem Numer Dwa.

– Po prostu pożyczysz trochę ciuchów od któregoś ziemianina... – dodała półgębkiem Emmy. – Może też jakiś kapelusz. Pewnie nawet nie wspomną o tym, że wyglądasz jak dziewczyna, bo byłoby to strasznie niegrzeczne.

– Tak niegrzeczne jak... no nie wiem... strzelenie mi z kuszy prosto w pierś?

– Nie dostałaś w pierś.

– Bełt wyrwał mi trochę włosów. Znaczy z głowy, nie z piersi – dodałam, bo jedna z idących obok dziewczyn posłała mi dziwne spojrzenie. Zamrugałam, ponieważ coś przyszło mi do głowy, i szepnęłam z przejęciem: – Cholera, Emmy. Cycki. Nie mogę udawać, że jestem chłopakiem. Co z moimi cyckami? Czy może niegrzecznie jest też wytykać, że stojący przed tobą chłopak ma cycki, które widać jak na dłoni, bo...

– Will! – Emmy co kilka kroków łąpała mnie za rękę, bo przez całą tę ekscytację nie mogłam utrzymać równowagi. A przez „ekscytację” miałam na myśli, oczywiście, „przerażenie”. – Możesz przestać mówić o cyckach, proszę? Wszyscy dziwnie na nas patrzą.

– Och, no tak – wycedziłam. – Pewnie, zmień temat. Bardzo sprytnie, Emmy, bardzo sprytnie.

Znów syknęła groźnie jak kot, więc się zamknęłam. Dobra, pewnie miała rację. Wprawdzie nie było szansy zmienić dormitorium, do którego zostałam przypisana, ale może sol sami poproszą o zmianę, kiedy odkryją, że jestem dziewczyną?

– A to sala jadalna – oznajmił Pacholek Numer Dwa, otwierając ciężkie dwuskrzydłowe drzwi.

Wszyscy z ciekawością zajrzeliśmy do ogromnej sali z oknami sięgającymi sufitu i ciężkimi aksamitnymi zasłonami. Z góry zwieszały się brązowe żyrandole z tyloma świecami, że musiały stwarzać potężne zagrożenie pożarowe. Jak okiem sięgnąć stało tu mnóstwo okrągłych stolików. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się półki z aluminiowymi naczyniami, dalej zaś mieściła się część kuchenna.

– Kuchnia znajduje się na tym poziomie. Tutaj sol mogą zamówić konkretne potrawy spoza menu. Większość pracy odbywa się jednak w pomieszczeniach kuchennych w piwnicy. Rekruci nie mają do nich wstępu, jedynie rezydenci.

Cofnęliśmy się na korytarz i pomaszzerowaliśmy dalej. Zwiedziliśmy damskie dormitoria i komnaty kąpielowe znajdujące się na końcu każdego korytarza. Mogłam tylko modlić się do bogów, by męskie sypialnie okazały się urządzone w podobny sposób, ale były to raczej pobożne życzenia, albowiem to właśnie bogowie pozwolili, by przypisano mnie do dormitoriów chłopaków. Poprawka: w sumie to nie do końca „pозwolili”, bo tak naprawdę nigdy nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.

Znaczy w porządku, rozumiem. Nie byłam nikim ważnym, tylko małą, brudną ziemianką z małym, brudnym napisem „Zagrożenie!” nad głową. Czemu mieliby zwracać sobie cztery litery obserwowaniem mojej osoby w celach innych niż rozrywkowe?

* * *

O bogowie...

– Emmy! – zawołałam, zrywając się z jej łóżka, na które padłam, kiedy Pacholek Numer Dwa pozwolił nam na krótką przerwę. – Myślisz, że oni robią to specjalnie?

– Kto? – Emmy gwałtownie poderwała głowę. Najwidoczniej musiała się zdrzemnąć, a ja ją obudziłam. – Co? Kto?

– Bogowie!

– Co z bogami?!

– Myślisz, że robią mi takie świństwa specjalnie? W sensie te wszystkie wypadki?

Emmy jęknęła i osunęła się z powrotem na łóżko, po czym przeciągnęła dłonią po twarzy.

– Cholera, Will... Oczywiście, że nie robią tego specjalnie. Dlaczego tak uważasz??

– No cóż, ponoć uwielbiają, kiedy sol ze sobą walczą. Dlatego każdego cyklu księżycy zstępują na arenę, żeby oglądać ich potyczki. Więc co, jeśli urządzili mi z życia piekło tylko po to, żeby mieć się z czego pośmiać?

Na te słowa znów westchnęła, tym razem ze współczuciem, a potem złapała mnie za rękę i pociągnęła na łóżko obok siebie.

– Will... Nie myśl o tym, dobrze? Jest, jak jest. Nie możemy niczego zmienić, więc musimy z tym żyć. Wiem, że ta cała sytuacja – zatoczyła dłonią łuk, wskazując kamienne ściany wokoło – trochę tobą wstrząsnęła, ale bogowie z pewnością nie uczynili cię niezdarną tylko dla zabawy. Gdyby naprawdę chcieli takiej rozrywki, robiliby to z sol. My jesteśmy jedynie ziemiankami. To byłoby jak szturchanie mrówek, żeby patrzeć, jak się rozbiegają. Nic szczególnie porywającego. A z pewnością nie przez osiemnaście cykli życia.

Otworzyłam usta, by odpowiedzieć, że ona może nazywać się mrówką, jeśli naprawdę chce, ale ja totalnie jestem orłem albo ogólnie czymkolwiek fajniejszym niż mrówka, ale nie dano mi szansy, bo znów zabiły dzwony.

– Koniec czasu wolnego – oznajmiła Emmy zupełnie niepotrzebnie.

Pachołek Numer Dwa powiedział nam, że wieczorem mamy zjawić się w jadalni na Uroczystości Rozpoczęcia i że będą obecni wszyscy sol z akademii. Najwidoczniej urządzano tu przyjęcie na początku każdego akademickiego cyklu życia, a nowi ziemiańscy rekruci stanowili jedną z głównych atrakcji.

* * *

Emmy zerknęła w szkło odbijające – przytwierdzone do ściany między dwoma pojedynczymi łóżkami – i poprawiała włosy. Przebrałaby się, gdyby nie fakt, że już miała na sobie swoje najlepsze ubranie. Zaczekałam cierpliwie, aż skończy, po czym sama podeszłam do szkła i spojrzałam na własną twarz.

Była w porządku, trochę jak u mojej mamy – opalona od długotrwałego przebywania na słońcu. Miałam różowe usta i naturalnie rumiane policzki, pewnie przez adrenalinę, jaką wywołuje prawieumieranie przez cały czas. Brązowe oczy wydawały mi się dziwnie przejrzyste, bo odbijały, a nie pochłaniały inne kolory. W ogóle mnie nie dziwiło, kiedy ktoś mówił, że moje tęczówki są szarobrązowe lub przypominają kolorem mech. Sama nie widziałam tych wszystkich odcieni i światel, o których wspominali inni, i uważałam, że moje oczy są zwyczajne.

Na szczęście przynajmniej włosy nie były brązowe, bo w przeciwnym razie pewnie wtapiałabym się w tło. Miałam odcień odrobinę ciemniejszy i z mniejszą domieszką srebra niż Emmy, a pukle chaotycznie poskręcane, w przeciwieństwie do jej eleganckich loków.

Odgarnęłam wszystkie kosmyki z twarzy, założyłam za uszy, po czym z kłaśnięciem przyłożyłam dłoń do czoła, żeby zobaczyć, jak wyglądałabym w czapce.

– Nieźle – mruknęłam. – Ale wciąż pozostają cycki.

– Wychodzimy, zanim znowu zaczniesz o tym gadać – powiedziała Emmy kategorycznie i poprowadziła mnie przez liczne korytarze do sali jadalnej.

Sol siedzieli już przy stołach, co oznaczało, że pewnie się spóźniłyśmy, ale byłam naprawdę dobra w spóźnianiu się, więc wzięłam Emmy za rękę i dla odmiany tym razem to ja pociągnęłam ją za sobą. Przykleiłyśmy się do ściany i przesuwałyśmy się wzdłuż szeregu ziemian, zmierzając ku środkowi pomieszczenia, by mieć lepszy widok. Dopiero po dotarciu na miejsce zauważyłam grupę ziemian zebranych przed kuchnią oraz kilku sol. Rozpoznawałam większość ich twarzy.

Szlag! Stałyśmy z ziemianami-rezydentami.

– Witajcie, brudni ziemianie! – zawołał na całe gardło jeden z sol, chociaż stał zaledwie kilka metrów od pierwszego rzędu rekrutów. – Witajcie w naszym mieście, witajcie w naszej akademii

i witajcie na Uroczystości Rozpoczęcia! A teraz... Rozbierać się!

Zaraz... Co?!

Sol zaśmiał się demonicznie, odrzucając głowę do tyłu, a włosy w kolorze złota i onyksu zafalowały wokół jego twarzy. Czy to...? Wyglądał zupełnie jak Siret, tyle że wyraźnie widziałam Sireta tuż obok niego. Czyżby miał brata bliźniaka? Dostrzegałam różnice w ich wyglądzie, ale były bardzo subtelne. Niedobrze. Zdecydowanie niedobrze. Lecz jeszcze gorszy był fakt, że rekruci... rzeczywiście zaczęli się rozbierać.

Większość sol parsknęła śmiechem, a potem rozbrzmiało kilka niecenzuralnych żartów, na co stojący najbliżej mnie rezydent westchnął:

– Czemu sol uważają to za zabawne? I dlaczego Yael nie ma lepszego pomysłu na wykorzystanie daru Perswazji?

Nie wiedziałam, do kogo mówił ten chłopak, ale postanowiłam, że nie zaszkodzi westchnąć w podobny sposób, oprzeć się o ścianę i od niechcienia założyć ręce na piersi.

– Co nie? To się robi nudne. Już nawet nie wspominam o jego bliźniaku. Jeden taki ancymon wystarczyłby w zupełności.

Chłopak prychnął.

– Dokładnie. A piątka to drobna przesada.

Piątka? Jak to piątka?! Co tu się odpier...

– Współczuję temu, kto zostanie przypisany do ich dormitorium – szepnęłam, podziwiając swój spokojny ton.

– Zaszczyt przypadnie któremuś z rekrutów – sarknął mój nowy przyjaciel, pochylając się do mojego ucha i jeszcze bardziej ścisząc głos. – Sama wiesz, że w akademii zapanował kompletny chaos, odkąd pojawili się kilka cykli księżycy temu. Przydzielono im już ze dwudziestu rezydentów, ale ciągle ich odprawiają, jakby mieli zapisane w grafiku, że co kilka tygodni muszą zwolnić ziemianina. Ostatnio Elowin oznajmiła, że zacznie przydzielać im rekrutów. Nie możesz o tym wiedzieć, bo nie należysz do niewolników usługujących komitetowi do spraw ziemian, ale ja tak. W każdym razie musiała uznać, że jeśli da im kogoś „świeżego”, będą mogli uformować go wedle własnego uznania.

– Brzmi trochę upiornie. Czyli Elowin daje im specjalne przywileje?

– Są najpotężniejszymi sol w akademii. Nie wiedziałaś? To nasi przyszli bogowie...

– I z tego powodu – wtrąciła Emmy, mierząc chłopaka wzrokiem – naprawdę powinniście przestać o nich plotkować.

– Przepraszam – mruknęłam do niego, odpychając Emmy z powrotem. – Jeszcze nie jadła.

Zachichotał.

– Żaden problem. Tak w ogóle to jestem Atti.

– Ja nazywam się Willa, a moja naburmuszona przyjaciółka to Emmy.

Atti pokręcił głową, a jego krótkie loki podskoczyły przy tym lekko.

– Dlaczego nie widziałem was wcześniej? Wiem, że Elowin trzyma nas w zamknięciu, ale myślałem, że udało mi się poznać wszystkich rezydentów.

Zanim zdążyłam przyznać się do błędu, poruszenie wśród sol pochłonęło całą naszą uwagę. Rekruci – którzy teraz mieli na sobie jedynie bieliznę – paradowali po sali ku uciesze widowni, która otoczyła ich kręgiem. Dwaj niemal identyczni sol nadal stali przy swoim stole. Po prostu sobie, cholera, stali. Aroganckie, zadowolone z siebie dupki. Uśmiechali się pogardliwie, jakby czerpali przyjemność z dyskomfortu ziemian, wręcz się nim karmili. Ich potężne ciała zdawały się jeszcze większe, twarze jeszcze bardziej idealne. Złoty blask podkreślający ich ciemne włosy przybierał na sile, jak gdyby nosili w sobie wewnętrzne światło, które świeciło coraz mocniej. Zaczynałam dostrzegać w nich przyszłych bogów. Nie mieli w sobie nic ziemskiego, nieważne, co historia mówiła o początkach bogów i sol.

– Czemu nikt ich nie powstrzyma? – wymamrotałam, przestępując z nogi na nogę.

Zmuszałam się do pozostania pod ścianą, ale z trudnością znosiłam upokorzenie innych rekrutów. Co innego, kiedy to mnie upokarzano. Przywykłam do tego, oni nie. Kiedyś byli najmądrzejszymi, najbardziej szanowanymi ludźmi wśród swoich, a teraz? Zupełnie nagle stali się warci mniej niż śmieci.

– Nauczyciele przeważnie pozwalają sol, żeby sami zajmowali się swoimi sprawami – odparł

Atti. – Nie nadzorują ich poza lekcjami. Mówią, że bogowie zawsze patrzą, a to z reguły trzyma większość sol w ryzach.

Poza braćmi Abklętymi. Oni ewidentnie nie przejmowali się bogami ani ich baczny wzrokiem. Odwróciłam się, by spojrzeć na Emmy, która zaczęła gorączkowo kręcić głową.

– Ani mi się waż, Will. Spróbuj choćby kiwnąć palcem, a cię zamorduję. Zwracanie na siebie uwagi sol nie jest dobrym pomysłem, a przyciągnięcie uwagi tych pięciu brzmi jak prawdziwa katastrofa.

Nie mogłam odmówić jej racji, ale z drugiej strony w kwestii katastrof byłam profesjonalistką. Z tą myślą wzięłam głęboki oddech i odepchnęłam się od ściany.

CZTERY

Nikt nie zauważył. Nikt!

Gdzie była moja klątwa niezdarności, kiedy potrzebowałam urządzić scenę? Nie miałam pojęcia, co zrobić. No, może poza rozebraniem się i bieganiem slalomem między stołami. Ale jak miałyby to pomóc biednym rekrutom? Kiedy już sięgałam do swojej koszuli i zaciskałam dłonie na jej brzegach, rozległ się kolejny krótki dźwięk dzwonu i przez otwierające się właśnie drzwi do środka napłynął zapach jedzenia.

Siret machnął ręką i wszystko wróciło na swoje miejsce. Zamrugałam dwa razy, by upewnić się, że dobrze widzę. Jak, do diabła? Wszyscy rekruci znaleźli się z powrotem pod ścianą, do tego w pełni ubrani. Zupełnie jakby ostatnich kilka klików w ogóle się nie wydarzyło. Rozdziawiłam usta tak szeroko, że bez problemu zmieściłoby się w nich cholerne jabłko.

– Oszukał nas – wymamrotałam, jakimś cudem zdolna do mówienia pomimo szoku.

Siret odwrócił się w moją stronę, jak gdyby usłyszał moje słowa, i utkwiał we mnie spojrzenie błyszczących złoto-zielonych oczu. Intensywne. Wręcz przewiercające na wylot.

Teraz ktoś mnie zauważył?

Niespodziewanie zostałam złapana od tyłu. Emmy albo Atti – któreś z nich – przyciągnęło mnie z powrotem do ściany, zapewne usiłując uratować mi życie. Jeśli Siret albo jego bracia postanowią zemścić się za moją skromną próbę sprzeciwu wobec znęcania się nad ziemianami... No cóż, prawdopodobnie spróbują zabić mnie po raz drugi podczas tego cyklu słońca. Ile podejść będą potrzebowali, zanim im się uda?

Ustawieni w równy szereg ziemianie-rezydenci przynieśli kolację dla sol. Wyglądali przy tym na kompletnie niewzruszonych i niczego nieświadomych. Odważyłam się zerknąć spod rzęs w stronę Sireta i odetchnęłam z ulgą, kiedy okazało się, że złoto-zielone oczy już na mnie nie patrzą. Jak większość mężczyzn demoniczni Abklęci mieli tylko jedną prawdziwą miłość – jedzenie.

Emmy obserwowała mnie bacznie przez resztę kolacji. Ziemianie nie doznali już więcej upokorzeń, pomijając oczywiście gówniany sposób, w jaki byli od zawsze traktowani. Po skończonym posiłku sol rzucali w nich tacami, lekceważącym tonem domagali się więcej napojów i dań, a także burczeli coś o brudnych ziemianach oraz ich nieudolności w każdej dziedzinie. Absolutnie każdej.

Rekruci mieli obserwować posiłek, ucząc się wszystkiego, co mogli, zanim przyjdzie im skoczyć na głęboką wodę i służyć podczas następnej kolacji. Na szczęście obok mnie i Emmy stało mnóstwo rezydentów czekających na wezwanie. Nie wszyscy mieli tutaj obowiązki do wykonywania, więc nie rzucałyśmy się w oczy... dopóki nie usłyszałam głośnego krzyku:

– Ej, Kamieniu, potrzebujemy pomocy!

Zamarłam, a potem powoli odmarłam na tyle, by spojrzeć na Emmy.

– Co mam zrobić? Jeśli ich zignoruję, przyjdą tutaj i mnie zabiją – szeptałam pod nosem, usiłując skurczyć się pod ścianą.

– To... to było do ciebie? – zapytał Atti, a jego głos przy ostatnim słowie zrobił się nieco piskliwy. – O co chodzi z tym kamieniem i czemu zwracają się bezpośrednio do ciebie?

Świetne pytanie. Czego, u licha, ode mnie chcą? Bogowie, dajcie spokój, to już nie jest śmieszne.

– Ogłuchłaś, Kamieniu?

Wydałam z siebie cichy pisk, po czym rzuciłam się naprzód i z impetem rąbnęłam głową w twardą jak skała pierś sol, który nie wiedzieć kiedy przede mną wyrósł. Nawet nie drgnął, ja natomiast odbiłam się od niego niczym piłka i poleciałam na ścianę, a zaraz potem osunęłam się po niej jak wór... cóż... kamieni. Ostrożnie spojrzałam przez potargane włosy. Wiedziałam, że mam przed sobą jednego z braci Abklętych, ale tego wcześniej nie widziałam. Był złoty – inaczej nie dało się go opisać. Miał bujne włosy, które zdawały się lśnić własnym blaskiem i kojarzyły mi się z porannym słońcem wędrującym po błękitnym niebie. Skóra sol zdawała się lekko połyskiwać, a tęczęwki oczu wyglądały jak świeżo oszlifowane żółte topazy, wydobywane w czwartym pierścieniu. Był przystojniejszy niż jego

bracia. Naprawdę cholernie cudowny. Żaden błyszczący sol nie mógł się z nim równać, a to postawiło mnie w stan najwyższej ostrożności.

Na moje nieszczęście uśmiechnął się szeroko, prezentując perfekcyjne białe zęby, a ja nagle poczułam, jak serce zalewają mi same ciepłe uczucia. Zupełnie jakby skielkowało w nim szczęście i rozpleniało się niczym chwast.

Mężczyzna wyciągnął do mnie rękę, a zaskoczone okrzyki dobiegające od grupy rezydentów wyraźnie sugerowały, że poświęca mi znacznie więcej uwagi niż inni sol w stosunku do ziemian. Zignorowałam gest, węsząc podstęp, po czym dźwignęłam się na nogi i przycisnęłam plecy do ściany.

– Nie musisz się na mnie rzucać, skarbie – rozległ się niski, melodyjny głos. – Jeśli ładnie poprosisz, z pewnością coś wymyślimy. Czemu nie spróbujesz? Na imię mi Aros. Dalej, powiedz: „Proszę, Arosie”.

Zanim udało mi się wybąkać jakąkolwiek odpowiedź, po sali poniósł się głos Sireta:

– Ej, Uwodziciel! Odpuść, już nie potrzebujemy Kamienia.

W następnej chwili gruchnęła taka salwa śmiechu, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział mieszkaniec Minatsol.

Aros odsunął się, a jego szeroki uśmiech zmałał do półuśmiešku.

– Myślę, że zobaczymy się później, ziemianko.

A potem odszedł, zabierając ze sobą całe ciepło. Poczułam się jak przekłuty balon, z którego ucieka powietrze. Ostatkiem sił oparłam się o ścianę, gwałtownie łapiąc oddech. Atti spojrzał na mnie ze współczuciem i poklepał po ramieniu.

– Bardzo mi przykro, Willa. Ta piątka to chodzące kłopoty i żaden ziemianin, który zwrócił ich uwagę, nie wytrzymał zbyt długo w Bożylesie. Gdy tylko się kimś zainteresują, obierają sobie za misję zniszczenie go... – urwał na widok grozy malującej się na mojej twarzy, a potem spróbował dodać coś podnoszącego na duchu: – Jeśli jesteś w stanie, postaraj się trzymać od nich z daleka. Nie rzucaj się w oczy, a wtedy w końcu zapomną o tobie i zajmą kimś innym.

Nie odpowiedziałam, wciąż próbując złapać oddech. Atti udzielił mi świetnej rady, tylko ktoś musiałby przekazać to ciężącej nade mną kłątwie oraz bogom, którzy ewidentnie nie skończyli jeszcze zabawiać się moim kosztem.

Emmy milczała przez całą drogę powrotną do dormitorium, najwidoczniej postanowiwszy nie wspominać o zajściu. Robiła to z troski o mnie, bo doskonale wiedziała, że nie chcę analizować tego, co się wydarzyło. Raz tylko zapytała, czy wszystko w porządku, a ja burknęłam coś w odpowiedzi. Tak wyglądała cała nasza rozmowa tego wieczora. W ponurym nastroju padłam na drugie łóżko w jej pokoju, choć byłam pewna, że w męskiej części dormitorium znajduje się klitka z napisem „Will Knight” nad drzwiami. Naciągnęłam koc na głowę, zacisnęłam powieki i zabroniłam braciom Abkłętym dręczyć mnie do wschodu słońca.

* * *

Następnego ranka wszyscy rekruci wstali na dźwięk dzwonów oznaczających pojawienie się pierwszego światła – którego, oczywiście, nie mogliśmy zobaczyć z naszego grobowca.

– Kiedy będziemy pracować na nocną zmianę? – zapytałam Emmy, ubierając się pośpiesznie.

Nie miałyśmy żadnych uniformów, ale w akademii wymagano jedynie stonowanych kolorów i zakrywania jak największej powierzchni ciała, żeby nie obrażać sol naszą brudną ziemiańskością.

– Przez cały czas jesteśmy na służbie u sol z dormitoriów, do których zostałyśmy przydzielone – powiedziała, wciągając czarną bluzkę, która sięgała niemal do połowy uda.

Wyszła z pokoju, zanim zdążyłam zażądać wyjaśnienia, jakim cudem planowali znajdować mnie „cały czas”. Staralam się nie brać tego do siebie. Emmy nie za dobrze radziła sobie ze stresem i kiedy pakowałam się w zbyt poważne tarapaty, zawsze stawała się milcząca i przechodziła mały kryzys.

Zaraz... przez CAŁY czas? Ale istniały chyba jakieś ograniczenia? Co, jeśli postanowią mnie wezwać, kiedy będę w łazience? Co, jeżeli więcej niż jeden pokój będzie potrzebował mnie w tej samej chwili?

– Pomyślę o tym później – mruknęłam do siebie, wsuwając płaskie buty, jedyne, jakie miałam,

ale za to najwyższej jakości.

Zostały ręcznie wykonane przez moją matkę, zanim uznała, że kaletnictwo i szewstwo to strata czasu i że bardziej jej odpowiada przesiadywanie w tawernie. Spodziewałam się, że naczelnik Graham przywoła ją w końcu do porządku, bo w wiosce nie było miejsca dla nierobów. Każdy musiał z czegoś się utrzymywać. Każdy musiał coś dostarczać. Matce jednak jakimś cudem obijanie się uchodziło na sucho i nienawidziłam myśleć, co mogła przehandlować za specjalne przywileje.

Mimo wszystko zastanawiałam się, jak sobie radzi beze mnie i Emmy. Ciekawe, czy w ogóle zauważyła naszą nieobecność. Zalała mnie fala tęsknoty za domem. Musiałam zaakceptować fakt, że nigdy nie wrócę. Wiedziałam o tym, ale jednocześnie wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę jestem w Bożylesie. Gdyby nie Emmy, zaczęłabym już pewnie myśleć o ucieczce. Spróbowałabym szczęścia na drogach dziewięciu pierścieni i wróciła do wioski.

– Will, pośpiesz się! – Głos Emmy wyrwał mnie ze smutnego zamyślenia. – Zaraz będzie następny dzwon, a ty jeszcze nie jadłaś!

Rozejrzałam się szybko dookoła, lecz nigdzie jej nie było. Najwidoczniej czekała na mnie w korytarzu. Poderwałam się z łóżka, ale nie zdołałam zrobić choćby pół kroku, bo stopy zaplątały mi się w leżącą na podłodze pościel, której nie zdążyłam jeszcze zaścielić. Poleciałam głową do przodu, próbując złapać równowagę i miotając się jak paralytyk, aż w końcu wypadłam przez otwarte drzwi i z głuchym łupnięciem wylądowałam na kamiennej podłodze. Nad sobą usłyszałam głębokie westchnienie, a kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam Emmy trzymającą bandaż. Opatrzenie moich łokci i szybkie zszycie dziury w kolanie czarnych spodni zajęło jej dosłownie jeden klik. Nowy rekord.

Dzwony zabiły znowu, a my rzuciłyśmy się biegiem w stronę schodów. Po drodze udało mi się porwać dwa kawałki twardego chleba z niemal pustej tacy w pokoju wspólnym rekrutów i wepchnąć je sobie do ust.

– Najpierw musisz się zająć swoimi dormitoriami – poinformowała mnie Emmy bez tchu, kiedy gnałyśmy po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

To cud, że jeszcze nie roztrzaskałam sobie czaszki. Co przypomniało mi o...

– Zapomniałam czapki, żeby schować włosy – wymamrotałam z ustami pełnymi chleba.

Przełknęłam wreszcie gliniastą kulę i przejechałam dłońmi po głowie. Cholera! Nawet nie związałam niesfornych kosmyków i teraz latały na wszystkie strony.

– Emmy! – kwiknęłam, przystając. – Mam włosy na widoku! No i cycki! Nie założyłam nic, co mogłoby ukryć cycki!

Moja bluzka była biała, na litość boską. I dopasowana. W zasadzie służyła mi do spania – byłam zbyt zajęta zadreczaniem się, żeby odpowiednio się ubrać. Równie dobrze mogłam wyjść z pokoju nago.

Emmy złapała mnie za rękę i zaczęła wlec mnie za sobą.

– Nie przejmuj się tym. Sol mają poranny trening na arenie, więc żadnego z nich nie będzie w pokoju. Jeśli jakiegoś zobaczysz, po prostu spuść głowę. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

Zanim zdążyłam znowu zaprotestować, już jej nie było – gnała przez komnatę z kopulastym sufitem w stronę damskich dormitoriów. Znałyśmy rozkład pomieszczeń dzięki małej wycieczce z poprzedniego cyklu słońca, ale łatwo było się tu zgubić, wszystko wyglądało tak podobnie. O tyle dobrze, że zapamiętałam, gdzie znajdują się męskie dormitoria. Droga prowadziła w przeciwnym kierunku niż ten, w którym powinnam się udać, gdyby jakiś cymbał nie zapisał błędnie mojego imienia. Wózki z zaopatrzeniem stały z przodu części sypialnianej, więc nie miałam za czym się schować, dopóki tam nie dotrę. Zaczesałam palcami włosy do tyłu, szybko skręciłam kilka razy i wcisnęłam za kołnierzyk koszuli. Nic więcej nie mogłam zrobić. Ruszyłam przed siebie ze spuszczoną głową, nieustannie rozglądając się na boki, by mieć pewność, że nie wpadnę na żadnego sol.

Wzdłuż jednej ze ścian korytarza ciągnął się rząd sięgających sufitu okien, za którymi rozpościerała się panorama Bożylasu. Akademia była rozległym kompleksem z mnóstwem budynków. Dostrzegłam też masę roślinności i wody, która, szczerze powiedziawszy, nadal mnie przerażała. Tyle jej wszędzie było... Co oni z nią robili? Dlaczego nie mogli podzielić się tym bogactwem z wioskami, których mieszkańcy oddaliby za nie wszystko?

Minął mnie ziemianin pchający przed sobą wózek i zobaczyłam na jego twarzy zdziwienie moją obecnością w tej części budynku. Nie zatrzymał się jednak, żeby zapytać, co tutaj robię. Chociaż raz miałam szczęście. Lepiej, żeby sol w przydzielonych mi dormitoriach wystąpili o zmianę ziemianina, inaczej to napięcie mnie zabije.

Korytarz prowadził do komnaty wychodzącej na dziedziniec, skąd mogłam zobaczyć Arenę Świętego Piasku – masywną, rozległą, otwartą na górze. Zatrzymałam się na chwilę, chłonąc cały jej majestat. Wiedziałam już, że sol z darem tworzenia barier formowali nad nią dach, gdy pogoda nie dopisała. Podobno widownia mogła pomieścić dwadzieścia tysięcy widzów, a w jej górnej części znajdowała się łoża dla bogów. Czasami Pierwotni Bogowie zaszczycali sol swoją obecnością i przybywali oglądać walki. Oczywiście zawsze byli to pomniejsi bogowie, ale to właśnie Pierwotni stanowili największą atrakcję. Tak więc teraz posiadałam więcej informacji, niż kiedykolwiek bym chciała, a wszystko dzięki kujonce, która zawsze spała obok. Nie miałam jednak pojęcia, po co właściwie to wszystko. W jaki sposób walka – czasami na śmierć i życie – pokazywała bogom cokolwiek wartościowego?

Po kiego grzyba Pierwotni Bogowie rekrutowali najsilniejszych sol do Topii?

Zawsze wydawało mi się dziwne, że zapraszają do siebie istoty, które mogą być dostatecznie silne, by im nastukać. Czy sol mieli w ogóle jakiś dowód na to, że po śmierci trafią do Topii? Zaufanie temu scenariuszowi wymagało naprawdę ogromnej wiary. Szczerze mówiąc, nie wydawało mi się, by bogowie należeli do istot, w których warto pokładać całą nadzieję.

Z zamyślenia wyrwał mnie odgłos kroków. Odwróciłam się od okna i szybko podążyłam w kierunku dormitoriów. Przed magazynkiem na szczytce stał wózek, który wyglądał na dobrze wyposażony. Niewiele myśląc, złapałam za niego, bo byłam już spóźniona i nie miałam czasu na przyszykowanie własnych narzędzi pracy. W końcu moim oczom ukazały się dormitoria: szeroki, jasno oświetlony korytarz z drzwiami po obu stronach.

Numery zaczynały się od pięćsetnego i postępowały malejąco. No jakżeby inaczej! Nie spodziewałam się niczego innego niż przydzielenia mojej skromnej osoby do najdalszych pokoi, jakie istniały. Powstrzymałam westchnienie i pchnęłam wózek, pochylając głowę tak nisko, że niemal dotykałam brodą piersi. Jeśli ktoś stanie mi na drodze, przejadę po nim jak walec. Mówi się trudno, lepiej niech wszyscy zabierają stąd swoje szanowne dupska.

Na szczęście nie wpadłam na nikogo i udało mi się dotrzeć do pokoju numer 5 bez żadnych incydentów. Nie zwracałam sobie głowy sprawdzaniem nazwiska na tabliczce. Nie obchodziło mnie, który z sol tu mieszkał. No chyba że zamierzał uwzględnić mnie w swoim testamencie i zostawić mi górę sztonów, żeby matka nie musiała... Nie, lepiej nie myśleć o usługach seksualnych świadczonych za sztony o tak wczesnej porze. Trudne rozważania zostawię sobie na popołudnie.

Zapukałam do drzwi, odczekałam chwilę, ale nikt się nie odezwał, więc weszłam do środka. Wow, pokój był jeszcze ładniejszy, niż się spodziewałam. Całą przeciwległą ścianę zajmowało okno z dziwną pomarszczoną szybą. Dostrzegłam przez nią niewyraźny zarys zbocza za Areną Świętego Piasku. Ciekawe, co znajduje się za tą górą.

Zostawiłam wózek przy drzwiach, po czym zrobiłam duży krok nad porzrzuconymi ubraniami. Minęłam szerokie łóżko i zatrzymałam się dopiero przy oknie, a potem ostrożnie przesunęłam palcami po nierównej powierzchni szkła. Wyglądało zaskakująco, ale całkiem mi się podobało. Zerknęłam w bok i z zaskoczeniem odkryłam, że okno tak naprawdę ciągnie się dalej i kończy dopiero w niewielkim salonie oddzielonym od sypialni kamiennym łukiem. Wzdłuż ścian ustawiono tam regały, a dwa fotele zostały odwrócone przodem do szyby, która jedynie w tamtym miejscu była gładka. Przekroczyłam próg pokoju i aż krzyknęłam zaskoczona widokiem za oknem. Z niedowierzaniem podeszłam bliżej, po czym przycisnęłam dłoń do szyby.

Za górą... nie było absolutnie nic. Całe mile niczego. Tylko więcej gór wznoszących ku niebu postrzępione szczyty, z których kilka zdawało się nawet pokrytych bielą. Nie widziałam żadnej drogi biegnącej między nimi. Dotknęłam nosem szyby, a mój oddech zasnuł ją mgłą podobną do tej spowijającej skalne wierzchołki w oddali. Nigdy nie widziałam czegoś tak rozległego i jednocześnie tak pozbawionego życia. Pięknego i onieśmiałającego.

Właśnie tam powinnam być – wśród bezlitosnej pustki.

Ale na razie miałam łóżka do zaścielenia. Odwróciłam się od okna i ruszyłam do wózka. Tak naprawdę nie wiedziałam, co z nim zrobić. Przypisano nas do konkretnych zadań, ale nie dostaliśmy żadnych szczegółowych instrukcji. Podejrzewałam, że większość ziemian wie, jak należy sprzątać, ponieważ nie byli mną. Pośpiesznie ułożyłam pościel na materacu, uklepałam poduszki, tak by odzyskały kształt, i pozbierałam rzeczy z podłogi. Nie wiedząc jednak, gdzie je odłożyć, po prostu rzuciłam wszystko na świeżo pościelone łóżko. Na wózku leżał stos materiałowych toreb oraz przypisanych do nich etykiet, co znacznie ułatwiało pranie. Na górze przytwierdzono nawet listę, którą zobaczyłam dopiero po odsunięciu jednego z koszyków. Zanotowano na niej lokalizację pralni przeznaczonych dla każdego z korytarzy dormitorium, a także numery pokoi rezydentów, którzy odpowiadali za zaopatrzenie wózków.

W rekordowym czasie uporałam się z trzema pokojami, ale przy czwartym moje tempo znacząco spadło. Zaliczyłam już trzy obite palce u stóp, jedno prawie-wstrząśnienie mózgu oraz ładowanie brudnej szmaty na twarzy, bo najwidoczniej podskakiwanie i rzucanie mokrą ścierą w szybę nie było najlepszym sposobem na umycie okna. Koszulę miałam wilgotną od potu i mydlin, włosy bez przerwy wpadały do oczu, a nitka w zacerowaniu puściła i znów zrobiła mi się dziura w spodniach. Zaczynałam się zastanawiać, czy przetrwam choćby jeden cykl słońca, o długotrwałej karierze nawet nie wspominając.

Tym razem nie zawracałam sobie głowy pukaniem do drzwi, bo jak powiedziała Emmy, dormitoria były puste i sol faktycznie musieli odbywać trening. Nacisnęłam klamkę i odwróciłam się, by popchnąć drzwi zadkiem, po czym z impetem wtoczyłam się z wózkiem do środka.

– Ależ nie, nie szkodzi, wejźdź – wycedził ktoś niskim głosem, a mnie ciarki przeleciały po plecach jak stado myszy uciekających przed kotem.

Jedyne, co w tym momencie przyszło mi do głowy, to udać, że wcale nie wparowałam do czyjegoś pokoju i wcale nie usłyszałam, jak ten ktoś mnie karci. Powoli napałam na wózek, by wypchnąć go na korytarz. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, mało nie zesłam na serce, bo łomotało tak mocno, jakby miało zaraz eksplodować.

Zanim jednak ogarnęłam się na tyle, by porządnie odetchnąć, drzwi otworzyły się raptownie, a czyjeś ręce chwyciły mnie oraz wózek i wciągnęły z powrotem do kwatery.

– Zły pokój! – pisnęłam cienko, bojąc się spojrzeć za siebie. Może jeśli nie nawiążę kontaktu wzrokowego, sol mnie nie zapamięta i nigdy nie zostanę za to ukarana.

– Zły korytarz, chciałaś powiedzieć? – mruknął, odsuwając się nieco.

Stałam jak skamieniała, nasłuchując intensywnie i próbując określić, gdzie stoi w tej chwili. Cały czas był w pobliżu. No tak, oczywiście... Przecież nie wyskoczył przez okno ani nic.

– Ziemianko.

– Przeniesiesz mnie? – wypaliłam, odwracając się, i natychmiast tego pożałowałam.

Siedział na skraju łóżka i – och nie! – wydawał się zdecydowanie zbyt znajomy, z tymi swoimi roziskrzonymi zielonymi oczami, których kolor przechodził w czerń na brzegach tęczy, oraz potarganymi włosami o barwie przywodzącej na myśl mieszaninę krwi i ochry.

– Przenieść cię? – powtórzył, unosząc jedną brew. Nie uśmiechał się, ale ewidentnie był rozbawiony.

„Dlaczego ja?”, to wszystko, o czym potrafiłam w tej chwili myśleć.

Ostrożnie przełknęłam ślinę. Kolejny z braci Abkłętych. Wyglądał zupełnie jak Coen – ten z darem Bólu, który próbował mnie zabić. Obaj zdawali się nieco starsi niż pozostała trójka: Yael z darem Perswazji, Siret z darem Oszustwa i Aros, który najwidoczniej miał jakiś talent do uwodzenia.

Nawet nie chciałam sobie wyobrażać, z jakim sol znajdowałam się sam na sam w tej chwili. To było zdecydowanie za dużo dla mojego ograniczonego, małego umysłu. W każdej chwili mogłam dostać załamania nerwowego i zacząć wykrzykiwać obsceniczne rzeczy.

Sol wstał, uznawszy najwyraźniej, że nie czuję się jeszcze dostatecznie niekomfortowo. Zrobiłam krok do tyłu, potykając się o własne nogi i wytrzeszczając oczy jeszcze bardziej. Był wielki. Ogromny. Jak cholerny gigant. A przynajmniej minigigant. Coen sprawiał wrażenie kogoś, kto rzuca pniami dla sportu, ale ten z pokoju numer 2 wyglądał, jakby zjadał drzewa na śniadanie.

– Nie masz przypadkiem daru do czegoś szczęśliwego i uroczego? – wydukałam, robiąc kolejny krok w tył. – Jak kwiatki albo motylki...

Natrafiałam plecami na wózek, prześlizgnęłam się po nim i zostawiłam na pastwę sol. Dalej radź sobie sam, kolego.

– Masz na myśli Naturę albo Bestiariusz? – poprawił mnie. – Bo nie istnieje coś takiego jak dar kwiatków i motylków.

– Tak, racja. Natura albo Bestiariusz... Chociaż nie, Bestiariusz brzmi strasznie, lepiej go wykreślić. Tylko natura. Czy twój dar ma coś wspólnego z naturą?

– Nie. – Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami, a w jego policzkach pojawiły się dołeczki. Momentalnie wysadziło mi mózg.

– Nie powinieneś być na arenie? – W tym momencie starałam się po prostu podtrzymać rozmowę, żeby nie zauważył, że cofam się chyłkiem do drzwi.

– Nie pozwalają mi trenować z innymi. Ciągłe ich miażdżę.

– Więc to jest twój dar? – pisałam. – Miażdżenie?

Nie wierzyłam, że prowadzę tę rozmowę, będąc z sol sam na sam w jego sypialni. Ba, nie uwierzyłabym, że w ogóle zdołam cokolwiek powiedzieć bez mobilizacji w postaci bata chłoszczącego mnie po plecach.

Jego uśmiech zniknął. Zerwał się z łóżka, a ja cofnęłam się do drzwi znacznie szybciej, niż robiłam to do tej pory.

– Siła – wyszeptał, przyciskając do mnie ciało, które przywodziło na myśl gigantyczny głaz. Albo budynek z cegieł. Albo strzelistą skałę. – Siła jest moim darem, ziemianko, i nie zamierzam cię przenosić, więc lepiej zabieraj się za sprzątanie.

Odsunął się na bok, po czym szarpnął za drzwi tak gwałtownie, że poleciałam do przodu i jak długa rymnęłam na podłogę. Usłyszałam trzask zamykanych drzwi – koleś ewidentnie opuścił pokój – i w tym samym momencie miotła z wózka spadła mi na plecy. No oczywiście! Bo przecież trzeba dobić leżącego, nie?

– Siła – zakpiłam, podnosząc się na nogi. – Posprzątaj mój pokój, niewolnico, albo zmiażdżę cię jak robaka, bo jestem wielkim i silnym sol!

Powinna się uspokoić, bo pod wpływem nerwów już zaczynało mnie nosić. Zdawałam sobie z tego sprawę... ale nijak nie umiałam temu zaradzić. Gwałtownie otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Ze sporą dozą radości zarejestrowałam, że Numeru Drugiego nie ma nigdzie w polu widzenia, bo z pewnością spróbowałabym skopać mu dupsko i z pewnością skończyłabym następnego ranka w czyjejś zupie. Zerknęłam na tabliczkę nad drzwiami i przeczytałam: „Rome Abklęty”.

Wyszłam na korytarz i zbliżyłam się do pokoju numer 3: „Aros Abklęty”. Z rodzącym się w gardle warczeniem przywodzącym na myśl dzikiego zwierza spojrzałam na pozostałe dwie kwatery, które już posprzątałam: „Yael Abklęty” oraz „Siret Abklęty”. Nawet nie zawracałam sobie głowy patrzeniem na pokój numer 1. Wiedziałam, jaki napis zastanę nad drzwiami. Tak, miałam aż takiego pecha: „Coen Abklęty” vel Mistrz Bólu Bożyłasu. Koleś z kuszą.

– Noż kur... – urwałam, bliska ataku hysterii, gdy jakiś ziemianin wyłonił się z pokoju numer 8, ciągnąc za sobą wózek.

Na mój widok zamrugął z rozdziawionymi ustami i poznałam, że to Atti.

– Jesteś rekrutem! – zawołał oskarżycielsko, a jego głos zmienił się w syk, gdy podszedł bliżej.

– Jesteś chłopakiem! – odbiłam piłeczkę i wycelowałam w niego palec. – Co robisz w części dla dziewczyn?

Zastanawiał się przez chwilę. Naprawdę się zastanawiał. Widziałam to po jego minie – dopóki nie zdał sobie sprawy, że przecież dopiero co skończył sprzątać te same pokoje co zawsze. Wtedy dezorientacja minęła.

– Co ty robisz w męskim dormitorium?

– Eksploruję swoją seksualność – odpowiedziałam i oparłam się łokciem o wózek, usiłując przybrać neutralny wyraz twarzy. – Jak mi idzie?

– Widać ci sutki. Masz mokrą koszulę.

Ześlizgnął mi się łokieć i niemal się przewróciłam, ale zatrzymał mnie podbródek, którym zaczepiłam o wózek.

– Wiedziałam, że cycki będą problemem – burknęłam, rozmasowując obolałą szczękę. – Próbowałam jej powiedzieć, ale w ogóle mnie nie słuchała.

– Kto?

– Emmy. Pamiętasz Mrukliwą Emmy?

– A, tak. Wyglądała na dość sztywną.

– Wcale taka nie jest.

– Czyżby?

– No dobra, może trochę. Mogę pożyczyć od ciebie jakąś koszulę? I może czapkę? I spodnie?

I sztuczne wąsy?

Roześmiał się, zerkając na korytarz, po czym przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– Naprawdę zostałam przydzielona do ich pokoi? – W jego głosie słyhać było zdumienie.

– Tak, naczelnik naszej wioski walnął się w formularzu i wpisał mi męskie imię. Myślisz, że mnie przeniosą?

– Pewnie tak. – Poglądził się po brodzie, usiłując ukryć rosnący uśmiech. – Przy tej piątce możesz spodziewać się przeniesienia na jakimś etapie.

– A tak dokładnie to kiedy?

– Kiedy już skończą się z tobą zabawiać, no i pod warunkiem, że to przeżyjesz. Jestem w pokoju siedemnaście, w części dla ziemian-rezydentów. Chodź do mnie, jak już skończysz, pożyczę ci jakieś ubrania.

– Dzięki, Atti. Szepnę dużym chłopcom dobre słówko o tobie – obiecałam, ponad ramieniem wskazując palcem na drzwi za sobą.

Uśmiech Attiego zrobił się jeszcze szerszy i sięgał już niemal od ucha do ucha.

– Postaraj się nie zostać złożona w ofierze – ostrzegł, popychając swój wózek.

PIĘĆ

Kiedy już posprzątałam pokoje Abklętych, przy ostatnich dwóch śpiesząc się tak, jakby zależało od tego moje życie – bo prawie na pewno zależało – w towarzystwie Attiego zakradłam się do części rezydentów. Chłopak skończył ze swoimi dormitoriami w tym samym czasie co ja i uznał, że bezpieczniej będzie pokazać mi drogę niż pozwalać samej błąkać się po korytarzach i obijać się o ściany. Jakim cudem zdążył poznać mnie tak dobrze? Może po prostu był mądry, tak jak Emmy. Albo jak każdy inny cholerny ziemianin w Bożylesie.

No cóż... Możliwe, że byłam tutaj jedyną głupią osobą.

Siedziba ziemian została urządzona mniej więcej tak samo jak część dla rekrutów, ale mieli tu jedno okno i kilka wyglądających na miękkie kanap. Zatrzymałam się przy niewielkim regale wypełnionym książkami i pudełkami z gramami.

– Książki? – Zaśmiałam się. – Żeby jakoś zabić te ogromne ilości wolnego czasu, co?

Atti posłał mi współczujący uśmiech.

– Kiedy awansujesz na rezydenta, dostajesz jeden wolny cykl słońca w każdym cyklu księżyca. Oczekuje się, że spędzimy ten czas, ucząc się o bogach i darach sol, żebyśmy mogli zwiększyć ich szanse na sukces.

– Nie byłoby prościej, gdybyśmy uknuli spisek, żeby zabić ich wszystkich? I tak muszą umrzeć, by dostać się do Topii. Wtedy dowiedzą się, jakie dokładnie mają szanse... – urwałam, gdy jego twarz przybrała kolor chorobliwej bieli. – No co?

Rozejrzałam się, wystraszona, że ktoś nakrył mnie w części dla rezydentów.

Atti gorączkowo pokręcił głową.

– Nawet tak nie żartuj, Willa. Tutaj, w Bożylesie, bogowie zawsze słuchają, a sol poważnie traktują każde zagrożenie. Nigdy nie wiadomo, czy ziemianin nie działa pod wpływem jakiegoś potężnego sol. Niektórzy z nas z chęcią zgadzają się szpiegować innych sol lub sabotować ich działania, nawet jeśli mogą przypłacić to życiem, bo sądzą, że służą przyszlęmu bogu.

Zmusiłam się do przywołania na twarz poważnej miny.

– Nie martw się. Od tej pory wszelkie plany masowego mordu zachowam dla siebie.

Atti głośno przełknął ślinę, najwidoczniej niepewny, czy żartuję czy nie. No, to było nas dwoje.

Po dotarciu do dormitorium numer 17 chłopak zaczął przeglądać swoje rzeczy, żeby wybrać mi jakieś ubrania. Czekałam cierpliwie z wyciągniętymi przed siebie rękami, a on układał na nich swoje znaleziska. Był znacznie wyższy ode mnie i bardzo szczupły, więc Emmy będzie musiała zrobić użytek ze swojej igłowej magii i mocno to wszystko przerobić. Ale przynajmniej spróbuję wyglądać jak chłopak.

– I weź jeszcze tę czapkę, powinnaś dać radę schować pod nią włosy. Masz dużo włosów.

Uznałam to za komplement, bo: „Masz za dużo włosów” brzmiałoby jak obelga.

– A teraz pędź, Willo. Za pięć klików musisz być na zmianie śniadaniowej – dodał Atti, wypychając mnie na korytarz.

Czy oni kiedykolwiek przestają się śpieszyć? W wiosce prawie w ogóle nie używaliśmy czasomierzy. Nasz rozkład zajęć opierał się na okrzykach doradców naczelnika Grahama, dobiegających z centrum wioski. Ale tutaj ciągle ktoś powtarzał, że za ileś tam klików to czy tamto. Słońce było jak wrzód na dupie. Nie przestawało zasuwać po niebie i zawsze byłam przez nie spóźniona.

Zrobiłam krok naprzód, potknęłam się o własne nogi i ze stertą ubrań w ramionach poleciałam do przodu. Zderzenie ze ścianą było bolesne, tym bardziej że walnęłam w nią głową. Na moment rozbłysło jasne światło, po czym zobaczyłam przed oczami mnóstwo kolorowych plamek, a potem na moment zapadła ciemność.

– Willa, do diabła! – usłyszałam nad sobą i dotarło do mnie, że leżę na posadzce twarzą w dół. – Ty... nie umiesz nawet chodzić? Bogowie, jakim cudem wybrano cię do Bożylasu?

Przetoczyłam się z jękiem na plecy i przesunęłam dłonią po czole. Przeszył mnie ból, posyłając kolejne eksplozje światła i ciemności przez umysł.

– Długa historia – wykrztusiłam, po czym jęknęłam znowu. – Tak naprawdę jestem geniuszem, poważnie... Tylko wepchnijcie mnie do kąta i zakryjcie prześcieradłem.

Atti, który miał skończyć na tej samej czarnej liście co bracia Abklęci, jeżeli natychmiast nie przestanie chichotać, zignorował moje słowa i pomógł mi wstać.

– Tutaj nie dostaje się urlopu chorobowego, nieważne, jak wielkiego guza masz na głowie, więc lepiej się zbieraj.

Kiedy ja obmacywałam wybrzuszenie formujące się z boku głowy, Atti zdołał pozbierać ubrania, które mi pożyczyl.

– Pamiętaj, sala jadalna za... teraz już cztery kliki – ponaglił, wciskając ciuchy w moje objęcie.

Przyporządkowałam jego słowa do kategorii „na później”. Przeanalizuję je wtedy, gdy tępy ból głowy zelżeje na tyle, bym mogła zebrać myśli. Naturalna zdolność leczenia powinna zadziałać niedługo – moje ciało dobrze sobie radziło z obrażeniami – ale zanim to nastąpi, będę jak półmartwa.

Jakoś trafiłam do holu, a potem do komnaty z kopulastym sklepieniem i wreszcie do lochu, przy czym zarobiłam podwójne punkty, bo tym razem ani razu nie wyrznęłam.

– Święci bogowie, Will, wyglądasz jak... gówno! – krzyknęła Emmy, kiedy wpadłam do pokoju i bez słowa walnęłam się na wyrko. – Nie było cię w sali jadalnej. Bałam się, że zapomniałaś. Rano byli tam niektórzy nauczyciele, i Jerath też. Obserwują rekrutów. Musisz się zebrać do kupy i wstać.

Ostrożnie uniosłam jedną powiekę i wypowiedziałam na głos swoje mroczne myśli:

– To wszystko twoja wina, Emmy. Ty mnie tu przywlekłaś.

Parsknęła, po czym złapała mnie za nogę i jednym gwałtownym szarpnięciem ściągnęła z łóżka. Gruchnęłam na twarde kamienie i teraz do kompletu miałam też obity tyłek. Cholera, co za wredota.

– Willa...

Spojrzałam na Emmy, zaintrygowana zmianą w jej głosie. Dłonie miała splecione przed sobą, a zmarszczki między brwiami zrobiły się jeszcze głębsze. Zamierzała przekazać mi jakieś paskudne informacje.

– No? – jęknęłam.

– Jeśli cię stąd wyrzucą, nie będziesz mogła wrócić do wioski. Nie wiem, co się dzieje z takimi ziemianami, ale na pewno nie jest to nic przyjemnego.

No i proszę. W jednej chwili byłam na nogach i wychodziłam z pokoju, a Emmy podążała tuż za mną. Ja też nie miałam pojęcia, co działo się z takimi ziemianami, ale unikanie wywalenia stąd na zbity pysk wydawało mi się najlepszą opcją, nawet jeśli pozostanie tutaj nie było wcale fajne i groziło zmiążdżeniem przez Rome’a lub zastrzeleniem przez Coena.

Podczas śniadania musiałam tylko przygotować i obsłużyć jeden stolik, a Emmy zajmowała się sąsiednim. Przy obu siedzieli – dzięki bogom – absolutnie normalni, rozpuszczeni i nieco sadystyczni sol. Nie ci wyjątkowi i demoniczni, których pokoje sprzątałam. Miałam nieodparte wrażenie, że pięciu braci siedzących po drugiej stronie sali spędziło dużą część poranka na wlepianiu we mnie tych swoich błyszczących jak klejnoty gał, ale w cichości ducha liczyłam na to, że może jednak tylko mi się wydawało. Jedynym powodem ich nadmiernego zainteresowania musiały być słowa Rome’a, który zapewne poinformował wszystkich, że jestem ich nową niewolnicą. To pierwszy raz, kiedy mieli okazję zająć się dziewczyną, i zapewne wymyślali właśnie nowe, odpowiednie dla mnie tortury. Spersonalizowane tortury, cudownie.

– Gdzie teraz idziesz? – zapytała Emmy półgębkiem, gnając do kuchni ze stertą talerzy.

– Do klasy trzysta czterdzieści sześć. Musimy być w pogotowiu na wypadek, gdyby któryś z sol potrzebował pomocy przy wydmuchaniu noska albo podtarciu dupska! – zawołałam...

...a zaraz potem zdałam sobie sprawę, że nie opuściłam jeszcze sali jadalnej, a mój głos poniósł się dalej, niż sobie tego życzyłam. Odwróciłam się i zamarłam. Każdy jeden sol mordował mnie wzrokiem. Och, święte dzieciątka boże... To jest właśnie ten moment, w którym zostanę wywalona z Bożyłasu i przerobiona na karmę dla bykonii.

Wstrzymując oddech, zrobiłam ostrożny krok w stronę wyjścia. W tej samej chwili jeden z braci Abklętych wstał od stołu. Z trudem rozpoznałam, który to: Yael. Czyżby zamierzał użyć swojego daru, by przekonać mnie do zdjęcia ubrań i przedefilowania przez salę na golasa?

Pozostali bracia poszli za jego przykładem, a spojrzenia osób zebranych w jadalni przenosiły się na nich. Zamierzałam właśnie wykorzystać tę cudowną sposobność do ucieczki, kiedy Yael odezwał się

spokojnym, lecz zdecydowanym głosem:

– Nic się nie stało. Nie ma na co patrzeć.

Słowa padały z jego ust i przetaczały się przez salę. Miałam wrażenie, że mój umysł zasnuwa się mgłą.

– Nie słyszeliście ani nie widzieliście niczego niezwykłego. Zajmijcie się swoim posiłkiem.

I to wystarczyło, żeby wszyscy wrócili do stanu sprzed kilku chwil. Grupa dziewcząt po mojej prawej zachwycała się włosami jednej z sol. A nie, ona miała śpiączaka na głowie i to nie były piski ekscytacji. Kilku chłopaków z lewej wróciło do ćwiczenia bicepsów, używając jako ciężarka jednego z rekrutów.

Zamrugałam szybko, usiłując ogarnąć, co tu się właśnie odwalilo. Czekałam na obelgi. Spodziewałam się, że ktoś wyskoczy na mnie z pyskiem, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Odwróciłam się do stolika Abklętych, do centrum całej sali, całej populacji akademii. Był pusty. Jak to pusty?!

Dlaczego Yael użył daru Perswazji, żeby mi pomóc? Czy bracia uratowali mnie tylko po to, żeby później osobiście się ze mną policzyć? Nie byłam pewna, co jest gorsze: świadomość, że teraz mam wobec nich dług, czy to, że sprawy wymykały się spod kontroli tak jak wtedy, gdy powiedziałam jedno malutkie kłamstewko, żeby wytłumaczyć, czemu nie przeczytałam tekstu zadanego przez nauczyciela Harrisa, i przypadkowo doprowadziłam do kwarantanny całej wioski. Wyglądało na to, że wymówka: „Moja matka zapadła na zarazę” miała kilka minusów, choć w sumie nie była taka zła.

Wybiegłam z sali jadalnej i pognałam w kierunku klas, a w uszach – mogłabym przysiąc – dźwięczał mi niesiony wiatrem szept: „Jeszcze z tobą nie skończyliśmy”.

Aha, czyli teraz dodatkowo miałam halucynacje. W sensie, prawdziwe halucynacje. Słyszałam głosy i takie tam gówna. Głosy prosto z piekła. Może wzywały mnie, bo bracia Abklęci zamierzali ze mną skończyć? A nie ulegało wątpliwości, że pójdę do piekła, tam gdzie wszyscy ziemianie. Sol trafiali do nieba, no chyba że stawali się bogami, wtedy szli do Topii. Dostawali coś więcej niż drugą szansę – pierwszą szansę na nieśmiertelność, na życie w niebie... Albo w sumie na bycie martwym w niebie, ale niebo umarłaków wciąż pozostawało w jakiś sposób połączone ze światem żywych.

I oto jestem, filozofując o różnych światach, które nie mają ze mną nic wspólnego. Wszystko przez to, że zwariowałam. Słyszałam głosy i w ogóle.

Miałam przesrane. Tak bardzo przesrane. No, ale to nie pora na rozczulanie się nad swoim losem. Czekają na mnie robota. W ramach następnej zmiany powinnam zająć się salą lekcyjną, do której, o dziwo, dotarłam przed czasem. Chociaż raz. Uczyla tu sol obdarzona darem Pieśni. Zdarzało jej się w losowych momentach zaczynać serenadę, jeśli akurat naszła ją ochota. Usłyszałam już trzy różne melodie, a biorąc pod uwagę, że zajęcia nawet się jeszcze nie zaczęły, zapowiadała się bardzo długa lekcja.

Stałam pod ścianą razem z pięcioma innymi ziemianami. Trzech było rekrutami, tak jak ja. Poznałam to po widocznym zmęczeniu oraz rozpacz w wytrzeszczonych oczach. Pozostali mieli status rezydentów, a na twarzach stoickie, niemal pozbawione wyrazu maski. Nawet się nie skrzywili, kiedy wysokie tony nauczycielki trzęsły szybami, co sugerowało, że prawdopodobnie są już martwi w środku. Musieli być. Osobiście uznałam nauczycielkę za najzabawniejszą i jednocześnie najbardziej irytującą sol, jaką do tej pory spotkałam, a to było coś.

– Pośpieszcie się, skarby moje – zaśpiewała, kiedy kilkoro kolejnych sol weszło do sali.

Większość z nich była w moim wieku, może nawet nieco młodsza, a wszyscy tacy pewni siebie. To musiało być miłe od małego żyć w przeświadczeniu o swojej wyjątkowości. Wiedzieć, że posiada się wszelkie prawa i że nikt nigdy nie potraktuje cię jak śmiecia ani nie będzie kazał szorować okien z sutkami prześwitującymi przez koszulę. Że kiedyś możesz zostać bogiem. Nawet gdyby miało się to nigdy nie wydarzyć, ta myśl sama w sobie była coś warta.

Natomiast największą nadzieją ziemianina było dostanie się do Bożylasu lub jednej z mniej ważnych akademii. Cóż za wspaniały życiowy cel, co nie? Urabianie się po łokcie przy sprzątanii, a do tego uważanie, żeby nikt cię nie zobaczył ani nie poczuł. Wspominałam już o sutkach, prawda? Cele życiowe, ot co.

Rozbrzmiał ostatni dzwon i Pani Śpiewająca przeszła przez klasę, by zamknąć drzwi. Zatrzymała się z dłonią na klamce i uśmiechnęła promiennie.

– Już się martwiłam, że wasza trójka nie dołączy do nas w tym cyklu słońca. Wejdźcie, chłopcy.

Z jakiegoś powodu wiedziałam, że to oni, jeszcze zanim przekroczyli próg. Aura spowijająca braci Abklętych miała w sobie coś specyficznego. Irytującego. Frustrującego. Aroganckiego. Lepszego. Cholernie męczącego.

Yael, Aros i Siret rozwalili się na krzesłach na końcu sali, wyciągając przed siebie długie nogi, ale nie wyjęli żadnej książki czy czegośkolwiek do pisania. Pani Śpiewająca nie skomentowała faktu, że wyglądają, jakby przyszli tylko po to, by uczynić klasę trochę mroczniejszą. Zamiast tego powiedziała:

– Drodzy sol, witajcie w nowym cyklu słońca w Bożylesie. Jestem profesor Crest i będę prowadzić zajęcia o Pierwotnych Bogach oraz o Początku. Nauczam w Bożylesie od dwudziestu cykli życia i osobiście spotkałam dwóch Pierwotnych Bogów, więc mogę podzielić się z wami swoim doświadczeniem w tym temacie. Moim darem jest Pieśń. Chciałabym dołączyć do rozrywkowej gałęzi Topii, jeżeli zostaną wybrana przez nasze cudowne bóstwa.

Niektórzy sol byli pod wrażeniem, kilku nawet zaklaskało. Siret ziewnął i... Co ja, do diabła, robiłam? Musiałam przestać gapić się na tę trójkę i skupić na swoich obowiązkach. Ale nie mogłam, bo widok trzech młodszych braci razem był jak solidny kopniak w brzuch. Ewidentnie myliłam się, myśląc wcześniej, że Siret i Yael są bliźniakami. Patrząc na Arosa, doszłam do wniosku, że to nie bliźniacy... tylko trojaczki. Takie wytłumaczenie wydawało się najsensowniejsze, skoro uczestniczyli w tych samych zajęciach i tak samo wyglądali. Coen i Rome również wykazywali niesamowite podobieństwo, co oznaczało, że ta biedna kobieta – ich matka – najpierw urodziła potworne bliźniaki, a potem na dokładkę potworne trojaczki. Żeby mieć bandę małych potworów.

Szczęście w nieszczęściu, że dało się ich jakoś od siebie odróżnić. Oczy Yaela były niemal zupełnie zielone, tylko z odrobiną złota. Włosy miał najciemniejsze z nich trzech, a to sprawiało, że wydawał się niemal ziemski. U Sireta brązowe kosmyki stopniowo przechodziły w złoto, a zieleń tęczówek była o wiele jaśniejsza, pomieszana ze żółcią. Oczy miał jak kot. Jak bardzo, bardzo wredny kot. Natomiast Aros... Złoty Aros. Z miejsca, gdzie stałam, nie mogłam dojrzeć ani zieleni w jego oczach, ani ciemniejszych pasemek we włosach. Był pobłogosławionym przez słońce sol, lśniącym na tle wszystkich zebranych.

– W zasadzie – odezwał się powoli, świdrując mnie wzrokiem – to nie tak.

W pierwszej chwili zamarłam z przerażenia, bo wydało mi się, że odpowiada na moje myśli, ale kiedy reszta uczniów odwróciła się, by na niego spojrzeć, przeniósł wzrok na Panią Śpiewającą.

– Bóg Bestiarusza nie jest tak opiekuńczy, jak może się pani wydawać.

Nauczycielka zamarła, najwidoczniej niepewna, jak zareagować na podkopywanie jej autorytetu. Ledwie słuchałam jej wypowiedzi, bo byłam zajęta gapieniem się na Arosa.

– Bóg Bestiarusza został stworzony przez Pierwotnego Boga, aby wypełnić Topię zwierzęcymi formami życia – odparła Śpiewająca. – To w pewien sposób czyni go pełnoprawnym kreatorem. Może niższego statusu, lecz nadal kreatorem.

– Nazwała go pani opiekuńczym i wielkodusznym bogiem – powiedział Aros aksamitnym głosem.

Siedział na swoim miejscu zupełnie rozluźniony, uśmiechając się kącikiem ust, i byłam pewna, że kpi sobie z nauczycielki. Nie rozumiałam tylko dlaczego. Pani Śpiewająca podeszła do swojego biurka i przerzuciła kilka kartek pergaminu.

– Czyżbyś posiadał informacje, z których wynika coś innego, Arosie? – zapytała ostrożnie.

W powietrzu wyczułam ogromne napięcie. Nawet sol wyglądali na zestresowanych, w zaskoczeniu popatrując to na Śpiewającą, to na Arosa. Czyżby święty sol próbował powiedzieć coś złego o bogach? Nigdy nie sądziłam, że będę świadkiem takiej hecy.

– Tak. – Aros westchnął.

Zachowywał się, jakby jego zadanie polegało na wyprowadzeniu wszystkich z błędu, a on miał go dość, jeszcze zanim otworzył usta.

– Terence, Bóg Bestiarusza, Pierwotny Bestiotwórca, jest też Pierwotnym Dupkiem. To znaczy

drugim po Rau, ale podejrzewam, że nikt tutaj nie chce poruszać kwestii związanych z jego osobą.

W tym miejscu nastąpiły liczne eksplozje mózgów, a Śpiewająca zbladła jak ściana i drżąca dłonią wskazała na drzwi.

– Wy-wyjdź – wydusiła z siebie. – Nikt nie będzie tak mówił na moich zajęciach.

Najwidoczniej tu kończyły się specjalne przywileje Abkłetych. Nawet jeśli w przyszłości mieli zostać bogami, wciąż nie wolno im było wywoływać gniewu tych obecnych.

– Och, niech się pani nie martwi. – Aros przewrócił oczami i wstał. – Bogowie nie ukarzą pani za słuchanie mych słów... – urwał, czekając, aż jego bracia również wstaną. – I mam wrażenie, że ja też nie zostanę ukarany.

Ruszył do wyjścia, a Siret i Yael z niewzruszonymi minami podążyli za nim. Po drodze Aros mrugnął jeszcze do Śpiewającej, po czym zostawił nas wszystkich z rozdziawionymi ustami i kawałkami mózgów metaforycznie porzrzucanymi po sali.

Kiedy zajęcia dobiegły końca, wyszłam na korytarz. W oszołomieniu nie zwracałam nawet uwagi, dokąd idę, dopóki dwóch chłopaków nie wpadło na mnie z impetem. Zachowywali się, jakby w ogóle tego nie zauważyli, tak byli pochłonięci ucieczką.

Rozejrzałam się dookoła. Kilku ziemian również przyśpieszyło kroku. No nie, oni też ode mnie zwiewają?

– Bracia Abkłęci – mruknął ktoś na chwilę przed tym, jak korytarz kompletnie opustoszał.

Zamrugałam, wciąż nieco odurzona, i z przerażeniem odkryłam, że stoję twarzą w twarz z trojaczkami. Siret podszedł bliżej, po czym wyrwał mi plan z ręki.

– Teraz ma być w dwa tysiące dwieście trzynaście.

Yael zabrał mu kartkę, wepchnął ją sobie do kieszeni, a potem pochylił się, aż nasze oczy znalazły się dokładnie na tym samym poziomie.

– No cześć, Kamieniu. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a intensywna zieleń jego oczu zaczęła wciągać mnie głębiej i głębiej... aż świat zrobił się rozmazany i nie istniało już nic poza nim. – Opuścisz następne zajęcia i pójdziesz z nami.

Oczywiście, że tak. Dlaczego miałabym zrobić cokolwiek innego?

Kiwnęłam głową. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, odwrócił i ruszył przed siebie razem z pozostałymi braćmi. Gdy tylko przerwał kontakt wzrokowy, raptownie wróciłam do siebie, zupełnie jakby ktoś wylał mi na głowę wiadro lodowatej wody.

– Co to było, do diabła? – syknęłam, choć moje nogi niosły mnie posłusznie za nimi.

Jeden z nich roześmiał się, a Siret obrócił się na pięcie i zaczął iść tyłem.

– Czy brudni ziemianie nie powinni przypadkiem siedzieć cicho? – zapytał z wypisaną na twarzy drwiną.

– Gdybyśmy ciągle siedzieli cicho, to jak mielibyśmy odpowiadać: „tak, panie”, „nie, panie” albo „czego tylko zapragniesz, panie” za każdym razem, gdy któryś z was... – urwałam, słysząc zduszony okrzyk po lewej.

Wydała go ziemiańska rekrutka. Biegła korytarzem na kolejne zajęcia, ale na nasz widok zakręciła się w miejscu jak fryga i popędziła w przeciwnym kierunku. Najwidoczniej tak bardzo nie chciała być kojarzona z moją osobą, że wolała się spóźnić i posmakować gniewu nauczyciela.

– Nasza nowa ziemianka umrze – obwieścił Siret. Wydawał się cholernie rozbawiony. – Daję jej siedem cykli słońca.

Rozmawiali na mój temat, jakby w ogóle mnie tu nie było. I przewidywali moją śmierć. Cudownie.

– Najpierw zobaczymy, do jakiego stanu możemy ją doprowadzić – odparł Yael ze śmiechem. – Ja jej daję nie więcej niż trzy cykle słońca.

– Jeden! – odkrzyknął Siret.

– Jedna rotacja – zażartował Aros, zerkając na mnie przez ramię. – Profesor Christin jest dość pobłażliwa, więc zobaczymy, który z nas zdoła wyprowadzić ją z równowagi na tyle, żeby ziemianka została poświęcona przed końcem następnej lekcji. To musi być wyrok śmierci. Ten, kto osiągnie cel jako pierwszy, wygra jedną przysługę od pozostałych dwóch.

Ja pierdzielę.

– A co, jeśli ja wygram? – Przyśpieszyłam kroku, starając się iść tuż za nimi.

Odwoływałam się do ich ducha rywalizacji, mając nadzieję, że uda mi się przetrwać dłużej niż jedną rotację. To była niebezpieczna gra, ale oprócz niej nie umiałam grać w żadne inne, więc przynajmniej znajdowałam się na znanym sobie terytorium.

– No cóż, wtedy to chyba ty otrzymasz przysługi – odpowiedział Siret z namysłem. – Pozwolimy jej zagrać?

– Ona nie ma daru – wytknął Yael. – To nie jej liga.

Zdecydowanie nie doceniali mocy kłątwy niezdarności.

– Więc tym bardziej nie zaszkodzi, jeśli mi pozwolicie – dodałam łagodnie, próbując użyć perswazji.

Siret parsknął. Ewidentnie tego nie kupował.

– Pewnie. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu i zmrużył swoje kocie oczy. – Możesz zagrać z dużymi chłopcami, mała, brudna ziemianko.

– Ale wy nie możecie używać swoich darów – dodałam szybko, korzystając z faktu, że już się zgodził. – Inaczej to nie będzie żadne wyzwanie. A chcecie chociaż trochę wyzwania, prawda?

– Czyżby ta ziemianka próbowała nami manipulować? – zapyta! Yael.

Wydawał się niewzruszony i jednocześnie lekko zdezorientowany.

– Jak słodko – dodał Aros, a jego aksamitny głos wyczyniał ze mną dziwne rzeczy. – To coś manipuluje.

Wow. Aua...

Weszliśmy do klasy i chociaż wiedziałam, że nie na tych zajęciach powinnam teraz być, chciałam odsunąć się pod ścianę z resztą ziemian. Lecz Siret ze śmiechem złapał mnie za ramię i pociągnął między rzędami szokowanych sol aż do siedzeń z tyłu. Podejrzywałam, że w każdej sali specjalnie zostawiano ostatnie miejsca wolne, by bracia Abklęci mogli posadzić tam swoje tyłki.

Siret zmusił mnie, żebym usiadła obok niego. Aros zajął miejsce z drugiej strony, a Yael to przy przejściu, sugerując, że musiałabym przedostać się przez nich obu, gdybym chciała zwiąć. Spojrzałam na zwrócone w moją stronę twarze pozostałych sol. Nikt nie patrzył na braci Abklętych, choć to oni byli przecież winni. Nie... Najwidoczniej ja jedna miałam ponieść wszelkie konsekwencje.

Profesor Christin – zakładałam, że jest to ta sama nauczycielka, o której mówili bracia – weszła do klasy z nosem w książce i wymamrotała: „Witajcie, uczniowie”. Uniosła głowę, gdy zdała sobie sprawę, że nikt nie odpowiedział, po czym powiodła wzrokiem za spojrzeniami uczniów i wreszcie dostrzegła mnie.

– Ziemianka?

Wydawała się zbyt zaskoczona, by powiedzieć cokolwiek więcej. A ja nie miałam wyboru. Mogłam sprowokować wydanie na mnie wyroku śmierci przez złożenie w ofierze i jakoś wykorzystać wygrane przysługi, żeby... uniknąć śmierci przez złożenie w ofierze. Albo... uciec? Schować się? Udawać martwą? Zapytać, czy mogę skorzystać z toalety? Naprawdę nie miałam pojęcia.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałam, to nią byłam – odparłam, starając się brzmieć nonszalancko. – Oto ja, ziemianka. Brudny, eee, brud i takie tam. Masz z tym jakiś problem, kobieto?

Nauczycielka zaniemówiła, a książka wysunęła jej się z palców. Obserwowałam, jak spada, szeleszcząc kartkami – wydawała się lecieć w zwolnionym tempie – a potem ląduje na podłodze z ogłuszającym łupnięciem, które odbiło się echem od ścian. Profesor Christin spojrzała na Abklętych, zapewne licząc na jakieś wyjaśnienie. Wyglądali wprawdzie na nieco zbitych z pantałyku, ale z pewnością tylko dlatego, że nie spodziewali się, że naprawdę spróbuję zapracować na wyrok śmierci.

Pfft! Ewidentnie mnie nie znają.

– Obraż ją jeszcze raz – zasugerował Yael swoim perswazyjnym tonem.

Nie używał na mnie daru, ale starał się brzmieć tak, jakby to robił. Nie mogłam znowu jej obrazić, bo wtedy to przez niego zostałabym skazana na śmierć. Posłałam mu mordercze spojrzenie, lecz Yael przestał zwracać na mnie uwagę. Odchylił się na oparciu, skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i z rozbawioną miną przyglądał się gwałtownie czerwieniącej twarzy nauczycielki.

– Zrobię, co będę chciała! – zawołałam, zrywając się na nogi i próbując precyzyjnie się obok Arosa, żeby wycelować palec w twarz Yaela.

Na nieszczęście Aros cofnął się tylko na tyle, że zdążyłam przepchnąć jedną nogę, po czym z powrotem przesunął się do przodu i zacisnął kolana wokół mojej drugiej nogi, unieruchamiając mnie na dobre. Był znacznie silniejszy, niż wyglądał. Zamarłam, nie odrywając wzroku od Yaela. Obelga, jaką miałam rzucić mu w twarz, zniknęła. Czułam, jak gaśnie, ustępując miejsca szokowi. Nie wiedziałam nawet, dlaczego byłam tak zszokowana, naprawdę nie wiedziałam. Nie miało to nic wspólnego z faktem, że samo siedzenie obok Arosa przyprawiało mnie o lekkie zawroty głowy, a już na pewno nie z tym, że teraz jego dotyk rozwaliał mój mózg na kawałeczki, które lądowały w każdym kącie sali. Unikałam patrzenia na niego, za to Yael odwzajemnił moje spojrzenie i miał tak wszechwiedzący wyraz twarzy, że ogarnęła mnie przemożna ochota, by zasadzić mu z piąchy w nos.

Więc...

Tak.

Właśnie w ten sposób strzeliłam w pysk świętego sol w drugim cyklu słońca, licząc od chwili, w której zostałam zaliczona do grona Najszczęśliwszych Ziemian w Minatsol.

Yael zerwał się z miejsca i złapał mnie za rękę, zanim uderzyłam po raz drugi. Pozostali bracia też byli na nogach. Nie miałam pojęcia, co się zaraz wydarzy, ale świat zamarł, kiedy rozległ się głos nauczycielki, głośny, zimny i przesywający:

– ZIEMIANKO!

Znieruchomiałam ze wzrokiem utkwionym w podłozie. Trzy pary butów stały zaledwie kilka cali dalej, skierowane czubkami do moich. Uścisk na nadgarstku przybrał na sile i poczułam, jak Yael przysuwa się bliżej.

– Zapomnijcie... – Słowo zostało wyszeptane prosto do mojego ucha, lecz mimo to poniosło się po całej sali. – Zapomnijcie o wszystkim, co właśnie zobaczyliście.

Zapadła cisza, a ja w końcu podniosłam głowę i spojrzałam w oczy Arosa, który stał tuż przede mną.

– Wygrałaś – szepnął, kiedy wszystko wokół nas zaczęło wracać do normalności.

– Hurra – wymamrotałam płaskim tonem.

Ktoś powinien zbadać mi głowę. Emmy mnie zamorduje, co w sumie nie miało sensu jako kara za to, że niemal zarobiłam na wyrok śmierci.

– Ziemianko... – odezwała się znowu nauczycielka. Tym razem wydawała się tylko zdezorientowana. – Co robisz?

– O-on... zostawił swoje notatki – wydukałam, przeciskając się obok Yaela do przejścia. – Po... Pomyliłam sale. Przepraszam!

Rzuciłam się do drzwi i związałam, zanim profesor Christin zdążyła zadać kolejne pytanie. Gnałam przez labirynt korytarzy, usiłując przeczytać każdy numer nad drzwiami, choć pędziłam zbyt szybko, by cokolwiek zarejestrować, nie wspominając o zwracaniu uwagi na to, dokąd zmierzam. Wiedziałam tylko, że muszę się stąd wydostać, znaleźć się jak najdalej od trojaczek. Jak najdalej od strachu i zagrożenia. Najdalej od faktu, że być może tak naprawdę dobrze się bawiłam.

Reszta mojego drugiego cyklu słońca w Bożylesie minęła bez incydentów. A przez „bez incydentów” mam na myśli to, że potknęłam się trzy razy, prawie dźgnęłam jakiegoś ziemianina ołówkiem i przypadkowo wywołałam malutki pożar w kuchni. Bogowie, Jerath zareagował tak, jakbym spaliła całą akademię do gołej ziemi, a przecież ogień miał co najwyżej półtora metra wysokości. W każdym razie chciałam powiedzieć, że do końca cyklu słońca Abklęci nie pojawili się na horyzoncie. Nie widziałam ich na żadnych innych zajęciach ani na kolacji.

Zaczynały krążyć plotki na temat tego, co mogli knuć podczas swojej nieobecności, ale ja potrafiłam myśleć wyłącznie o tym, że bogowie wreszcie dali mi odpocząć. Miałam nadzieję, że ten odpoczynek potrwa trochę dłużej... bo coś mi mówiło, że kiedy znowu spotkam na swojej drodze kogoś z tych błyszczących, złotych dupków, nie będzie więcej żadnych konkursów ani łamania zasad. Jedyne łamanie, jakie wówczas nastąpi, to łamanie mojej osoby.

SZEŚĆ

Wczesnym rankiem Emmy postanowiła zrobić mi wykład:

– Grasz w niebezpieczną grę, Will. Czemu musiałaś podburzać ich do rywalizacji? Czemu zwracałaś na siebie uwagę? Czasami zastanawiam się, w jakim stopniu twoja kłątwa pochodzi od bogów, a w jakim z twojej niezaspokojonej potrzeby wprowadzania chaosu do każdego cyklu słońca. Zobaczysz, że to się kiedyś źle skończy!

Gdakała tak już od porannych dzwonów. Wygadałam się o „incydencie w klasie”, kiedy się szykowałyśmy, a teraz żałowałam, że nie trzymałam buzi na kłódkę.

– Więc według ciebie miałam pokornie znosić upokorzenia, Em? Dla ich wygody położyć się na ziemi i pozwolić, żeby wytarli o mnie buty? Postaram się trzymać od nich z daleka na tyle, na ile to możliwe, ale jeśli się przyczepią, będę się bronić.

Totalnie żartowałam. Nie dałabym rady obronić się przed pięcioma masywnymi sol, nawet gdyby zależało od tego moje życie, ale lubiałam dużo mówić. Mówienie należało do moich mocnych stron i pracowałam nad doprowadzeniem tej umiejętności do perfekcji.

Emmy z prychnięciem zgarnęła niesforne pasemka srebrnych włosów i zręcznie zwinęła je w schludny kok na czubku głowy. Ja natomiast byle jak zebrałam swoje z tyłu i podpięłam kilka spinkami w nadziei, że jakoś będą się trzymać. Nie miałam czasu na porządną fryzurę, bo musiałam zakraść się do kilku pokoi.

Założyłam stare ciuchy Attiego. Zeszłego wieczora Emmy wyświadczyła mi przysługę i w spodniach skróciła nogawki oraz zrobiła kilka zaszywek w pasie, dzięki czemu nie wyglądałam, jakbym donaszała ubrania po starszym bracie. Spojrzałam szybko w lustro. Ciemna, za duża koszula jakoś ukryła cucky. Poza tym twarz bez cienia makijażu, włosy schowane pod czapką, worowate gacie i znoszone buty. Tia... Byłam tak męska, jak tylko mogłam być bez użycia magii.

– No to idę – obwieściłam, przerywając Emmy, która zaczynała już kolejny wykład. – Muszę skończyć, zanim któryś z nich wróci.

Miałam cholerną nadzieję, że Rome’a nie będzie w jego pokoju. Co prawda wiedział, że przyjdę, ale jeśli dopisze mi szczęście, nie zastanę go w kwaterze. Szczęście, co? Jakby kiedykolwiek mi dopisywało.

– Dzisiaj musimy przygotować salę jadalną, zanim pojawią się w niej sol. Nie możesz tego opuścić! – wydyszała Emmy przerażona.

Czasami zastanawiałam się, czy ona w ogóle mnie zna. Przecież w wiosce cały czas migałam się od obowiązków. Dosłownie nie mogłam się powstrzymać od łamania zasad. Może to też efekt kławy? A może obowiązki były po prostu do dupy. Nie wierzyłam w to, co Emmy powiedziała; wcale nie życzyłam sobie śmierci. Życzyłam sobie czegoś dokładnie odwrotnego. Chciałam życia, takiego prawdziwego, a nie tylko ograniczonego do usługiwania, pracowania i ciągłego słuchania uwag o tym, jak usługiwać i pracować.

Poklepałam ją pośpiesznie po ramieniu, po czym popędziłam do drzwi.

– Im szybciej będę na miejscu, tym szansa, że któryś z tych... sol zdąży wrócić z treningu, będzie jeszcze mniejsza – rzuciłam przez ramię i wybiegłam z pokoju.

Przechodząc przez część wspólną dormitoriów dla ziemian, złapałam kilka kawałków twardego jak kamień chleba, żeby nie pracować z pustym brzuchem. Na schodach miałam ochotę przeskakiwać po kilka stopni naraz, ale doszłam do wniosku, że złamany nos mógłby przeszkodzić szybkiemu wykonaniu mojej tajnej misji. Bracia Abklęci nie wpadną na mnie tego ranka. Willa odegra się na nich. Tak, to jedna z tych misji, kiedy mówię o sobie w trzeciej osobie.

Komnata z kopulastym sklepieniem okazała się pusta, co mnie nie dziwiło. Tylko kilkoro ziemian zakradało się właśnie do sali jadalnej – widocznie wzięli sobie do serca, że sol nie chcą ich „widzieć ani czuć”. Jedząc śniadanie w biegu, skręciłam ostro w prawo i popędziłam dalej do męskich dormitoriów. Moje dzisiejsze przebranie dawało mi nieco więcej pewności siebie, ale wciąż czujnie obserwowałam otoczenie, bo nie miałam pojęcia, na kogo o tej porze mogę wpaść. Sol powinni być albo na śniadaniu, albo trenować na arenie, ale martwiło mnie, że bracia Abklęci zniknęli na całą drugą połowę

poprzedniego cyklu słońca. Najwidoczniej też lubili łamać zasady, chociaż im, w przeciwieństwie do mnie, nie groziła za to śmierć.

Tym razem niestety nie czekał na mnie żaden sprzęt sprzątający, musiałam więc wpaść do magazynu, wywlec ze środka biedny, bezbronny wózek i z superziemiańską prędkością popchać go w kierunku dormitorii 1-5.

Korytarz był pusty, a ja czułam się niesamowicie – pełna życia i siły. W tym cyklu słońca po prostu totalnie rozwalalam system, jeśli chodzi o bycie ziemiańską niewolnicą.

Byłam już niemal przy końcu korytarza, kiedy drzwi pokoju numer 5 otworzyły się nagle i ze środka wyłoniła się ogromna postać. Pisnęłam, hamując gwałtownie, i szybko schowałam się za swoim wózkiem. Od pokoi Abklętych wciąż dzieliło mnie kilka metrów. Jeśli sol nie spojrzy w moją stronę, przy odrobinie szczęścia nie zwróci uwagi na stojący pod ścianą samotny wózek.

Usłyszałam głosy. Starając się oddychać najpłycej, jak to możliwe, zerknęłam przez niewielką szparę pomiędzy ręcznikami i dostrzegłam mnóstwo złota, mięśni i arogancji. Nie byłam do końca pewna, ale sądząc po blasku, najwidoczniej cała piątka Abklętych właśnie gdzieś wychodziła.

– Musimy upewnić się, że K.S.T. wie, że mamy już dość tego pieprzenia. Kiedy wrócimy, urwę mu ten nieboski łeb.

Głos Rome'a był trudny do pomylenia z jakimkolwiek innym – gardłowy warkot, który budził dreszcze wzdłuż kręgosłupa i zatrzymywał się gdzieś nisko w moim ciele. Co cholernie mi się nie podobało.

– Trzeba wymyślić, jak skończyć z tym wygnaniem.

To był Yael, a jego aksamitny ton wystarczył, żebym nabrała ochoty, by popełnić w jego stronę. Wiedziałam, że jest groźny. Obezwładniał mnie swoim głosem, a ja nic nie mogłam na to poradzić.

– Prawie straciłem nad nimi kontrolę w poprzednim cyklu słońca. Tym razem zaczyna się wcześniej niż zwykle.

Odchodzili. Wciąż ich słyszałam, ale dźwięki stawały się coraz mniej wyraźne. Przesunęłam się nieco do przodu, postanawiając zaryzykować i zobaczyć, co się dzieje. I gdy tylko wychyliłam głowę zza wózka, moim oczom okazały się włosy w kolorze krwawej czerwieni i ochry.

– Proszę, proszę. Co my tu mamy?

Coen sięgnął w moją stronę i zanim się obejrzałam, otoczył mnie ramionami, a potem podniósł z łatwością. Wzdrygnęłam się w oczekiwaniu na ból. Tylko ktoś, kto czerpał przyjemność z jego zadawania, mógł posiadać związany z nim dar.

– Nie skrzywdzę cię, Kamieniu – szepnął mi prosto do ucha.

Na moment zamknęłam oczy, próbując nad sobą zapanować. Byłam ledwie krok od błagania o życie, co wydawało się dość żalosne, biorąc pod uwagę, że nic mi otwarcie nie groziło. Na razie.

– Preferuję ból w zupełnie innych sferach, niż sobie wyobrażasz – kontynuował Coen. – Gdybym ci go zadał, pewnie byś go polubiła.

Co do... Święci bogowie z Topii, o czym on mówił?! Ja... Dlaczego mój mózg próbował nakłonić mnie do zawołania: „Piszę się na to”?

Aros. To wszystko przez niego!

Zrzucić całą winę na sol-uwodziciela, nawet jeśli wcale mnie nie dotykał. Tak, to najprostsze rozwiązanie.

– Puść mnie – wysyczałam, machając w powietrzu nogami i usiłując wyrwać się z uścisku Coena.

– Co tu robisz, ziemianko? Nie powinnaś czasem sprzątać pokoi albo podawać śniadania? – zdziwił się Siret, podchodząc bliżej, a kruczoczarna dopasowana koszula, którą miał na sobie, sprawiała, że jego zielone oczy wyglądały na ciemniejsze niż zwykle.

– Gdzie byliście wczoraj?

Co było ze mną nie tak? Dlaczego o to zapytałam? Nie obchodziło mnie, gdzie się podziewali, dopóki nie znaleźli się w pobliżu, akurat kiedy byłam taka z siebie zadowolona. Zadowolona! Ja!

Pozostała czwórka otoczyła Coena i mnie, a bijąca od nich intensywna energia wzmagająca moje zawroty głowy.

– Nie jesteś jak inni ziemianie – stwierdził Siret, ignorując moje pytanie.

Przechyliwszy głowę, patrzył na mnie jak na robaka, którego znalazł w swoim jedzeniu. Jakbym była dziwna i irytująca. A mimo to... dostrzegałam w jego wzroku zainteresowanie.

Aros zrobił krok w moją stronę, a ja posłałam mu mordercze spojrzenie. Sama nie wiedziałam, co w tej chwili czułam, ale to musiała być jego wina. Od tej sprawy zależała moja przytomność umysłu.

– Nigdy nie wiemy, co zrobisz – powiedział. – Myślisz za siebie, co jest rzadkością w Minatsol.
– Jego blask sączył się we mnie, rozgrzewał moją krew. – Może przyda nam się ktoś taki jak ty, ziemianko. O ile uznasz, że się na to piesz. Mogą czekać cię wspaniałe nagrody.

Wszyscy bracia górowali nade mną pomimo faktu, że wisiałam nad podłogą. Nigdy nie zostałam otoczona w taki sposób. Nigdy nie skierowano w moją stronę tyle piękna i magnetyzmu. Sytuacja sprawiała, że wstrząsały mną dreszcze, a żołądek skręcał się od mdłości. Nie miałam pojęcia, co zamierzali ze mną zrobić, ale w tej chwili czułam się jak mały królik otoczony przez złośliwe drapieżniki i nie było to miłe uczucie.

Coen przysunął bliżej twarz, wciągając mnie w pułapkę swojego spojrzenia.

– Pomożesz nam, ziemianko? Ale pamiętaj, jeśli nas zdradzisz... No cóż, cały ten ból pomieszany z przyjemnością może stać się po prostu bólem. Jestem dobry w każdej jego odmianie. Po prostu wolę nie musieć tego robić.

„Ja też! Ja też wolę, żebyś nie musiał. Zdecydowanie”.

Coen powoli opuścił mnie na podłogę, ale kiedy poczułam pod stopami twarde podłoże, kolana się pode mną ugięły. Zawroty głowy w końcu wzięły górę, a ja zarejestrowałam, że się osuwam. A potem w gnieniu oka jakimś sposobem znowu stałam.

– Chodź z nami – powiedział Yael powoli.

Cała piątka ruszyła w kierunku przeciwnym do komnaty z kopulastym sklepieniem. Żaden z braci się nie obejrzał. Gdyby któryś to zrobił, zobaczyłby ciężko zszokowaną ziemiankę usiłującą zrozumieć, dlaczego nie siedzi teraz na tyłku. Przewracałam się, a potem nagle już nie. A nikt mnie nawet nie dotknął.

Oddychałam szybko i płytko. Moje ciało nie potrafiło zdecydować, czy powinno odczuwać ekscytację, czy może jednak się rozpaść. Naprawdę nie chciałam z nimi iść. Nie miałam ochoty znowu znaleźć się oko w oko ze śmiercią, ale potraktowałam ostrzeżenie Coena bardzo poważnie. Jeśli im nie pomogę, będzie bolało.

Cholera! Dlaczego znowu mi się to przytrafiało? Byłam superziemianką tego cyklu słońca i nagle bum! Siedzę po uszy w gównie bykonia.

Bracia niemal zniknęli mi z oczu i nie mogłam już dłużej zwlekać. Klnąc pod nosem, ruszyłam korytarzem, a osłabienie w nogach wcale nie pomagało mi za nimi nadążyć. Te długonogie gnojki były szybsze ode mnie, mimo że zaczęłam biec.

Korytarz krzyżował się z innym i bracia skręcili w prawo, czyli z grubsza w kierunku Areny Świętego Piasku. Po co tam szliśmy? Miałam ją sprzątać dopiero za dwa cykle słońca, więc to mogło oznaczać tylko jedno: chcieli wykorzystać mnie do ćwiczeń. Nie, niemożliwe. Równie dobrze mogliby użyć słomianej atrapy, wyszłoby na to samo. Musiało więc czekać mnie inne przerażające zadanie.

Byłam tak bardzo zajęta obawianiem się, że oto zakończę swój krótki żywot jako krwawa miazga, że nie zauważyłam stromych schodów prowadzących na zewnątrz. W zasadzie odkąd przyjechałam do Bożylasu, nie opuszczałam budynków akademii i marzyłam, by choć przez chwilę odetchnąć świeżym powietrzem, wystawić twarz w stronę ciepłych promieni słońca i wsłuchać się w szmer wodospadu. Teraz zaś – potykając się na pierwszym stopniu – dostałam niespodziewaną okazję do szybkiego spełnienia się mojego marzenia.

Zacisnęłam powieki i wystawiłam dłonie przed siebie, wychodząc ze słusznego założenia, że roztrzaskaną czaszkę dużo trudniej wyleczyć niż połamane ręce. Lecz nie poleciałam w dół i nie uderzyłam w kamienne stopnie. Niespodziewanie poczułam obejmujące mnie ramiona i wszechogarniające ciepło. Zostałam uniesiona, a potem przyciśnięta do twardego ciała. Słoneczny blask rozświetlił mroki korytarza i nie musiałam nawet podnosić wzroku, by wiedzieć, że to Aros. Mój słoneczny sol. Znaczy... nie mój ani nic z tych rzeczy! Dobra, to zabrzmiało dziwnie... Po prostu słoneczny sol.

– Wszystko w porządku, Willo?

Złote oczy wpatrywały się we mnie tak intensywnie, że aż wstrzymałam oddech.

– Znasz moje imię? – wykrztusiłam z trudem.

„Zna moje imię?!”

– No dalej, Uwodzenie, odstaw jej niezdarny tyłek i chodźmy! – usłyszałam krzyk Coena, który zmierzał przez trawnik w kierunku Areny Świętego Piasku.

Aros puścił do mnie oczko i postawił na nogi, zabierając całe ciepło i życie ze sobą, a później ruszył, by dogonić braci.

Uwodzenie... Czy tylko ja uważałam za dziwne, że zwracali się do siebie nazwami swoich darów, jakby to były imiona? Nie słyszałam, żeby inni sol robili w ten sposób. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie w obliczu mojej rychłej śmierci.

Przyśpieszyłam kroku, znów czując się jak superziemianka, bo choć bracia byli dobrzy w upuszczaniu mojej osoby, najwidoczniej nieźle sobie radzili również z jej łapaniem. Chociaż raz sol na coś się przydali.

Coen maszerował na przedzie i zdołał już oddalić się ode mnie na znaczną odległość. Rome znajdował się tuż za nim, dalej szedł Aros – który dogonił braci bez najmniejszego problemu, choć mnie paliły już uda i ciężko dyszałam – potem Yael i na końcu Siret. Parsknęłam śmiechem i niemal potknęłam się znowu, bo w moim wypadku śmiech i bieganie nie należały do czynności, które powinnam wykonywać jednocześnie. Ale to było zabawne. Ustawili się zgodnie z numerami swoich pokoi, od pierwszego do piątego.

Mistrz Bólu Coen był numerem pierwszym. Miażdżyciel Rome drugim. Złoty Aros trzecim. Hipnotyczny Yael czwartym. A Zły Siret piątym. To też jakiś sposób, żeby ich rozróżnić.

– Z czego się śmiejesz? – Siret zwolnił i po chwili zrównał się ze mną.

W jego oczach znowu dostrzegłam mieszaninę irytacji i zaciekawienia.

– Z niczego, Piątko – odparłam z parsknięciem, choć ledwo oddychałam ze zmęczenia.

Znowu mało brakowało, bym się potknęła. Absolutnie nie polecam jednoczesnego mówienia, biegania i śmiania się.

– Piątko? – zawołał Yael przez ramię. – O czym, do diabła, ona mówi?

– O niczym, Czwórko! – wydyszałam.

Tym razem faktycznie się potknęłam, ale w odruchowej reakcji zacisnęłam palce na koszuli Sireta, o mało nie pociągając go ze sobą na ziemię. Na szczęście zdołał utrzymać równowagę i szybko otoczył mnie ramieniem w pasie. Po raz kolejny zadyndałam nogami w powietrzu.

– Czy ona ustawiła nas w rankingu? – Aros aż przystanął i odwrócił się do nas z miną wyrażającą niedowierzanie.

Yael również się zatrzymał, ale pozostali dwaj szli dalej. Znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć, że coś się dzieje.

– Dlaczego ciągle to robisz? – zapytał Siret, przyciskając mnie do siebie i potrząsając lekko.

– Co robię? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Spróbowałam go od siebie odepchnąć, ale mnie nie puścił.

Mój żołądek postanowił zrobić fikołka.

– Potykasz się. Przewracasz. Prawie dajesz się zabić.

– A jakie to ma znaczenie? – zaciętrzewiłam się. – Przecież i tak prowadzicie mnie na rzeź, nie?

Spojrzałam w dal na Rome'a i Coena. Zatrzymali się i czekali. Rome patrzył w naszą stronę, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Nie, nie prowadzimy cię na rzeź. – Zaśmiał się Yael.

– A może tak? – mruknął Siret.

Chyba zapomniał, że wciąż mnie trzyma. Zakołysałam stopami w przód i w tył, próbując dosięgnąć ziemi.

– Coś w tym jest – odparł Yael. – Ona potrafi narozrabiać. Na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby zginać, nawet jeśli nie takie są nasze zamiary.

– To bez znaczenia. – Pokręcił głową Siret. – Ale musi pozostać żywa, dopóki z nią nie

skończymy. Może zginąć, jeśli wnerwi K.S.T., nie może jednak umrzeć po drodze. To byłoby niewygodne.

– Ej, ja tu jestem – burknęłam.

– Owszem. – Aros postąpił krok naprzód, złapał mnie za rękę i dosłownie wyrwał z uścisku Sireta.

Zabolało jak cholera, ale nie narzekałam, bo znowu rozmawiali o zabiciu mnie. Doszłam do wniosku, że w takiej sytuacji narzekanie nie za bardzo by mi pomogło. Potarłam ramię, ze wszystkich sił próbując zignorować fakt, że Aros chwycił mnie za dłoń i splótł palce z moimi. To, co robił, wydawało się połączone bezpośrednio z czymś w moim wnętrzu, co skręcało się coraz mocniej i mocniej...

– Nie bądź taki zaborczy, Uwodzenie – warknął Siret, przechodząc obok nas. – Ziemia jest nasza, nie tylko twoja.

– Wciąż tu jestem – dodałam. – I chciałabym mieć coś do powiedzenia w kwestii zaklepywania ziemianek.

– Nie. – Zachichotał Yael, podążając za Siretem. – Twoje zdanie się nie liczy.

Aros pociągnął mnie za sobą. Szedł niesłuchanie szybko i nigdy bym nie pomyślała, że mogę za nim nadążyć, a jednak jakimś cudem mi się udawało. Znajdowaliśmy się teraz na skraju terenu akademii. W oddali majaczyły góry oddzielone pasmem lasu, na którego skraju czekali dwaj najstarsi Abklęci.

– Co się stało? – zapytał Coen, kiedy do nich dołączyliśmy.

Zmrużył groźnie oczy i z uwagą przyjrzał się mojej ręce.

A konkretnie tej, którą trzymał Aros. Czując rosnącą panikę, spróbowałam ją uwolnić. To nie był dobry moment, żeby wszyscy zaczęli walczyć o prawo do zaklepywania ziemianek czy coś. Mogli zrobić to po mojej śmierci.

Aros mocniej zacisnął palce, a ja głośno przełknęłam ślinę, czując, jak żołądek zawiązuje mi się na supel.

– Ustawiła nas w rankingu – odparł Yael. Wydawał się znacznie mniej przejęty tym faktem niż pozostała dwójka.

– Że co zrobiła?! – zdumiał się Rome.

– JA TU JESTEM! – krzyknęłam.

Moja irytacja eksplodowała, zanim zorientowałam się, że w ogóle narasta. Znow dyszałam ciężko, ale tym razem nie z wysiłku, lecz dlatego, że tych pięciu idiotów robiło bałagan w moich organach wewnętrznych. Albo w mózgu. Albo w czymś innym. Ciągłe przyprawiali mnie o zawroty głowy! A Aros dalej trzymał mnie za rękę!

Siret wybuchnął śmiechem akurat wtedy, gdy wreszcie udało mi się oswobodzić dłoń. Pozostali patrzyli na mnie, jakbym oszalała.

– Tak? – Coen skrzyżował ramiona na piersi, posyłając mi znaczące spojrzenie. – Skoro tu jesteś, to proszę bardzo, wytłumacz się.

– Nie ma czego tłumaczyć. – Wzruszyłam ramionami.

– Właśnie dlatego z nią nie rozmawiamy. – Uniósł ręce ku niebu i odwrócił się do Yaela. – Jaki znowu ranking?

– Ustawiła nas w rankingu – powtórzył Pan Perswazja, po czym dotknął kciukiem własnej piersi, mówiąc: – Czwórka... i piątka. – Wskazał na Sireta. – Nie wiem jednak, które miejsca dała wam.

Rome rozdziawił usta, ale Coen nadal miał kamienną twarz, dopóki nie zauważyłam, że nieznacznie unosi brew.

– Czy punktacja jest w skali od zera do dziesięciu?

– Może – mruknęłam.

Przez chwilę rozważałam przyznanie się, że to po prostu numery ich pokoi, ale ostatecznie zrezygnowałam, bo miło było popatrzeć na dyskomfort Coena. Niech to będzie zemsta za incydent z kuszą.

– Jaki ja mam numer? – zapytał.

– Jeden.

Zmarszczył brwi, zapewne biorąc pod uwagę możliwość, że może to oznaczać „jeden na

dziesięć”.

– A on? – Wskazał na Arosa.

– Trzy.

– A on? – Wycelował palec w Rome’a.

– Dwa – odparłam.

Rome uśmiechał się, jakby rozumiał, o co chodzi, nie powiedział jednak pozostałym. Wyglądał na zadowolonego z faktu, że jego bracia sterczą jak kołki, kompletnie zbici z tropu. Przyszło mi do głowy, że to czyni go odrobinę złym, ale przecież oni wszyscy i tak byli źli.

– Możemy pomyśleć o tym później? – odezwał się w końcu Yael, który wciąż sprawiał wrażenie nieprzejętego rankingiem.

Pozostali kiwnęli głowami, a Coen posłał mi ostatnie spojrzenie, zanim ruszyliśmy dalej – tym razem przez las. Drzewa rosły tu tak gęsto, że musieliśmy zwolnić. Yael zamykał nasz pochód. W pewnej chwili chwycił mnie za koszulę i szarpnięciem uniósł w powietrze. To było zdecydowanie zbyt wiele dla mojej biednej czapki, która w końcu zrezygnowała z dalszych prób trzymania się głowy. Jasne włosy rozsypały się na wszystkie strony, przesłaniając mi widok. Usiłowałam coś przez nie zobaczyć, ale bezskutecznie.

– Co...

Dłoń Yaela spoczęła na moich ustach, tłumiąc pytanie. Uderzyłam plecami w jakiś pień i szybko odgarnęłam włosy z twarzy. Oczy Yaela znajdowały się zaledwie cal od moich.

– Daj mi wyższe miejsce – rozkazał miękko.

Poczułam, jak niesiona jego głosem moc zalewa mnie potężną falą. Jasna cholera, to oni rywalizowali ze sobą aż tak?

Mruknęłam coś pod jego dłonią. Zmrużył oczy podejrzliwie, ale odsunął rękę.

– To nie jest żaden ranking – wydyszałam – tylko numery waszych pokoi.

Zmarszczył brwi.

– No to daj mi Jedynekę.

– Musisz mieszkać w pierwszym pokoju, żeby być Jedyneką.

Natychmiast mnie puścił i odszedł.

– Ej, Ból! – zawołał, lawirując między drzewami. – Zamień się ze mną pokojami.

– Że co? – usłyszałam głos Coena.

Wciąż stałam oparta o pień, a serce w każdej chwili mogło wyskoczyć mi z piersi i zakopać się gdzieś głęboko, bardzo głęboko pod ziemią, gdzie byłoby bezpieczne. Bo, przysięgam na bogów, ci kolesie przyprawiają mnie w końcu o zawał. Więc to jest moja karma? Seksowny sol wystraszy mnie na śmierć?

I nie, wcale nie pomyślałam „seksowny”. Żaden z nich nie był seksowny. Oraz to z pewnością nie ich seksapil powodował moje problemy z sercem. Nie żeby mieli seksapil. Nie mieli, absolutnie.

– Kamieniu? – rozległ się głos Sireta, a zaraz potem on sam stanął przede mną i zmarszczył brwi.

– Znow się przewróciłaś?

– W ogóle nie seksi... – wymknęło mi się. Nie wiem jak.

Chciałam natychmiast cofnąć te słowa, ale Siret ewidentnie je usłyszał. Zamrugał.

– No cóż... Nie ująłbym tego w taki sposób. Schodzisz do parteru jak profesjonalistka, to jest trochę seksi.

Szczęka mi opadła, a w płucach zabrakło powietrza. Z jakiegoś powodu to zabrzmiało nieprzyzwoicie. Siret chyba też zdał sobie z tego sprawę, a może wszystko wyczytał z mojej miny. Przysięgam na bogów, że już nigdy w życiu się nie odezwę.

Uśmiechnął się, a błysk w jego oczach sprawił, że poczułam, jak fala gorąca uderza mi do głowy. Minęłam go, gotowa stanąć w obliczu swojej śmierci. Może poproszę Abklętych, żeby się pośpieszyli i oszczędzili mi tego... cokolwiek ze mną robili. A może mogłabym po prostu potknąć się o coś i upaść na jakąś ładną skałę, taką w sam raz do rozwalenia sobie czaszki?

Tak.

Byłoby miło.

SIEDEM

W jednej chwili szliśmy szlakiem przez góry, jakąś milę od granic akademii, a w następnej w ogóle nie byliśmy już w Bożylesie. Zatrzymałam się ze zduszonym okrzykiem i wytrzeszczyłam oczy. Pozornie niekończący się górzysty teren rozplątał się nagle i otoczyła nas mroczna, zalatująca wilgocią jaskinia. W oddali dostrzegałam jedynie mały punkcik światła.

– Na świat bogów... – wymamrotałam.

Obróciłam się, próbując zarejestrować wszystko naraz, ale było za ciemno, żeby zobaczyć chociaż ciał tego „wszystkiego”.

– Dokładnie. – Głos Rome’a rozległ się tuż za mną.

Jakiś czas temu wycofał się na koniec pochodu, oznajmiwszy wszystkim, że ciągle pakuję się w tarapaty, kiedy tylko mnie nie pilnuje, cokolwiek miało to oznaczać.

– Jakie znowu „dokładnie”? – zapytałam, odwracając głowę za siebie, tam gdzie powinien stać.

– Świat bogów – odparł, a ja zdałam sobie sprawę, że patrzę na niewłaściwy fragment ciemności.

Skupiłam wzrok i wtedy doznałam oświecenia. Nie, wcale nie doznałam! Przecież to niemożliwe! Ta jaskinia nie mogła być Topią. Bracia Abklęci nie mogli znać sekretnego przejścia do Topii!

– Wszystko jest możliwe, Kamieniu – mruknął Siret.

Musiałam odezwać się na głos albo oni potrafili czytać w myślach. Znajac moje szczęście, pewnie to drugie.

Tymczasem on chwycił mój nadgarstek, po czym zaczął ciągnąć mnie przez ciemność, w kierunku plamki światła. Pod wpływem jego dotyku głowę zalały mi dziwaczne obrazy, myśli, wspomnienia. Nie miałam pojęcia, czym są, ale mężczyźni i kobiety w moim umyśle w niczym nie przypominali sol, jakich do tej pory poznałam. Nosili długie szaty i przechadzali się pośród niewiarygodnie pięknej scenerii, na tle jezior, rzek, oceanów. Niektórzy siedzieli na dryfujących marmurowych platformach wiszących nad całymi milami ziemi.

Siret używał swojego daru Oszustwa, by wypełnić moją głowę nonsensami, a mimo to nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że akurat te nonsensy są prawdziwe. Bo znalazłam się w Topii. Ci demoniczni sol przeschmuglowali mnie do pieprzonej Topii!

Po czymś takim nie mogłam już spodziewać się po Emmy, że po prostu mnie zabije. Kiedy się o wszystkim dowie, pokroi mnie na małe kawałeczki, włoży każdy z nich do małego pudełeczka i każdym pudełeczkiem nakarmi jednego bykonia. A później je spali, podzieli popioły bykonia na małe kawałeczki, włoży każdą małą kawałeczkę do małego pudełeczka, a potem...

– Witaj w świecie bogów – odezwał się Rome, kiedy z mroku jaskini wyszliśmy w oślepiająco jasne słońce.

Siret puścił moją rękę tylko po to, by zaraz złapać mnie znowu, ponieważ poleciałam twarzą do przodu. Stopy nie zareagowały dostatecznie szybko na komendę: „Idziesz, dziewczyno!” i zostały w tyle, podczas gdy reszta ciała ruszyła naprzód.

Piękno. To musiało być czyste piękno zaklęte w miejsce. Nie istniały żadne inne słowa, którymi mogłabym opisać to, co zobaczyłam. Wszystko tu błyszczało, tak jak sol, ale milion razy mocniej. Zupełnie jakby bogowie żyli na powierzchni Słońca i wyłączyli jego żar, ale nie blask. Kraina rozciągała się znacznie dalej, niż sięgałam wzrokiem, pełna roziskrzonych jezior, gór i wszystkiego, co obiecywały opowieści o Topii – wszystkiego, co owe opowieści obiecywały sol, którzy mieli stać się bogami. Lecz jednocześnie było to coś więcej niż opowieści i pieśni.

Patrzyłam na to samo, co zobaczyłam w jaskini pod wpływem daru Sireta. Marmurowe platformy o średnicy jakichś dwudziestu stóp dryfowały leniwie nad naszymi głowami. Nie widziałam, czy ktokolwiek na nich był, ale... kogo to obchodziło? Po prostu sobie latały. To była magia. Moce potężniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek widziałam, i piękno większe niż potrafiłam przyswoić.

– Och, teraz w końcu rozumiem. – Musiałam wymamrotać to na głos, bo pięć par lśniących oczu

skupiło uwagę na mnie, a pięć potężnie zbudowanych ciał stanęło wokół w ciasnym okręgu.

– Co w końcu rozumiesz, Kamieniu?

Coen podszedł jeszcze bliżej, ale nie tylko on. Czułam innego z braci tuż za plecami, lecz byłam zbyt przerażona, by odwrócić się i sprawdzić którego.

Usiłując oddychać pomimo rosnącej paniki, wydukałam:

– Rozumiem, dlaczego sol poświęcają całe życie, próbując się tu dostać. To miejsce jest idealne.

Usłyszałam parsknięcie po lewej i w jakiś sposób poznałam, że to Siret.

– Nie pozwól, żeby zwiodło cię piękno – powiedział. – Ten świat jest pełen odrażających dupków, tak samo jak Minatsol.

Odwróciłam się, żeby mu się przyjrzeć. Cały czas odnosiłam wrażenie, że Abklęci żonglowali półprawdami. Mówili jedno, a mieli na myśli zupełnie co innego.

– Skąd tyle wiecie o Topii? Jakim cudem w ogóle się tu dostaliśmy? – zapytałam, przeskakując wzrokiem po twarzach braci. – Jak to możliwe, że znaleźliście wejście i... nie zginęliście po drodze?

Przecież taki powinien być warunek wejścia do Topii. Trzeba było umrzeć i mieć nadzieję, że jakiś bóg obdarzy cię nieśmiertelnością i pozwoli rządzić razem z pozostałymi.

Na moje pytanie odpowiedziała cisza.

To jakieś szaleństwo. Ci sol stanowili wybuchową mieszankę szaleństwa i potęgi. Nie wspominając o grozie i cudowności. I zabrali mnie do Topii. W tej chwili nie mogłam stwierdzić, czy powinnam ich przytulić, czy uciekać przed nimi gdzie pieprz rośnie. Zabrali mnie do świata bogów. Jedyne miejsce, do którego ziemianin nie mógł nigdy trafić. Nigdy.

To szaleństwo... Ale jednocześnie niezwykle dar.

Przestało mnie zupełnie obchodzić, czy zginę z ich ręki. W tej chwili byłam po prostu szczęśliwa. Radość zerwała tamę i z rozpostartymi szeroko ramionami rzuciłam się naprzód, jak zwykle najpierw działając, a dopiero potem myśląc. Udało mi się objąć jedynie trzech, ale to wystarczyło. Przytuliłam ich tak mocno, jak tylko mogłam.

– Właściwie nie obchodzi mnie nawet, jak się tu dostaliśmy. Dziękuję! Nie mogę w to uwierzyć! Jestem w TOPII!

Gadałam jak najęta. Szczęście wydostawało się ze mnie pod postacią niekontrolowanej paplaniny. Coen znajdował się w centrum mojego uścisku, po prawej stronie stał Siret, a po lewej Aros. Ani jeden się nie poruszył. Pozwolili, żebym przytulała ich przez niezręcznie długi czas, a ja nie mogłam uwierzyć, że żaden z nich jeszcze mną nie rzucił aż po horyzont tego świata.

Otoczała nas cisza i spokój krainy bogów. Zupełnie jakbyśmy na jeden klik znaleźli się w czystej perfekcji tego nieśmiertelnego świata, co było całkiem miłe. Na moment zapomniałam, że Abklęci to przerażający sol i pewnie za ich sprawą zostaną poświęcona tym samym bogom, których tak blisko się znajdowaliśmy. Teraz bracia wydawali mi się niemal przyjaciółmi.

Z tyłu rozległo się znaczące chrząknięcie.

– Lepiej, żeby był jakiś powód, dla którego przytulasz ich, a nie mnie – powiedział Yael dobitnie. Tak, zdecydowanie musiał rywalizować o wszystko.

– Czwórko, właśnie zamierzałam... – zaczęłam, ale wszedł mi w słowo:

– Jedyńko! Jestem numerem jeden!

Odsunęłam się od trzech braci i odwróciłam do zirytowanego sol, którego oczy były w tej chwili tak zielone, że nie wyglądały ani trochę naturalnie. W świetle Topii włosy lśniły mu bardziej niż kiedykolwiek w Minatsol. Miały kolor czarnego tuszu wymieszanego ze złotem w taki sposób, że blask przebijał się przez ciemność i wyzierał na zewnątrz.

Był blisko, ale nie pokonał dzielącego nas dystansu. Chciał, żebym ja to zrobiła. Wiedziałam o tym, ale coś trzymało mnie w miejscu. Obok Yaela stał Rome, drugi z braci, który nie padł ofiarą mojego entuzjazmu.

– Nie mamy na to czasu – burknął, ewidentnie czymś zdenerwowany. – Yael, odbierz swojego przytulaska, żebyś mógł poczuć się równy, a potem musimy dotrzeć do Luciu. – Zauważywszy dezorientację na mojej twarzy, dodał: – Tam mieszkają Pierwotni Bogowie.

Zaraz, zaczekajcie jeden cholerny klik...

– Nie możemy tam pójść! Zabiją nas wszystkich. Może i macie chody w Bożylesie, ale tutaj jesteście tylko sol, którzy zakradli się do świata bogów. Nie zostaliście jeszcze wybrani. To samobójstwo!

Rome pokręcił głową.

– Nie, my nie idziemy do Luciu. Ty idziesz.

„Że co?!”

– Dary sol pochodzą od bogów – odezwał się Coen nad moim ramieniem – co oznacza, że bogowie mogą wyczuć naszą energię. Ale ty... jesteś ziemianką. Nie masz żadnych darów. No chyba że zaliczymy do nich brak zdrowego rozsądku i ogólne niezrównoważenie. Ziemianie nie mogą dostać się do Topii, jeśli nie dotkną kogoś z darem. Bogowie nigdy by się tego nie spodziewali. Jesteś najlepszą kandydatką, żeby się tam zakraść.

Miałam przewalone. To dlatego ziemianie i sol nie zostawali przyjaciółmi.

Prychnęłam i przepchnęłam się przez braci, nie próbując nawet być delikatna. To nie miało już znaczenia. Zatrzymałam się kilka kroków dalej. Potrzebowałam trochę przestrzeni. Jeszcze raz przyjrzałam się otaczającemu mnie światu. Chciałam na dobre wyryc go w umyśle, jeżeli to była ostatnia rzecz, jaką miałam kiedykolwiek zobaczyć. Szczególnie oczarował mnie olbrzymi ocean w oddali, tak rozległy, że nikt nie dałby rady dopłynąć na jego przeciwległy brzeg. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego i wiedziałam, że nie zobaczę już nigdy więcej.

– Nie mogę uwierzyć, że przytuliłam tych dupków – wymamrotałam ze złością. – Przytuliłam. Durni Abklęci. Powinna wiedzieć, że z takim nazwiskiem na pewno przyniosą mi pecha. Przeklęci sol. Zupełnie jak moje życie.

Silne ramiona otoczyły mnie od tyłu, po czym zostałam podniesiona z ziemi i obrócona, a w następnej chwili zobaczyłam Yaela. Siła uścisku, jakim mnie potraktował, wydawała się zdecydowanie za duża dla mojego biednego małego serca.

– Nikt nie przytula bez powodu. – Jego szept był jak pieszczota. Jak najśłodsze, najbardziej uwodzicielskie wyznanie. – Nikt nie oddaje się, nie oczekując czegoś w zamian. Zaszczyciłaś nas, mała, brudna ziemianko.

Wow... To miał być komplement czy inwektywa?

Czekał, aż go przytulę, a ja tego nie zrobiłam, co z jakiegoś powodu sprawiło mi ogromny ból. Musiałam więc objąć Yaela za szyję, choć w zasadzie mnie obraził, i obdarzyć go mocnym uściskiem, by złagodzić chłód w jego spojrzeniu. Rozluźniłam się, wtulona w potężne, twarde ciało, i poczułam, że gniew Yaela ustępuje.

To wszystko było szaleństwem. Absolutnie wszystko. Nigdy bym nie pomyślała, że zachowam się tak bezpośrednio wobec jakiegokolwiek chłopaka, a co dopiero wobec pobłogosławionego przez bogów sol. Tymczasem proszę bardzo. Przytulamy się. W Topii.

Cholera, może jednak byłam już martwa i znajdowałam się w piekle? Zauważcie, że powiedziałam: „piekło”. Zdecydowanie nie „niebo”. Choć troszkę czułam się jak w niebie.

Usłyszałam pomruk dobywający się gdzieś z głębi ciała Yaela, a potem załała mnie bijąca od niego energia. W następnym momencie moje stopy znowu dotknęły ziemi, ja zaś zdałam sobie sprawę, że poczułam się nieco osamotniona.

Odsunął się. Powiodłam za nim wzrokiem, niepewna, co się właściwie stało.

– Nie pozwolimy ci umrzeć, Willo – usłyszałam tuż przy uchu głos Coena.

Spojrzałam mu w twarz. Jak zwykle była pełna surowości i przerażająca na dziesięć różnych sposobów. Od razu przypomniało mi się, jak omal nie zastrzelił mnie z kuszy.

– Potrzebujemy twojej pomocy, a potem zadbamy o to, żeby nikt w Bożylesie z tobą nie zadzierał.

Wzięłam głęboki wdech, próbując zebrać w sobie resztki odwagi, a nie zostało tego zbyt wiele – może jedna łyżeczka. Bracia Abklęci nie dawali mi zbyt wielkiego wyboru, ale zadanie było warte wysiłku. Jeżeli uda mi się je wykonać, to w najbliższej przyszłości nauczyciele z Bożylasu nie powinni skazać mnie na śmierć. I doceniałam obietnicę Coena, że bracia nie pozwolą mi zginąć w Topii, co sugerowało, że nie uważają mnie za całkowicie zbędną. No, może odrobinę – powiedzmy

w pięćdziesięciu procentach.

Kiwnęłam głową.

– Dobrze. Zrobię, co w mojej mocy. Tylko pamiętajcie, że chociaż bogowie mogą nie wyczuć mojej energii, to dalej jestem przeklętą niezdara. Znaczą... czasami dzieją się wokół mnie dziwne rzeczy, które raczej rzucają się w oczy. Krwawiące rany, zniszczone wartościowe przedmioty i takie tam. Dlatego niczego nie mogę obiecać. No więc? Co mam zrobić?

Bracia spojrzeli na Yaela, jakby sądzili, że skłonił mnie do współpracy magiczną perswazją. Odpowiedział na ich wzrok krzywym uśmiechem.

– To tylko mały puchar – odezwał się Siret. – Nic wielkiego. Znaczą nic wielkiego dla K.S.T., ale dla nas to bardzo ważne. K.S.T. zabrał go, kiedy ostatnim razem był w Minatsol z okazji turnieju organizowanego co cykl księżycy. Jeśli teraz odzyskamy puchar, nawet się nie zorientuje, że zniknął.

– Kim, u diabła, jest K.S.T.? – zapytałam.

– Bogiem – odparł Siret, jakbym powinna to wiedzieć.

No cóż, biorąc pod uwagę, że byliśmy w Topii...

– Na to sama wpadłam – zapewniłam z kamienną twarzą. – Ale którym?

– I tak nic ci to nie powie. – Siret nagle znalazł się tuż obok i postukał mnie w skroń. – W tym cyklu słońca, kiedy w twojej szkole uczono o K.S.T., tobie zakładano szwy.

Zmarszczyłam brwi – nie dlatego, że znowu mnie obrażał, ale dlatego, że mógł mieć rację. To bardzo prawdopodobne, że nic nie wiedziałam o K.S.T. przez któryś z moich większych lub mniejszych wypadków.

– No dobra, to gdzie jest Luciu? – Odwróciłam się i spojrzałam w górę na jedną z marmurowych platform. – I czy wyrobimy się przed kolacją? Umieram z głodu.

– Ona umiera z głodu – powtórzył Siret, kręcąc głową.

– Będziesz musiała przeniknąć przez następną *kieszonkę*, żeby się tam dostać – rzekł Coen.

Położył mi dłoń w zagłębieniu kręgosłupa, a potem dodał miękko, choć od jego słów zrobiło mi się słabo:

– Przepchnę cię, a wtedy znajdziesz się na głównej platformie Luciu. Jeden z bogów urządza tam ucztę każdego cyklu słońca, to nie ulega wątpliwości...

– Jej! Uczta!

– ...i – wszedł mi w słowo Coen, mocniej naciskając dłonią – puchar jest zawsze przy nim. Na pewno nie przeoczysz tego boga. Nosi purpurę. To jego kolor...

– Jego boski kolor?

– Jeszcze jedno. – Coen kompletnie zignorował moje pytanie i przysunął się jeszcze bliżej, tak że poczułam żar bijący od jego ciała. Pochylił głowę, a jego oddech musnął skórę na moim karku. – To będzie bolało.

A potem pchnął.

Świat wokół mnie zawirował, zamykając się, a potem otwierając ponownie, by odsłonić błękitne niebo nade mną i gładki, różowawy marmur pode mną. Klęczałam na kamiennym podłożu. Auuu... Coen absolutnie nie żartował z tym bólem. Zerknęłam przez ramię i odkryłam, że znajduję się na samym skraju jednej z dryfujących platform. Jak okiem sięgnąć wokoło rozpościerały się całe mile nieba, a niżej dostrzegłam pokrytą śniegiem górę, której podnóże porastał las. Góra sama w sobie wyglądała trochę jak z onyksu, w każdym razie nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Odczołgałam się od krawędzi i podniosłam na nogi. Co za dupki.

– Nie pozwolimy ci umrzeć, Willo – powtórzyłam z ironią, otrzepując ubranie i odgarniając włosy z twarzy. – Tylko teleportujemy cię na platformę w niebie, gdzie umrzesz na sto procent, podczas gdy my zaczekamy sobie w naszej małej, bezpiecznej jaskini.

– Przepraszam? – rozległ się głos po mojej lewej.

Odwróciłam głowę i zapisałam. To coś nie wyglądało do końca jak człowiek, ale z pewnością nie zaliczało się do bogów. Było niemal nagie, nie licząc dziwnego skórzanego okrycia zasłaniającego mniej więcej tyle samo co przeciętna bielizna i ciągnącego się przez brzuch oraz pierś, gdzie rozdzielało się na dwa pasy biegnące przez ramiona. Wciąż jednak widziałam zarysy WSZYSTKIEGO. Chciałam

zakryć oczy – z grzeczności – lecz to coś posiadało twarz, która nie pozwalała odwrócić wzroku. Znajdował się na niej nos, ale nie wydawało mi się, żeby to coś oddychało. Były i usta, nie zauważyłam jednak zębów. Oczy natomiast miały dziwaczną, jakby woskową teksturę.

– Czym ty jesteś, do diabła? – wyszczałam, zanim zdążyłam wpaść na to, że mogłabym zapytać jakoś delikatniej.

– Jestem sługą – odpowiedziało coś. – Nazywam się Jeffrey.

Zamrugałam kilka razy, spoglądając na dziwaczne okrycie stworzenia.

– Bez urazy, Jeffrey, ale mam nieodparte wrażenie, że jesteś... laską.

– Laską? – Jeffrey przekrzywiła głowę i zamrugała woskowymi powiekami. – Wybacz, o Święta, ale nie rozumiem.

Parsknęłam śmiechem.

– Święta?

– Tak, o Święta. Ja jestem sługą, a ty jesteś Świętą. Stworzył mnie Święty Kreator, bym obsługiwał Świętym w Topii.

– Zdecydowanie za dużo tu „stosownych tytułów” – mruknęłam. – Czyli jesteś sługą, tak? I nie jesteś prawdziwa? Nie możesz zepchnąć mnie z platformy, jeśli zrobię coś głupiego?

Jeffrey wydała dziwacznie brzmiący, zgrzytliwy okrzyk, który uznałam za „nie”.

– Dlaczego nazwali cię Jeffrey? – zapytałam, próbując sprawić, żeby wyraz szoku zniknął z jej woskowej twarzy.

– Imiona są przydzielane losowo – odparła Jeffrey. – To nie ma znaczenia, dopóki istnieje jakieś imię, którym Święci mogą mnie wezwać, kiedy czegoś potrzebują.

– Potrzebuję czegoś.

– Jak mogę ci służyć, o Święta?

Spojrzałam na jej łysinę.

– Potrzebuję czapki, czegoś do zakrycia włosów. I tego czegoś, co masz na sobie, cokolwiek to jest. Potrzebuję tego.

Jeffrey wydała kolejny zgrzytliwy okrzyk. Westchnęłam i postanowiłam przeczekać. Dłuższą chwilę w milczeniu kołysałam się na piętach, obrzucając ją oceniającym spojrzeniem. W końcu ukloniła się i odeszła, zapewne w poszukiwaniu czapki. Wątpiłam, by którykolwiek z Jeffreyów nosił czapkę, ale bogowie mogą uznać, że ktoś założył mi ją dla jaj. Bo na pewno robili sobie jaja z takich rzeczy, nie? Może tak naprawdę właśnie to przytrafiało się ziemianom po śmierci – zmieniali się w półnagie topijskie kukły służące. Taka wizja wydawała mi się znacznie gorsza od „piekła”, do którego niby mieliśmy iść.

Z głębokiego zamyślenia wyrwała mnie Jeffrey, która wróciła z czapką w dłoni. Zebrałam włosy z tyłu głowy, a w tym czasie ona posłusznie zdjęła swój fikuśny strój. Z westchnieniem przebrałam się w skórzane coś i na jeden bardzo krótki moment zerknęłam w dół.

– Na pieprzonych bogów – burknęłam. – Dlaczego zawsze muszę odstawiać jakieś zawstydzające rzeczy i paradować z sutkami na wierzchu?

Jeffrey krzyknęła ponownie.

– Nie martw się – powiedziałam, podając jej swoje ubranie. Popatrzyła na nie, a potem upuściła na posadzkę, widocznie preferując chodzenie nago. – Czasami mówię takie rzeczy. Jestem Boginią Żenady.

Zmarszczyła brwi.

– Święty Luke jest Bogiem Wstydu, o Święta.

– Czy ja powiedziałam „wstyd”? – Pokręciłam głową. – Doprawdy, Jeffrey, zachowujesz się, jakbyś miała w głowie tylko powietrze i „stosowne tytuły”. – Uniosłam gwałtownie rękę, ucinając zgrzytliwy okrzyk. – Teraz muszę znaleźć puchar. Możesz mi pomóc?

– Przyniosę puchar, o Święta.

Złapałam ją, zanim zdążyła zniknąć ponownie.

– Stój. Chodzi mi o konkretny puchar. Jest tu ktoś, kto nazywa się K.S.T.? Puchar należy do niego.

Jeffrey pokręciła głową, a jej woskowata twarz zmarszczyła się kuriozalnie. Podejrzewałam, że

to oznaka niepokoju.

– Są tu jakieś bardzo, ale to bardzo specjalne puchary?

– Święty Abil ma puchar. Trofeum Stavitiego.

To imię... było mi znajome, ale nie miałam pojęcia dlaczego. I nieszczególnie się tym przejmowałam.

– Dobra, super. Gdzie go znaleźć?

– Święty Abil zawsze ma go ze sobą.

– A gdzie jest Święty Abil?

– Je. – Jeffrey wskazała na labirynt kolumn ciągnący się ku centrum platformy.

Ruszyłam w tamtą stronę, a gdy weszłam pomiędzy pierwsze gigantyczne filary, usłyszałam echa rozmów i muzyki. Postanowiłam więc kierować się słuchem i podążyć za nimi. Przy niektórych kolumnach stały cokoły z roślinami o płożących się pędach. Zieleń pełzła w górę i wylewała się na marmurową podłogę, zaścielając ją gęstym dywanem. W końcu zauważyłam niewyraźne sylwetki: służących w podobnych, skórzanych okryciach oraz...

Bogów.

Wszyscy wydawali się olbrzymi. Nosili luźne szaty, ciągnące się za nimi po marmurze. Kobiety przyciągały uwagę wysokimi, wiotkimi sylwetkami oraz rozpuszczonymi włosami, które spływały kaskadami po plecach, połyskując i mieniając się cudownymi kolorami. Liczyłam na to, że Coen mnie nie okłamał, bo w zasięgu mojego wzroku znajdował się tylko jeden mężczyzna w purpurze. Stał tuż obok stołu suto zastawionego najbardziej wyszukanyimi potrawami. Wokół pasa miał zawiązany sznur, przy którym dyndał puchar faktycznie wyglądający na trofeum – z tym całym złotym połyskiem i w ogóle.

Podeszłam bliżej i obrzuciłam stół szybkim spojrzeniem. Ostrożnie, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, odwróciłam do góry nogami koszyk z chlebem i wyjęłam niewielki materiałowy woreczek, na którym spoczywało pieczywo, a potem złapałam za nóż.

– Wybacz, o Święty – wymamrotałam, niby przypadkiem wpadając na K.S.T., a tak naprawdę wykorzystując moment zamieszania na przecięcie sznura i złapanie spadającego pucharu do woreczka, który pośpiesznie ukryłam za plecami.

– Uważaj, jak chodzisz – burknął, odwracając się z niechęcią. – Albo zepchnę cię z tej cholernej platformy, beużyteczny śmieciu.

Wow. To chyba było trochę niegrzeczne, co?

– Najmocniej przepraszam, o Święty – mruknęłam, naśladowując ruchy, które wykonywała wcześniej Jeffrey, i cofając się o kilka kroków.

Powinno być wiedzieć... Czemu w ogóle o tym nie pomyślałam?

Cofanie się bez patrzenia nigdy nie wyszło mi na dobre. Z impetem wpadłam na jedną z gibkich kobiet, która straciła równowagę i wyrznęła jak długa, przy okazji powalając stojącego obok boga. Próbuąc się nie przewrócić, zrobiłam chwiejny krok, ale potknęłam się i poleciałam w jej kierunku, kiedy starała się podnieść. Odepchnęła mnie z całej siły, tak że rymnęłam na rozciągniętego na posadzce mężczyznę. Dopiero gdy uniosłam głowę, zdałam sobie sprawę, co się właśnie wydarzyło. Leżałam plackiem na facecie, kurczowo ściskając rękojeść noża, którego ostrze tkwiło w jego brzuchu. Nie... to się nie może dziać...

Dźgnęłam boga w Topii!

Mężczyzna spuścił wzrok na nóż sterczący mu z brzucha i wytrzeszczył oczy. Ja też spuściłam wzrok na nóż sterczący mu z brzucha i wytrzeszczyłam oczy. Nikt się nie odezwał. Całą platformę spowiła ciężka, pełna konsternacji cisza.

Ktoś złapał mnie za tył mojego nędznego okrycia, szarpnął w górę i odwrócił.

K.S.T.

Do tego wkurzony.

– Następny felerny posługacz – burknął, kładąc rękę na środku mojej klatki piersiowej, po czym popchnął.

Mocno.

Powietrze zamknęło się wokół mnie, a cały świat ogarnęła czerń. Zaraz potem – albo sto cykli

życia później, w sumie nie potrafiłam tego określić – wylądowałam na plecach, tracąc oddech podczas gwałtownego zderzenia z ziemią. Ciemność się nie rozstępowała i zajęło mi chwilę, zanim zdałam sobie sprawę, że znajduję się w jakiejś jaskini. Uniosłam się na łokciach, szukając wzrokiem wyjścia. Dostrzegłam w oddali blade światło, ale gdy tylko się poruszyłam, pojawiły się rozmazane kształty i zasłoniły większość blasku. Z wysiłkiem dźwignęłam się na nogi, po czym zaczęłam wlec się w jego kierunku. Pomyślałam, że powinnam sprawdzić, czy z trofeum nic się nie stało. Wyjęłam je więc z worka i przesunęłam palcami po metalowej powierzchni. Na szczęście nie wyczułam żadnych zadrapań ani wklęśnień.

Lepiej, żeby to było warte zachodu.

Kształty przede mną zaczęły się zmieniać, aż przybrały postać ludzkich sylwetek. A dokładniej pięciu.

– Wróciła. – Rozpoznałam głos Rome'a, kiedy w końcu znalazłam się nieopodal wyjścia. To była zupełnie inna jaskinia. – Miałaś rację, Oszustwo. Faktycznie wysłali ją do jaskini wygnania.

– Zawsze mam rację – odpowiedział Siret, a potem zaśmiał się zadowolony z siebie, lecz umilkł, kiedy znalazłam się w zasięgu światła.

– Co to za krew? – zapytał Coen, spoglądając na moją dłoń.

– Dźgnęłam boga – odparłam.

Bardzo szybko przybrał poważną minę, ale byłam pewna, że maskuje rozbawienie.

– Tylko nie utoń w poczuciu winy czy coś.

– No cóż, on nie może od tego umrzeć. I tak jest już martwy, co nie?

Coen posłał mi szeroki, rozbijający uśmiech, który zapał dech w piersi i wymiół z głowy wszystkie myśli. Wpatrywał się we mnie, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy, ale zaraz zmarszczył brwi i zerknął na moją czapkę, a potem w dół na pożyczone od Jeffrey „ubranie”. Powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem, po czym uniosłam głowę i natychmiast tego pożałowałam, bo okazało się, że pozostałe cztery pary oczu przyglądają mi się dokładnie w ten sam sposób.

Usiłowałam sklecić jakieś wyjaśnienie, szukając odpowiednich słów w tej pustce, którą jeszcze do niedawna zasiedlał mój mózg, ale jedynym, co zdołałam z siebie wydusić, było:

– Uhm...

– Co ty, do cholery, masz na sobie? – jęknął Aros, a miękkość jego zazwyczaj aksamitnego głosu zniknęła bez śladu.

OSIEM

Wpierwszym odruchu chciałam się schować.

Robiłam, co mogłam, żeby swoimi idiotycznie małymi dłońmi zakryć nagość... która w tej chwili musiała być podkreślona ładnym odcieniem różu. Ale kiedy pięć par oczu nadal wwiercało się we mnie – oczu należących do gnojków, którzy zawlekli mnie do Topii, żebym ukradła coś bogom – zdałam sobie sprawę z pewnej rzeczy. Otóż, proszę państwa, zaczynałam mieć na to wylane. Będą musieli jakoś z tym żyć.

Wzięłam się pod boki i głosem tak zdecydowanym, jaki umiałam z siebie wydobyć, powiedziałam:

– A wydawałoby się, że widzieliście w swoim życiu już dostatecznie dużo cycków i ci...

Parsknięcie Sireta przerwało mi w pół zdania, ale z pewnością zrozumieli. Zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć coś więcej, Aros ściągnął z siebie koszulę zdecydowanie zbyt drogocenną, bym kiedykolwiek śmiała choćby o niej pomarzyć, a potem złapał mnie za rękę i przyciągnął bliżej. W mgnieniu oka poczułam ciepło tkaniny i jej przyjemną gładkość. Zapewne poświęciłabym więcej czasu na cieszenie się miękkim materiałem – musiał być utkany z magii albo chociaż z czegoś superspecjalnego, zarezerwowanego dla superspecjalnych sol – ale nie mogłam. Wszystko dlatego, że Aros stał przede mną bez koszuli. O święte dzieciątka ziemiańskie. Czy mogę urodzić mu półziemiańskie dzieciątka?

Zaraz... nie. Nie o to mi chodziło. Chciałam powiedzieć: „Zakładaj z powrotem swoją cholerną koszulę”. Cała ta rozświetlona złotem skóra opinająca twarde mięśnie stanowiła naprawdę okropny widok. Wcale nie zamierzałam spędzić więcej niż trzydziestu, może czterdziestu kolejnych klików na wgapieniu się w niego. Zanim dosłownie wywaliłam język, Siret porwał mnie z ziemi i bez wysiłku przerzucił sobie przez ramię ze słowami:

– Chodź, Kamieniu.

A potem ruszył przed siebie jak gdyby nigdy nic.

Co, do cholery? Dlaczego oni ciągle to robili?

Próbowałam mu się wyrwać i choć wiedziałam, że to zły pomysł, kopnęłam najmocniej, jak umiałam. Tak żeby zabolalo. Oczywiście Siret w ogóle się tym nie przejął i tylko mocniej zacisnął wokół mnie ramiona.

– Przestań walczyć. Wiesz, że nie możesz stąd wyjść, nie dotykając któregoś z nas, a ja po prostu nie wierzę, że udałoby ci się to zrobić bez wstrząśnienia mózgu albo ponownej prezentacji gołego dupska.

Czułam, że robię się czerwona, częściowo w związku z wiszeniem głową w dół, ale także z powodu jego słów. Co się stało z moim życiem? Dyndałam sobie bezwładnie, przerzucona przez ramię sol, do tego naga, nie licząc dziwnego skózanego wdzianka oraz pożyczonej koszuli. Kiedy Emmy usłyszy o moich eskapadach, to albo dostanie ataku serca, albo będzie pierwszą osobą, która kopnie w kalendarz, zagadana przeze mnie na śmierć. Najprawdopodobniej jednak odmówi uwierzenia w choćby jedno moje słowo.

Droga powrotna z jaskini była nieco bardziej skalista niż ta prowadząca do Topii. Najwidoczniej bogowie nie chcieli, żeby zesłane tu istoty miały łatwo. Kilka razy wydawało mi się, że dostrzegam coś w ciemności, lecz oglądając świat do góry nogami, trudno mi było stwierdzić, co dokładnie widzę.

– Możesz mnie odstawić? – zapytałam po raz dwunasty. – Nie czuję palców. Zaraz mi odpadną, a kto wtedy będzie słał wasze łóżka? Słanie łóżek bez palców jest dość trudne, poważnie. Nie żeby z palcami nie było, bo jest. Naprawdę musielibyście kiedyś spróbować.

Piskliwy ton mojego głosu już dawno powinien zmiękczyć serca pięciu sol. Z pewnością uwielbiali piszczące dziewczyny. Jak wszyscy mężczyźni, prawda?

Już otwierałam usta do kolejnej tyrody, kiedy zasłoniła je czyjaś dłoń. To był Coen.

– Zamknij się na chwilę, jeśli jesteś w stanie sprostać takiemu wyzwaniu. Zaraz stąd wyjdziemy.

Nie atakują nas tylko dlatego, że mamy puchar.

Kątem oka zauważyłam, że trzyma skradzione trofeum. Nabrałam powietrza, by na jednym wydechu wyartykułować, co dokładnie myślę o traktowaniu mnie w taki sposób, gdy dotarły do mnie słowa Coena. Kto nas nie atakował?

W tym momencie rozedrgane cienie, do tej pory kryjące się w mroku, zrobiły się bardziej wyraźne. Znaczy... na tyle wyraźne, żebym zorientowała się, co nas otacza.

Stworzenia. Całe setki. Groteskowe sylwetki przypominające zjawy.

Coen musiał zauważyć w moich oczach strach, bo powoli cofnął rękę i pochylił się nade mną.

– Kiedy bogowie postanawiają cię wypędzić, trafiasz tutaj – szepnął. – Nie możesz stąd uciec, więc zostajesz w tym miejscu, dopóki twoja fizyczna forma nie zniszczy i nie zostanie po niej jedynie istota cienia.

Głośno przełknęłam ślinę, próbując nie zwymiotować ani się nie rozplakać. Cholerni bogowie... Skazywali na wieczną torturę kogoś, kto spędził długie cykle słońca na podcieraniu ich boskich tyłków.

– Możemy je uwolnić? – zapytałam bardzo cicho, bojąc się przyciągnąć uwagę tych istot.

Było ich tak wiele, że nawet pomimo magicznego odstraszcza w postaci pucharu ich obecność budziła grozę.

Rome zrównał się z bliźniakiem i szepnął mi nad głową:

– Pozostały z nich już tylko złość i żądza zemsty. Jeśli wypuścimy duchy, zaczną siać zniszczenie w całym Minatsol i w krótkim czasie unicestwią wszystkie dziewięć pierścieni.

Po tych słowach w końcu się zamknęłam, próbując nie patrzeć na straszne widoki wokół nas. Straszne i smutne. Chciałabym odzobaczyć te istoty, ale niestety nie ma tak dobrze.

Na szczęście Coen nie kłamał, mówiąc, że jesteśmy blisko wyjścia. Jasność, w kierunku której zmierzaliśmy, z każdą chwilą przybierała na sile, a gdy znaleźliśmy się na skraju jaskini, mimowolnie wzięłam głęboki oddech.

Zakręciło mi się w głowie i zaszumiało w uszach, kiedy Siret odstawił mnie na ziemię. Dobrze, że przytrzymał moje ramiona, inaczej straciłabym równowagę. Pozostali bracia stanęli obok. Myny mieli różne, lecz ani trochę nie zdradzały, czego powinnam się spodziewać podczas opuszczania tego miejsca. Coś mówiło mi jednak, że czeka nas dość trudna podróż.

– Weź głęboki oddech, Willo – poinstruował mnie Aros, a potem wszyscy zrobiliśmy krok poza granicę jaskini.

Poprzednie przejście między światami odbyło się bez silniejszych doznań, lecz tym razem poczułam się tak, jakbym przedzierała się przez namacalne powietrze, a tarcie zdzierało mi skórę z ciała. Jaskinia nie chciała nas wypuścić. Z całej siły zagryzłam wargę, żeby nie krzyczeć z bólu. Smak krwi rozlał się ciepłem po języku, ale nie przestawałam zaciskać zębów. Miałam wrażenie, że agonia trwa całe cykle słońca, a gdy w końcu znaleźliśmy się na zewnątrz, bezwładnie poleciałam do przodu.

Zacisnęłam palce na miękkiej trawie, starając się przetrzymać ostatnie fale bólu, a kiedy minęły, usiadłam na piętach i nerwowo przesunęłam dłońmi po całym ciele, by sprawdzić, czy skóra aby na pewno jest na swoim miejscu.

W moim polu widzenia pojawiły się eleganckie buty, a czyjaś sylwetka zasłoniła światło.

– Wszystko w porządku, Kamieniu? Naprawdę cholernie ciężko przechodzi się przez granicę strefy wygnania.

Wiedziałam, że to Coen. Jak można się domyślić, sol obdarzony darem Bólu wrócił do siebie jako pierwszy.

Wsunął mi ręce pod pachy i bezceremonialnie postawił na nogi. Spojrzałam w jasnozielone oczy, a w następnym momencie aż cofnęłam się o krok na widok mocno rozszerzonych źrenic. Usiłowałam odgadnąć, co spowodowało tę zmianę. Znając mnie, to mogło być cokolwiek. Może miałam śpiączka na głowie? Te paskudy zawsze wisiały gdzieś w górze, ukryte w klejących białych sieciach, a kiedy najmniej się spodziewałaś, opadały ci na włosy. Przez większość czasu w ogóle nie wiedziałaś o ich obecności, więc bez problemów mogły sobie uwić gniazdo. Mieszkały na twojej głowie, miały dzieci, a na koniec gryzły cię i zabijały. I to tylko dlatego, żebyś nie mógł nikomu powiedzieć, że tu były.

Ręce zaczęły mi drżeć jak szalone. W siódmym kręgu widziałam kilka przypadków śmierci

spowodowanej śpiączkami i nie miałam najmniejszego zamiaru podążyć tą drogą. Nigdy, przenigdy w życiu!

Podskoczyłam jak oparzona i zaczęłam dziko płasnąć po trawie, nerwowo trzepiąc włosy, miotając głową na wszystkie strony i popiskując cienko. Coen przyglądał mi się w osłupieniu z jedną brwią uniesioną nieco wyżej od drugiej, co zdołałam zauważyć, kiedy dopadłam do niego na chwilę, wrzeszcząc w panice:

– Wypadł?!

Niewielu rzeczy się bałam, ale obrzydliwe, wielonożne i dziwnie wyglądające stworzenia zajmowały wysokie miejsca na mojej liście. Niemal na samym szczycie. Tylko kilka pozycji pod powracającym czasem snem, w którym ktoś obwoływał mnie królową. Na szczęście nie mieliśmy już monarchii, ponieważ bogów za bardzo wnerwiało, że czci się kogokolwiek poza nimi.

– Co ta ziemianka wyprawia? – spytał Siret, przystając obok brata. – Straciła rozum? Szybko poszło.

– Jestem prawie pewien, że próbuje pozbyć się robaka. Widziałem już coś takiego w Bożylesie – mruknął Aros.

– Pomóżcie mi! – zawołałam, wznosząc się na wyżyny swojej ruchliwości.

Co było z nimi nie tak?! Mieli nadzieję, że zginę od skrytego ataku śpiączka?

Coen w końcu mnie złapał i przytrzymał w miejscu. Szarpałam się zaciekle, dopóki nie dotarło do mnie, że to próżny trud. Nigdy mu nie ucieknę.

– Nie siedzi na tobie żaden robak – powiedział powoli, jakby przemawiał do idiotki.

– No to... – wybelkotałam. – No to dlaczego tak na mnie patrzyłeś? Zrobiłeś się taki ponury i mroczny i myślałam, że to śpiączek.

Kącik jego ust drgnął, co mogłam odczytać jako oznakę rozbawienia, ale kącik oka zrobił tak samo, a to już bardziej sugerowało gniew. Zanim zdążyłam rzucić się na ratunek relacji, którą – jak sądziłam – budowałam z Coenem, przesunął kciukiem po moich ustach.

– Masz krew na twarzy – powiedział. – Zraniłaś się podczas przejścia?

Gapiałam się na niego jak bykoń na malowane wrota, podczas gdy on wodził kciukiem tam i z powrotem po brzegu mojej dolnej wargi. Jeżeli faktycznie byłam zakrwawiona, to w tej chwili tylko bardziej wszystko rozsmarowywał – czemu nie należało się dziwić, bo w ogóle nie zwracał uwagi na to, co robi. Patrzył mi prosto w oczy z intensywnym skupieniem.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, pojawił się Aros.

– Jak mogła się zranić? Przecież upewniliśmy się, że przejście działa na ziemian tak samo jak na nas. I dotykaliśmy jej!

Już wyciągałam ręce, by go pocieszyć, ale w ostatniej chwili uznałam to za zły pomysł.

– Po prostu ugryzłam się w wargę. Nic mi nie jest.

Za sobą usłyszałam parsknięcie. No dobra, fakt. „Nic” to trochę przesada, ale podczas przejścia do Minatsol nie stała mi się krzywda. Powinnam wyrażać się bardziej precyzyjnie.

Trzymający się na uboczu Yael najwidoczniej nie zamierzał dłużej tu sterczeć. Odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył przez gęstwinę. Pozostali Abklęci raz jeszcze omiętli mnie spojrzeniem, po czym kolejno podążyli za bratem. Zamykający pochód Siret sprzedał mi kuksańca, dając w ten sposób do zrozumienia, że powinnam iść przed nim. Nie wiem czemu, ale miałam nieodparte wrażenie, że mruknął coś o powstrzymaniu ziemianki przed skręceniem sobie karku.

Jakiś czas przedzieraliśmy się przez zarośla. Gdy wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń, rozejrzałam się dokoła i dotarło do mnie, że nie rozpoznaję tego miejsca. Jak okiem sięgnąć, otaczały nas porośnięte trawą i niskimi krzewami pagórki.

Siret szturchnął mnie znowu. Jego bracia byli już spory kawałek przed nami, więc przyśpieszyłam kroku.

– Gdzie my jesteśmy? Tędy nie wchodziliśmy do Topii – spytałam, zerkając na sol przez ramię.

Nie odpowiedział. Czyżby zamierzał mnie zignorować? Poważnie? Znalazłam się tutaj, bo potrzebowali zdobyć przedmiot, który prawdopodobnie pierwotnie wcale do nich nie należał, nieważne, co za kit mi wciskali. Instynkt podpowiadał mi, że to Abklęci ukradli puchar bogom, a bogowie go

odzyskali. Ja natomiast okazałam się jedyną frajerką, którą mogli namówić do udzielenia im pomocy, a teraz czekała mnie pewna i bolesna śmierć z ręki bardzo wkurzonego bóstwa.

– Jaskinia wygnania znajduje się po drugiej stronie Minatsol – odpowiedział w końcu Siret leniwym tonem, jakby okropnie nie chciało mu się marnować energii na rozmowę ze mną. – Czeka nas marsz przez kilka cykli słońca.

– Że co?! – wrzasnęłam, zatrzymując się gwałtownie. – Ale przecież byłam w Topii może z rotację temu. Wśród bogów spędziłam najwyżej pół. Jak mogliście dotrzeć do tej jaskini w ciągu pół rotacji, jeżeli droga powrotna ma nam zająć kilka cykli słońca?

Siret szturchnął mnie znowu, ewidentnie niezadowolony, że się zatrzymuję.

– Te cykle słońca zmieniają się za chwilę w cykle księżyca, jeżeli nie zaczniesz iść, ziemianko. Nie zmuszaj mnie, żebym znowu cię niósł, bo tym razem będzie to zdecydowanie mniej przyjemne.

Oczy przesłoniła mi czerwona mgła. Byłam tak wściekła, że kiedy otworzyłam usta, naprawdę zaskoczył mnie brak buchającej z nich pary.

– To wy mnie w to wciągnęliście! Jak, do diabła, mam wytłumaczyć tak długą nieobecność w Bożylesie?

Siret musiał zdać sobie sprawę, że nie zamierzam się ruszyć. Pochylił się nade mną, po czym odezwał się ostrym tonem:

– Będąc w Topii, można bardzo szybko dotrzeć do jaskini wygnania, dlatego znaleźliśmy się w niej jeszcze przed tobą. Teraz jesteśmy w Minatsol, a tutaj nie istnieje żaden skrót prowadzący do akademii. Mogliśmy przejść przez Topię, ale po twojej kradzieży byłoby to zbyt ryzykowne. Bogowie z reguły biorą takie rzeczy na poważnie. Bardzo szybko zaczęliby cię szukać. A biorąc pod uwagę fakt, że dźgnęłaś jednego z nich... Cóż, po tej stronie jest dużo bezpieczniej.

No dobra, to miało sens. Odwróciłam się z westchnieniem i ruszyłam przed siebie bez słowa.

– Och, i jeszcze jedno, Kamieniu – dodał Siret, a ja spojrzałam na niego przez ramię. – Dopilnujemy, żeby nikt w Bożylesie nie wymierzył ci kary za twoją nieobecność. Mamy tam więcej niż trochę do powiedzenia.

„Jak tam sobie chcesz, arogancki dupku”.

Emmy oszaleje z niepokoju. Pewnie postanowi przeprowadzić śledztwo i zacznie zadawać wszystkim całą masę pytań, aż każda żywa istota w akademii zostanie powiadomiona o mojej nieobecności. Nie ma mowy, żeby Yael potrafił za pomocą swojego daru zmusić całą społeczność do zapomnienia. To wymagałoby więcej mocy, niż mógł posiadać sol – mocy boga. Wiedziałam, że nie jestem w stanie nic z tą sytuacją zrobić, ale nie powstrzymywało mnie to przed odchodzeniem od zmysłów z niepokoju. Przekłęci sol!

Maszerowaliśmy przez większą część cyklu słońca, podążając ścieżkami wijącymi się wzdłuż gór. Stopy zaczęły mnie boleć zdecydowanie za szybko, abym bez totalnej kompromitacji mogła zacząć głośno się uskarżać, ból zaś powoli przemieszczał się w górę nóg.

Zmieniliśmy nieco konfigurację i teraz szłam za Coenem i Rome'em, a przed trojczkami, próbując podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Więc... wasza matka... Ona nadal żyje? – rzuciłam przez ramię, starając się mówić pomimo kłucia w żebrach.

– Czy to normalne, że ziemianie zadają sobie takie pytania? – parsknął Siret, najwyraźniej rozbawiony.

– Przepraszam. – Wcale nie zabrzmiałam, jakby było mi przykro, ale to przez rżenie. – Chodziło mi tylko o to, że... No wiecie... Was jest trzech, ich dwóch. – Urwałam, przystając na moment i opierając dłonie na kolanach, by złapać oddech. – A tamci są wielcy jak jakieś potwory. Jak ona przeżyła to wszystko? Jakiś dar Płodności czy coś? Może macie gdzieś schowaną jeszcze jedną grupkę braci? Więcej Abklętych? Albo kilka nieszczęśliwych sióstr?

– Piękno. Jej darem jest Piękno – odparł Aros, ignorując pozostałe pytania.

– Och... Super.

Tak, to miało sens. Ci chłopcy byli posiadaczami magicznego zestawu genów.

– Ale to nie wyjaśnia tej całej bliźniaczo-trojczkowej akcji – dodałam.

– Bliźniaczo-trojaczkowej akcji? – Yael posłał mi lekko poirytowane spojrzenie.

– No ej! To nie jest jakoś szczególnie normalne albo powszechne – odparłam wymijająco, znowu ruszając w drogę. – W sensie... urodzić bliźniaki, a potem jeszcze trojaczki. To dość niespotykane.

Czułam, że Yael jest za moimi plecami, że nade mną góruje. Ewidentnie poruszyłam bardzo delikatny temat. Najwidoczniej średnio mieli ochotę rozmawiać o bliźniaczo-trojaczkowej akcji. Uparcie skupiałam wzrok przed sobą, przebierając swoimi małymi ziemiańskimi nóżkami tak szybko, jak tylko mogłam.

– Nie jesteśmy normalni ani powszechni – mruknął w końcu Yael, łapiąc mnie za biodra i podnosząc bez wysiłku w połowie kolejnego energicznego kroku.

A potem cisnął mną do tyłu. Byłam tak tym zaskoczona, że nawet nie pisnęłam. Myślałam, że wyląduję na tyłku i połamię sobie kilka kości, lecz zamiast tego uderzyłam w twardą klatkę piersiową, a czyjeś ramiona chwyciły mnie mocno i uchroniły od upadku.

Aros.

Poczułam jego zapach, tę lekką mieszankę czegoś uzależniającego i słodkiego, jakby skarmelizowanego. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to od palenia cukroślin. Dobrze znałam ten aromat, jako że cukrośliny były jednym z naszych głównych towarów eksportowych.

Zerknęłam na Arosa, ale on nawet na mnie nie spojrzał. Po prostu sobie szedł, zupełnie jakbym nie została mu rzucona w objęcia, a on wcale mnie nie złapał. Jakby każdego cyklu słońca leciała na niego – dosłownie – jakaś laska.

Pewnie tak było.

– To jak często zakradacie się do Topii? – zagadnęłam, by przerwać krępujące milczenie.

Najpierw spojrzał mi głęboko w oczy, a potem omiół wzrokiem resztę mojej osoby.

– Od czasu do czasu. A jak często ty lądujesz na tyłku?

– Od czasu do czasu.

Pokręcił głową, przyciągając mnie bliżej.

– Powinnaś być ostrożniejsza.

– Powiedział koleś, który zakrada się do Topii.

– Martwisz się o nas, Kamieniu? – wtrącił Siret, po czym błysnął białymi zębami w uśmiechu.

– Nie – odparłam, krzyżując ręce na piersi.

Trudno wyglądać obojętnie i onieśmielająco, gdy ktoś niesie cię jak dziecko, więc zadowoliliam się obrażoną miną. Na ten widok Aros uśmiechnął się nieznacznie, po czym uniósł mnie wyżej. Reszta świata odpłynęła gdzieś w dal, kiedy złoto w jego oczach stało się wyraźniejsze, a twarz przysunęła się bliżej.

Bez żadnego ostrzeżenia dotknął wargami kącika moich ust. Byłam zbyt szokowana, żeby zareagować. Trudno nazwać coś takiego pocałunkiem, ale moje ciało zdawało się mieć to gdzieś. Zwykle muśnięcie warg posłało przez nie wirujący żar i zupełnie zablokowało przepływ powietrza, które powinno wydostać się z moich płuc dobrą chwilę temu. Aros tymczasem podniósł głowę i jak gdyby nigdy nic poszedł dalej. Za to ja byłam niemal pewna, że jakimś sposobem sięgnął prosto do mojej piersi i wyrwał z niej biedne ziemiańskie serduszko, które teraz leżało gdzieś za nami. W brudzie. Bijąc żałośnie.

– Uwodzenie używa swojego talentu, żeby dostać wyższą rangę! – zawołał Siret, a jego głos rozbrzmiał tak donośnie, że aż się wzdrygnęłam.

Daleko z przodu Coen i Rome zatrzymali się jak wryci i odwrócili w naszą stronę, a zachodzące słońce zmieniało ich obu w złowrogie ciemne sylwetki. W tym momencie dotarło do mnie, że naprawdę nie powinnam zachęcać braci Abkłętych do rywalizowania o miejsce w zmyślonym rankingu, bo wyglądali na zdecydowanie zbyt potężnych, by zadzierać z nimi tylko dla rozrywki.

– To oszustwo! – krzyknął Coen.

– Kto oszukuje, ten idzie do piachu! – dodał Rome równie gromko.

Dlaczego, do diabła, też w to grał, skoro wiedział, że nie ma żadnego prawdziwego rankingu?!

W myślach nakazałam sobie wyjaśnić całą sprawę, otworzyć tę swoją gębę, która zawsze pakowała mnie w tarapaty, i powiedzieć im wszystkim to, co Yael i Rome ewidentnie zachowali dla

siebie. A może wcale nie. Może po prostu zupełnie ignorowali fakt, że ranking nie ma nic wspólnego z nimi i z numerami ich pokoi, bo o to nie dbali. Bo robili z tego rywalizację. Bo najwidoczniej chcieli, żeby jeden z ich braci mnie zamordował.

Musiałam powiedzieć prawdę najszybciej jak się da.

Dogoniliśmy już pozostałych i wszyscy gapili się na Arosa, najwyraźniej oczekując wyjaśnień – co mnie irytowało, bo nie mieli prawa tak po prostu zorganizować sobie zawodów, nie pytając o moją zgodę. Ostatecznie ja wszystko wymyśliłam, a oni nie mogli ot tak sobie ukraść mojego pomysłu. Poza tym Aros wciąż trzymał mnie jak dziecko, co z jakiegoś powodu wywoływało coraz większą irytację. Chciałam stać na własnych nogach, najlepiej górując nad nimi wszystkimi.

– Mój ranking, moje zasady – wyrwało mi się.

– Czyli jednak możemy używać naszych... – zaczął Rome, ale uniosłam ostrzegawczo dłoń.

„O nie. Mowy nie ma, żeby Miażdźciel użył na mnie swojego talentu”.

Przez chwilę patrzył na moją wyciągniętą rękę, wyraźnie zdezorientowany. Bardzo możliwe, że do tej pory nikt nie próbował mu przerwać.

– Nie, nie możecie! – krzyknęłam ze zdecydowaniem.

Wywinęłam się z ramion Arosa i wylądowałam w trawie na kolanach. Na krótki moment zrobiło mi się czarno przed oczami, ale zdusiłam jęk bólu i szybko poderwałam się na nogi.

– Nikomu nie wolno używać na mnie talentów, żeby zmienić swoją rangę. To byłoby oszustwo. Tak jak powiedziałam, mój ranking, moje zasady.

Zdawałam sobie sprawę, że robię rzecz dokładnie odwrotną do tego, co powinnam zrobić, ale wydawało mi się, że to dość obiecujący sposób na powstrzymanie Abklętych przed używaniem na mnie mocy. Koniec, kropka.

– W sumie możemy zatrzymać się tu na noc – mruknął pod nosem Coen, przerywając pojedynek na spojrzenia, jaki toczyłam z jego braćmi. – Ziemiańska robi się marudna. Trzeba ją nakarmić, nawodnić i dać odpocząć, czy czego tam potrzebują ziemianie.

– Mylisz nas z bykoniami. – Pokręciłam głową urażona.

– Nie potrzebujesz karmienia? – zapytał z obojętną miną.

– Miło byłoby coś zjeść.

– I nie potrzebujesz nawodnienia?

– W sensie, że oblania wodą, prysznic czy wody do picia?

Maska obojętności, jaką przybrał, pękła jedynie odrobinę, lecz to mi wystarczyło, by uchwycić czające się pod nią zdziwienie. Nie odpowiedział, tylko wymienił spojrzenia z Rome'em. Pozostali również milczeli, a na ich twarzach pojawił się ten sam dziwnie pusty wyraz.

– Potrzebujesz pomocy, żeby wziąć prysznic? – zapytał w końcu Siret, poddając się jako pierwszy i najwidoczniej poruszając kwestię, nad którą wszyscy się teraz zastanawiali. – Ziemiańska nie kąpie się sami?

– Co? Nie. CO? Chodziło mi o...

– Ta rozmowa prowadzi donikąd – przerwał mi Rome, ostrzegawczo unosząc dłoń przed moją twarzą.

Aha, czyli Abklęci lubili rywalizację, a do tego byli mściwi.

– Ziemiańska musi się sobą zająć. Oni potrzebują regularnych przerw i pożywienia, zupełnie jak bykonie.

– A wy nie potrzebujecie regularnych przerw i pożywienia? – zapytałam, krzyżując ramiona na piersi i usiłując spojrzeć na nich z góry.

Aż za dobrze wiedziałam, jak wiele opieki sami wymagali. Byli jak duże, rozpieszczane dzieci, które potrzebują służących, bo nic wokół siebie nie potrafią zrobić.

– Nie potrzebujemy niczego regularnego – odparł Rome ze śmiechem.

– Dokładnie – dodał Yael. – Nasze przerwy nigdy nie są normalne, nasze jedzenie też nie.

Właśnie tym różnimy się od bykoni i ziemian. Wszystko w nas jest wyjątkowe.

– Zwłaszcza wasze ego – prychnęłam.

– Powiedziałem „wszystko”, czyż nie?

DZIEWIĘĆ

Pokręciłam głową i energicznym krokiem minęłam Yaela, przy okazji dając mu kuksańca w ramię. Bolało dokładnie tak, jak można się spodziewać po uderzeniu w głaz, ale nie tylko miałam mnóstwo doświadczenia w doznawaniu bólu. Byłam też wprawiona w odmaszerowywaniu ze złością. Znajdowałam się na znajomym terenie – znaczy... przez chwilę, dopóki niebo nie zaczęło ciemnieć i zasnuwać się ciężkimi chmurami, a nad horyzontem w przyspieszonym tempie zapadła noc. Zatrzymałam się, spoglądając w górę i czując rosnącą panikę.

– Co, do kur...

Ledwie zdążyłam się odezwać, a Abklęci już otoczyli mnie ciasnym kołem.

– Jakiego boga dźgnęłaś, ziemianko? – warknął Rome, lustrując wzrokiem zbocze wzgórza nieopodal.

– Jakoś nie zarejestrowałam jego imienia – odpowiedziałam mimowolnie.

Zdałam sobie sprawę, że przysuwam się bliżej Rome'a, choć wydawał się na mnie ostro wkurzony. Nic nie mogłam na to poradzić, miał najszerwsze plecy. Dotknęłam go w końcu, mimo że nie zamierzałam, a on niespodziewanie zagarnął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Świat ciemniał coraz bardziej, a ziemia pod naszymi stopami zaczęła dudnić.

– Proszę, nie pozwólcie mi teraz umrzeć – szepnęłam, przyciskając kurczowo zaciśnięte pięści do piersi. – Nie jestem na to gotowa... Jeszcze nie. Ciągle nie nauczyłam się gotować, no i chciałabym kiedyś uderzyć kogoś w twarz nie przez przypadek. Chociaż ra...

– Ciiiiii – przerwał mi Aros. Najwidoczniej słyszał moje przepełnione paniką modlitwy. – Dźgnęłaś jednego z nich. Nie zrobią tego, co chcesz, tylko dlatego, że ładnie poprosisz.

– Nie przyszli tu po nią – odezwał się Yael ponuro. – Oszustwo, wiesz lepiej niż my... Czy to K.S.T.?

– Nie, to nie żadna sztuczka – wycedził Siret przez zaciśnięte zęby. – On nie ma pojęcia, że ukradliśmy puchar.

– Pokaż się! – zawołał nagle Coen, a jego donośny głos aż zadudnił mi w uszach. Miałam wrażenie, że zatrzęsł liśćmi drzew rosnących na skraju lasu nieopodal.

Dosłownie chwilę później z zielonej gęstwiny wyszedł mężczyzna i ruszył w naszym kierunku. Miał na sobie krwistoczerwoną szatę, która ciągnęła się po ziemi, zbierając patyki i inne śmieci.

– Rau.

Zbiorowe warknięcie zdradziło mi imię przybysza. Poczułam nawet delikatną wibrację pod palcami, kiedy wypowiedział je Rome.

– O co chodzi z tą iluzją koszmaru, Rau? Czego chcesz? – zapytał Yael, wychodząc z kręgu.

Próbowałam odsunąć się od Rome'a, by lepiej widzieć przybysza, ale reszta braci skutecznie zasłoniła mi widok, bo gdy tylko Yael się ruszył, pozostali zacieśnili krąg wokół mnie.

– To nie iluzja – odparł Rau dziwnie wysokim głosem, niepasującym do jego imponującej postury. Przez to wydawał się nieco szalony i miałam wrażenie, że lada moment wybuchnie maniakałnym śmiechem. – To tylko odrobina zabawy. Kogo tam chowacie?

– Aktualną maskotkę Coena. Zdaje się ją lubić, więc próbujemy jej nie odstraszyć.

– Myślałem, że strach stanowi dość istotną część zabaw Coena. – W tym momencie Rau naprawdę wybuchnął maniakałnym śmiechem.

Zadrzałam i odruchowo wtuliłam się w Rome'a. Byłam niemal pewna, że Rau jest bogiem, bo nosił jedną z tych zwiewnych szat i przy zwyczajnym sol wyglądałby na olbrzyma. Obok Yaela wydawał się wręcz przeciętny. Tak czy siak, nie miałam ochoty dłużej na niego patrzeć. Nie obchodziło mnie nawet, że Abklęci robili ze mnie przyglupią ziemiańską zabawkę. Chciałam, żeby niebo znowu wyglądało normalnie i żeby ten cały Rau przestał się odzywać, bo jego głos brzmiał cholernie przerażająco.

– Przejdźmy do miejsca, w którym mówisz nam, co tutaj robisz – powiedział Rome, zapewne

doskonale świadom mojego strachu.

– Myślę, że wszyscy doskonale znacie odpowiedź – odparł Rau, kiedy w końcu przestał się śmiać. – Od setek cykli życia nie było innego boga Chaosu. Gdy jakiś pojawia się na horyzoncie, Staviti zawsze znajduje sposób, żeby go zabić. Potrzebuję czyjejś pomocy. Kogoś, kto ma dostęp do Bożylasu. Kto znajdzie ucznia Chaosu i ochroni go, dopóki ten nie osiągnie progu swojej mocy. Potem będzie mógł umrzeć. Bez względu na to, co wymyśli Staviti, żeby zgładzić ucznia Chaosu, nie powstrzyma go przed dołączeniem do mnie.

– Jest pewien drobny problem z tym planem – odparł Yael z rozbawieniem w głosie. – Nie chcemy kolejnego Chaosu. Znaczący wiesz, bez urazy, Rau, ale to kurewsko wyczerpujące.

Mroczna twarz boga pociemniała jeszcze bardziej. Liczyłam uderzenia swojego serca, czekając na wszystkie te straszne rzeczy, jakie miały zrodzić się z boskiej furii.

Raz... dwa... trzy... cztery...

Jego następne słowa były chmurą szeptów, które sączyły się wąskimi strużkami przez powietrze i w jakiś sposób wypełniały rozległą przestrzeń wokół nas.

– Z pewnością wiecie, że nie najlepiej znoszę odrzucanie moich sugestii. Wasza piątka ignorowała nasze zasady zdecydowanie za długo. Nie zapominajcie, że mieszkacie teraz pośród brudnych ziemian i każdego cyklu słońca stajecie się coraz słabsi. Nie chcielibyście, by któryś z bogów wykorzystał teraz wasze położenie, prawda? Mogę zadbać o to, żebyście nie mieli tu więcej problemów. Musicie tylko znaleźć moją Betę.

Ramię Rome'a przycisnęło mnie odrobinę mocniej. Nie zauważyłabym tego, gdybym nie zwracała tak dużej uwagi na każdą część ciała przyciśniętą do sol. Oczywiście ta swoista nadwrażliwość martwiła mnie znacznie mniej niż fakt, że mocniej zacisnął ramię! Czyżby się bał? Cholera, oczywiście, że się bał. Przecież to bóg i nie miało znaczenia, że Abklętych jest pięciu. Jeden bóg mógłby unicestwić ich w mgnieniu oka.

Niedobrze, ja... Co, do diabła, mam zrobić?

W panice przegapiłam odpowiedź braci na zawołaną groźbę Rau. Usłyszałam tylko ostatnie słowa Sireta:

– ...rzucaj nam wyzwania, to byłby błąd. Nie przyjmujemy rozkazów od nikogo, nawet od ciebie.

Rau wyszczerzył zęby, co w jakiś sposób wydało mi się jeszcze bardziej złowieszcze niż poprzedni mroczny grymas.

– Zobaczmy, chłopcy, zobaczmy. Uważajcie na siebie tej nocy. Wygląda na to, że nadciąga burza.

Z tym w-ogóle-nie-strasznym-pożegnaniem Rau odwrócił się i wśród łopoczących czerwonych szat ruszył między drzewa. Poczułam, kiedy jego obecność zniknęła z Minatsol. Powietrze wokół jakby się rozrzedziło, mimo że burza zdawała się przybierać na sile, ale jej zajadłość nie mogła równać się z gniewem piątki stojących wciąż wokół mnie sol. Ich mięśnie napinały się, a ciała zdawały się rosnać. Próbowałam wydostać się z objęć Rome'a, żeby móc lepiej im wszystkim się przyjrzeć i zapytać, co, do diabła, właśnie się wydarzyło.

Obdarzony darem Siły sol rozluźnił uścisk, ale nie zabrał ręki z mojego ramienia i sprawnie mnie podtrzymał, kiedy się potknęłam. Z jakiegoś powodu wiedział, że się potknę. No dobra, każdy o tym wiedział. Po prostu nie przywykłam, że ktoś może zdawać sobie z tego sprawę i być przygotowanym do reakcji. „Nie przyzwyczajaj się”, powiedziałam sobie z mocą. Abklęci nie zawsze będą w pobliżu, by mnie złapać, i musiałam o tym pamiętać. Powinnam odsunąć od siebie te wszystkie męczące w głowie emocje, które budzili. Czasami traktowali mnie niemal jak równą sobie – na przykład wtedy, gdy z powodu głupiego zakładu uratowali moje dupsko przed złożeniem w ofierze. Albo przed chwilą, kiedy uformowali ochronny krąg, jakbym była kimś wartym zachodu. Ziemianką, która naprawdę coś dla nich znaczyła. Znaczący się... ziemianką, która coś znaczyła, kropka.

Ale zdarzały się też sytuacje, w których traktowali mnie jak brud pod swoimi stopami. Tak jak z założenia powinno być. Musiałam uważać, by nigdy nie zapominać, gdzie moje miejsce. Ziemian, którzy to zrobili, spotykał los gorszy niż śmierć. Stawali się Jeffreyami. Albo czymś podobnym, w sumie to nie wiedziałam. Zakładałam po prostu, że stanie się Jeffreyem to najgorsza rzecz, jaka może przytrafić

się naszemu rodzajowi.

Pora przypomnieć im wszystkim, że jestem bardzo emocjonalną ziemianką.

– Który z was zamierza mi powiedzieć, co, do jasnej ciasnej, właśnie się wydarzyło? – Tak... Przejście do ataku wydawało mi się naturalną reakcją. – Jakim, kurde, sposobem bóg po prostu wyszedł sobie z Topii, żeby z nami pogadać? Co, do ciężkiej cholery, jest z tą całą pogodą, burzą i piernik wie czym? Co wy, do diabła, ukrywacie? Możecie wejść do Topii... Znacie kolory bogów... CO, DO LICHA?!

Możliwe, że pod koniec zaczęłam krzyczeć, i możliwe, że wywołało to mnóstwo dyszenia i rżenia, gdy już zamilkłam. Cholera, musiałam popracować nad kondycją. Ścielenie łóżek ewidentnie nie wystarczało, żeby poprawić wytrzymałość.

Kiedy tak sapałam, pięć par oczu obserwowało mnie bacznie, a każda z nich błyszczała nienaturalnie w ciemności. Czy to możliwe, że ci sol byli ekstrawyjatkowi? No tak, w sumie mówili, że są, ale sądziłam, że po prostu przemawia przez nich arogancja. Nie brałam tych słów aż tak poważnie.

Dlaczego nikt mi nie odpowiadał?!

Już miałam ponownie przejść w tryb szalonej ziemianki, kiedy niebo rozerwało się nad nami z głośnym grzotem. Rau dotrzymał swojej obietnicy o burzy. Ktoś porwał mnie z ziemi, a potem zaczął biec. Tylko błysk złota i delikatny zapach palonego cukru powiedziały mi, że to Aros. Ściśle otoczył mnie ramionami, by uchronić przed uderzeniami gałęzek, i pędził co sił w nogach.

– Musimy dostać się wyżej! – usłyszałam krzyk Sireta, który najwidoczniej znajdował się na przedzie. – Znam dobre miejsce!

Wyżej? W Minatsol nigdy nie padało aż tyle, żeby należało martwić się powodzią. Zaczynałam myśleć, że na dobrą sprawę nic nie wiem o tym świecie czy bogach. Chyba powinnam była bardziej uważać na lekcjach. Emmy z pewnością o tym wszystkim wiedziała.

Wokół panowała niemal kompletna ciemność, a bieg z pełną prędkością przez gęsty las wprawiał mnie w przerażenie. Ledwie widziałam śmigające obok drzewa, a świadomość, że lada moment z ogromną siłą uderzę w jedno z nich, kazała mi mocniej wcisnąć twarz w pierś Arosa. Dziewczyna mogła z łatwością przywyknąć do bycia przyciskaną do piersi jednego z Abkłętych za każdym razem, gdy świat postanawiał oszaleć. Przynajmniej jakiś plus tego całego zasranego dramatu, w jaki sol zamienili moje życie.

Miałam świadomość, że rozmawiają między sobą, ale byłam zbyt zmęczona i przemarznięta, by słuchać. Pozwoliłam umysłowi odpłynąć.

Musiałam naprawdę zasnąć, bo przecież szalona burza i zgubienie się gdzieś w Minatsol to idealna sytuacja, żeby umożliwić się wygodnie i uciąć sobie małą drzemkę. Winą za to postanowiłam obarczyć jakieś czterdzieści milionów mil, które przeszliśmy do tej pory. Nie miało to nic wspólnego z Arosem oraz kojącym działaniem jego silnych ramion. W ogóle.

Otworzyłam oczy i przez chwilę próbowałam zebrać myśli. Pomarańczowa poświata rozpraszała mrok. Nie było mi już zimno i zdałam sobie sprawę, że znajduję się w jaskini, a ciche trzaski, które słyszę, to zapewne ognisko. Leżałam pod ścianą, zaś do mojego boku przyciskało się coś ciepłego. Odwróciłam głowę, by zobaczyć jedwabiste kosmyki czarno-złotych włosów – Siret. Z tego, co udało mi się dostrzec ponad jego ciałem, obok leżeli Aros i Yael – czyli pozostałe części tria. Wyglądało na to, że Coena i Rome'a z nami nie było. Miałam nadzieję, że nie zostali porwani przez wściekłych bogów ani rozsmarowani na drzewach.

Przekręciłam się nieznacznie i zdałam sobie sprawę, że muszę siku. Natychmiast. Mój pęcherz był na skraju eksplozji. Zaczęłam się więc, usiłując znaleźć oparcie dla dłoni, ale dotarło do mnie, że po bokach nie mam dość miejsca. Żeby się podnieść, musiałabym chwycić się Sireta, spróbowałam więc użyć mięśni brzucha. Oczywiście tak naprawdę nie posiadałam czegoś takiego jak mięśnie brzucha, dlatego wszystkim, co udało mi się osiągnąć, było miotanie się jak idiotka. Ciężkie ramię opadło na mój brzuch, a ja o mało nie popuściłam. „Noż kur... Bogowie, dalibyście spokój. To wyjątkowo nieśmieszne”.

Moją uwagę przyciągnął błysk na zewnątrz i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, trzej sol byli już na nogach. Zrozumiałam dlaczego, gdy zauważyłam czerwone szaty.

Naprzeciw nas stał Rau z pozbawioną wyrazu twarzą.

– Dostanę swoją Betę – rzekł pewnym siebie tonem.

Bracia rzucili się w jego kierunku, a wtedy on wystrzelił pocisk energii w postaci kuli o rozmytych konturach. Zawirowała pod sklepieniem jaskini i zaczęła rosnąć, podświetlona od środka mlecznym blaskiem. Zajął mi chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do oślepiającego światła, i choć byłam przerażona, zrobiłam chwiejny krok naprzód w nadziei, że dam radę jakoś pomóc Abklętym. Ten blask nie mógł ich zabić, prawda? Co on w ogóle robił?

Ich wielkie cienie były wszystkim, czym mogłam się kierować, ruszyłam więc w kierunku tego o kształcie Sireta. Kula rozbłysła znowu i zaczęłam się obawiać, że moja tymczasowa ślepotą lada moment zamieni się w permanentną. Nadal jednak brnęłam naprzód z nadzieją, że nie wdepnę w ognisko.

Usłyszałam ryk dobiegający od strony wyjścia i poznałam głos Rome'a. Ewidentnie nie był zadowolony, a ja wołałabym nie stawać mu na drodze, gdy się wkurzał. W sumie miałam nadzieję, że Rau został zmiążdżony. Uznawszy, że powinnam jak najszybciej dotrzeć do Sireta, rzuciłam się naprzód i... wpadłam na stertę drewna przeznaczonego na podpałkę. Prędkość, jaką zdążyłam rozwinąć, sprawiła, że wystrzeliłam do przodu niczym strzała i lotem koszącym przemknęłam przez jaskinię. Blask stał się tak intensywny, że nawet zaciśnięte powieki nie pomagały uchronić oczu przed oślepieniem. Mój umysł starał się uciec przed tą mocą, wyłączając wszystkie zmysły.

Fala czegoś gorącego przeszła mi serce i pozbawiła tchu. Runęłam w dół, próbując nabrać choć trochę powietrza, lecz bezskutecznie. Zupełnie jakbym znalazła się w miejscu, gdzie go nie było. Świadomość, że już dawno powinnam uderzyć o ziemię, mieszała się ze zdumieniem, że nadal spadałam.

„Dlaczego nie mogę oddychać?”

I czemu miałam wrażenie, jakby coś rozcięło mi pierś, a gorące żelazo powoli wypalało sobie drogę przez moje serce? Czy zostałam trafiona boskim bełtem albo czymś w ten deseń? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak boski bełt?

– Willa!

Ktoś krzyczał moje imię, ale ledwie zauważyłam ten fakt, umierając powoli czy co tam właściwie się ze mną działo. Kiedy w końcu uderzyłam o ziemię, byłam już zbyt nieprzytomna, by w ogóle coś poczuć. Podłoże nie wydawało się wcale aż takie twarde i dobrze pachniało. Jak letnie popołudnie.

Aros...

No cóż, jeśli faktycznie umierałam, to przynajmniej w ramionach złotego sol. Z tą myślą moje serce zadrżało po raz ostatni i wszystko spowiła ciemność.

* * *

Pierwszą rzeczą, którą zarejestrowała moja podświadomość, były krzyki.

– Jak Rau w ogóle przedostał się przez was dwóch?! Jak, do cholery?!

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby Yael był tak wściekły. Bałam się otworzyć oczy i zwrócić na siebie uwagę. Co się stało? Czyżbym znowu zasnęła? Dlaczego tak bolało mnie w piersi i... Cholera, tu był Rau! I jakaś dziwna, świecąca kula czegoś. Abklęci mieli z nim walczyć, a ja... potknęłam się? Upadłam? Zaraz, czy ja „poleciałam”?

Raptownie otworzyłam oczy i usiadłam. Cały świat zawirował, ale to nie powstrzymało mnie przed zbadaniem otoczenia. Oszałałe ze strachu serce zwolniło dopiero, kiedy u wejścia do jaskini zobaczyłam pięciu sol tworzących zwartą ścianę mięśni. Rau nie skrzywdził żadnego z nich. Bezpieczni... Moi Abklęci byli bezpieczni. Znaczący... tego... Czyis Abklęci. Abklęci swojej matki.

Stali plecami do mnie, tworząc linię obrony pomiędzy mną a światem zewnętrznym. Aros, Yael i Coen byli nadzy do pasa, a ja zdałam sobie sprawę, że siedzę na ich koszulach. Spojrzałam na siebie i zamrugałam kilka razy, próbując przypomnieć sobie, co wydarzyło się po tym, jak potknęłam się o stos drewna na podpałkę.

Opuściłam dłoń na pierś, dokładnie nad sercem. Ból był koszmarny i nic dziwnego, że mój mózg go zablokował. Gdy tylko wróciły wspomnienia, skurcz żołądka zmusił mnie do pozbycia się tej niewielkiej ilości jedzenia, jaka w nim została. Ostatni posiłek jadłam dawno temu, więc nie miałam zbyt

wiele do stracenia.

Poczułam, jak pięciu Abklętych rusza w moim kierunku. Zaraz... Co, do diabła? Dosłownie mogłam ich wyczuć. Zupełnie jakby wewnątrz mojej piersi przesuwawa się jakaś energia, choć nie miałam pojęcia, jak to możliwe. Gdy tylko znaleźli się przy mnie, ból ustał. W jednej chwili cierpiałam, a w następnej czułam się zupełnie normalnie, nie licząc dezorientacji.

– Kamieniu? – Siret przykucnęła, by zajrzeć w moje oczy. – Wszystko w porządku?

Pomógł mi wstać, a potem podał jedną z leżących na ziemi koszul oraz wydrążony kamień napełniony wodą. Nie pytałam o kamień. Dostrzegłam na nim idealny odcisk knykci i w najbliższej przyszłości nie zamierzałam wdawać się w kłótnie z Rome'em.

– Dzięki – mruknęłam.

Nie byłam pewna, po co mi koszula, ale skorzystałam z wody, żeby wypłukać usta, po czym chwiejnym krokiem ruszyłam w stronę do wyjścia z jaskini. Potrzebowałam świeżego powietrza. Chciałam upewnić się, że świat wciąż jest cały i piękny, i wcale nie został spalony do gołej ziemi w przyptywie boskiego gniewu. Zrobiłam kilka kroków, lecz zatrzymałam się nagle, gdy niewielkie ukłucie bólu przeszło moją pierś. Zmarszczyłam brwi, upuszczając koszulę i zaciskając palce na kamieniu, jakbym potrzebowała czegoś się przytrzymać. Zrobiłam kolejny krok i wydarzyło się to samo. Wzięłam głęboki wdech, po czym zacisnęłam zęby. Im dalej szłam, tym ból stawał się coraz silniejszy.

A potem nagle zniknął. Aros był przy mnie.

– Czujesz się w jakiś sposób inaczej? – zapytał ostrożnie, a jego przepiękną twarz przesłonił cień.

Może był zaniepokojony albo podejrzliwy. A może próbował ocenić, czy stworzona przez Rau kula światła w jakiś sposób mnie zmieniała. Tylko co zamierzał zrobić, jeśli rzeczywiście tak się stało? Uśpić mnie? Jak wściekłego bykonia?

– Jestem obolała – przyznałam, odwracając się od niego.

Powinno mi być wiadome, że próba ucieczki przed Arosem nie ma szans powodzenia. Po prostu podniósł mnie i przyciągnął do siebie, a potem zwrócił się do braci:

– Powinniśmy zabrać ją z powrotem do Bożylasu, żeby ktoś się nią zajął.

– Nie możemy nikogo w to mieszać! – zaprotestował Coen, po czym skierował kroki w stronę wyjścia. – Nikt nie może wiedzieć o Rau. Ani o tym, co się wydarzyło.

– Nie o tym mówię. – Aros podążył za nim. – Może mieć połamane żebra czy coś. Albo zapadnie na jakąś chorobę. Nie mamy pojęcia, czym ją uderzył.

Coen nie odpowiedział, ale ja już nawet nie słuchałam. Oparłam podbródek na ramieniu Arosa i zarzuciłam mu ręce na szyję, a kamień z odcisniętymi knykciami przy każdym kroku stukał go między łopatkami. Nogi dyndały mi bezwładnie i nawet zastanawiałam się przez chwilę, czy nie otoczyć go nimi w pasie, żeby było mi trochę wygodniej, ale zrezygnowałam. Byłam zbyt odrętwiała, żeby zrobić cokolwiek. Zbyt odrętwiała, żeby zadawać pytania. Nie żeby to powstrzymało je przed kotłowaniem mi się w głowie.

Czym, do cholery, była ta kula światła i dymu? Wpadłam na nią? Uderzyła mnie w pierś? Czy ja umrę?

– Nie, nie umrzesz – warknął Yael.

Raptownie otworzyłam oczy i zaskoczona popatrzyłam na niego. Szedł za Arosem, a minę miał równie chmurną jak wszyscy pozostali.

Cholera, zadawałam te pytania na głos?

– Tia – potwierdził Siret.

Zmarszczyłam brwi i uniosłam rękę, żeby zasłonić nią sobie usta. Problem w tym, że wciąż trzymałam w niej kamień. Yael skoczył do przodu i wyrwał mi go z dłoni, zanim rozwalilibym sobie nos.

– Postaraj się nie pogarszać sytuacji – jęknął błagalnie.

– To moje – odparłam, wskazując na kamień.

Spojrzał na niego i uniół brwi.

– Pewnie, Kamieniu. Nie ukradnę twojego kamienia. Tylko przechowam go, dopóki nie będzie już stanowił zagrożenia dla twojej twarzy.

Kiwnęłam głową usatysfakcjonowana. Pierś Arosa zadrżała nieznacznie od ledwie słyszalnego śmiechu. Z powrotem oparłam brodę o jego ramię. Jedna z jego dłoni wylądowała z tyłu mojego uda, żeby mnie podtrzymać. Znow musiałam walczyć z przemożną chęcią otoczenia go nogami w pasie. Zaczynałam już przywiązywać się do tych sol. Może dlatego, że w tajemnicy pragnęłam stać się jedną z nich. Też chciałam być twardzielką i czuć się lepsza. Móc bez obaw rzucać wyzwanie bogom i mieć supermoce. Chciałam, żeby dali mi pseudonim pochodzący od mojej supermocy, a nie od tego, że ciągle się przewracałam.

Albo...

Albo może to wszystko przez bliskie spotkania ze śmiercią. Przypuszczałam, że tego typu doświadczenia mogły wytworzyć jakąś nić przywiązania. Czymkolwiek to było, postanowiłam przestać z tym walczyć. Mogli wykopać mnie z grupy, jeśli chcieli. Ale może nie zrobiliby tego. Pozwoliliby zostać i nauczyli, jak być twardzielką, jednocześnie ratując mi tyłek przed niechybną śmiercią z rąk wszystkich pozostałych sol, którzy z pewnością nie doceniliby mojej nowo odkrytej strony mocy.

Jeszcze bardziej wtuliłam się w Arosa i otoczyłam go nogami w pasie. Podtrzymująca mnie ręka przesunęła się w okolice mojego tyłka, a ja poczułam, jak pierś sol znowu zadrżała. Tym razem jednak nie był to śmiech, lecz warkot. Zupełnie niespodziewanie zostałam oderwana od Arosa i przekazana w inne ramiona. Nie byłam nawet pewna, czy zrobił to ktoś inny, czy sam Aros mnie oddał.

– Testowanie granic wytrzymałości kolesia z darem Uwodzenia to nie jest dobry pomysł, Kamieniu. – Głos Coena wywołał falę gorąca w miejscach, po których nic nie miało prawa się rozlewać.

Ej, co się tu działo, do diabła?

– Jest dużym chłopcem – burknęłam. – Poradzi sobie.

Pewne miałam rację, ale nie w tym leżał problem. Pytanie brzmiało, czy to ja sobie poradzę.

DZIESIĘĆ

Staralam się ignorować pewną bardzo poważną kwestię. Dotarcie do Bożylasu zajęło nam jeszcze jeden cykl słońca i przez cały ten czas któryś z braci Abklętych był w pobliżu. Głównie dlatego, że mnie nieśli, ponieważ w ten sposób podróż przebiegała szybciej i nie musieliśmy się zbyt często zatrzymywać. Teraz jednak musiałam oddalić się od grupy na kilka klików, bo mój pęcherz po raz kolejny znajdował się na granicy eksplozji. A ponieważ przy poprzedniej tego typu sytuacji rozpętało się prawdziwe piekło, ze zrozumiałą ostrożnością przedzierałam się przez zarośla w poszukiwaniu ustronnego zakątka. Problem polegał na tym, że im bardziej się oddalałam, tym mocniej kłuło mnie w piersi. Bardzo szybko ból stał się na tyle dotkliwy, że nie mogłam zrobić ani jednego kroku więcej i musiałam załatwić się tam, gdzie stałam. Gdy tylko wróciłam do braci, bolesny ucisk znacznie zelżał, a zniknął zupełnie w chwili, gdy Coen wziął mnie na ręce i ruszyliśmy dalej. Odnotowałam w myślach tę informację, by potem móc analizować ją bez końca.

Nie chciałam o tym mówić w obawie, że Abklęci mogą wykorzystać ten fakt przeciwko mnie, ale wraz z upływem czasu potrzeba wyjawienia prawdy robiła się coraz silniejsza. Tym bardziej że ciągle pozostawanie w objęciach któregoś z braci oraz brak możliwości strzelenia focha i odejścia na bok gniewnym krokiem były kompletnie wbrew mojej naturze. Chciałam znaleźć Emmy i dostać od niej po uszach, zanim oddam się w ręce uzdrowiciela – o ile w ogóle ziemianie w Bożylesie mieli prawo korzystać z takich dobrodziejstw – ale nie mogłam, bo podświadomie wiedziałam, że ból spowodowany oddaleniem się od Abklętych uszkodzi mnie na dobre. Co zdecydowanie nie było normalne. Wykraczało już poza więź tworzącą się między ludźmi, którzy nawzajem ocalili sobie życie, i miało coś wspólnego z Rau oraz jego dziwną kulą światła.

Najwyraźniej Coen poznał już mój charakter na tyle dobrze, by wiedzieć, że niedługo zacznę się wiercić, dlatego opuścił mnie na ziemię. Zignorowałam lekkie ukłucie w piersi i pomaszero wałam przodem. Nie trwało to długo, jako że miałam superkrótkie ziemiańskie nóżki. Po dwóch, może trzech klikach zostałam w tyle i musiałam bieć, żeby dotrzeć do nich.

W końcu dotarliśmy do tylnego budynku Bożylasu. Abklęci parli przed siebie jak tarany, roztrzając innych sol, jakby całe to miejsce należało do nich, a ja dreptałam za nimi i pośpiesznie robiłam uniki przed oszołomionymi ludźmi. Nie wiedziałam, dokąd bracia idą, zaskoczyło mnie więc, gdy wmaszerowali prosto do sali jadalnej. Była kompletnie pusta, lecz w kuchniach panował rozgardiasz, co sugerowało, że zbliżała się pora kolacji. Abklęci usiedli przy swoim stole, natomiast ja nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Przeszępowałam z nogi na nogę, kompletnie obrzydzone tą nową relacją, która zmuszała mnie do łązenia ich śladem jak mały zagubiony szczeniak.

Siret zauważył, że nerwowo przebieram nogami, dlatego przeniósł się na miejsce obok, zwalniając krzesło między sobą a Arosem. Pokręciłam głową, lecz on błyskawicznym ruchem chwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął bliżej. Opadłam ciężko na siedzisko, wzdychając z niezadowolaniem. Musiałam przekonać choć jednego z braci, by zabrał mnie do uzdrowiciela. Należało coś zrobić z tą wymuszoną zależnością.

– Na zajęcia też mnie zapiszesz? – spytałam z lekką irytacją.

Siret uśmiechnął się do mnie chytrze.

– A co? Nie chcesz być jedną z nas, brudna ziemianko?

– Nie – prychnęłam, mrużąc oczy.

Tak.

Pokręcił głową.

– Może byś się tak zdecydowała, co?

– Powiedziałam przecież, że nie.

– Powiedziałaś też „tak”.

– Nieprawda!

Aros przysunął się bliżej, a jego oddech musnął mi policzek.

– Powiedziałaś – potwierdził. – Ale to w porządku. Jesteś teraz jedną z nas. Obiecaliśmy, że ochronimy cię, jeśli ukradniesz puchar, i zrobimy to. Jest tylko jeden sposób, by dotrzymać obietnicy: staniesz się Abklętą.

– Że co? – Obrzuciłam go zdumionym spojrzeniem, a potem popatrzyłam na pozostałych. Żaden nie wyglądał na zszokowanego. Może przedyskutowali ten temat, kiedy spałam. – Chcecie mnie adoptować?

Coen zerwał się z krzesła wyraźnie zniesmaczony.

– Co? – wykrztusił Siret.

– Mam zostać waszą siostrą? – zapytałam cienkim głosem, bo gardło dziwnie mi się ścisnęło. – Wasi rodzice mnie adoptują? Chcecie się ze mną ożenić? Czy to nie jest nielegalne? Nie, zaraz, to tylko działania prokreacyjne między sol a ziemianami są nielegalne. Teraz pamiętam, Emmy mi o tym mówiła. – Ewidentnie zaczynałam gadać, co mi ślina na język przyniosła, ale nie mogłam się powstrzymać. – Więc wygląda na to, że... technicznie rzecz biorąc, małżeństwo jest legalne... Ale ja nie chcę wychodzić za mąż! Jestem na to za młoda! Muszę jeszcze nauczyć się gotować! I... I...

– Uspokój się. – Głos Yaela zalał mnie niczym łagodna fala, porywając z ust kolejne słowa. – I usiądź.

Rozejrzałam się dookoła. Nawet nie pamiętam, kiedy wstałam. Może jak Coen zerwał się z krzesła, odruchowo zrobiłam to samo? Co było dziwne. Usiadłam więc posłusznie.

– Weź głęboki oddech, Willo – kontynuował Yael, a na jego ustach pojawił się najmniejszy z uśmiechów. – Nie ma opcji, żebyś była z nami związana w taki sposób. – Urwał, wymieniając spojrzenie z Coenem, po czym znów zwrócił się od mnie, a jego twarz spochmurniała: – Bo jesteś ziemianką – dodał zupełnie niepotrzebnie. – Ale od tej pory będziesz się nas trzymać, a my będziemy cię chronić. Jasno damy do zrozumienia całej akademii, że każdy, kto zadrze z tobą, zadrze też z nami.

Kiwnęłam głową. To mogło zadziałać. Powinno też zaradzić bólowi, który czułam za każdym razem, gdy nie byli w pobliżu. Ale co się stanie, kiedy zajęcia danego cyklu słońca dobiegną końca i wszyscy wrócą do swoich dormitoriów? Wciąż będę musiała znajdować się blisko nich. Nagle pewien fakt uderzył mnie z ciężką, przyprawiającą o mdłości wyrazistością.

Cholera...

Cholera! Nie mogę spać sama!

– Dlaczego? – Siret zamrugał, zmuszając mnie do powstrzymania galopujących myśli.

– Co? – Albo zaczynałam tracić rozum, albo nadal niechcący myślałam na głos.

– Dlaczego nie możesz spać sama?

Dobra, może jedno i drugie. Straciłam rozum i niechcący myślałam na głos. Ale... Miałam pewność, że akurat to ostatnie zdanie nie wydostało się z moich ust. Nie było opcji, żeby je usłyszeli, o ile nie...

– Ja... Ja się boję – skłamałam, próbując uniknąć tematu.

Zupełnie nagle twarz Rome'a znalazła się tuż przed moją i miałam nieodparte wrażenie, że coś wyszło z moich płuc całe powietrze.

– O czym nam nie mówisz? – zapytał, mrużąc oczy. – Co ukrywasz?

Cholera. Cholera. Potrójna cholera. Niby jak w takiej sytuacji mogę mieć własne tajemnice? Najwidoczniej nie tylko musiałam być fizycznie związana z całą piątką, ale bracia mogli też słyszeć moje myśli. Niektóre. Byłam niemal pewna, że właśnie to się teraz działo. Ale jak?

Yael jest dupkiem i na każdym kroku musi udowodnić, że jest lepszy od innych.

W myślach wypowiedziałam te słowa najgłośniej, jak potrafiłam, i rzeczywiście, na twarzy Yaela pojawił się cień. Zanim jednak zdążył zareagować, odezwał się Siret:

– Nie poruszyłaś ustami. Wszyscy słyszeliśmy, co powiedziałaś, ale... Cholera, ty się w ogóle nie odezwałaś.

Przełknęłam ślinę i wykrztusiłam z siebie:

– Najwidoczniej... słyszycie teraz niektóre moje myśli.

Zapadła głucha cisza. Przed długą chwilę Abklęci wpatrywali się we mnie, nawet nie mrugając, aż w końcu Aros położył mi rękę na ramieniu, a jego złote oczy przybrały kolor ciemnego brązu.

– Jak to w ogóle możliwe? – zapytał podniesionym głosem. – Moc Rau nie działa w taki sposób. Nie mógł tego zrobić. A czy ty słyszysz nasze myśli?

Yael, Siret i Coen momentalnie zerwali się na równe nogi, jakby przyszło im do głowy to samo, a ich furia stała się niemal namacalna.

Pieprzyć tych głupich bogów!

Chciałabym teraz móc uciec od całego tego szaleństwa. Jak daleko udałoby mi się dotrzeć, zanim zabiły mnie ból? Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości zostaną zmuszona do przeprowadzenia tego eksperymentu.

Ponieważ żaden z braci nie siadał, postanowiłam skrócić ich męki.

– Nie, nie słyszę waszych myśli. Najwyraźniej to działa w jedną stronę. I chyba nie słyszycie też wszystkiego ode mnie, bo w przeciwnym razie już dawno byście zauważyli, że dzieje się coś dziwnego.

Coen uśmiechnął się złośliwie.

– Wątpię, Kamieniu. Mam nieodparte wrażenie, że w twojej głowie nie dzieje się zbyt wiele, a w twoim otoczeniu zawsze zdarza się coś dziwnego.

Wal się na ryj, bucu.

Nieznacznie rozdziawił usta i tym razem to na mojej twarzy pojawił się uśmieszek. Zanim zdążył wyprodukować jakąś odpowiedź, Rome szturchnął go w bok.

– Weź się ogarnij – nakazał szorstko. – Faktycznie zachowujesz się jak buc. Marnujemy czas i energię, a powinniśmy dowiedzieć się, co się z nią stało. Czym uderzył ją Rau?

Nagle osłabiona osunęłam się na krzesło i ukryłam twarz w dłoniach, starając się zapanować nad emocjonalnym huraganem szalejącym w mojej głowie.

– Ziemianko! – rozległ się ostry kobiecy głos.

Wiedziałam, że powinnam zareagować. Pobrzmiwał w nim rozkaz, ale byłam tak zmęczona, że ledwie mogłam podnieść głowę. Kiedy to robiłam, zobaczyłam całą trójkę. Komitet do spraw ziemian.

Elowin zatrzymała się w połowie Sali. W zwiewnej białej szacie jak zwykle wyglądała perfekcyjnie, a złote loki miała idealnie ułożone wokół anielskiej twarzy. Jediną skazę na tej nieskazitelnej aparycji stanowiły lekko rozdziawione usta, rozszerzone oczy i uniesione brwi. Była zła i dezorientowana. Pachółkowie Numer Jeden i Dwa przystanęli za nią i w tym momencie poczułam, że zaczyna się robić poważnie. Przez ostatnich kilka cykli słońca żyłam w nierealnej bańce, nie w normalnym świecie. Nie byłam sol i z pewnością już dawno zasłużyłam sobie na zrzucenie z mojego wyimaginowanego piedestału.

Kobieta odzyskała opanowanie i ruszyła przed siebie, by pokonać resztę dzielącego nas dystansu. Ze zdumieniem zauważyłam, że dłonie drżały jej nieznacznie, a na czole lśniły małe kropelki potu. Dlaczego tak się denerwowała?

Jak na komendę Abklęci utworzyli wokół mnie ten swój ochronny mur, zaś Elowin i jej pachółkowie zatrzymali się gwałtownie. Nagle zrozumiałam, skąd ten pot. Ta kobieta się ich bała.

Odchrząknęła, ewidentnie starając się za wszelką cenę ukryć strach.

– Dostaliśmy wiadomość o ziemiance zajmującej miejsce przy stole w sali jadalnej. Tej samej, której zaginięcie zgłoszono nam kilka cykli słońca temu. Musi pójść z nami, żebyśmy mogli ją przesłuchać i przenieść.

Przenieść? No tak, pewnie! Spoko, zapiszcie mnie na skopanie na śmierć przez bykonia.

Jako pierwszy odezwał się Yael, co w najmniejszym stopniu mnie nie zaskoczyło:

– Elowin, nie powinnaś zwracać sobie głowy tą ziemianką. Asystowała nam przez ostatnie cykle słońca i w najbliższej przyszłości nadal będzie to robić.

– Sama ją nam przypisałaś – dodał Rome.

– Więc teraz jest nasza – podsumował Aros, a jego złote oczy na moment spojrzały w moje.

Ignorując emocje, które buzowały w moim sercu, nadal siedziałam na swoim miejscu i udawałam niewidzialną, głupią ziemiankę.

Z ust Elowin popłynął strumień słów, jakby nie mogła już dłużej zatrzymać ich w sobie:

– Nie bez powodu mamy pewne zasady. Jeśli zmienicie je dla jednej ziemianki, reszta zacznie się zastanawiać, dlaczego nie wolno im siadać do kolacji razem z sol. Albo chodzić na zajęcia i uczyć

się z nimi. Nasz świat funkcjonuje bez zastrzeżeń, albowiem każdy zna swoje miejsce i zna naturalny porządek. Co pomyśleliby o tym bogowie?

Abklęci wymienili spojrzenia, a potem prawie posrali się ze śmiechu, zgięci w pół tak mocno, że niemal turlali się po podłodze. Zagryzłam wargę, żeby nie pójść w ich ślady, ale była to chyba najtrudniejsza rzecz, jakąś kiedykolwiek zrobiłam.

Coen pierwszy złapał oddech, otarł policzki z łez i, wciąż szeroko wyszczerzony, powiedział:

– Ci bogowie mają w dupie to, co tu robicie. Jeśli tylko dalej będziecie oddawać im cześć i sprowadzać sol, nie obeszloby ich nawet, gdybyście postanowili urządzić masową orgię dla sol i ziemian.

Twarcz Elowin przybrała taki odcień zieleni, że Abklęci na wszelki wypadek odsunęli się nieco. Zaraz potem prychnęła jak wściekła kotka, obróciła się na pięcie i wymaszerowała z sali jadalnej w towarzystwie swoich pachółków.

Siret spojrział na mnie błyszczącymi oczami. Jeszcze bardziej niż zwykle przypominały klejnoty.

– Nigdy nie lubiłem tego całego komitetu. Powinniśmy zająć się jego zniszczeniem.

W następnym momencie bracia zaczęli przerzucać się propozycjami, jak doprowadzić komitet do ruiny, a ja odniosłam wrażenie, że całkiem zapomnieli o mojej obecności.

Po czym nagle sobie przypomnieli. Zgrzytnęły krzesła, gdy cała piątka usiadła wokół mnie, i musiałam coś przyznać: znalezienie się w centrum ich uwagi sprawiło, że zaczęłam nerwowo się wiercić. Byli intensywni. Tak cholernie intensywni.

Aros musiał wziąć moją nerwowość za niepokój.

– Willo, nie martw się komitetem do spraw ziemian – powiedział, pochylając się ku mnie. – Dopilnujemy, żeby nie wchodzili ci w drogę. Ona wie, że wykonujesz teraz nasze polecenia, a komitet rzadko ośmiela się z nami zdrzeć.

Zauważyłam ponury grymas na twarzy Elowin, zanim opuściła jadalnię. Na pewno tak tego nie zostawi. Zaczeka, aż czujność Abklętych osłabnie, i wtedy mnie zniszczy.

– Myślicie, że nic się nie stanie, jeżeli zostawimy Kamienia z innymi ziemianami? – zapytał Aros.

– Nigdy nie widziałem tak niezdarnej ziemianki, nawet jak na ich standardy.

– Poradzi sobie – odparł Yael. – Nikt jej nie skrzywdzi w ziemiańskich lochach. Musimy mieć ją na oku tylko wśród sol.

Ja tu siedzę, dupki.

Pięć par oczu. Pięć identycznych uśmiezków. W tym momencie nie było żadnych wątpliwości, że są braćmi i że ich matka została pobłogosławiona darem Piękna.

– Do tego może wysyłać myśli, a my je słyszymy – powiedział Siret. – Jeśli ktoś będzie cię zaczepiał, po prostu nas wezwij. Co ty na to, Kamieniu?

Tia, pewnie, żaden problem. Kiwnęłam głową, z ogromnym wysiłkiem maskując kolejne myśli. Nie byłam jeszcze gotowa powiedzieć im o malutkiej niedogodności polegającej na tym, że nie mogę znaleźć się zbyt daleko od nich. Kiedy o wszystkim się dowiedzą się, z dużym prawdopodobieństwem pożałują wzięcia mnie pod opiekę. Może mogłabym ukryć się w kanciapie ze sprzętem do sprzątania nieopodal ich pokoi?

W jadalni pojawili się ziemianie, każdy z tacą jedzenia. Chociaż nie nadeszła jeszcze pora kolacji, zamierzali nas nakarmić... Znaczący nakarmić Abklętych. Zauważyłam więcej niż jedno zdezorientowane spojrzenie. Ewidentnie nikt nie wiedział, w jaki sposób rozumieć fakt, że jak gdyby nigdy nic siedzę sobie z grupką sol.

– Czekać. – Głęboki głos Rome'a poniósł się po sali niczym grzmot. – Nie obsłużyliście Willi. Ma dostać to samo co my. I świeżą wodę.

Dezorientacja niektórych ziemian zamieniła się w gniew i widziałam, że niejednen z nich chciałby zadać Romeowi parę pytań, mieli jednak dość rozumu, by tego nie robić. Znali swoje miejsce w szeregu. Tylko ja okazałam się na tyle głupia, żeby znaleźć się w sytuacji, która mogła postawić cały nasz świat na głowie. Elowin miała rację. Coś takiego mogło zmienić wszystko. Cholerny Rau. Czy właśnie na to miał nadzieję, kiedy związał mnie z braćmi? W końcu był bogiem chaosu, a to, co się właśnie działo, ostatecznie musiało rozpętać chaotyczną rozpierduchę.

Podczas posiłku ze wszystkich sił starałam się oddychać i jednocześnie pakować do ust tyle pysznego jedzenia, ile tylko mogłam. Jednym z głównych powodów mojej nienawiści wobec sol był fakt, że dostawali najlepsze żarcie. Najświeższe produkty, najlepsze kawałki mięsa, nawet jagody i słodki lód. Posłałam mordercze spojrzenie Coenowi i pełnym troskliwości gestem odgrodziłam od niego swój kubek różowego lodu.

– Co jest? – zapytał, unosząc jedną brew i posyłając mi pogardliwe spojrzenie. – Naprawdę myślisz, że ukradnę ci deser?

Szybko omiotłam wzrokiem pozostałych braci i przyciągnęłam naczynko jeszcze bliżej.

– Nie dam wam go, to mój kruszony lód. Załatwię każdego, kto ośmieli się go tknąć.

Usłyszałam za sobą zduszony okrzyk i z kubkiem w dłoni odwróciłam się, by zobaczyć Emmy. Była blada jak ściana, a w dodatku wyglądała na zmęczoną i jakby nieco chudsza, niż gdy widziałam ją po raz ostatni.

– Willa... – szepnęła, ale i tak przyciągnęła uwagę najbliższych siedzących sol. Nadchodziła pora kolacji, więc pomieszczenie powoli się zapełniało. – Willa! – zapiszczała i tym razem wszystkie twarze zwróciły się w naszym kierunku.

Moja najlepsza przyjaciółka rozejrzała się nerwowo. Wiedziała, że jako ziemianka usługująca sol nie powinna rzucać się w oczy, ale najwidoczniej nie mogła się powstrzymać przed chwyceniem mnie za ramię. Zostałam wywleczone z sali przez jej supermięśnie, a gdy tylko znalazłyśmy się na zewnątrz, dostałam od niej po uszach.

– Odchodziłam od zmysłów ze zmartwienia! Dwa pełne cykle słońca, Will! DWA! Po prostu zniknęłaś. Bałam się, że nie żyjesz, bo Abklęci wykończyli cię i porzucili zwłoki w lesie. Jak mogłaś mi to zrobić?! Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami! Myślałam, że jesteśmy rodziną!

Próbowałam jej słuchać, jednocześnie licząc na to, że przyjdzie mi do głowy jakieś wyjaśnienie. Takie, w które uwierzy. Musiałam jakoś ją pocieszyć, bo widok tak zrozpaczonej Emmy po prostu mnie zabijał, ale ledwie umiałam się skupić przez ból w piersi. Był znośny, nie umierałam, jednak bardzo utrudniał koncentrację.

– Emmy – przerwałam jej w pół zdania. – Tak strasznie przepraszam, że zniknęłam. I wierz mi, nie zrobiłam tego z własnej woli. Nigdy nie odeszłabym bez słowa, gdybym miała wybór. Coś się wydarzyło z Abklętymi... Wylądowaliśmy bardzo daleko od centralnego pierścienia i musieliśmy wrócić pieszo. Ja...

Co jeszcze mogłam jej powiedzieć? Nie miałam pojęcia, kto może podsłuchać naszą rozmowę. Poza tym nie istniało żadne bezpieczne miejsce, w którym mogłabym opowiedzieć jej o wydarzeniach w Topii.

Emmy otworzyła i zamknęła usta, jakby usiłowała nabrać powietrza. A może chciała coś powiedzieć, tylko wciąż nie umiała otrząsnąć się z szoku. Czekałam cierpliwie, pocierając środek klatki piersiowej kolistymi ruchami. Co niestety nie pomagało, a ból stawał się coraz gorszy. Cholera! Abklęci skończyli posiłek i wychodzili z sali jadalnej. To oznaczało, że zapewne kierują się do swoich pokoi. Najwidoczniej lada moment miałam się przekonać, jaki dystans jestem w stanie znieść.

Zakręciło mi się w głowie, gdy kłujący ból w piersi przybrał na sile. Czułam się zupełnie tak, jakby ktoś wyciągał mi serce przez żebra, po drodze rozrywając je na kawałki.

– Willa, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Emmy mówiła coś jeszcze, ale nie zarejestrowałam co. Zamilkła wreszcie i przyjrzała mi się, zmrużywszy oczy.

– Wszystko w porządku, Will? Nie wyglądasz dobrze.

Zgięłam się w pół i zwymiotowałam, mijając jej buty o cal.

Cała pyszna kolacja uciekała z mojego żołądka, co było chyba najgorszą rzeczą, jaka w ostatnim czasie mnie spotkała. Wliczając trafienie boskim pociskiem.

– Co mogę zrobić? Musimy zabrać cię do uzdrowiciela.

Pokręciłam głową, odsuwając się od niej na chwiejnych nogach i unosząc dłonie, jakby to miało ją powstrzymać. Nie chciałam dostać się teraz w jej uścisk. Użyłaby swoich supermięśni, żeby zawlec mnie do najbliższego uzdrowiciela, i o ile nie ruszyłybyśmy w tym samym kierunku co Abklęci, istniała

duża szansa, że naprawdę mogłaby mnie zabić.

– Prze... przepraszam, Emmy – wykrztusiłam wśród spazmów bólu i rzuciłam się w stronę sali jadalnej.

Abklęci szybko się przemieszczali. Czulałam, jak z każdą chwilą oddalają się coraz bardziej. Pognałam między spożywającymi kolację sol w kierunku tylnych drzwi. Ludzie uskakiwali mi z drogi, ale meble nie były tak uprzejme. Trzasnęłam mocno w bok stołu i odbiłam się w przeciwnym kierunku, po drodze zawadzając o krzesło, a na koniec rąbnęłam na podłogę jak długa. Przed oczami zawirowały mi ciemne plamki. Ból był tak silny, że moim ciałem zaczynały wstrząsać konwulsje. Słyszałam, jak Emmy woła moje imię. Zbliżała się.

Zmobilizowałam wszystkie siły i dźwignęłam się z podłogi. Zauważyłam, że mam rozciętą nogę, a krew cieknie po łydce. Co przypomniało mi, że jestem ubrana jedynie w koszulę Rome'a, która na upartego mogła wyglądać jak sukienka, no ale...

– Will.

To było tylko stwierdzenie, nie pytanie. Akceptacja. Potrzebowałam pomocy, a moja najlepsza przyjaciółka zamierzała mi jej udzielić.

Wzięła mnie pod rękę, a ja oparłam się na niej i drżącym palcem wskazałam na drzwi. Zaczęła ciągnąć mnie w tym kierunku, zdecydowanym krokiem i ze spuszczoną głową, jakby chciała w ten sposób przekonać otaczających nas sol i ziemian, że nie dzieje się absolutnie nic niezwykłego. Wyglądało na to, że jej metoda prawie działa. Niektórzy odwracali się od nas i skupiali na swoim posiłku.

Wydostałyśmy się z sali jadalnej, a ja znowu wystawiłam palec, by wskazać Emmy drogę do dormitorium Abklętych. Z jej pomocą przemieszczałam się znacznie szybciej niż sama. Odzyskiwałam siły z każdym krokiem, co oznaczało, że posuwamy się we właściwym kierunku. Kiedy znalazłyśmy się na korytarzu przed ich pokojami, byłam już w stanie iść sama, więc pociągnęłam Emmy w stronę składziku i wepchnęłam do środka. Wyprowadziłyśmy dwa wózki na zewnątrz, żeby zrobić miejsce, a potem zamknęłyśmy drzwi i usiadłyśmy w ciemności, opierając się o nie plecami.

– Will... – zaczęła Emmy.

– Już w porządku – westchnęłam, przesuwając dłońmi po twarzy. – Muszę się wykapać i wypłukać usta, ale już w porządku. Naprawdę.

– Albo powiesz mi, co jest grane, albo będę śpiewać durny Hymn Osady naczelnika Grahama, aż uszy zaczną ci krwawić. Wybieraj.

– Ostro – mruknęłam, ale mimowolnie się uśmiechnęłam.

Niemal miło było pomyśleć o naczelniku Grahamie i tych wszystkich jego idiotycznych pomysłach, które miały choć trochę upodobnić ziemian do sol. Życie było wtedy znacznie prostsze.

– Zakradłam się do Topii, a potem jeden z bogów, a konkretniej bóg Chaosu Rau, uderzył mnie taką dziwną kulą światła, która chyba coś mi zrobiła. Poza tym dźgnęłam kogoś, ale to był wypadek. I poznałam taką fajną niewolnicę, nazywała się Jeffrey. Polubiłabyś ją, bardzo skrupulatnie przestrzega zasad. Jestem prawie pewna, że po śmierci stajemy się Jeffreyami. Tak tylko mówię. Znaczący wiesz, to ma sens. Są tak jakby połową tego, czym my jesteśmy. Zupełnie jakby Kreator wyłapywał ziemian na ich drodze do śmierci, a potem umieszczał w Topii, żeby służyli dalej. Przez wieczność. Więc kiedy nauczyciel Marcks mówił nam, że losem ziemian jest niewolnictwo i że nie przeznaczono nas do niczego innego, naprawdę nie żartował. Wiesz, co się dzieje, kiedy Jeffrey robi coś złego? Trafia do jaskini wygnania. I zostaje w niej uwięziony. Wszyscy tam zmieniają się w straszne, wynaturzone cienio-cosie i po prostu... się gromadzą. Muszą być ich tam tysiące. Może więcej. O cholera, aż do teraz nie miałam czasu o tym pomyśleć...

– Możesz już przestać paplać? Przetworzyłam pierwszą rzecz, którą powiedziałaś. Może zechciałabyś mi wytłumaczyć, jak zakradłaś się do Topii? – zapytała Emmy oschłym, niemal sarkastycznym tonem, ale wychwyciłam pobrzmiewającą w nim nutkę hysterii.

– No cóż, technicznie to ja wcale nie chciałam. Abklęci mnie zmusili. Chcieli ukraść puchar.

– Do kogo należał?

– Do kogoś, kto nazywa się K.S.T.

Było zbyt ciemno, bym mogła zobaczyć twarz Emmy, ale marszczyła brwi tak mocno, że niemal

to czułam.

– Nie ma takiego boga, Will.

– No, Jeffrey też tak powiedziała. Och, czekaj... Wspomniała też coś o Świętym Abilu i Trofeum Stavliniego albo Stavritiego, albo Sta... no, jakoś tak.

– Stavitiego? – Histeria w głosie Emmy ewidentnie stawała się coraz wyraźniejsza. – Trofeum Stavitiego? Ukradłaś Trofeum Stavitiego?!

Zakryłam jej usta dłonią, próbując stłumić pisk.

– Nie! – zaprzeczyłam odruchowo. – Albo tak. Tak jakby. Może. Dlaczego pytasz?

Wymamrotała coś niewyraźnie i zdałam sobie sprawę, że ciągle trzymam dłoń na jej ustach. Cofnęłam ją, żeby mogła znowu mówić.

– Nie wiesz, kim jest Staviti? Poważnie? Nawet tyle nie mogłaś zapamiętać z lekcji?

– Zorientowałam się, że brzmi znajomo – burknęłam obronnym tonem. – Czy to bóg, eee... jedzenia czy coś?

Emmy jęknęła i walnęła głową w drzwi tak mocno, że aż łupnęło.

– To Kreator. Pierwotny Kreator. Staviti. A Święty Abil to bóg Oszustwa. Zdecydowanie nie ktoś, z kim należy zadzierać.

– Nie chciałam zadrzeć z żadnym z nich.

– A jednak... ukradłaś coś Kreatorowi. Oszukałaś boga Oszustwa. Dźgnęłaś kogoś. Pewnie kogoś ważnego. Pewnie boga Zemsty, znając ciebie.

– Myślisz, że wiedzą, że to byłam ja?

– Oczywiście, że nie. Jesteś ziemianką z siódmego kręgu Minatsol. – Emmy nagle rzuciła się na mnie i mocno przytuliła. – Co za ulga, że żyjesz! Will... Co się z tobą działo w sali jadalnej? I czemu, do diabła, siedzimy w składziku na szczotki?

Odsunęła się i potrząsnęła mną lekko, jakby próbowała wyciągnąć ze mnie odpowiedzi siłą.

– To przez magię Rau. Ogłuszyła mnie, a kiedy się obudziłam, czułam ból...

Dotknęłam piersi i potarłam skórę, pod którą czułam tępe klucie, obecne nawet teraz, choć już nie na tyle silne, by rozerwać mnie na strzępy.

– Im dalej jestem od Abklętych, tym bardziej boli. Ale kiedy dotykam jednego z nich, przestaję odczuwać ból.

– Musisz im powiedzieć – wysyczała Emmy z paniką w głosie. – Może wiedzą, co...

– Widzieli, jak to się stało. Nie chcę im mówić o bólu. Wystarczy, że słyszą część moich myśli i że łączę za nimi od wschodu do zmierzchu. Nie chcę, żeby się dowiedzieli, że muszę być przy nich cały cykl słońca. Ja nawet nie chcę być z nimi cały czas. Mam ich serdecznie dosyć. Nie chcę ich więcej widzieć. Poza Arosem... On ładnie pachnie. I Rome'em, bo jest taki silny, że nawet Rau by sobie z nim nie poradził, na pewno. Pozostałych nie potrzebuję. Poza Siretem. Jestem prawie pewna, że mnie nienawidzi, ale świetnie sobie radzi z łapaniem mnie, zanim zaryję w coś głową. Ale reszty nie potrzebuję, ani trochę. – Urwałam na chwilę, po czym wymamrotałam: – Poza Coenem i Yaelem. Coen jest całkiem niezły w podejmowaniu decyzji, a jeśli pominę Yaela, to pewnie będzie mnie prześladował i...

– Wymieniłaś ich wszystkich – przerwała mi Emmy słodkim tonem.

Już nie słyszałam paniki w jej głosie. Teraz brzmiała tak, jakby usiłowała się nie roześmiać.

JEDENAŚCIE

Emmy przeszmygłowała mi trochę jedzenia do kanciapy, a potem zniknęła, żeby uporać się z obowiązkami. Obowiązkami, których ja nie miałam szansy wypełnić, o ile jeden z braci Abklętych nie postanowi mi z nimi pomóc. Zamiast tego siedziałam więc w ciemności, dłubiąc w twardym jak kamień chlebie, a pierś pulsowała mi tęnym bólem. Kiedy wokół zapadła taka cisza, że mogłam usłyszeć ptasi skrzek dochodzący z pobliskiego lasu, domyśliłam się, że zapadła noc. Nieznacznie uchyliłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz.

Teren czysty, żołnierzu!

Stres cofnął mnie w rozwoju do czasów, kiedy miałam zaledwie siedem cykli życia i jakąś chorą obsesję na punkcie patroli minateurów. Udawałam, że jestem jedną z nich, ciągle aresztując Emmy za chodzenie zbyt szybko, zbyt wolno albo zbyt normalnie.

Wyślizgnięcie się na korytarz nie było łatwe. Czułam się tak, jakbym zostawiła narządy wewnętrzne w kantorku, ale zanim ból stał się nieznośny, zdążyłam dotrzeć do sali kąpielowej znajdującej się na tym piętrze. Wpadłam do środka i z hukiem zatrzęsłam za sobą drzwi, po czym pieczołowicie zamknęłam je na klucz. Zewsząd dobiegało ciche kapanie skraplającej się wody. Zrobiłam dwa kroki, a para buchnęła mi prosto w twarz, zmuszając mnie do cofnięcia się z powrotem pod drzwi. Moje zmysły wrzeszczały z bólu spowodowanego tak dużą odległością od Abklętych, jakoś jednak zdołałam nad nim zapanować i weszłam w parę. Drewniane deski podłogi były wilgotne i gorące. Posyłały przyjemne ciepło prosto do mojego brzucha i w jakiś sposób uspokajały kotłujący się w nim twardy chleb, który groził, że lada moment wyskoczy na zewnątrz i powie: „Jak się masz?”

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać w takim miejscu, bo do tej pory korzystałam jedynie z zimnej wody ciurkającej z kranów w piwnicach zajmowanych przez ziemian. Wyglądało na to, że w sali kąpielowej – wbrew nazwie sugerującej pojedyncze pomieszczenie – znajduje się wiele komnat, jakby sol oddawali się całemu rytuałowi kąpielowemu. Przeszłam pod drewnianym łukiem do pierwszego pomieszczenia, w którym zobaczyłam coś, co wyglądało jak ustawione jedno na drugich drewniane pudełka, zwrócone wnętrzami w moją stronę. Wszystkie były puste. Domyśliłam się, że wkłada się do nich ubrania. Szybko ściągnęłam koszulę Rome'a i wepchnęłam ją do jednego z otworów, a potem pozbyłam się butów, które wsadziłam do dwóch osobnych przegródek – bo czemu nie, do diabła? W następnej kolejności zerwałam z siebie niewolniczy przyodziewek Jeffrey, po czym z rozmachem cisnęłam go na podłogę. Ostatecznie przecież zbecześciłam swoją obecnością salę kąpielową sol. Byłam buntowniczką najgorszego sortu, powinnam więc zachowywać się jak buntowniczka.

Przeszłam przez następny łuk i wkroczyłam w ciepłą mgiełkę. Bardzo łagodnie muskała moje ciało, skraplając się w ściekające po skórze strużki. Miała delikatny zapach, niemal zbyt delikatny, by go wyczuć. Musiała też posiadać jakieś magiczne właściwości, bo dosłownie czułam, jak oczyszcza mnie z brudu i łagodzi nerwy.

Zbliżyłam ręce do twarzy, mrużąc oczy w mętym świetle kilku naściennych kinkietów. Brud wypływał mi spod paznokci i ściekał z dłoni. Zamrugałam, pochylając się, by obejrzeć swoje stopy. Miałam pewność, że w całym swoim życiu nigdy nie byłam tak cholernie czysta. Mało tego – miałam pewność, że urodziłam się bardziej brudna niż teraz, po tym prysznicu. Może ta woda zdejmowała z człowieka warstwę skóry. Czy to zdrowe? Nie miałam pojęcia. Poza tym... Chyba powinnam jeszcze raz zastanowić się nad ostatnią myślą, bo dzieci zaraz po porodzie wcale nie były takie czyste.

Właśnie zaczynałam rozważać, czy iść dalej, kiedy mgiełka zniknęła. Dostrzegłam kolejny łuk i ruszyłam w jego kierunku. Para zaatakowała mnie znowu, tym razem silniej. Niemal od razu zaczęłam się pocić, ale to było całkiem przyjemne. Miły rodzaj potu. Zupełnie jakbym wraz z nim pozbywała się ze środka wszystkiego, co mnie zatrzymało.

Pod ścianami znów zobaczyłam pudełka, tym razem zapełnione. Podeszłam do jednego z nich, chwyciłam rąbek materiału i wyjęłam coś, co wyglądało jak obszerny ręcznik albo narzuta. Przyłożyłam

tkaninę do piersi, zdumiona jej lekkością, bo wydawała się nic nie ważyć. Kleiła się do wilgotnego od potu ciała, formując coś w rodzaju drugiej skóry. Owinęłam się nią i upchnęłam róg materiału pod pachą. Mój zaimprovizowany strój kończył się na wysokości kolan. Biorąc pod uwagę gabaryty przeciętnego sol płci męskiej, byłby dość krótki. I właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że źle go założyłam. Ewidentnie nie został przeznaczony do noszenia na piersi. Z założenia owijało się go wokół bioder, ponieważ mężczyźni nie mieli cycków.

Ech, nieważne. Kreatywność, żołnierzu!

Naczelnik Graham byłby ze mnie dumny.

Usiadłam na drewnianej ławie ciągnącej się wzdłuż ściany i rozsiadłam się wygodnie. Para działała na mnie usypiająco. Mogłam niemal zignorować ból. Złagodniał na tyle, że ledwie go zauważałam, a do tego polepszało mi się z każdą chwilą. Zupełnie jakby...

Cholera! Kryć się, żołnierzu!

Zerwałam się z ławki, ale było za późno. Do pomieszczenia wpadł Siret, mokry, czysty i najwyraźniej wnerwiony. Ubrania miał przemoczone, a jego złoto-czarne włosy były teraz niemal całkowicie czarne i kleiły mu się do głowy.

– Uhm, cześć, Piątko – wymamrotałam.

– Cześć, Żołnierzu.

Poczułam, że zalewa mnie gorąco. Z pewnością zrobiłam się wściekle czerwona, ale miałam nadzieję, że Siret nie zauważy tego przez kłęby pary.

– Słuchałeś moich myśli!

W milczeniu przyglądał mi się dłuższą chwilę, przesuwając wzrokiem po moim ciele w górę i w dół. Nie ulegało wątpliwości, że tkanina zasłaniała mniej więcej tyle samo co odzienie Jeffrey, a mimo to nie czułam się specjalnie skrępowana. Jakiejś części mnie całkiem podobał się fakt, że przy Abklętych nie jestem skrępowana. Wiedziałam, że nie wykorzystają sytuacji i nie będą mnie oceniać. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z taką akceptacją. Chociaż, może to nie akceptacja, a jedynie apatia?

Siret podszedł bliżej. Nie mogłam oderwać wzroku od strużek wody spływających z jego ciemnych włosów.

– Dlaczego przeszedłeś przez salę kąpielową w ubraniu? – zapytałam, bo cisza zaczynała robić się krępująca.

Wciąż się nie odzywał, a ja nie miałam pojęcia, co robić. Niespodziewanie objął mnie ramieniem i przyciągnął do swojego boku, a potem pociągnął na ławkę. Przez długą chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu, aż wreszcie Siret odezwał się schrypniętym głosem:

– Czułem twój ból. Cierpiałas, zanim tu dotarłem.

Na dobrą sprawę zdążyłam się już trochę przyzwyczać do tego rwania w klatce piersiowej, kiedy żadnego z braci nie było w pobliżu.

– Wyczułeś mnie? – spytałam równie ochryplym szeptem.

Dlaczego brzmiałaś podobnie jak Siret? Co on ze mną robił? To musiało być związane z jego darem sol, prawda?

– Czułem – potwierdził, pocierając dłonią środek klatki piersiowej. – Cierpiałas, ale teraz już nie cierpisz. Mówiłem pozostałym, że nie możemy zostawić cię samej.

– Nic mi nie jest. Znaczący... Potknęłam się i zraniłam w nogę, a potem postanowiłam się umyć, bo byłam brudna. No wiesz, normalne rzeczy.

Nie miałam pojęcia, czemu tak uparcie broniłam się przed powiedzeniem o bolesnej zależności, którą wytworzył między nami Rau. Część mnie chciała spróbować jakoś to naprawić, zanim Abklęci zorientują się, jakim wrzodem na dupie jestem.

Poczułam delikatne drżenie i zdałam sobie sprawę, że Siret się śmieje. Z jakiegoś powodu też się uśmiechnęłam. Lubiłam śmiech Sireta, jego dźwięk wyprawiał ze mną dziwne rzeczy. Gorące, wibrujące rzeczy.

W końcu podniósł się i pomógł mi wstać.

– Chodź, obejrzymy twoją nogę. I upewnimy się, że jesteś już czysta.

Święci bogowie z Topii!

– Słyszałem to, Kamieniu – mruknął gardłowo. – Wolałbym, żebyś nie kierowała żadnych okrzyków do tych dupków.

– Dlaczego ich nienawidzicie? – zapytałam, kiedy wyprowadzał mnie z zaparowanego pomieszczenia. – Wciąż nie rozumiem, jak w ogóle znaleźliście drogę do Topii.

I dlaczego nie bali się Rau? W żadnym momencie tej akcji z zastraszaniem i atakowaniem, jaką zorganizował nam bóg Chaosu, bracia nie okazali ani krzty obawy, że Rau wyrządzi im krzywdę. Ich pewność siebie była niesamowita. I, co tu dużo mówić, wkurzająca.

Nie spodziewałam się, że Siret mi odpowie, lecz o dziwo odezwał się niemal od razu.

– Bogowie nie są tak czcigodni, jak wam, ludziom, może się wydawać. Mają swoje słabości. Obawy. Walczą ze sobą i kłócą się o najgłupsze pierdoły. Rau nas nie przeraża. Oczywiście jest potężny, jak zresztą wszyscy Pierwotni, ale ma pewien poważny problem. Jest jednym z nielicznych Pierwotnych Bogów bez Bety i nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego żaden sol nie wcielił się w tę rolę.

Po tych słowach zapadła cisza tak ogłuszająca, że musiałam zapytać:

– Jesteś pewien, że nie wiesz?

Siret przyjrzał mi się uważnie, po czym błysnął białymi zębami w uśmiechu.

– Osobiście wierzę, że ktoś celowo macza w tym palce, żeby Chaos nie wymknął się spod kontroli. Rau sam w sobie robi dostatecznie dużo szkód. Poza tym bez Bety jest słabszy i bardziej wrażliwy. Dominację zapewnia mu jedynie to, że chaos jest naturalnym porządkiem światów. Jego moc rośnie przez sam fakt, że wszyscy żyjecie.

– Więc gdyby miał Betę... – urwałam, kiedy ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tym, jak wówczas mógłby wyglądać świat, w którym żyjemy.

– Tak, wtedy nastąpiłoby doszczętne zniszczenie wszystkiego, do czego jesteś przyzwyczajona. W mgnieniu oka spaliłby wszystko do gołej ziemi, żeby zdobyć moc dostatecznie potężną, by pokonać innych Pierwotnych Bogów.

– Więc to tego chce? Zniszczyć innych Pierwotnych?

Wróciliśmy do pierwszego pomieszczenia. Siret zdjął coś z niewielkiej półki, po czym wyprowadził mnie na korytarz. Zadrżałam lekko, kiedy chłodny powiew musnął moją wilgotną, rozgrzaną skórę, a potem podskoczyłam, bo sol zarzucił mi ręcznik na ramiona.

– Musisz przestać chodzić goła, Kamieniu. Jeszcze się przeziębisz i umrzesz. Ziemianie są tacy delikatni.

Taa, jasne. Zdarzyło mi się być nagą i zmarznątą więcej razy w życiu, niż da się w ogóle zliczyć.

– Więc Rau... Jaki ma plan? Będzie próbował zniszczyć Pierwotnych Bogów?

Siret pokręcił głową.

– Nie o to mu chodzi. Chce się pozbyć wielkiego tatuśka.

Staviti!

Dziękuję, kochana Emmy, że zadbałaś o to, bym wiedziała takie rzeczy.

– Staviti? – Siret nagle wydał mi się mroczniejszy niż dwa kliki przed rozpoczęciem tej rozmowy.

– Cóż... Żaden ziemianin nie widział go od setek cykli życia.

Już otwierałam usta, by spytać, o co mu chodzi, ale w korytarzu nagle wyrosła potężna góra, co całkowicie odwróciło moją uwagę. Rome podszedł do nas szybkim krokiem i bez słowa padł przede mną na kolana, a ja zdębiałam jak jasna cholera. Co, do diabła...? Już miałam zacząć hiperwentylować albo zemdleć, albo zrobić coś idiotycznie niewłaściwego, kiedy ostrożnie dotknął ranki na mojej nodze.

– Co ci się stało, Kamieniu? Ktoś cię skrzywdził?

Zapatrzyłam się w jego intensywnie zielone oczy i dopiero gdy zabrakło mi powietrza, przypomniałam sobie, że trzeba oddychać. Gorączkowo pokręciłam głową.

– Nie, nikt, nie... Nie.

Siret parsknął śmiechem.

– Powinnaś napisać książkę. Świetnie operujesz słowem.

Zapanowałam nad sobą na tyle, by posłać mu mordercze spojrzenie, po czym odwróciłam się do Rome'a... tylko po to, by zorientować się, że wstał z klęczek.

– Nic mi nie jest – oświadczyłam i udało mi się wypowiedzieć te dwa słowa bez jąkania

i powtarzania się. – Powinnam wracać do swojego pokoju.

Wiedziałam, że to głupie. Nie mogłam się od nich ot tak oddalić, ale jednocześnie chciałam przekonać samą siebie, że poradzę sobie bez Abklętych. Zupełnie jakbym próbowała udowodnić, że kiedy postanowią wyrzucić mnie jak śmiecia, będę w stanie to znieść. Z sercem porozrywającym na kawałeczki i takie tam.

Odwrociłam się i energicznym krokiem ruszyłam przez korytarz, trochę obawiając się, że któryś z braci będzie próbował mnie zatrzymać. Nie miałam pojęcia, co zrobię po dotarciu do mojej kryjówki. Przecież nie mogłam wskoczyć do schowka na szczotki, kiedy na mnie patrzyli.

Dalej na mnie patrzą?

Odwrociłam głowę najdelikatniej, jak tylko mogłam. Pięć postaci. No świetnie. Teraz już zjawili się wszyscy, żeby obejrzeć przedstawienie. Pieprzyć ich.

Ponieważ nie patrzyłam, gdzie idę, a ból w piersi wzrastał z każdym krokiem, nie zauważyłam wózka, który ktoś ewidentnie wyciągnął z kanciapy. Nic więc dziwnego, że wpadłam na niego i poleciałam na podłogę jak kłoda.

Z oddali dobiegły mnie parsknięcia i głos Yaela:

– Pół klika, mówiłem wam. Wisicie mi sto sztonów.

Nie zdziwiło mnie, że Yael zabawił się moim kosztem. Kiedy tak leżałam, wdychając odór brudnej podłogi – jakiś ziemianin naprawdę zawiódł naszą drużynę w tym korytarzu i prawdopodobnie byłam nim ja – usłyszałam zbliżające się kroki. Jęknęłam i spróbowałam unieść głowę, ale zrezygnowałam.

Dłużej nie dam rady ukrywać przed nimi prawdy.

Godząc się z tym faktem, ostatkiem sił przewrociłam się na plecy. Chwilę później Aros chwycił mnie za ramiona i jednym szarpnięciem postawił na nogi.

– Czego nie dasz rady dłużej przed nami ukrywać? – zapytał podniesionym głosem.

Zapadła cisza. Może się myliłam, ale odniosłam wrażenie, że bracia wyglądają na nieco nieufnych. I dobrze. Wolałam, żeby byli wobec mnie oziębli, bo inaczej zapominałam, że są milion lig nade mną i należą do sfery błogosławionych sol.

– Kamieniu... – ponaglił Yael. – Nie zmuszaj mnie, żebym użył na tobie daru Perswazji. Do tej pory obchodziłem się z tobą łagodnie, ale mogę sprawić, żebyś powiedziała prawdę.

O nie! Nie ma, kurde, mowy!

Musiałam mieć wściekłość wypisaną na twarzy, bo bracia wymienili między sobą nerwowe spojrzenia i cofnęli się o krok. Nawet święty sol nie był odporny na działania wnerwionej kobiety. Uniosłam palec i dźgnęłam twardą pierś Yaela. Zabolało jak cholera i nawet on zauważył mój grymas, więc postanowiłam użyć przeciw niemu jego własnej broni: zastraszenia. Wyprostowałam się w całej swojej żalostnej wysokości i przysunęłam do niego bliżej.

– Nawet nie próbuj używać na mnie swojego daru, sol – warknęłam. – Ziemianie nie są zabawkami. Może i wyciągnęliśmy nieszczęśliwy los, przychodząc na ten gówniany świat, ale nie jesteśmy niczym. – Dźgnęłam go mocniej, mając nadzieję, że nie złamię sobie palca. – Nie jesteśmy niczym.

Twarz Yaela była jak kamień wyrzeźbiony przez samych bogów. Wiedziałam, że nie wolno mi mrugnąć, że muszę zachować poważne spojrzenie albo przegram w rywalizacji, która właśnie się zaczęła. Gnojek zawsze chciał wygrywać. Był pod tym względem strasznie upierdliwy, a mimo to uważałam, że to trochę niesamowite. Lewa powieka zaczęła mi drgać, a palec boleć od mocnego nacisku.

– Jesteś pewna, że nie chcesz się wycofać, Kamieniu? – Hipnotyzujący głos Yaela przetoczył się przez moje ciało i wiedziałam, że nie uderzył jeszcze z pełną mocą swojego daru, ale i tak wywierał wpływ na moją wolę.

Zacisnęłam zęby tak mocno, że lada moment mogły mi popękać, lecz ze zdecydowaniem trwałam w bezruchu. Kontynuowałam ten pojedynek siły woli i byłam zdeterminowana zrobić wszystko, by go wygrać.

Wtedy mnie pocałował.

Zanim zauważyłam, co się dzieje, jego usta już były na moich, już przyciągał mnie ciasno do

siebie. Straciłam poczucie czasu i przestrzeni, zakręciło mi się w głowie. Zanim pocałunek zdążył stać się głębszy, Yael zrobił krok w tył, a ja zachwiałam się niczym wiotkie drzewo na skraju pola.

– Wygrałem – stwierdził, po czym odwrócił się i odszedł jak gdyby nigdy nic. Jakby wcale... nie pocałował mnie właśnie jak jasna cholera.

– Oszukujesz! – krzyknęłam za nim, a potem przeniosłam wzrok na pozostałych. – On oszukuje! Siret pokręcił głową.

– A czego się spodziewałaś? Yael gra nieczysto, jak zresztą my wszyscy.

Dyszałam ciężko. Wręcz zawstydzająco ciężko. To był tylko pocałunek, a moje ciało reagowało tak, jakbym sto razy przebiegła w górę i w dół po schodach do Bożyłasu. Chciałam dogonić Yaela, żeby przywalić mu w mordę, skoro dźganie palcem nic nie dało. Następnym razem powinnam użyć noża albo czegoś podobnego. Zachować się jak totalna twardzielka, tak samo jak ci wredni sol.

– Willa – usłyszałam nad sobą i aż wzdrygnęłam się z zaskoczenia.

Coen pochylał się nade mną, a jego przytłaczająca obecność skutecznie wymiotła z mojej głowy wszelkie myśli związane z zemstą na Yaelu. Dostrzegłam w jego oczach migotanie ognia i obietnicę bólu. A może po prostu miałam halucynacje, bo pocałunek Yaela usmażył mi mózg?

Powoli przesunął dłoń po moim ramieniu, wzbudzając pod skórą setki maleńkich iskier energii. Sprawiały ból... w pewnym sensie, ale jednocześnie były przyjemne. Jakby zapalał wszystkie receptory i przywracał ciało do życia.

Niemal nie usłyszałam, co mówi, bo wzrok miałam utkwiony w dłoni wciąż wędrującej po mojej ręce.

– Willa. – Jego głos w końcu zwrócił moją uwagę. – Jutro musimy wstać wcześniej rano i wziąć udział w próbie na arenie, jak każdego cyklu księżyca. Bogowie będą siedzieć na swoich rozpuszczonych dupskach, oczekując, że zorganizujemy im przedstawienie jak uliczni kuglarze. Co oznacza, że masz dokładnie jeden klik, by powiedzieć, co przed nami ukrywasz.

Spuściłam wzrok na własne stopy, a ręka sol poruszyła się znowu, wywołując te dziwne, bolesne iskry. Oddech mi zadrżał, powieki opadły. Nagle delikatna pieśczota zniknęła, a palce Coena zacisnęły się na mojej ręce tuż nad łokciem. Szarpnął mocno i niespodziewanie przyciągnął mnie do siebie.

Czy on... właśnie mnie przytula?

Ktoś prychnął, a pierś Coena zawibrowała od śmiechu, który szybko stłumił.

– Mów, Willo – zażądał.

Może to przez jego bliskość, a może przez małą iskrę bólu, która towarzyszyła tym słowom, nagle zapragnęłam powiedzieć im wszystko. Wzdrygnęłam się lekko, ale i tak w dużej mierze powściągnęłam swoją reakcję na dar Coena, bo tak naprawdę miałam ochotę na niego wskoczyć, a to byłoby raczej niewłaściwe.

– Czy wy coś zrobiliście? – spytałam niewyraźnie nadal wtulona w Coena, ale nie miałam zamiaru odwracać głowy i patrzeć na pozostałych braci.

– Co powiedziałaś? – zapytał Aros, stając za moimi plecami, zupełnie jakby coś go do mnie przyciągało.

Podjeżdżałam, że wszystkiemu winne było buzujące we mnie pożądanie. Yael podpalił zapalkę, Coen z rozmysłem dorzucał do ognia, a Aros zachowywał się jak ćma wabiona światłem. Poczułam, jak przytula się do moich pleców, jak jego pierś muska moje ramiona, a dłoń przesuwana po szyi. Zamknęłam oczy, nawet nie starając się nad sobą zapanować. Nogi nagle zrobiły się słabe, a w głowie kręciło się leniwie.

– Zaraz padnie – usłyszałam głos Sireta.

Pierś Coena zadrżała znowu. Tym razem iskra bólu pojawiła się gdzieś w okolicy mojego serca, odbierając mi dech i zmuszając do otwarcia oczu.

– Nie zaczynaj teraz zachowywać się jak ziemianka, Willo – mruknął Coen.

Aros przesunął dłoń, by unieść mi podbródek, i nagle zorientowałam się, że patrzę prosto w twarz Coena. Zieleń z jego oczu kompletnie zniknęła, zastąpiona mroczną otchłanią, w której czaiła się brutalność. Zaczęłam się w nią zapadać, jakbym tonęła w jeziorze bez dna.

– Zrobiliście coś w jaskini, żeby mnie uratować? – usłyszałam swój własny głos, ale w ogóle nie

czułam, że coś mówię. Wypląnąłam z własnego ciała prosto w mrok duszy Coena.

– Nie – odpowiedział ktoś. „Siret”, pomyślałam. – Dlaczego? Co się stało, Kamieniu?

– Teraz... potrzebuję was wszystkich – wymamrotałam.

Poczułam, jak przenikają mnie vibracje wywołane niskim pomrukiem dobywającym się z dwóch piersi i poprawiłam się pośpiesznie:

– Muszę być w pobliżu przynajmniej jednego z was. Odkąd opuściliśmy jaskinię, boli mnie, tutaj...

Spróbowałam unieść rękę, ale bezskutecznie. Miałam wrażenie, że każdy cal mojego ciała jest przyklejony do napiętych mięśni sol.

– Gdzie? – zapytał Siret, a w jego głosie wychwytiłam frustrację. – Ej, chłopaki! Uwodzenie! Ból! Odsuńcie się od niej, do cholery, bo nie mogę się skupić!

Ciepło Arosa zniknęło gwałtownie i podejrzewałam, że Siret siłą go ode mnie oderwał. Kiedy jednak spojrzałam przez ramię, okazało się, że stał kawałek od nas, zaś Aros maszerował korytarzem w kierunku swojego pokoju. Zaraz potem zniknął w środku, a drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

– No i proszę, następny – mruknął Siret pod nosem, przewracając oczami.

– Następny? – wymamrotałam, rozglądając się za Rome'em, który też najwidoczniej sobie poszedł.

– Zabieram ją do swojego pokoju – oznajmił Coen tonem nieznoszącym sprzeciwu, ignorując moje pytanie. – Powiedz pozostałym, żeby zebrali się w garść i przyszli do nas. Jeśli damy ziemiance jakieś ubranie, to może nawet uda nam się przeprowadzić rozmowę do końca.

Prychnęłam.

– Ziemianka potrafi mówić i bez ubrania, dzięki za troskę.

Dobra, skłamałam. To było kłamstwo. Coen też o tym wiedział. Tylko pokręcił głową, a potem zaprowadził mnie do swojego pokoju. Puścił moje ramię dopiero wtedy, gdy znaleźliśmy się w środku, a za nami rozległo się ciche kliknięcie zamykających się drzwi. Dłuższą chwilę stałam i kontemplowałam jego sypialnię, podczas gdy on przeszukiwał szuflady w poszukiwaniu jakichś ubrań. U Sireta widziałam mnóstwo książek, ale tutaj było niemal zupełnie pusto. Tylko dywan i krzesło ustawione przodem do okien. No i drzwi.

W końcu Coen wyciągnął koszulę oraz krótkie spodnie do spania. Podejrzewałam, że jemu sięgały do kolan, ale dla mnie na długość pewnie będą dobre. Dał mi to wszystko i wskazał głową na alkowę po drugiej stronie pokoju. Posłusznie podreptałam za parawan, rozebrałam się i założyłam czyste ubranie. Na swój widok zachichotałam rozbawiona, po czym wyszłam zza zasłony, by pokazać się Coenowi.

– Co cię tak śmieszy? – zapytał Rome.

„A ten tu skąd?”, pomyślałam, ale zaraz zdałam sobie sprawę, że są już wszyscy Abklęci. Pojawili się cicho i szybko jak dym prześlizgujący się pod drzwiami. To było trochę straszne.

– Nic, nic – mruknęłam, bezceremonialnie przysiadając na brzegu łóżka.

Czułam się kompletnie wyczerpana i żeby nie polecieć na twarz, musiałam to zrobić. Trudno, najwyżej święci sol poczują się urażeni. Zwłaszcza że wszyscy stali.

Nie miałam już siły ukrywać prawdy, dlatego po prostu zaczęłam mówić, co mi przyszło do głowy:

– A więc tak, mam mdłości i boli mnie w piersi za każdym razem, gdy się od was oddalę. I to wcale nie jest jakiś tam delikatny ból, ale taki, jakby ktoś rozrywał mnie na kawałki. Kiedy znowu się zbliżę, jest lepiej. A jak któryś z was mnie dotknie, ból zupełnie znika.

Urwałam, by nabrać powietrza, i powiodłam wzrokiem po twarzach braci. Wyglądały jak wyciosane z kamienia. To było odrobinę przerażające.

– No dobraaa – powiedziała przeciągle, nerwowo wyłamując palce. – Idę spać. Jestem zmęczona. Do jutra – dodałam, po czym zsunęłam się z łóżka i poczłapałam w stronę drzwi.

– Oszustwo – mruknął któryś i chwilę później tuż za mną stał sol.

Zerknęłam przez ramię na Sireta, a potem otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Ech, wszystko jedno. Mógł iść za mną do kanciapy, jeśli chciał.

No chyba że... chyba że nadszedł moment, w którym zamierzali mnie zabić.

– Lubisz dramatyzować, co? – Zaśmiał się Siret, po czym chwycił za nadgarstek i pociągnął w stronę swojego pokoju. – Zostaniesz ze mną na noc. Pozostali... potrzebują trochę czasu, żeby to przetrwać.

– Są źli? – zapytałam, gdy znaleźliśmy się w sypialni.

– Bardzo – odparł wesoło.

– A czemu ty nie jesteś zły? – Zmarszczyłam brwi, obserwując, jak sprząta rzeczy z kanapy.

Wyglądało na to, że przygotowuje ją do spania. Nie wiedziałam tylko, dla siebie czy dla mnie. Pewnie dla mnie, bo przecież święty sol nie będzie spał na czymś takim, jeśli ma do wyboru szerokie i wygodne łóżko.

– Kamieniu, moim darem jest Oszustwo. Kocham niespodzianki. Zwłaszcza takie, które wkurzają ludzi. Oraz takie, które wkurzają moich braci. No i oczywiście takie, które przez połowę cyklu słońca paradują nago. Naga niespodzianka to zawsze dobra niespodzianka.

– Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. W sumie miał rację.

Porwał mnie na rękę w połowie mojego ziewnięcia, zaniósł na łóżko i rzucił na nie jak worek ziemniaków.

– Do zobaczenia rano, Kamieniu.

I puścił do mnie oczko.

DWANAŚCIE

Gdy tylko zamknęłam oczy, od razu zostałam wciągnięta w sen, w którym rozrosłam się do rozmiarów dwukrotnie większych ode mnie. Popatrzyłam na swoje dłonie... duże, męskie dłonie. Co, do diabła?

– Rau nie mógł zrobić tego celowo – warknęłam niskim głosem, który za bardzo przypominał głos Rome’a, żebym czuła się komfortowo.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam pozostałych: Yaela, Arosa i Coena.

„O kurka wodna! Jestem w głowie Rome’a! Nie, to przecież niemożliwe. Uspokój się, Willo! To ci się śni, nic więcej.”

– Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. – Coen pokręcił głową. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak mrocznego. – Jakikolwiek działanie miało to zaklęcie, było przeznaczone dla jednego z nas. Nie dla ziemianki. Wiecie, że oni inaczej reagują na magię. Są tacy delikatni.

– To powinno było ją zabić – powiedział Yael oskarżycielskim tonem, ale w jego głosie wyczułam również dezorientację.

– Myślę, że magia rozdarła jej duszę – odparł Coen.

„Ejże! – Chciałam przerwać. – Że co? Przepraszam, CO?!”

– Też tak sądzę. – Głos Rome’a najwyraźniej płynął z moich ust. – I wszystkie te kawałki... wrosły w nas. Zasymilowaliśmy ją w jakiś sposób, choć coś takiego nie powinno być możliwe. Może to miało coś wspólnego z magią Rau. Gdyby zaklęcie zostało przygotowane dla nas, posłałoby kawałki jej duszy w naszym kierunku. Wciąż próbowałyby nas znaleźć, nawet po rozszarpaniu ziemianki.

„Rozszarpana. Rozdarta. Zasymilowana. Kawałki”, trudno mi było uwierzyć, że mówią o mnie. Wszystko brzmiało tak, jakby rozmawiali o szmacianej lalce.

– Nie podoba mi się to – prychnął Yael, chodząc po pokoju tam i z powrotem.

„Stary, a spróbowałbyś być mną!”

– Żadnemu z nas się nie podoba – odwarknął Coen. – I założę się, że ją to wnerwia nawet bardziej niż nas.

„Chociaż raz masz rację!”

Rome parsknął śmiechem.

– Co ty nie powiesz. Dziewczyna zdaje się nawet nie zauważać, że jest ziemianką. Nie ma w niej ani krzty akceptacji czy posłuszeństwa.

Pozostali uśmiechnęli się na moment, lecz zaraz spochmurnieli znowu.

– Musimy coś zrobić – odezwał się Aros. – Może moglibyśmy na powrót zabrać ją do Topii.

– To zbyt ryzykowne. – Coen pokręcił głową.

– No cóż, może moglibyśmy wysłać wiadomość Brinie – dodał Aros. – Jeżeli ktokolwiek jest w stanie odwrócić tę klątwę, to tylko ona.

Na chwilę zapadło pełne zadumy milczenie.

– Ukryłeś puchar? – zapytał w końcu Yael.

– Oczywiście – odparł Coen beznamiętnym tonem.

– Myślisz, że zauważył już jego zniknięcie? – zapytał Aros.

– Oczywiście. – Oczy Coena rozblęsnęły groźnie, a z jego ust popłynął śmiech. – Gdyby mógł przekląć nas znowu, na pewno by to zrobił. Ale znacie K.S.T. Pewnie stara się nie być dumny, bo w końcu udało nam się pokonać w czymś to jego szczone dupsko.

Śmiech braci zaczął cichnąć, oddalać się coraz bardziej i nieważne, jak mocno próbowałam się go trzymać, wyślizgiwał mi się i rozplątywał w bezdźwięczną noc, gdy sen wciągał mnie głębiej. Potem miałam już normalne sny: o śpiączkach rozmiaru mojej twarzy i stołach uginających się od pysznego jedzenia sol. Przez chwilę śniłam o nagiej piersi Rome’a. Starałam się nie być dla siebie zbyt surowa, gdy zaraz potem rozmyślałam o pozostałych Abklętych oraz o różnych wizjach, jakie zaszczepili w moim małym, biednym, ziemiańskim umyśle.

Rano otworzyłam oczy z ogromną ulgą, ale w ogóle nie czułam się wypoczęta. Podejrzywałam, że to, w jaki sposób reagowałam na braci, również wynikało z klątwy Rau. Kolejna prawda, którą należało ukryć przed Abklętymi. Nie musieli wiedzieć, że moje ciało zachowuje się niestosownie za każdym razem, kiedy mnie dotykają. Znaczący... nikt tak naprawdę nie musiał o tym wiedzieć.

Usiadłam na łóżku, próbując pozbyć się poczucia winy. „Błagam, obyś nie słyszał moich myśli”, jęknęłam w duchu na widok śpiącego na kanapie Sireta. Ostrożnie podeszłam do niego i popukałam palcem w ramię. Nie poruszył się. Odetchnęłam głęboko, pochyliłam się i popukałam go znowu.

Muśnięte złotem włosy spływały lśniąca kaskadą na poduszkę. Wyglądał tak spokojnie. W sumie był pięknym mężczyzną, kiedy mnie nie obrażał. Otworzył jedno oko, kocia tęczówka błysnęła mieszaniną zieleni i złota. Po chwili uniósł drugą powiekę, a ja po prostu się na niego gapiłam, usiłując wymyślić jakieś wyjaśnienie, dlaczego oglądałam go śpiącego, jak jakiś zboczeniec.

Zanim zdołałam pojąć, co się dzieje, Siret zagarnął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie, po czym wymamrotał zachrypniętym głosem:

– Śpij dalej.

– Uhm... – Odwróciłam głowę, by móc złapać choć trochę powietrza, bo z twarzą wciśniętą w czyjąś pierś trudno się oddycha. – Nie.

Przesunął dłoń ma moje usta.

– Tak. Ciiii...

Usiłowałam wyslizgnąć się z jego objęć, lecz z marnym skutkiem. Rome postanowił wybrać akurat ten moment, żeby wparować do pokoju. Przekreśliłam się na tyle, by zobaczyć, jak krzyżuje na piersi potężne ramiona.

– Przynajmniej nie jesteś goła – powiedział wreszcie, po czym przeniósł wzrok na Sireta. – Pobudka! Musimy być na arenie za piętnaście klików!

– Co takiego?! – Siret zerwał się z kanapy.

W jednej chwili znalazłam się na podłodze, a ponieważ ubranie, które miałam na sobie, było jakieś pięć rozmiarów za duże, sporej części mojego tyłka udało się wypaść ze spodni.

Rome wyszczerzył zęby.

– Za wcześniej cię pochwaliłem.

Jakby tego było mało, w tej samej chwili do pokoju wpadli Coen, Yael i Aros. Pośpiesznie pociągnęłam spodnie w górę. Dlaczego takie rzeczy musiały przydarzać się akurat mnie?

Aros podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Zamarłam, kiedy znalazł się w moim polu widzenia. Wow! Świetlistość jego postaci oślepiła jeszcze bardziej niż zwykle. Miał na sobie rodzaj stroju bojowego, który składał się z pozłacanego napierśnika, opasek na ramionach i ochraniaczy osłaniających przednią część ud. Zdawałam sobie sprawę, że opadła mi szczęka, ale wyglądał jak naprawdę seksowny bóg-wojownik.

Ostrożnie podałam Arosowi dłoń, zerkając ukradkiem na pozostałych Abklętych. Nosili podobne pancerze w odcieniach podkreślających ich naturalne kolory.

Kiedys zostaną bogami. Ale... jak zamierzają to zrobić ze mną, doczepioną do nich jak jakaś brzydka szósta kończyna?

– Nie martw się tym, Kamieniu – powiedział Aros, stawiając mnie na nogi. – Nasza droga do Topii była wyboista, na długo zanim Rau postanowił dorzucić od siebie trochę chaosu.

Jego słowa przypomniały mi o śnie i nagle zdałam sobie sprawę, że mamroczę bez namysłu:

– A skoro już mowa o duszach... to co się stało z moją?

Siret pokręcił głową.

– Nikt nie mówił o duszach, a twoja jest tą samą drobiną nicości, jaką noszą w sobie wszyscy ziemianie.

Odwróciłam się od niego, ale Yael niespodziewanie znalazł się tuż przed moją twarzą. To znaczy jego pierś.

– Dlaczego nagle pytasz o swoją duszę? – Chciał wiedzieć. – Bo chyba nie jesteś w stanie słyszeć naszych myśli, prawda, ziemianko?

To w zasadzie było nie tyle pytanie, co raczej oskarżenie. Odchrząknęłam i pokręciłam głową,

usiłując odzyskać nad sobą opanowanie.

– Nie, absolutnie nie. Tylko, jak by to ująć... zeszęlnocyweszłamwglowęrome'a.

Ostatnie słowa skleiły się w jedno bardzo długie, które wyrzuciłam z siebie najszybciej, jak umiałam. W sypialni zapadła ciężka cisza, aż Yael z groźnym pomrukiem gwałtownie odwrócił się do Rome'a. Ja bym się wzdygnęła, totalnie, ale Rome nawet nie drgnął. Może mógłby udzielić mi paru lekcji? Coś mi mówiło, że będę ich potrzebować. A przez „coś” rozumiałam tysiące przyprawiających o dreszcze spojrzeń, którymi obrzucono mnie od chwili przybycia do Bożylasu.

– Powiedziałbym wam, gdybym ją wyczuł – wycedził tonem, który sugerował, że to powinno być oczywiste.

– Zostało pięć klików do walki – przypomniał Siret.

Nieubłaganie kończył mi się czas na uzyskanie odpowiedzi. Zrobiłam krok naprzód i kilka razy pstryknęłam palcami w kierunku Yaela.

– Hej, jesteście w stanie skupić się na jeden klik? Co, do diabła, stało się z moją duszą? Co zrobił mi Rau?

Gdyby odpowiedział na moje cholerne pytanie, miałby znacznie lepsze pojęcie o tym, dlaczego znalazłam się w głowie jego brata. Ewidentnie wszystko się ze sobą łączyło. Yael z gracją odwrócił się w moją stronę, a część mnie momentalnie pożałowała pstrykania. Widziałam, jak niektórzy wieśniacy przywoływali w ten sposób bykonie i zawsze sądziłam, że wygląda to na sprytny trik. Możliwe jednak, że Yael nie był zadowolony, kiedy traktowało się go jak dziką bestię.

Podszedł bliżej, zaś moje spojrzenie mimowolnie powędrowało do jego ust. Tych samych, które całowały mnie zeszęłego wieczora.

Nie, Willo. Żadnego więcej całowania sol.

Podejrzewałam, że będę musiała powtórzyć sobie te słowa jeszcze wiele razy, bo na razie jakoś do mnie nie przemawiały.

– Rau uderzył cię klątwą przeznaczoną dla jednego z nas. Potężną klątwą, której celem najpewniej było wywołanie chaosu. Chciał jeszcze bardziej zatrząść naturalnym porządkiem i dać sobie więcej mocy, by odnaleźć swoją Betę – powiedział Yael rzeczowym tonem, a jego oczy były zimne jak lód.

– Im większą moc ma bóg, tym lepiej wyczuwa sol z darami dostatecznie potężnymi, by wstąpić do Topii – dodał Rome.

– Albo by ukraść bogu jego boskość – wtrącił Siret.

Yael warknął gardłowo, po czym podjął wątek:

– Jak mówiłem, bogowie mogą wyczuć takich sol, ale Staviti odarł Rau z tej mocy i teraz Rau chce ją odzyskać.

Usiłowałam oddychać pomimo dezorientacji i paniki.

– Więc to była klątwa przeznaczona dla jednego z was, ale trafiła we mnie. Rozdarła moją duszę na kawałki, które teraz wy wszyscy macie w sobie. W jakiejś kieszonce na sercu czy coś, tak?

„W kieszonce na sercu? Poważnie, Willo?”

Siret zlitował się nade mną.

– Dusze nie są jak mieszki ze sztonami. To nie tak, że coś wpadło do naszych kieszeni, kiedy nie patrzyliśmy. Twoja energia, esencja tego, co czyni cię Willą, jest teraz spleciona z energią każdego z nas.

Więc chciał powiedzieć, że...

– Nigdy nie odzyskam tych kawałków mojej duszy, prawda?

Nie mogłam zażądać, żeby po prostu opróżnili kieszenie i oddali mi moją duszę. Jej fragmenty zostały połączone z popieprzonymi duszami tych braci, zbrukane solowością ich durnych, aroganckich osób.

Nagle po pokoju Sireta poniósł się monotony, pozbawiony wyrazu głos:

– Bogowie przybyli na arenę, wszyscy sol mają jeden klik, aby znaleźć się na miejscu. Obowiązkowo.

Abklęci ruszyli w stronę drzwi. Siret nie wiedzieć kiedy też założył strój bojowy, czarny z domieszką złota – jak jego włosy.

– Idziemy na arenę, Kamieniu – ponaglił mnie. – Zbieraj swoje dupsko. I lepiej, żebyś za nami nadążyła.

Miotłam się przez chwilę, po czym zaczęłam nerwowo wyłamywać palce.

– Ziemianom nie wolno ot tak sobie wchodzić na Arenę Świętego Piasku. Nie byłam tam nawet na swojej pierwszej zmianie sprzątnia. Poza tym trzeba zostać przeszkolonym i oczyszczonym, zanim wstąpi się do sali bogów.

Siret bez słowa wziął mnie pod pachę i wywlókł z pokoju. Wszyscy zdawali się ignorować moją panikę.

– Chłopaki! – Usiłowałam dosięgnąć stopami do podłogi, zwłaszcza gdy dotarło do mnie, że wciąż mam na sobie ciuchy Coena. – Zatrzymajcie się! Natychmiast! Jestem w nie swoich ubraniach i tyłek dosłownie wypada mi ze spodni. Nie mogę pokazać się bogom w takim stanie.

– Zamknij oczy – wyszeptał mi Siret do ucha i z jakiegoś powodu usłuchałam.

Niespodziewanie poczułam ciepło i doszłam do wniosku, że wyszliśmy już przez frontowe drzwi, a słońce ogrzewa moją skórę. Gdy jednak uniosłam powieki, okazało się, że jeszcze tam nie dotarliśmy.

Spojrzałam po sobie i aż wstrzymałam oddech z wrażenia, bo zdałam sobie sprawę, że zamiast worowatych ciuchów mam na sobie coś zupełnie innego. Suknię w kolorze głębokiej purpury, dopasowaną tak idealnie, jakby została uszyta specjalnie dla mnie. Wydawało mi się nawet, że mam na sobie bieliznę i w ogóle. Zauważyłam też, że moje włosy jakimś sposobem zostały poskromione i wiją się posłusznie w jedwabistych, błyszczących lokach.

No, no, czyż nie wyglądam teraz trochę elegancko?

Ale jakim cudem Siret mi to zrobił? To jakaś iluzja?

– Nie powinienes marnować energii w ten sposób, Oszustwo – mruknął Yael bezbarwnym głosem.

Po kilku krokach znaleźliśmy się na zewnątrz. Ogromna arena wznosiła się w oddali, a ostatni sol znikali właśnie w wielkim wejściu. Nigdy dotąd nie widziałam areny od środka, nie mogłam się więc doczekać, kiedy się na niej znajdę. To tutaj sol gromadzili się każdego cyklu księżyca, by wystąpić przed bogami. To tutaj pragnęli zostać zauważeni. Tu odkrywano przyszłych bogów.

Wnętrze wyglądało tak imponująco, jak się spodziewałam. Otwarta okrągła przestrzeń z licznymi przeszkodami i różnorodnym podłożem stanowiła serce całej budowli. Otaczały ją rzędy siedzeń zapełnionych w tej chwili przez sol. Abklęci przystanęli, żeby spojrzeć na wprost, gdzie wysoko w górze znajdowała się przeszklona platforma. To właśnie tam musieli siedzieć bogowie.

– Chodźcie, musimy zająć miejsca – mruknął Coen.

Poprowadził nas między tłumem, a ja z każdym krokiem czułam się coraz bardziej zaskoczona tym, że oddaliśmy się od oszklonej platformy. Z tego, co zdążyłam zauważyć, najbliżej bogów siedzieli studenci Bożylasu. Ziemianie stali na tyłach, czekając na rozkazy i pewnie mając nadzieję, że bogowie w swej łaskawości zauważą również ich. Zastanawiałam się, czy wciąż by tego chcieli, gdyby wiedzieli, jak wyglądają uniformy dla Jeffreyów.

Część, do której zmierzaliśmy, była praktycznie pusta, choć to właśnie ten rząd znajdował się najbliżej areny. Ci sol, którym nie udało się zająć miejsc w pobliżu oszklonej platformy, preferowali miejsca pośrodku. Ciekawe czemu. Niestety nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, bo pierwsi sol zostali wezwani na arenę, a ja zdałam sobie sprawę z kilku rzeczy jednocześnie.

Po pierwsze, sol byli niebezpieczni. Po drugie, piaszczyste podłoże łatwo wchłaniało krew, dzięki czemu nikt nie musiał sprzątać po kolejnych starciach. I po trzecie, frontowy rząd zdecydowanie okazał się tym najgorszym. Więcej niż raz jakiś wojownik całym ciężarem ciała uderzył w drewnianą barierę, za którą siedziałam. Do tej pory nie zwracałam za bardzo uwagi na innych sol i nie porównywałam ich postury do ziemian, lecz teraz, mając przed oczami wszystkie te okropieństwa, jakie sobie nawzajem robili, nie mogłam nie drżeć ze strachu. Tuż przede mną sol-chłopak przyciskał do barierki sol-dziewczynę. Niemal czułam jego oddech i ostrość noża, który trzymał na jej gardle, a potem już ewidentnie krew, która bryzgnęła mi na twarz.

– Co jest, do kurwy?! – wrzasnęłam, widząc, jak głowa dziewczyny przekrzywiła się na bok i zachwiała, jakby lada moment miała spaść prosto na moje kolana.

Odruchowo przepelzłam za swoją ławkę. Chłopak, ten z nożem – ten sam, który dopiero co prawie odciął głowę swojej przeciwniczce – teraz patrzył na mnie.

– Ziemianka? – Wytrzeszczył oczy. – Zgubiłaś się?

– N-nie – wymamrotałam. – Tu miałam być.

Zerknęłam za siebie, na chłopaka, któremu dosłownie wlałam na kolana.

– Zrobiłam to specjalnie, mówię poważnie – powiedziałam. Rozległ się gong sygnalizujący koniec pojedynku. Pan Podrzynacz wzruszył ramionami, po czym przemierzył plac, pokłonił się przed oszkloną platformą i zszedł z areny.

– Ziemianko... – rozległo się tuż przy moim uchu. – Nadal na mnie siedzisz.

Spojrzałam na kolesia uważniej i dotarło do mnie, że zajmował dwa miejsca, taki był wielki. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to tłuszcz czy mięśnie. Był po prostu... ogromny. Och, i do tego patrzył na mnie wymownie. Jego spojrzenie mówiło: „Czemu na mnie siedzisz, do diabła?”

– Mogę to wyjaśnić – wykrztusiłam, wstając powoli i unosząc dłonie przed sobą.

– Czekamy – odezwał się Siret ze swojego miejsca w „krwawym” rzędzie.

Uśmiechał się szeroko, ewidentnie rozbawiony moim kłopotliwym położeniem. Aros również szczyrzył zęby, ale pozostali już nie. Twarz Rome’a przesłonił groźny cień. Może nie lubił, kiedy inni ludzie byli więksi od niego.

– Podrzynacz nachlapał na mnie krwią – powiedziałam, marszcząc brwi. – I zabił tę dziewczynę. Wskazałam palcem na nieszczęsną sol, którą dwaj ziemiańscy słudzy właśnie wynosili.

– To się zdarza. W tych zawodach albo się poddajesz, albo giniesz – mruknął Yael, a potem złapał mnie za rękę i pociągnął na wolne miejsce między sobą a Siretem.

– Więc dlaczego ona się nie poddała? – spytałam, zerkając za siebie ukradkiem na Górę.

Ciągle przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi. Pewnie czekał na formalne przeprosiny w ziemiańskim stylu, w sensie że padnę na kolana i zacznę całować go po stopach. Sęk w tym, że Yael trzymał mi dłoń na ramieniu, nie pozwalając ruszyć się z siedzenia, w związku z czym całowanie stóp Góry mogłoby być nieco problematyczne.

– Może myślała, że jest dostatecznie silna – odezwał się Coen. – Albo że zostanie boginią.

Mówił łagodnie, ale w jego głosie pobrzmiewała złośliwość. Zupełnie jakby wiedział, że dziewczyna wcale nie była silna. Że umarła na próżno. A jemu ten fakt się podobał.

Coen bywał trochę przerażający.

– Jestem następny – obwieścił Aros, wstając z miejsca, po czym bez zbędnych słów przesadził drewnianą barierę.

Spojrzałam w górę na Mistrza Zawodów, który stał przy gongu oznajmującym początek i koniec każdej walki. Zajmował miejsce nieopodal oszklonej platformy, zapewne po to, by bogowie mogli szepnąć mu słówko, kiedy chcieli zobaczyć konkretnego sol w akcji. I rzeczywiście imię Arosa połyskiwało teraz wśród płomieni nad głową Mistrza Zawodów obok „Tabathy”, kimkolwiek on był. Z rosnącą obawą patrzyłam, jak Aros spokojnym krokiem zmierza ku środkowi areny, zatrzymuje się i czeka cierpliwie, udając, że w tym miejscu wcale nie dochodzi do śmierci sol.

No właśnie...

– Uhm, chłopaki... Czy jeśli zginiecie, ja też umrę? – spytałam, nie dbając o to, który ze złodziejów mojej duszy odpowie.

Siret zaśmiał się głośno, jakby właśnie usłyszał najzabawniejszy dowcip na świecie. Oczy przesłoniła mi czerwona mgła i poczułam neodparte pragnienia przydzwonienia mu czołem w twarz. Wiedziałam, że co jak co, ale łeb mam twardy jak kamień i na pewno go zabolę, jeśli dostanie nim w ryj.

Yael musiał odgadnąć moje zamiary, bo otoczył mnie ręką w pasie, zanim wystartowałam.

– Uspokój się, Kamieniu. Oszustwo jest rozbawiony, bo nie ma takiej możliwości, żeby jakiś sol kiedykolwiek załatwił któregoś z nas. Żadnej. Więc nie musisz się tym martwić.

Ta, jasne, nie zaprzataj tym sobie swojej małej, ślicznej główki, Willo. W końcu to tylko twoje życie spoczywa w naszych rękach.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. – Spojrzałam na niego z nachmurzoną miną. – Nie myśl, że tego nie zauważyłam. Więc albo wiecie, że wasza śmierć mnie zabije, albo nie macie pojęcia. Żadna

z tych opcji nie jest pocieszająca.

Siret zamilkł. Na szczęście dla niego, bo wciąż próbowałam oszacować najlepszy kąt do pociągnięcia mu z dyńki. Cios zdecydowanie byłby wart bólu głowy.

– Wiesz, niełatwo nas zabić – powiedział w końcu. – Ale prawda jest taka, że nie wiemy, co ta sytuacja oznacza dla kogoś z nas. Może teraz ciebie też nie da się zabić, a może wciąż masz w sobie fragment własnej duszy. To miałoby sens, skoro najwyraźniej jesteś zdolna do odczuwania swoich własnych emocji i potrafisz bez trudu podejmować samodzielne decyzje.

No cóż, to byłby plus, ale znając moje szczęście, bardzo w to wątpiłam. Jeśli w moim ciele został tylko kawałek duszy, niemal na pewno po śmierci zamienię się w Jeffreya.

Z zamyślenia wyrwało mnie pojawienie się Tabathy na arenie. Okazało się, że to dziewczyna. Zmierzała właśnie na środek, odziana w prosty strój bojowy. Ze swojego miejsca nie widziałam jej za dobrze. Dostrzegłam jedynie, że ma włosy zaplecione w długi warkocz. Podeszła do Arosa, jak się podchodzi, by powiedzieć: „No cześć, jak leci?”, i niespodziewanie zaatakowała. Aż podskoczyłam z zaskoczenia. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie czegoś takiego.

Aros wystawił rękę i zrobił to tak szybko, że w ogóle bym tego nie zauważyła, gdyby dziewczyna się na nią nie nadziała. Straciła równowagę i majtnęła nogami do przodu, zapewne zdumiona, że Aros zaciska palce na jej szyi. Zaraz potem złocisty sol cisnął przeciwniczką o ziemię tak mocno, że w powietrze wzbił się żółtawy tuman pyłu.

Rozbrzmiał gong, a Aros ruszył z w naszym kierunku. Podejrzywałam, że utratę przytomności uważano za kapitulację – z czego bardzo się ucieszyłam. Nie żebym była rzeczniczką pokonanych sol czy coś, ale cieszyło mnie, że istnieją jakieś mniej krwawe alternatywy dla odcinania głów. Na twarzach Yaela i Sireta pojawiły się zadowolone uśmiechy, jakby chcieli mi przekazać: „No widzisz?”.

Aros przeskoczył przez barierkę i usiadł obok Sireta, sprawiając wrażenie kompletnie znudzonego. Przechyliłam się w jego stronę.

– Dlaczego dali ci dziewczynę za przeciwniczkę?

Popatrzył na mnie, marszcząc brwi, jakby czuł się nieswojo.

– Bogowie zawsze mają nadzieję, że skorzystam ze swojego daru, by wygrać walkę.

– A jak to miałyby zadziałać?

Aros pochylił się do przodu, zbliżając twarz do mojej.

– Mógłbym odwrócić jej uwagę pożądanym – zamruczał, patrząc na mnie roziskrzonymi oczami.

– A ona pozwoliłaby mi zbliżyć się do siebie. – Wyciągnął rękę i otoczył dłonią mój kark. – Sprawiłbym, że zaczęłaby mnie błagać, żebym ją pocałował. Że potrafiłaby myśleć tylko o tym.

Jego moc sączyła się we mnie, nie wywołując wprawdzie tak destrukcyjnego pragnienia, które opisywał, ale działając dostatecznie mocno, by przekonać mnie, że mówił prawdę. Przygryzłam wargę, bardzo starając się nie zrobić czegoś głupiego. Nie jęknąć na przykład. Nie mogłam jednak nic poradzić na to, że mój głos zabrzmiał nieco ochryple:

– A potem?

– A potem skreśliłbym jej kark – powiedział gładko, mocniej zaciskając palce na mojej skórze.

Cofnęłam się, by uciec spod działania jego czaru, a potem wbiłam spojrzenie w arenę, próbując okiełznać kotłujące się we mnie emocje.

O kurwa.

– Co to za język? – skarcił mnie Siret.

Jeb się.

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

– Masz brudne myśli, Żołnierzu. – Wyszczrzył zęby.

– Moja kolej. – Głęboki głos sprawił, że spojrzeliśmy wszyscy na Mistrza Zawodów.

Yael przeskakiwał właśnie przez barierkę. Jego imię lśniło wśród płomieni. Nawet nie zwracałam sobie głowy spoglądaniem na drugie. Jakie to miało znaczenie? Przeciwnik i tak nie da mu rady. Nie Yaelowi czy któremukolwiek z braci. Część mnie rozumiała, dlaczego Siret tak się śmiał. Moi chłopcy nie byli normalni.

Znaczy nie „moi” chłopcy. Po prostu chłopcy. Jacyś przypadkowi chłopcy. Przypadkowi, dziwni,

wnerwiający chłopcy.

– Kamieniu, czy ty znowu obrażasz nas w swojej głowie? – zapytał Rome.

Po czym usadowił się na zwolnionym przez Yaela miejscu, a jego masywna dłoń opadła na moje udo. Spojrzałam najpierw na nią, a potem na jego twarz. Wydawało się, że nawet nie potrzebuje odpowiedzi.

– Nie – skłamałam. – Wiesz, mam innych przyjaciół, których obrażam w głowie.

Odwrócił się, w końcu poświęcając mi pełną uwagę. Błyszcząca, przypominająca klejnoty zieleń jego tęczówek pociemniała, sprawiając, że bliskość Rome'a nagle wydała mi się wyjątkowo przerażająca.

– Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi – powiedział oschle.

– Trzymasz rękę na mojej nodze – wypaliłam bez chwili zastanowienia.

Tak bardzo byli moimi przyjaciółmi.

Siret parsknął śmiechem. Tymczasem Rome mocniej zacisnął dłoń na moim udzie. Obejmował je teraz tak dokładnie, że jego palce stykały się pod spodem. Gdyby ścisnął z całej siły, pewnie wszystko od kolana w dół odpadłoby mi z nieprzyjemnym chrupnięciem.

– Wrogowie nie macają się po udach. – Nie ustępowałam, nadal nie spuszczać z niego wzroku.

Szczęka mu się napięła, jakby zaciskał zęby. Próbowałam wyrwać nogę z jego śmiertelnie chwytu, ale Rome szarpnął mocno i przesunął mnie po ławie, aż przykleiłam się do jego boku.

– Nigdy nie powiedziałem, że jesteśmy wrogami – odpowiedział w końcu. – Po prostu nie jesteśmy przyjaciółmi.

Aha, czyli był wnerwiony, że moja mała przebiegła duszyczka w jakimś stopniu przyczepiła się do niego. Mogłam to zrozumieć. Ostatecznie nawet w przyjaźni istniały jakieś granice, a to zdecydowanie je przekraczało.

– Dobra.

Oparłam głowę o jego ramię, które było mniej więcej tej samej miękkości co skała. Skoro już zmuszał mnie do siedzenia obok siebie, mógł przynajmniej zadbać o to, żeby było mi wygodnie.

Odwrociłam się w końcu, by przyjrzeć się drugiemu zawodnikowi. Okazał się wielkim kolesiem ciągnącym za sobą jeszcze większy miecz. Wyglądał na wkurzonego. Pewnie dlatego, że zmuszali go do walki z Yaelem. Też bym się wkurzyła. Na dźwięk gongu uniósł broń i próbował zaatakować, zanim Yael mógł użyć na nim daru Perswazji, ale bez rezultatu. Dosłownie dwa kliki później odłożył miecz na ziemię i zaczął się rozbierać, by za chwilę przeleźć przez barierkę i przelecieć się nago wśród rzędów zaśmiewających się do rozpuku sol. Na koniec wpadł na drewniany słup i osunął się nieprzytomny. Najwidoczniej Yelowi zdziwiło się upokarzanie przeciwnika.

Sol śmiali się i wiwatowali głośniejsz niż podczas którejkolwiek z dotychczasowych walk, a Yael ukłonił się z gracją, po czym wrócił do nas.

– Ja będę następny – przewidział Siret, kiedy brat przeskoczył nad barierką i opadł beztrudno na ławkę.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– Zawsze wybierają nas w tej kolejności. Najpierw Arosa, żeby zbadać grunt. Jeżeli Aros nie użyje swojego daru, biorą Yaela. Jeśli zbyt długo ociąga się ze skończeniem swojej walki, biorą mnie. Jeżeli moja walka nie jest prawdziwą walką, wywołują Coena. Jeśli on nie zabije przeciwnika, biorą Rome'a, a jak on nie upuści nikomu krwi, zaczynają od nowa. Wzywają nas na arenę jednego po drugim, aż dostaną to, czego chcą.

Zamrugłam, wodząc wzrokiem po ich twarzach. Wyglądali na rozszłoszczonych, ale i zrezygnowanych. Najwidoczniej nie we wszystkim mogli okazywać bogom nieposłuszeństwo.

TRZYNAŚCIE

Siret miał rację. Najwyraźniej bogowie byli bardzo przewidywalnymi dupkami, a przynajmniej pod względem upodobania do oglądania w kółko tych samych tortur. Podczas walki Siret nie zwracał sobie głowy używaniem swojego daru. Po prostu rąbnął w twarz smukłego, ciemnowłosego sol i ogłuszył go jednym ciosem. Kiedy podniósł wzrok na oszkloną platformę bogów, zastanawiałam się, czy wiedział, kto w tym cyklu księżycy na niego patrzy. Któremu bogu chciało się przyjść i zobaczyć walki na arenie. Który bóg prawdopodobnie marszczył teraz brwi, bo Siret nie zaprezentował tego, czego od niego oczekiwano.

Podejrzewałam, że tak naprawdę nie miało to znaczenia, o ile tym bogiem nie jest Rau. Chętnie bym dopadła skurczybyka, pomijając fakt, że wtedy pewnie dostałabym po łbie kolejną kłatwę, która zmieniałaby mnie w jakiegoś gryzonia, a potem moja mała gryzoniowa dusza eksplodowałaby i przykleiła się do kolejnej grupki ludzi. Już lepiej, żeby to Rome dostał Rau w swoje ręce. Bo ręce miał duże i przy odrobinie szczęścia mógłby po prostu zetrzeć boga na proch.

– Wyczuwam poważne rozmyślenia, Kamieniu.

Nie zauważyłam, w którym momencie Siret zszedł z areny i usiadł obok.

– Jak zabić boga? – palnęłam, a dłoń Sireta momentalnie znalazła się na moich ustach.

Przysunął się tak blisko, że jego wargi niemal muskały mi policzek.

– Nie prowokuj ich. Nie myśl o zabijaniu bogów. Zniszczą cię bez zastanowienia. Zostaw Rau nam.

Chciałam coś powiedzieć, ale ręka Sireta skutecznie mi w tym przeszkodziła. Wysunęłam język, żeby oblizać wargi, zanim przypomniałam sobie, że w tej chwili to trochę niemożliwe, i w efekcie polizałam dłoń sol. Oczy Sireta przybrały ten specyficzny odcień burzowej zieleni, gdy powoli odsunął palce.

– Jakim cudem udało ci się przeżyć tak długo? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Pojęcia nie mam. To była ciężka droga.

Usłyszałam, jak mruknął: „Mogę się założyć”, po czym odwrócił się w stronę areny, by obejrzeć kolejną rundę. Imię Coena rozbłysło w płomieniach. Zero zaskoczenia. Prawdziwą niespodzianką było jednak następne nazwisko: Willa Knight – ziemianka.

Zawsze chciałam stać się sławna, ale niezupełnie w taki sposób. Minęło kilka dobrych chwil, zanim zarejestrowałam, że to mnie wzywają na arenę. Zgromadzeni wpatrywali się w ognisty napis, kompletnie osłupiali.

– No cóż, wygląda na to, że w tym cyklu księżycy bogom zachciało się innej zabawy – zauważył Siret.

Sprawa miała wrażenie, jakby nie wiedział, czy powinien być zły czy rozbawiony. Pozostał więc przy grymasie zażenowania. Coen siedział na swoim miejscu bez ruchu. Skierowałam na niego przerażony wzrok w nadziei, że dostarczy mi jakiejś podpowiedzi, co powinnam zrobić, żeby wszystko dobrze się skończyło. W końcu odwrócił się w moją stronę, ale nie byłam pewna, jak zinterpretować jego puste spojrzenie.

Z rosnącym niepokojem patrzyłam, jak podniósł się, jednym susem przesadził barierkę i wylądował na arenie. Miałam ochotę zacząć wrzeszczeć albo się rozpłakać. Nie wiedziałam, co robić, ale byłam pewna jak cholera, że przecież nie mogę walczyć z Coenem. Zniszczyłby mnie. Bogowie zapewne właśnie na to liczyli – że obudzi się w nim pragnienie bólu i zamieni mnie w smętną kupkę okrwawionych wnętrzności.

Pisnęłam zaskoczona, bo moje stopy niespodziewanie oderwały się od podłoża. Rome okazał się zaskakująco delikatny, kiedy przenosił mnie nad barierką. Spojrzałam na Sireta, który stał obok brata. W zasadzie wszyscy Abklęci podnieśli się z miejsc. Żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie masz wyjścia. Musisz tam iść i dać z siebie wszystko – powiedział Siret tak cicho, że ledwie

go usłyszałam.

– Coen zadba, żeby to się szybko skończyło – dodał Yael. – Tylko się mu nie stawiaj.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć bluzgami, na które zasługiwali, Rome mnie puścił. Poleciałam w dół zbyt przerażona, żeby krzyczeć, lecz zamiast uderzyć o ziemię zostałam złapana przez następną parę silnych rąk i odstawiona na nogi.

Cofnęłam się momentalnie, powiększając dystans między nami, i z wahaniem uniosłam pięści na wypadek, gdybym musiała walnąć Coena czy coś.

– Nic się nie bój, Willo. – Jego głęboki głos otulił mnie niczym podszyta jedwabiem peleryna, gładka i ciepła.

Ruszył na środek areny, a ja pomyślałam, że powinnam iść za nim. Do tego jednak potrzebowałam sprawnie działających nóg, a tak się składało, że moje wrosły w piasek. Zadrżałam, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że dosłownie wszyscy przewiercają mnie spojrzzeniami. Odruchowo zerknęłam przez ramię. Abklęci nadal stali za barierą. Omiotłam wzrokiem widownię i zdałam sobie sprawę, że wielu sol również wstało z miejsc. Niektórzy wyglądali na zaintrygowanych. Może to faktycznie był jakiś wyszukany sposób zażartowania z sol, którzy tak desperacko pragnęli zadowolić bogów. Ziemiańska krew zalewająca superchłonne piaski, na których walczyli święci sol... To musiała być dla nich wizja jak z koszmaru. Dla mnie też, jeśli miałam być szczerą.

Spuściłam wzrok na swoją elegancką suknię i skrzywiłam się. Bardzo podobało mi się, że wygląda jak szyta na miarę, ale tak było, zanim dowiedziałam się, że będę musiała walczyć w niej o życie. Albo przynajmniej udawać, że walczę.

Bo my odstawimy jakąś ściemę, prawda?

W końcu udało mi się na chwiejnych nogach przejść przez arenę i stanęłam przed Coenem, wdzięczna, że Siret dał mi buty bez obcasów. Sol utalentowany w zadawaniu bólu wydawał się spokojny. Nie okazywał żadnych emocji, które mogłoby podpowiedzieć mi, co zamierza zrobić. Słowa Yaela boleśnie wyraźne pobrzmiwały w mojej głowie: „Tylko mu się nie stawiaj”. Oczywiście łatwiej powiedzieć niż zrobić, kiedy wielki jak cholera sol idzie prosto na ciebie.

Coen poruszał się szybko, ale byłam przy Abklętych na tyle długo, że domyśliłam się, kiedy nastąpi atak i instynktownie zrobiłam przed nim unik. Doznałam szoku, gdy zdałam sobie sprawę, że poruszałam się niemal równie szybko co Coen. I nie potknęłam się przy tym ani razu.

Przechylił głowę, a w jego oczach błysnęło zaintrygowanie. Świetnie. Sprawiałam, że pojedynek stał się dla niego fajną zabawą, co oznaczało, że dla mnie będzie dokładnym jej przeciwieństwem. Czas na Plan B.

Zanim Coen zdążył cokolwiek robić, rzuciłam się biegiem, po drodze podciągając suknię w górę. Popędziłam w stronę niewielkiego drewnianego podwyższenia ustawionego pod barierką po lewej stronie areny. Czułam za sobą obecność Coena, ale nie wahałam się ani nie oglądałam za siebie, żeby nie marnować cennego czasu.

Wbiegłam na podwyższenie, bez zastanowienia odbiłam się od niego z całej siły i skoczyłam najwyżej, jak mogłam. Z głuchym huknięciem rąbnęłam o dolną część barierki. Na szczęście palce trafiły w otwory ażurowego wzoru, a ja zacisnęłam zęby, bo poczułam, jak drzazgi ze źle obrobionego drewna wbijają mi się w ciało. Co za partacz wycinał te esy-floresy?

Udało mi się podciągnąć na tyle, że mogłam wsunąć stopy w otwory u podstawy barierki. Przyciśnięta do drewnianej ścianki odwróciłam się, na ile pozwalała mi ta niewygodna pozycja, i popatrzyłam w dół na Coena. Mina mi nieco zrzędnęła na widok jego zadowolonego uśmiechu.

– Pozwoliłeś mi uciec, nie? – wydyszałam zirytowana. Bieganie nie należało do moich mocnych stron.

Wyszczrzył zęby. Widać, że dostarczałam mu rozrywki.

– Gdzie się wybierasz, mała ziemianko? Nie możesz wydostać się z areny, więc zabieraj tyłek na dół i oddaj mi się.

Zachłysnęłam się powietrzem, czując, jak do twarzy uderza mi gorąco. To wszystko przez bieganie, na pewno.

– Miałeś na myśli „poddaj się”, tak? Mam zabrać swój tyłek na dół i poddać się?

Śmiech Coena był głęboki, gardłowy. Zdawał się pobudzać moje ciało w miejscach, które stanowczo nie powinny reagować w sytuacji takiej jak ta.

– Zawsze mówię to, co mam na myśli. Powinnaś już się do tego przyzwyczaić.

Mocniej zacisnęłam palce na drewnianej balustradzie, bo poczułam, że pod wpływem emocji zaraz się ześlizgnę.

– Nigdy ci się nie oddam, Jedyńko! Nigdy! Równie dobrze możesz sobie iść, bo ja zamierzam siedzieć tu nawet do wieczora, jeżeli będę musiała!

Taa, jasne. Byłam okropną kłamczuchą. A do tego idiotką. Powinnam już się nauczyć, kiedy należy się poddać, by zminimalizować straty.

Coen rzucił się w moim kierunku tak szybko, że ledwo dostrzegłam jego ruchy, i zanim zdążyłam otworzyć usta, by krzyknąć, już był za mną, trzymając się krawędzi balustrady nad moją głową.

– Uwielbiam, kiedy uciekają – warknął mi do ucha, po czym otoczył mnie ramieniem i oderwał od barierki.

Wrzasnęłam, lecąc w dół. Gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi, odskoczyłam od Coena najdalej, jak mogłam, a potem skuliłam się nieco, gotowa do ataku. Zrobił krok w moją stronę, ale cofnęłam się zapobiegawczo, a kiedy on się cofnął, ja przesunęłam się do przodu. Zaczęliśmy krążyć wokół siebie, obrzucając się czujnymi spojrzeniami... dopóki nie przydepnęłam sobie rąbka sukni i omal się nie przewróciłam.

– Zaczekaj! – krzyknęłam mimowolnie, a w następnej chwili popatrzyłam na niego zaskoczona, bo naprawdę się zatrzymał.

Złapałam za brzeg sukni i próbowałam ją rozerwać. Potrzebowałam trochę więcej swobody. Oczywiście materiał nie ustąpił, a Coen najwidoczniej znudził się czekaniem, bo w mgnieniu oka znalazł się tuż obok.

– Czas minął – oznajmił, wciąż z tym cholernym uśmiechem na ustach.

Położył mi dłonie na ramionach, a potem zsunął je niżej. Co prawda nie dotykał bezpośrednio mojej skóry, a tylko okrywający ją materiał, ale i tak go czułam, kiedy pierś unosiła mi się pod wpływem gwałtownych, przyspieszonych oddechów. Ostatecznie jednak zacisnął palce na moich ramionach, a oczy mu pociemniały. Roziskrzone wstęgi dziwnie uzależniającego bólu, którego użył na mnie poprzednim razem, znowu zaczęły przebiegać przez moje ciało, tyle że teraz były milion razy silniejsze. Czułam się tak, jakby wbijał mi w skórę rozżarzone igły pokryte jednocześnie jakąś miksturą czyniącą to doznanie przyjemnym. Niesamowite, że potrafił coś takiego, ale wydawało się, że im więcej mocy używa, tym bardziej to doświadczenie zaczyna przypominać ból. Przyjemność wciąż nie zniknęła, lecz zaczynało wyzierać spod niej cierpienie, odzywając się nieprzyjemnym skurczem w mięśniach i wykrzywiając twarz w grymasie udreki.

Zaskomlałam w proteście, choć moje ciało wyginało się w łuk i przysuwało bliżej w odpowiedzi na spojrzenie tych zamglonych oczu. Zsunął mi jedną rękę z ramienia i otoczył mnie mocno w pasie.

– Twoja walka to coś, co odróżnia cię od innych ziemian – wyszeptał wprost do mojego ucha. – Ale musisz nauczyć się rozpoznawać, kiedy nie możesz wygrać.

„Och, nie. Nie powiedziałaś tego”.

Ostrożnie, by nie zorientował się od razu, chwyciłam za spódnice i zaczęłam podciągać materiał cal po calu. Wreszcie Coen oderwał ode mnie wzrok i spojrzał w dół.

– Ziemianko... – wychrypiął, obserwując materiał sunący w górę moich nóg.

Na jedną chwilę przeszył mnie bolesny impuls, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Coen pośpiesznie zamrugał raz i drugi, jakby wybity z rytmu, po czym zaskoczony popatrzył mi w oczy. Zdekoncentrowałam go.

Willa po zwycięstwo!

Zmarszczył brwi, ewidentnie słysząc tę myśl, ale było już za późno. Zdążyłam podciągnąć suknię dostatecznie wysoko.

– To co tam mówiłeś przed chwilą? – zapytałam, a sol zebrani na trybunach zaczęli krzyżeć, wyraźnie zniecierpliwieni.

– Że musisz nauczyć się rozpoznawać, kiedy nie możesz...

Zebrałam całą energię, jaką w sobie miałam, a moje kolano wystrzeliło w górę... prosto w jaja sol.

Oddech uwiązł mu w gardle. Wypuścił mnie z objęć, a potem zrobił chwiejny krok do tyłu. Ups... Owszem, chciałam załadować mu z kolana, ale niekoniecznie tam. Zamarłam na widok nowego odcienia zieleni w jego oczach i w tej chwili nabrałam pewności, że widzę śmierć. Coen wcale nie był sol z darem Bólu. Był po prostu Śmiercią.

– Przepraszam, nie chciałam... – jęknęłam, unosząc ręce.

Cofałam się, wciąż trzymając dłonie przed sobą. Tłum zrobił się hałaśliwy i chociaż nigdy tego nie planowałam, postanowiłam się poddać. W momencie gdy otwierałam usta, żeby wypowiedzieć te słowa, przeszła mnie błyskawica energii, a z gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Spróbowałam znowu, ale bez rezultatu. Tymczasem Coen już doszedł do siebie i ruszył w moim kierunku. To niesprawiedliwe. Powinien dać mi przynajmniej dwa kliki wytchnienia. Spróbowałam odezwać się po raz trzeci, ale nadal nie mogłam wydobyć głosu z gardła.

Zerknęłam na oszkloną platformę z głębokim przeświadczeniem, że jeden z tych dupków coś mi zrobił. Chcieli wiedzieć, jak zareaguje Coen, jak daleko się posunie, czy mnie skrzywdzi albo nawet zabije. Ja natomiast nie miałam najmniejszej ochoty się o tym przekonywać. Akurat takiej wiedzy nie potrzebowałam. Z chęcią związałam z areny, zgoliła włosy i przyjęła rolę nierzucającego się w oczy – pomijając te cholerne cycki – Willa Knighta, byleby tylko ukryć się przed bogami. Tego jednak nie mogłam zrobić, bo chłopcy czuli się w jakiś sposób zobowiązani wobec bogów, a bogowie mieli pewnego rodzaju władzę nad nimi. Ja zaś odczuwałam coś na kształt zobowiązania wobec Abklętych albo to oni posiadali władzę nade mną. W zasadzie zobowiązanie i władza zaczynały stawać się dla mnie synonimami.

A poza tym była jeszcze jedna mała, naprawdę mała sprawa.

Bogowie oszukiwali.

Odebrali mi zdolność poddania się, a to było niesprawiedliwe i wprawiło mnie we wściekłość. Przestałam się cofać, po czym zamrugałam, jakbym miała zaraz się rozplakać niczym mała dziewczynka. Coen totalnie dał się nabrać. Co za głupek. Zmarszczył brwi, a bijące od niego zagrożenie jak gdyby nieco zmalało. Opadłam na kolana i zagłębiłam palce w piasek. Naprawdę wczułam się w rolę.

– Choć bardzo mi się to podoba – mruknął Coen, wsuwając dłoń w moje włosy – musisz powiedzieć, że się poddajesz.

Przez jedną, krótką chwilę słabości pozwoliłam sobie bawić się myślą, że być może nie mam dość silnej woli, by oprzeć się Coenowi i jego głębokiemu, wibrującemu głosowi. Brałam pod uwagę, że może naprawdę chciałabym klęczeć przed nim i...

Ale nie.

Nie.

Byłam Willą Knight, do cholery. Wybitną Twardzielką! Najlepszą Ziemiarką w Minatsol! I zamierzałam skopać dupę temu ogromnemu, sadystycznemu sol, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

– A masz! – krzyknęłam... a w sumie tylko poruszyłam ustami, no ale tak czy siak, przekazałam wiadomość.

Cisnęłam mu piaskiem w twarz, zerwałam się na nogi i rzuciłam do ucieczki. Zanim zdążyłam opracować dalszy plan, wielkie ciało uderzyło we mnie, oderwało od ziemi i poniosło przez arenę aż do bariery, za którą stali Abklęci.

Uderzyłam plecami o ścianę. Trochę zabolalo, lecz z pewnością nie tak, jak mogłoby zaboląć, gdyby sol użył wszystkich swoich mięśni. Oddech Coena omiótł mój policzek i trochę zakręciło mi się w głowie od zapachu jego skóry, przywodzącego na myśl świeżo ściętą sosnę. Cały drżał i znajdował się o krok od utraty kontroli, a ja nie mogłam wydusić jednego słowa w próbie ocalenia własnego życia. W akcie ostatecznej desperacji zarzuciłam mu ręce na szyję i przyłgnęłam do niego w gwałtownym uścisku. Może i byłam beznadziejna w walce, za to niezrównana w przytulaniu. Jedna z najlepszych w tej dziedzinie.

Kiedy się odsunęłam, Coen popatrzył na mnie tymi swoimi przypominającymi klejnoty oczami

jak drapieżnik na ofiarę. Poczułam nieznaczne wibracje warkotu, który dobywał się z jego gardła. Przysunęłam się znowu, by wtulić twarz w zagłębienie między ramieniem a szyją.

Ciało Coena zdrząło, a dłonie zacisnęły się na moich plecach jeszcze mocniej.

– Musisz się poddać, Willo – usłyszałam błagalny szept. – Nie mogę przestać, dopóki tego nie zrobisz.

Cofnęłam się na tyle, by widział moją twarz, po czym położyłam dłoń na gardle i pokręciłam głową, dając do zrozumienia, że nie mogłabym się poddać, nawet gdybym chciała.

Nie mogę mówić.

Tym razem dobiegł mnie więcej niż jeden warkot i wiedziałam, że pozostali bracia też usłyszeli moją myśl. Coen odwrócił nas tak, że mógł posłać mordercze spojrzenie w kierunku oszklonej platformy, a potem szepnął:

– Zamknij oczy.

Wydawało mi się, że patrzymy na siebie całą wieczność i z ulgą zauważyłam, że Coen jest tak samo jak ja niezadowolony z tego, co się dzieje. Kiwnęłam głową i zamknęłam oczy, ufając, że jakoś to przetrwam. Coen odstawił mnie na ziemię i ujął moją twarz w dłonie. Przyprawiający o mrowienie ból pojawił się niemal od razu i przybrał na sile tak bardzo, że chciałam krzyknąć. Na szczęście momentalnie ogarnęła mnie ciemność.

* * *

Kiedy się obudziłam, ból był wszędzie, lecz najbardziej odczuwałam go w okolicach piersi. Z trudem zdołałam usiąść, po czym rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wyglądało trochę jak loch – z kamiennymi ławkami i drzwiami z rygłem, na szczęście otwartymi. Jęknęłam, zginając się wzdłuż i łapiąc za brzuch. Abklęci przebywali gdzieś w pobliżu, ale dzielący nas dystans popychał mnie na skraj wytrzymałości. Zsunęłam się z ławki i choć kręciło mi się w głowie, ruszyłam w kierunku wyjścia.

– Pieprzyć bogów – wymamrotałam tylko po to, by upewnić się, że znów mogę mówić.

Faktycznie mogłam. Poza tym nadal miałam wszystkie kończyny, co należało uznać za wyczyn, biorąc pod uwagę fakt, że nie tak dawno wskoczyłam na Arenę Świętego Piasku, by stanąć do walki z Coenem Abklętym, mistrzem bólu z Bożyłasu.

– Pieprzyć bogów – powiedziałam trochę głośniej. Chciałam sprawdzić swoje możliwości jeszcze raz, tak dla absolutnej pewności. – Pieprzyć pieprzonych bogów! – zawołałam.

Na ten okrzyk nie miałam już usprawiedliwienia, po prostu sprawił mi przyjemność.

– Tak, wiemy – zauważył znajomy głos. – Jesteś trochę zła.

– Emmy? – Zamrugałam na widok przyjaciółki zmierzającej korytarzem w moim kierunku. – Jestem w lochach ziemian?

– Nie. – Wyciągnęła ręce i przytuliła mnie mocno. – Pod areną. Atti miał akurat służbę i przybiegł po mnie, kiedy wywołano cię do walki. Powiedział, że możesz potrzebować jakichś ubrań.

– Czy bogowie wciąż tu są? – zapytałam, siadając na jednej z ławek pod ścianą.

Emmy omiotła mnie krytycznym spojrzeniem, a potem podała mi kulkę ubrań. Uważnie rozejrzałam się po korytarzu, po czym postanowiłam pozbyć się kompletnie zrujnowanej sukni. Chwilę trwało, zanim się z niej wyswobodziłam i założyłam ciuchy przyniesione przez przyjaciółkę: krótkie spodnie oraz koszulę. Pewnie znalazła je w moim plecaku. Ziemianie mieszkający w osadach musieli jakoś radzić sobie z upałem, dlatego ubierali się odmiennie od osób żyjących w miastach i mających dostęp do różnych przynoszących ulgę i zbawienny chłód wynalazków.

– Nie mam pojęcia. I tak rzadko się pokazują. Coś ty narobiła, Willo? Dlaczego, do diabła, wezwali cię na arenę? Czy oni wiedzą, że zakradłaś się do Topii? – Przy ostatnim zdaniu Emmy ściszyła głos, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony, jakby spodziewała się, że któraś z tych zasranych boskich dup zmaterializuje się tuż obok nas.

– Ja... – Otworzyłam usta, po czym zaraz je zamknęłam. Nie miałam pojęcia. – Może to był Rau. Wydawał się bardzo zły na Abklętych, a oni powiedzieli mu, że jestem zabawką Coena. Że Coen mnie polubił albo coś równie dziwnego. Więc może to nie miało nic wspólnego ze mną, a chodziło tylko o ukaranie Coena.

Emmy zmarszczyła brwi. Gdybym nie znała jej dość dobrze i nie wiedziała, że jest poczciwą,

miłującą sol duszyczką, pomyślałabym, że naprawdę wnerwiła się na Coena i pozostałych braci za wciągnięcie mnie w sam środek walki z bogami.

– Wezwano ich na górę – powiedziała niemal z rezygnacją. – Całą piątkę.

– Do bogów?

– Tak.

– Idę tam – oświadczyłam, podrywając się z miejsca.

Emmy niemal od razu mnie dogoniła, zdecydowanie zbyt szybko jak na moje kruche ego.

– Skąd wiedziałam, że to powiesz? – mruknęła.

– Bo tak naprawdę jesteś buntowniczką i twój umysł pracuje dokładnie tak jak mój?

Parsknęła śmiechem, co uznałam za „nie”.

– Cieszę się, że nic ci nie jest, Will. Byłam przerażona. Myślałam, że Coen cię zabije. Mam wrażenie, że twój pech okropnie się pogorszył, odkąd tu przyjechałyśmy.

– E tam. – Pokręciłam głową.

Przystanąłam na widok kilku różnych dróg wiodących na górę, próbując odgadnąć, które schody prowadzą do platformy.

– Jesteśmy teraz przyjaciółmi, nawet jeśli oni nie chcą się do tego przyznać – dodałam. – Poza tym od przybycia do Bożylasu dźgnęłam tylko jedną osobę. Jedną! Znaczący... No dobra... to był bóg, ale mimo wszystko. Coen by mnie nie zabił.

– Poszłam rano do kantorka, żeby zobaczyć, jak się masz, ale ciebie nie było. Uznałam, że powiedziałam im o wszystkim.

– Nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Piątka pozwolił mi spać w swoim pokoju.

– Piątka?

– Siret. Oszustwo. Ten, który zawsze się krzywo uśmiecha.

– Piątka, czyli mieszka w dormitorium numer pięć?

W końcu znalazłam właściwe schody – do tego bez pomocy Emmy – po czym złapałam ją za rękę i pociągnęłam za sobą. Miła zamiana ról w naszej siostrzanej relacji.

– Jesteś taka mądra – powiedziała z przekonaniem. – Dlaczego wszyscy ludzie nie mogą być tak mądrzy jak ty?

– Większość jest.

– Czy to znaczy, że ja jestem głupia? – zapytałam, udając obrażoną.

– To znaczy, że jesteś wyjątkowa – odpowiedziała zadziornie, ściskając moją dłoń i przejmując dowodzenie, bo nagle zaczęłam się gubić.

Tyle korytarzy. Prawie żadnego światła. Do tego tak bolały mnie nogi, że odruchowo próbowałam unikać schodów. Co było głupie, bo musiałyśmy dostać się na górę.

W końcu ból w piersi zaczął słabnąć, a moje ciało zdawało się samoistnie podążać prosto ku Abklętym. Pewnie byliby zachwyceni tym faktem. Musiałam zadbać, żeby nigdy się o nim nie dowiedzieli. Po dotarciu na miejsce planowałam przykleić ucho do ściany albo leciutko uchylić drzwi, żeby wszystko wyraźnie słyszeć. Miałam nadzieję, że zarówno bogowie, jak i Abklęci postanowią skorzystać z momentu prywatności, by wyjawić wszystkie swoje sekrety oraz że sekrety owe nie okażą się szkodliwe dla mnie w żadnym sposobie, kształcie czy formie.

Udział Willi Knight w tym wszystkim to czysty przypadek.

Tak właśnie powiedzą. Albo nie!

Kim jest Willa Knight?

O, teraz lepiej. Tylko że... w ogóle nie powinni znać mojego nazwiska.

Ta ziemianka, z którą kazaliśmy mu walczyć? Chyba zwariowaliście. W płomieniach powinien pojawić się napis „Willis Ninny”, głuptaski.

Tak się cieszyłam tym, co miałam usłyszeć, że ledwie zauważyłam otwierające się przede mną drzwi. Przystanąłam na widok Arosa, który wyszedł z pomieszczenia jako pierwszy. Za nim pojawili się Yael, Siret, Coen i na końcu Rome. Stanęli w szeregu twarzami do mnie, a Rome mocno zamknął drzwi za sobą, nie wypuszczając na korytarz nikogo więcej.

– O, cześć. – Potarłam butem o dywan. – Super was zobaczyć. Już po sekretnym spotkaniu?

– Słyszeliśmy cię – obwieścił Yael, zerkając krótko na Emmy, po czym przeniósł wzrok z powrotem na mnie. Och, no tak. Słyszeli moje myśli.

Cholera. Dlaczego o tym nie pomyślałam?

– Nadal to robisz – dodał Aros.

Podszedł bliżej, złapał mnie w pasie i bez najmniejszego trudu przerzucił sobie przez ramię.

– Cześć, ziemianko – rzucił, mijając Emmy, a reszta podążyła za nim.

Posłałam jej bezradne spojrzenie. Pomachała mi na pożegnanie, oczywiście świadoma, że nawet gdybym chciała, nie mogę się od nich uwolnić, lecz mimo to na jej twarzy malowało się coś na kształt rozpacz. Pomyślałam o tym, co zrobiłabym na jej miejscu, i skrzywiłam się lekko. Pewnie skopałabym jakieś błogosławione tyłki. A przynajmniej bym spróbowała. Emmy prawdopodobnie sądziła, że znalazłam się poza jej zasięgiem i że nie może już mnie chronić. Całkiem możliwe jednak, że za jakiś czas będzie dziękować Abklętym. Zapewne mniej więcej wtedy, gdy bracia zaczną ją błagać, by wzięła mnie z powrotem pod swoje skrzydła. Zajmowanie się mną było cholernie uciążliwe, a na Emmy czekały wielkie rzeczy: olśniewająca ziemiańska kariera i zaszczytna przyszłość.

Ja nie miałam ani jednego, ani drugiego, tylko... Jak by to ująć... Gówno. Pewnie zostanę Jeffreyem, ale o tym akurat wolałabym nie rozmyślać zbyt wiele. W każdym razie nie teraz, kiedy dłoń Arosa trzymała moje udo, bo jeśli istniał ktokolwiek, kto potrafił oderwać mnie od nieprzyjemnych myśli, to z pewnością był nim obdarzony darem Uwodzenia złoty sol.

– Mogę iść sama – syknęłam, pukając go palcem w plecy.

Ściągnął mnie z ramienia, ale nie odstawił na posadzkę, tylko spojrzał mi w twarz.

– Pewnie – wymruczał. – Wszystko w porządku?

– Pewnie – powtórzyłam za nim, szczerząc zęby. – Miałam okazję stanąć do walki z Mistrzem Bólu Jedyneką i jestem przekonana, że prawie wygrałam. Totalnie prawie wygrałam.

– Taa, jasne. – Zaśmiał się. – Ale przyznałbym ci wyróżnienie, chociaż zasługujesz na kilka ujemnych punktów za kopa w jaja. To było trochę niesprawiedliwe, nie uważasz?

– E tam. – Objęłam Arosa za szyję i oparłam brodę na jego ramieniu.

Naprawdę chciałam znowu otoczyć go nogami, ale ostatnim razem dostałam lekcję albo chociaż pół lekcji. Chłopcy chyba naprawdę nie zdawali sobie sprawy, jak niezręczne jest dla mnie wiszenie w ten sposób, z dyndającymi nogami. Nadal szli za Arosem, więc mogłam na nich spojrzeć. Żaden nie wyglądał na zranionego. Albo szczęśliwego. Albo złego. W ogóle nie widziałam na ich twarzach żadnych emocji.

– Dlatego wezwali was na platformę bogów? – zapytałam w końcu, skupiając wzrok na Coenie.

Doszłam do wniosku, że był mi winien więcej niż pozostali, skoro przez niego straciłam przytomność i w ogóle.

– Nie wezwali – burknął. – Sami się wezwaliśmy.

– Och... Po co?

– Żeby dowiedzieć się, dlaczego, do cholery, kazali mi walczyć z ziemianką.

– I?

– Wszyscy ziemianie zadają tyle pytań? – mruknął Rome.

– I? – Nie ustępowałam.

– To był Rau – odpowiedział Yael znudzonym głosem. – Próbował wkurzyć Coena. Nic wielkiego. Żaden powód do zmartwień.

– Pomijając fakt, że teraz każdy sol w akademii będzie cię nienawidzić – dodał Siret.

– Dlaczego? – jęknęłam, choć w zasadzie to nie było pytanie, tylko raczej lament. Czemu te wszystkie posrane rzeczy musiały przydarzać się akurat mnie?

– Skończ już z tymi pytaniami – burknął Rome. – Łeb mnie boli i mam ochotę coś rozwalić.

– Małe przesłuchanko jeszcze nikomu nie zaszkodziło – zaprotestowałam bez przekonania.

Tak naprawdę wcale nie chciałam kłócić się z Rome'em, ale najwidoczniej miałam w umyśle jakiś uparty pstryczek, który zaciął się chyba w pozycji „włączony”.

– Uwodzenie – syknął Rome. – Zrób z nią coś.

– Mógłbyś na przykład grzecznie mnie poprosić! – zaprotestowałam, kiedy Aros mocniej

przycisnął mnie do siebie, a wolną rękę znowu położył na moim udzie.

Uniósł mi nogę i przyciągnął do swojego boku, tak że wreszcie mogłam porządnie objąć go w pasie. Byłam odrobinę wytracona z równowagi. Zwłaszcza kiedy dla wygody złapał mnie za tyłek, a emocje zbyt silne, by mogły być czymś innym niż magia, wypełniły całe moje ciało. Przywarłam do niego ciasno, wtulając mu twarz w szyję i chwytając zębami jego skórę. Przede wszystkim próbowałam powstrzymać się od jęczenia czy innych żalosnych babskich reakcji, ale możliwe, że chciałam też choć trochę się zemścić. Aros potknął się i zatrzymał, a zaraz potem usłyszałam jęk.

– Czy ona cię ugryzła? – rozległ się głos Rome’a.

Nagle poczułam szarpnięcie za włosy i zostałam oderwana od szyi Arosa.

– Tak – wychrypiął Aros.

– Zachowuje się jak dzikie zwierzę – wymamrotał Rome, patrząc roziskrzonymi oczami prosto w moje. – Za każdym razem kiedy ją szturchniesz, ona się odgryza.

– Ona cię słyszy – przypomniałam.

– Daj mi ją – zażądał Rome.

Patrzył na mnie tak intensywnie, aż pomyślałam, że mówi do mnie.

– Odpierdol się, Siło – warknął Aros i ruszył przed siebie, przez co Rome musiał mnie puścić.

Moje włosy zaplątane w jego palce na chwilę utworzyły most między nam, a potem opadły, zasłaniając mi pole widzenia. Odgarnęłam je szybko, zaś Rome znowu był blisko. Sięgnął nad bratem, wsunął mi ręce pod pachy i poderwał do góry. Aros obrócił się gwałtownie. Wyglądał na wkurzonego.

Gdy tylko moje stopy dotknęły posadzki, wyciągnęłam ręce, próbując ich rozdzielić.

– Łooo, spokojnie! Rozumiem, że energia pewnie buzuje w waszych ciałach od tych całych pojedynków na arenie i aż was świerzbi, żeby znowu komuś przyłożyć, ale jeśli...

Moje żalosne próby pacyfikacji urwały się, kiedy zostałam dosłownie zgnieciona między dwoma rozjuszonymi braćmi. Najwyraźniej zapomnieli, że między nimi stoi ziemianka.

Ktoś złapał mnie za koszulę i wy dostał ze strefy zagrożenia, po drodze rozrywając materiał. Tym kimś okazał się Yael. Pokręcił głową, położył mi palec na ustach, a potem odciągnął na bok. Siret i Coen byli zajęci próbami oderwania od siebie Arosa i Rome’a.

Sądziłam, że Yael przystanie, kiedy oddalimy się od pozostałych, on jednak tylko przyspieszył kroku.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, oddychając zaskakująco równo, choć musiałam niezłe przebierać nogami, żeby za nim nadążyć. Hm, dziwne.

– To nie było normalne – mruknął w zamyśleniu, a ja spojrzałam na niego, zdziwiona. – Rome i Aros – wyjaśnił. – Zazwyczaj nie walczą w taki sposób. W sumie... nigdy tego nie robią. Coś się dzieje i wygląda mi to na robotę chaosu. Rau ciągle się tobą bawi. Muszę się dowiedzieć dlaczego.

Wspaniała wiadomość.

Zachichotał, a napięcie częściowo zniknęło z jego zniewalającej twarzy.

– Nie martw się, Willo. Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało. Polubiliśmy cię już wcześniej, bo jesteś tak anormalna, że to wręcz zabawne. Ale po tym, jak próbowałaś walczyć z Coenem? Cóż, teraz cię zatrzymujemy. To ostateczny werdykt.

Poczułam ciepło rozlewające się w sercu, a szczęście niemal we mnie eksplodowało, lecz szybko je stłumiłam.

– Nie jestem zabawką – przypomniałam. – Nie możecie po prostu mnie zatrzymać, żeby móc się mną pobawić, kiedy najdzie was ochota.

– Możemy, jeżeli nie uciekniesz.

Czemu, do diabła, miałabym uciekać?

– No właśnie, Zabaweczko.

– Jesteś po prostu złośliwy – rzuciłam oskarżycielsko.

Wyszczrzył zęby i zerknął na mnie kątem oka.

– Chętnie bym ci to wynagrodził, ale nie chcę tak od razu zaczynać kłótni z braćmi. Może później.

Co za fiut.

– Teraz to ty jesteś złośliwa. – Parsknął śmiechem.

CZTERNAŚCIE

Yael odprowadził mnie do sali jadalnej. Nadszedł czas na śniadanie, a ja zdałam sobie sprawę, że umieram z głodu. Właśnie tak wpływała na dziewczyny walka z sol oraz nokaut z jego ręki. Po drodze kilka razy obejrzałam się za siebie. Ani śladu pozostałych Abklętych.

– Czy... z Rome'em i Arosem wszystko w porządku? – zapytałam. – Chyba nie będą naprawde się tłuc, prawda?

Z jakiegoś powodu pomyślałam, że Yael musi znać odpowiedź. Z ulgą zauważyłam, że wydaje się nieprzejęty całą sprawą, ale z drugiej strony trudno było go rozgryźć, jak zawsze zresztą. Pieczołowicie ukrywał emocje, no chyba że akurat wkręcił się w jakąś rywalizację i przegrywał.

– Nic im nie będzie. Potrzebowali tylko odrobiny dystansu od ciebie.

Prychnęłam.

– Miło. Każda dziewczyna chciałaby usłyszeć coś takiego.

Yael zwolnił i obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Masz do czynienia z grupą istot obdarzonych potężnymi mocami, Willo, nie ze zwykłymi ziemianami. Jedna dziewczyna i pięciu facetów, rozumiesz? Będziesz musiała przyzwyczaić się do problemów wywoływanych przez taki układ. Zwłaszcza że wszyscy musimy zmierzyć się z konsekwencjami bliżej niezidentyfikowanej kłątwy, którą rzucił na ciebie Rau.

Pięciu!

Jasny gwint. Miał rację. To okropnie dużo facetów w moim życiu, a jednak niemal nie potrafiłam już sobie wyobrazić, że mogłoby ich nie być. Jak gdyby od zawsze stanowili część mnie.

– Jeśli moja dusza podzieliła się na pięć części, dlaczego wystarczy mi bycie z jednym z was, a nie ze wszystkimi?

Zastanawiałam się nad tym już wcześniej, ale jakoś nigdy nie znalazłam dostatecznie dużo czasu, żeby wypowiedzieć na głos wszystkie pytania, które kłębiły mi się w głowie.

Na twarzy Yaela pojawiła się obojętność, bardzo ostrożna obojętność. Pojęłam wtedy, że ma pewną teorię na ten temat, ale nie zamierza się nią ze mną podzielić. Zamiast tego pchnął podwójne drzwi do sali jadalnej. Aż do tej pory nie napotkaliśmy zbyt wielu studentów Bożylasu. Większość z nich dużo wcześniej opuściła Arenę Świętego Piasku i oczywiście zrobiła to, by zgromadzić się w sali jadalnej. Tej samej, na której progu właśnie stanęłam, zaszytletowana tysiącami spojrzeń.

– Chodź, Zabaweczko, czas coś zjeść. Umieram z głodu – rzekł Yael i wszedł do środka, jakby nie miał absolutnie żadnych zmartwień.

Skierował się do stołu, który zawsze zajmował z braćmi, a ja cofnęłam się o krok. Nie ma mowy, żebym tam weszła. Może i Yael był zajebistym twardzielem, ale nawet on nie zdołałby powstrzymać tysiąca sol, gdyby postanowili rozszarpać mnie na strzępy. Lubiłam mieć siebie w jednym kawałku.

Podwójne drzwi zamknęły mi się tuż przed nosem, a ja stałam jak zaczarowana, próbując uspokoić przyspieszony oddech. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech. Drżące powietrze muskało moje wargi i z każdym haustem powietrza czułam coraz większą panikę. Nie mogłam tego zrobić. Bogowie chcieli wszystko spieprzyć. Istniało duże prawdopodobieństwo, że komuś stanie się krzywda. Co, jeśli nie chodziło tylko o mnie i Emmy albo jeden z Abklętych dostanie się w krzyżowy ogień?

W piersi znowu poczułam ukłucie bólu i zdałam sobie sprawę, że już nie stoję przed jadalnią, tylko się cofam. Oddalałam się od Yaela, o czym moja głupia, rozdarta dusza musiała mnie poinformować. Strach kazał mi przebierać nogami, zanim racjonalna część mojego umysłu nadażyła za sytuacją. Oczywiście wiązał się z tym pewien problem. Cofanie się oznaczało, że nie patrzyłam, gdzie idę. Smukłe, pełne gracji ręce otoczyły mnie nagle w pasie i zanim zdążyłam wezwać pomoc, wepchnięto mi w usta zwitek materiału, a na głowę zarzucono ciężką tkaninę. Spowita w niemal całkowitą ciemność na oślep próbowałam walczyć z nieokreślonym napastnikiem. Okazał się zdecydowanie zbyt silny, by moje starania mogły przynieść skutek, a kiedy chwycił mnie mocno i zaczął

ciągnąć w nieznanym kierunku, zorientowałam się, że zostałam unieruchomiona przez więcej niż jedną parę rąk. Usłyszałam jakieś krzyki, ale szybko uciszył je surowy znajomy głos: Elowin!

Jasna cholera!

Komiteta do spraw ziemian właśnie mnie porywał. Już nie musiałam martwić się o resztę Bożyłasu. Nadszedł moment, w którym miałam stać się karmą dla bykonii.

Yael!

Wrzasnęłam w myślach najgłośniej, jak tylko potrafiłam, bardzo licząc, że sol mnie usłyszy. Miałam jednak pewne problemy z koncentracją, pewnie przez to, że ból w piersi mógł lada moment rozedrzeć mnie na pół. Po kilku krokach zniknęła nawet ta odrobina światła, która sączyła się przez tkaninę zarzuconą na moją głowę, i zaczęliśmy schodzić w dół. Powietrze stało się chłodniejsze.

Przestałam się szarpać w nadziei, że porywacze rozluźnią uścisk. Lecz Elowin i jej pachołkowie byli bardzo skrupulatni. Miałam wręcz wrażenie, że trzymają mnie coraz mocniej, co w połączeniu z nasilającym się bólem w piersi stawało się coraz trudniejsze do wytrzymania.

– Szybciej – rozległ się zwielokrotniony echem głos Elowin.

Aż zadrżałam z przerażenia. Dudniący odgłos kroków sugerował, że prowadzili mnie przez część kompleksu zbudowaną z kamienia.

– Podstęp nie da nam wiele czasu. Zaraz się zorientują, że to nie ziemianka.

Jaki znowu podstęp? Próbowалаłam krzyknąć, ale knebel skutecznie zagłuszał moje krzyki, a do tego klatka piersiowa najwyraźniej chciała rozpaść się na milion kawałków, co utrudniało wszelkie działania. Po policzkach spłynęły mi łzy. Wiedziałam, że muszę przestać płakać i zebrać myśli, ale ból był tak silny, że zupełnie straciłam nadzieję na powstrzymanie płaczu.

Ktokolwiek mnie trzymał, cisnął mną przez pomieszczenie. Całe powietrze uciekło mi z płuc, gdy uderzyłam o podłogę i przeszorowałam plecami po kamieniach. Poczułam piekący ból, który dobrze pasował do bólu w piersi. Zupełnie jakby różne rodzaje bólu były przyjaciółmi i umówiły się na małą, bolesną imprezkę. Już i tak oddychałam z trudem, ale po zderzeniu z podłożem zaczęłam rzeźić i wić się jak umierająca ziemianka. Czyli ktoś, kim prawdopodobnie miałam się stać.

Skupiłam się na jednym zadaniu: na wciągnięciu powietrza do płuc. Łatwizna. Wdech i wydech. Oczywiście pomijając fakt, że napastnicy nadal znajdowali się w pomieszczeniu i zdecydowanie jeszcze ze mną nie skończyli, więc moje napawanie się oddechem mogło się zaraz skończyć.

Zerwano mi worek z głowy, a ponieważ się tego nie spodziewałam, gwałtownie rąbnęłam potylicą w kamienną podłogę. Gwiazdy zatańczyły mi przed oczami i z trudem odpędziłam ciemność, która próbowała mnie zalać. Gdybym straciła przytomność, na pewno skończyłabym martwa.

Rome! Coen! Abklęci... No dalej, wy dupki. Usłyszcie mnie!

W głowie wciąż darłam się na moich sol jak opętana, choć już pogodziłam się z myślą, że będę musiała wydostać się z tego gówna bez niczyjej pomocy. Tak właśnie wyglądała droga Willi Knight. Samotnego Żołnierza. Profesjonalnej Uciekiniarki przed Śmiercią.

Kiedy przestało mi dzwonić w uszach, zmusiłam się do obrócenia na bok, a potem wstania. Chwiejnie odsunęłam się od trójki sol, wyrwałam knebel i oblizałam się powoli, by zlikwidować nieprzyjemną suchość ust.

Nie musiałam się zastanawiać, dlaczego Elowin pozwala mi się cofnąć. Z tego, co widziałam, pomieszczenie było małe, owalne i zbudowane z grubego kamienia. Elowin stała ze swoimi mięśniakami przy jedynym wyjściu: ciężkich, kamiennych drzwiach, wzmocnionych żelaznymi sztabami.

Zrobiła krok w moją stronę. Wyglądała na niezłe wkurzoną.

– Ostrzegałam cię, ziemianko. Wtrąciłaś się w coś, w co nikt nie miał prawa się wtrącać. Przekroczyłaś granice i wywołałaś falę problemów, których naprawienie zajmie nam pewnie całe cykle życia.

Chciałam się odezwać, lecz w gardle miałam tak sucho, że wydostał się z niego tylko cichy pisk. Musiałam podjąć jeszcze dwie próby, by w końcu mi się udało.

– Co chcesz ze mną zrobić?

Nie zabili mnie, co oznaczało, że albo czegoś ode mnie chcieli, albo zamierzali najpierw ponapawać się swoim triumfem, a dopiero potem dokończyć dzieła. Żadna z tych opcji nie dawała mi

wielkich nadziei na wyjście z tego cała.

– Wszyscy w Bożylesie sądzą, że uciekłaś. Mamy świadków. Twoje rzeczy zostały spakowane. Nikt nie pozna prawdy. Widzisz... gdybyśmy teraz cię zabili, bogowie na pewno by się o tym dowiedzieli. Mają na ciebie oko i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu postanowili... pofolgować tej małej fantazji, którą stworzyłaś sobie z Abklętymi. Fantazji, która powoduje więcej problemów, niż twój mózdzek jest w stanie pojąć. Bogów nie obchodzi rutyna w Minatsol, ale mnie tak. Poświęciłam całe życie, dbając o to, by ziemianie i sol mieli odrębne miejsca na tym świecie. Dlatego zostaniesz w piwnicy. To skrzydło Bożylasu stoi od dawna zapomniane. Będziemy karmić cię przez kilka tuzinów cykli słońca, aż sprawa przycichnie, a bogowie o tobie zapomną, potem zaś... wrócisz do swojej wioski.

Aha, jasne. To lodowate spojrzenie wyraźnie mówiło, że już nigdy stąd nie wyjdę. Elowin po prostu chciała się upewnić, że bogowie o mnie zapomnieli, zanim zakończy moje życie. Bała się zaprzepaścić szansę na dostanie się do Topii.

– Bogom chyba się nie spodoba, że zamkniesz mnie tutaj jak jakieś zwierzę – skłamałam.

Roześmiała się, a ten dźwięk sprawił, że poczułam ciarki.

– Nie miej zbyt dużego mniemania o sobie, ziemianko. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że obserwują twoją energię, dlatego dowiedzieliby się, gdybyś umarła. Ale z pewnością nie będą śledzić każdego twojego ruchu. Nie obchodzisz ich ty, lecz bracia Abklęci, co oznacza, że gdy tylko cię od nich odsunę, znikniesz również z obszaru zainteresowania bogów.

Tia, Elowin zdecydowanie miała nierówno pod sufitem.

– Co z Abklętymi? – Musiało istnieć coś, czego bała się na tyle, żeby mnie wypuścić. – Będą mnie szukać. Nie spodoba im się to, co zrobiłaś.

– Zajmę się nimi – zbyła mnie. – Potrzebują małego przypomnienia, że nie są jeszcze bogami... a jedynie sol oraz studentami tej akademii, podległymi władzy osób przez ową akademię zatrudnionych.

Nie odezwałam się więcej. Klótnie z wariatkami prowadziły donikąd – mimo że zupełnie się myliła co do Abklętych. Byli tak bliscy bogom, jak tylko się dało, zanim śmierć zamieni ich w prawdziwe bóstwa. Zniszczą Elowin, gdy tylko ją dopadną, a potem przyjdą po mnie. Wiedziałam o tym. Rozniosą całą akademię w pył, bo przypadkiem wprosiłam się do ich grupy, a oni chronili swoich.

Nadzieja... Bałam się ją do siebie dopuścić, zwłaszcza kiedy sytuacja malowała się w wyjątkowo ponurych barwach, ale jeśli nie będę miała czego się uchwycić, stracę rozum. Albo... coś więcej. Mogłabym stracić więcej.

Elowin oraz jej pachołkowie posłali mi ostatnie spojrzenie, po czym drzwi się za nimi zatrzasnęły. Mimo bólu odbierającego oddech rzuciłam się na nie i szarpnęłam za klamkę, lecz wydawały się równie nieruchome jak otaczające mnie ściany. Nie było żadnego otworu, przez który mogłabym wyrzeć, i coś mi mówiło, że krzyki też nie pomogą.

Uderzyłam dłonią w kamień, tłumiąc szloch, po czym wrzasnęłam:

– Nie zostawiajcie mnie tu samej!

Tak jak się spodziewałam, mój głos zabrzmiął głucho i został pochłonięty przez grube ściany, przynosząc mi jeszcze większą udrękę. Objęłam się ramionami, z całych sił próbując powstrzymać łzy. Nie najlepiej radziłam sobie z samotnością, tym bardziej pozbawiona czegokolwiek, na czym mogłabym skupić uwagę. Myślę, że po części z tego powodu wywoływałam w wiosce przeróżne afery.

Ból w piersi przybrał na sile. Abklęci oddalali się ode mnie. Zastanawiałam się, jak duży dystans jestem w stanie znieść, zanim umrę, bo wyraźnie czułam zbliżającą się agonię. Zakrztusiłam się i zaczęłam rżęcić ochryple, a wszystko rozmazało mi się przed oczami. Elowin nie miała pojęcia, że jej plan posiada jedną bardzo poważną wadę: byłam połączona z Abklętymi i nie mogłam zostać od nich odseparowana, co oznaczało, że albo wkrótce mnie znajdą, albo po prostu umrę. Żadna z tych ewentualności nie wyjdzie jej na dobre.

Nogi ugięły się pode mną i osunęłam się na posadzkę.

– No dalej, Żołnierzu – wymamrotałam do siebie. – Nie pierwszy raz siedzisz po uszy w gównie. To nic wielkiego. Dasz radę z tego wyjść.

Pomijając fakt, że... Nie, naprawdę nie mogłam nic zrobić. Pomieszczenie było szczelnie zamknięte – żadnych okien ani choćby mysiej dziury. Zza drzwi nie prześwitywała nawet jedna niłka

smuga światła, zupełnie jakby zostały stopione z murem za pomocą magii.

Podniosłam się na kolana, a potem z całej siły uderzyłam pięściami w miejsce, gdzie powinno znajdować się wyjście. Trzeba coś zrobić! Abklęci powinni już mnie znaleźć. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego jeszcze tu nie dotarli. Ktoś pewnie trzymał ich z dala ode mnie.

A co, jeśli znaleźli się w niebezpieczeństwie? Co, jeśli nie mogli mnie usłyszeć?

Wstałam chwyciłam się o zimną ścianę. Serce tłukło mi się w piersi tak szybko i ciężko, jak gdyby osiągnęło kres swoich możliwości, a proces umierania już się rozpoczął. Skóra stała się sucha i rozpalona, puls słabł z każdą chwilą. Znałam ten stan. W dzieciństwie omal nie umarłam na zżerającą mnie od środka chorobę. Wtedy wszystkiemu winne było rozcięcie na nodze. Zdarłam sobie skórę kawałkiem metalu wystającym ze straganu wędrownego kowala, a trzy cykle słońca później nie mogłam już chodzić. Uzdrowiciel przystawił mi pijawki do rąk i nóg, a poza tym dał Emmy specjalne zioła do robienia naparów, które miały dodać mi sił, bo nic innego nie mogłam utrzymać w żołądku.

A teraz...?

Najwidoczniej przyczyną było inne rozcięcie. A konkretniej pięć biegnących przez duszę cięć. Powoli wdawała się w nie infekcja. Zatrwały moje ciało i próbowały zabrać mnie ze świata żywych. Musiałam coś zrobić.

Ostrożnie macając ścianę, niespodziewanie natrafiłam na podłużny kształt. Klamka! Szybko przesunęłam po niej drżącymi palcami. U podstawy wyczułam coś, co przypominało główkę gwoźdźca. Niewiele myśląc, spróbowałam wcisnąć paznokcie w szczelinę wyczuwalną pod wypustką. Dłubałam tak dłuższą chwilę, marszcząc brwi i dysząc ciężko. Aż nagle usłyszałam ciche kliknięcie, a klamka poruszyła się odrobinę. Złapałam ją z triumfem i mocno nacisnęłam w nadziei, że drzwi się przede mną otworzą.

Została mi w dłoni.

– Jesteście zajebiście zabawni, naprawdę! – wrzasnęłam, wznosząc oczy ku sufitowi i tym boskim dupkom, którzy być może teraz na mnie patrzyli.

Ale zaraz... Elowin przyznała, że znalazłam się pod obserwacją bogów, więc dlaczego ukryła mnie w Bożylesie pod samym ich nosem? Czyżby pomieszczenie, w którym zostałam zamknięta, zostało zabezpieczone magią? Jak się tak nad tym zastanowić, było oczywiste, że coś jest na rzeczy. Przede wszystkim wyjaśnialoby, dlaczego Abklęci jeszcze mnie nie odnaleźli. To „zapomniane” skrzydło zamku musiało tonąć w niebezpiecznych zakłękach.

Na nieszczęście dla Elowin miałam zmagazynowane w głowie wykłady prezentowane głosem mojej przyjaciółki Emmy Miłośniczki Sol. W zasadzie były to tylko półwykłady, ponieważ zazwyczaj dosyć szybko zaczynałam ignorować słowa Emmy, ale i one w zupełności wystarczyły, bym wiedziała, że im dłużej jakaś rzecz pozostawała pod silnym działaniem magii, tym bardziej spadała jej wytrzymałość.

Ostrożnie pomacałam ułamaną klamkę, a potem uklękłam i na moment zamknęłam oczy, usiłując wziąć się w garść pomimo bólu skręcającego wnętrzości. Zacisnęłam palce na walcowatym końcu, który wcześniej łączył się z drzwiami, a drugim – tym spłaszczonym – zaczęłam pocierać o posadzkę. Moje działania przyniosły dokładnie taki efekt, jaki powinno dać przesuwanie metalem po szorstkim kamieniu: jedno i drugie zaczęło się ścierać. Zagryzłam wargę i tarłam zapamiętałe, spiłowując klamkę po obu stronach, aż zrobiła się wąska i ostra na czubku. Trwało to krócej, niż powinno, co jedynie potwierdziło moje podejrzenia, że wszystko tutaj znajduje się pod działaniem magii.

Wróciłam do miejsca, gdzie mogły znajdować się drzwi, i przez dłuższą chwilę macałam ścianę w nadziei, że znajdę jakąś szczelinę. Wreszcie wyczułam pod palcami coś, co na upartego mogło być tym, czego szukałam. Wsunęłam tam zaostrowany koniec klamki i pchnęłam.

Rozległ się drażniący zgrzyt, który zawibrował w mojej ręce i dotarł do ramienia. Wyszarpnęłam klamkę i dźgnęłam nią znowu, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż powstała wąska szczelina. Wetknęłam w nią zaostrowany czubek i przejechałam w górę i w dół, żeby ją poszerzyć. Zaczynały mnie boleć ręce, a na skórze pojawiły się pęcherze, ale wciąż pracowałam nad powiększeniem pęknięcia, aż mogłam w nie wsunąć mały palec. Wraziłam tam klamkę, po czym chwyciłam ją obiema rękami i naparłam z całej siły.

Coś srogo chrupnęło. W pierwszej chwili nie wiedziałam, czy odprysnął kawałek kamiennych drzwi, ściany, czy może złamałam swoje drogocenne narzędzie. Przesunęłam palcami po klamce – była cała. Natomiast szczelina zrobiła się szersza i głębsza, a do tego wymacałam metalowy element zamka. Perspektywa ucieczki spowodowała uwolnienie nowych pokładów energii i ogromnie ułatwiła zignorowanie bólu. Tłukłam w kamień tak zapamiętale, że w końcu udało mi się całkowicie oddzielić drzwi od zamka. Kilka zajadłych kopniaków dopełniło aktu zniszczenia.

I co ty na to, sucza mordo?!

Nie byłam pewna, czy kierowałam te słowa do Elowin czy do drzwi. Prześlizgnęłam się przez wąskie przejście, pokazałam pomieszczeniu środkowy palec, a potem co sił w nogach pognałam słabo oświetlonym korytarzem.

Jeżeli ktokolwiek utknął tutaj przede mną, nie zdziwiłabym się, gdyby nigdy nie udało mu się wydostać. Wszystkie korytarze wyglądały tak samo, a niektóre schody prowadziły donikąd. Skrzydło nie chciało, żeby więźniowie się z niego wydostali, to było widać jak na dłoni. Ale mogło sobie co najwyżej pogwizdać w sprawie ziemianki z porozrywaną duszą oraz wbudowanym urządzeniem śledzącym, które prowadziło ją prosto do jej Abklętych.

Znaczy... nie moich. Po prostu do Abklętych.

Wybiegłam na główny korytarz akademii akurat w chwili, gdy przechodziła nim jakaś dziewczyna. Oczywiście musiałam na nią wpaść.

– Och, bogowie! Przepraszam... Willa?! – zapiszczała Emmy, po czym złapała mnie za ramiona i potrząsnęła, zdecydowanie za mocno. – Czy ty masz pojęcie... Ugh, wiesz co, nieważne. Mów, co się stało! Widziałam, jak Elowin zarzuca ci worek na głowę i ciągnie tędy jakieś trzy rotacje temu, ale potem zniknęła i nie wiedziałam, gdzie jej szukać! Twoich... sol nie było nigdzie w pobliżu, więc zostało mi tylko przeczesywanie tych korytarzy.

Rzuciłam się Emmy na szyję i przytuliłam ją mocno.

– Dziękuję, dziękuję... – wymamrotałam, wciskając twarz w jej ramię.

Dobrze było mieć ją w objęciach i uczcić fakt, że nie tylko stanęłam do walki z sol posiadającym dar Bólu, ale także pokonałam magiczne pomieszczenie. Magiczne, kurde, pomieszczenie! Przytulanie mojej prawie-siostry wydawało się w tym momencie najlepszym sposobem na świętowanie sukcesu, a ona najwyraźniej nie miała nic przeciwko. Dopóki nie zorientowała się, że płaczę.

Odsunęła się gwałtownie i położyła mi dłoń na policzku, posyłając mordercze spojrzenie nad moim ramieniem.

– Co oni ci zrobili?

– To tylko łyzy szczęścia, nic poza tym – wykrztusiłam, choć w dużej mierze kłamałam.

Zmrużyła oczy, ewidentnie mi nie dowierzając.

– Muszę znaleźć Abklętych – dodałam, odsuwając się od niej i ocierając twarz z łez. – Zaraz umrę z bólu i nie mówię tego w tym sensie, w jakim mówiłam zazwyczaj, bo jestem pewna, że to naprawdę mnie zabija.

Pozwoliłam, by ciało prowadziło mnie we właściwym kierunku, a Emmy podążała za mną, okazjonalnie rzucając mordercze spojrzenie każdemu, kto śmiał stanąć nam na drodze.

– Czy ty nie opuszczasz przypadkiem jakiegoś dyżuru sprzątanania czy coś? – zapytałam zmartwiona.

Emmy z pewnością była gotowa rzucić wszystko w cholerę, jeśli uznała, że coś mi grozi. Nie chciałam, by narażała na szwank swoją przyszłość z powodu mojego daru do pakowania się w tarapaty.

– Nie. Skończyłam wszystko wcześniej, a potem przyszłam, żeby cię... Uważaj! – krzyknęła, ale było już za późno.

Wpadłam na kogoś, a brzęk lądujących na posadzce srebrnych talerzy i sztuców sprawił, że aż się wzdrygnęłam.

– Willa? – odezwał się znajomy głos, a silne ramiona uchroniły mnie przed upadkiem.

– Och, cześć, Atti – westchnęłam z ulgą.

Kucnęłam, by pomóc mu pozbierać rzeczy... choć w sumie trudno było uznać to za pomoc, kiedy Atti stał sztywno niczym drogowskaz na rozstaju dróg. Do tego gapił się na Emmy z wyjątkowo

dziwnym wyrazem twarzy.

– Dziękuję, że przyszedłeś po mnie rano – powiedziała Emmy miękko, robiąc równie osobliwą minę.

Co, do diabła? Kiedy to się wydarzyło?

– Dotarłeś na arenę na czas? – zapytał, omijając cały ten syf, który ja wciąż próbowałam pozbierać, i podchodząc bliżej. Normalnie idealny obraz zatroskanego dżentelmena.

Może powinnam po prostu zostawić to wszystko i dać im trochę prywatności? Tyle że... no cóż, trochę trudno było odwrócić wzrok. Poza tym znajdowałam się tuż pod ich nogami.

Kłucie w piersi odezwało się znowu. Upuściłam półmisek, który trzymałam, i zerknęłam na gruchające gołąbeczki. Emmy i Atti. Ha! Pasowali do siebie. Nawet ich imiona miały taki sam układ liter. Ech, jaki żal. Chociaż w sumie to trochę urocze. Tak, cała ta sytuacja budziła we mnie mieszane uczucia. Emmy nawet na mnie nie patrzyła. Wzrok miała utkwiony w Attim, a na jej policzki wpełzł rumieniec. Ostrożnie wstałam, by nie burzyć tej intymnej chwili, po czym szybkim krokiem ruszyłam przez korytarz w kierunku pięciu idiotów, którzy przypadkowo ukradli moje siły życiowe.

PIĘTNAŚCIE

Maszerowałam przez zamek jak jakiś dziki, rozjuszony łosiorożec z koroną rozłożystych, niezgrabnymi rogów na łbie. Z tą różnicą, że u mnie funkcję poroża pełniły ręce, którymi wymachiwałam, przypadkowo waląc nimi w ludzi i najróżniejsze rzeczy. Gdybym nie wiedziała już, że to niemożliwe, pomyślałabym, że moja klątwa niezdarności nagle bardzo przybrała na sile. Ale to naprawdę nie wchodziło w grę, bo stała się już tak bardzo uciążliwa, jak tylko klątwa niezdarności mogła być.

Po zderzeniu z kolejną ziemianką podniosłam się z podłogi i z obrzydzeniem wytarłam mokrą od mydlin twarz. Nawet nie chciałam wiedzieć, co dziewczyna przed chwilą czyściła. Pomogłam jej wstać, mamrocząc przeprosiny, podałam wiadro, po czym rzuciłam się przed siebie biegiem. Całe szczęście, że zapadła już noc i wszyscy święci mali sol leżeli w swoich świętych małych łódeczkach.

Wpadłam do holu przy dormitoriach, dysząc ciężko, i zamarłam na widok braci Abkłętych stojących obok siebie. Nie odwrócili się. W ogóle nie zwrócili na mnie uwagi skupieni na kimś, kto znajdował się w środku stworzonego przez nich kręgu. Zmarszczyłam brwi i na palcach podeszłam bliżej, a kiedy zobaczyłam tego „ktosia”, ogarnął mnie szok.

To byłam ja.

Pomijając fakt, że wcale nie, do cholery! Bo ja stałam tu, gdzie stałam, a nie tam!

– Co próbujesz nam powiedzieć? – warknął Rome, robiąc krok w kierunku fałszywej Willi, która nawet miała na sobie te same ubrania co ja. Minus mydliny.

– Muszę odejść – odparła głosem głębszym, niż się spodziewałam. Niemal zachrypniętym. Najwidoczniej brzmiałam inaczej, kiedy moje słowa słyszał ktoś inny. – Chcę odejść – poprawiła się.

– Zapomnij – mruknął Coen, marszcząc brwi.

Fałszywilla głośno przełknęła ślinę i schowała drżące ręce za plecami.

Co za idioci! Przecież powinni się zorientować, że to nie ja. Czy kiedykolwiek się trzęsłam? No dobra, może wtedy, gdy jeden z nich dotykał mnie zbyt długo albo kiedy pojawił się Rau... i jeszcze kilka razy, gdy prawie umarłam... ale nie o to chodziło. Rzadko dygotałam jak wystraszone dziecko. A Fałszywilla bardzo, ale to bardzo przypominała w tej chwili przerażoną dziewczynkę – z tą płataniną loków wokół twarzy i wytrzeszczonymi oczami. Aż miałam ochotę walnąć ją w pysk.

– Coś ty jej nagadał, do cholery? – zdenerwował się Siret, obrzucając Yaela groźnym spojrzeniem.

Yael oczywiście nie pozostał bratu dłużny i tytnął na niego spod bykonia. Teraz już wiedziałam, dlaczego zeszło im tak długo. Faceci są debilami. Potrzeba walki i zwyciężania kompletnie ich otumaniła.

Ku mojemu zaskoczeniu Yael zrezygnował jednak z ataku i jakimś cudem zdołał użyć ust zamiast pięści:

– Nic nie powiedziałem. Ona po prostu... podjęła taką decyzję. Zupełnie niespodziewanie. Jedliśmy kolację, wszystko było w porządku... Znaczący paru sol miało jakieś wąty, ale kazałem im spadać, a potem zabrałem ją na spacer, bo wiedziałem, że musicie ochłonać. I nagle wyskoczyła z tym...

– Posłał mordercze spojrzenie Fałszywilli. – Dlatego przyprowadziłem ją prosto do was.

Zaczynało robić się dziwnie. Zbyt dziwnie, żebym mogła dłużej stać i patrzeć. Podeszłam do nich i popukałam Arosa po plecach. Odwrócił się, a jego złote oczy prześlizgnęły się po mnie, jakby w ogóle mnie nie zauważył. Na chwilę zmrużył powieki, a potem znów popatrzył na Fałszywillę.

Co. Do. Diabła?!

Spróbowałam ponownie i tym razem rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby próbował zrozumieć, co się właśnie stało. Podskoczyłam przed nim kilka razy, wymachując rękami. Żadnej reakcji. Podciągnęłam brzeg mojej niegdyś-czystej-koszuli, świecąc mu cyckami prosto w twarz.

Nic.

Nie widział mnie.

Jak to możliwe? Co jeszcze zrobiła Elowin? Moment... Przecież Emmy i Atti widzieli mnie bez żadnych problemów, podobnie jak paru innych ziemian, na których wpadłam, pędząc przez korytarze. Ziemianie mogli mnie zobaczyć! Może to był klucz do całej zagadki?! Może stałam się niewidzialna tylko dla sol?!

W pobliżu nie było nikogo innego, na kim mogłabym przetestować tę teorię, lecz na razie to musi wystarczyć.

– Hej, Rome... Siret... Aros... którykolwiek! – zaczęłam wołać, ale żaden z nich się nie odwrócił.

Wszyscy jesteście idiotami!

Wewnętrzny wrzask mało nie rozsadził mi czaszki, przyniósł jednak natychmiastową reakcję. Yael chwycił Fałszywillę za kark i warknął:

– A co to za obelgi, ziemianko?

Dobra, mentalna więź wciąż działała, choć nie okazała się przydatna, bo bracia pomyśleli po prostu, że to właśnie przyszło do głowy oszustce. Musiałam odkryć, dlaczego dla niektórych osób byłam niewidzialna. Co ta sucza morda mi zrobiła? W sumie powinnam chyba użyć łączącej nas więzi, by dać znać Abklętym, że stoję tuż za nimi, ale jednocześnie chciałam się przekonać, co jeszcze Fałszywilla może powiedzieć.

Zatrzepotała tymi swoimi długimi rzęsiskami, jakby chciała wywołać wichurę.

– Chłopcy, czy możecie po prostu odpuścić? Czuję się trochę nieswojo.

Zacisnęła zęby, próbując wydostać się z kręgu. Ale zanim zdążyła uciec, Rome warknął tak, że prawdopodobnie zadrżała podłoga pod stopami sol, po czym złapał Fałszywillę za gardło i szarpnął do góry. Nawet ja byłam zaskoczona. Rome nigdy wcześniej nie zaatakował mnie w taki sposób.

– Kim. Ty. Kurwa. Jesteś? – wycedził.

Pozostali bracia zrobili ruch, jakby chcieli wyrwać Fałszywillę z jego uścisku, ale Rome syknął ostrzegawczo:

– To nie jest nasza Willa. Nie czujecie różnicy? Cuchnie energią Oszustwa.

Siret parsknął złośliwym, ochrypłym śmiechem.

– Nawet nie przypomina mojej mocy. Lepiej nigdy więcej nie pomyśl się w tej kwestii... Ale rzeczywiście coś tu nie gra. Niech szlag trafi tych boskich dupków. – Przyjrzał się Fałszywilli, która lekko poczerwieniała na twarzy. Podejrzewałam, że nie może oddychać. – Jesteś niezła – parsknął. – Muszę to przyznać. Nie przyglądałem się zbyt uważnie, ale teraz, kiedy Rome o tym powiedział, widzę, że nie odwzorowałaś Willi za dobrze.

No raczej, że nie odwzorowała. Długo wam to zajęło, kretyni.

Pięć głów odwróciło się w moją stronę. Usłyszeli mnie i tym razem wiedzieli, że myśl nie pochodzi od dziewczyny trzymanej przez Rome'a. Dziewczyny, która teraz wbijała paznokcie w jego rękę i rzeziła, co Abklęci kompletnie ignorowali.

– Willa? – Aros zmarszczył brwi, rozglądając się na wszystkie strony.

Siret zrobił krok naprzód, stanął obok złotego sol.

– Gdzie jesteś, Żołnierzu? – zapytał, wyciągając rękę, a Aros zrobił to samo.

Podeszłam bliżej, by dotknąć ich dłoni. Siret przyciągnął mnie do siebie i – całkiem zręcznie jak na fakt, że wciąż byłam dla niego niewidzialna – zamknął w objęciach. Poczulałam ciepło jego skóry i wszystko we mnie aż westchnęło z ulgi. Znów znalazłam się wśród Abklętych.

Zamknęłam oczy i rozluźniłam się. To był bardzo długi cykl słońca. Moje ciało miało już dosyć.

Siret już się szykował, żeby mnie podnieść, kiedy odezwał się Coen:

– Co ci się stało, ziemianko?

Płaski ton głosu i wyraz jego twarzy sprawiły, że ciarki przeleciały mi po plecach. Znowu miał zabójczy wzrok, tak jak podczas walki na arenie, tyle że teraz wyglądało to milion razy gorzej.

Elowin mnie porwała i zamknęła w magicznym lochu. Nie byłam w stanie skontaktować się z żadnym z was poprzez myśli, ale udało mi się zniszczyć zamek w drzwiach. Był osłabiony zaklęciami.

Rozległo się głucho tąpnięcie. Odwróciłam głowę w stronę odgłosu i od razu pojęłam, co było jego źródłem. Rome upuścił Fałszywillę na jej fałszywe dupsko, a potem rąbnął pięścią w ścianę.

Pomieszczenie aż zadrżało, a z sufitu posypał się pył.

Od strony schodów doleciał mnie odgłos kroków, zaś w następnej chwili zobaczyłam Emmy i Attiego.

– Willa! Przestań przede mną uciekać! – zawołała przyjaciółka na mój widok. – Przysięgam na bogów, znikasz za każdym razem, gdy tylko się odwrócę! Kiedyś przykuję cię do ściany, przysięgam!

Yael znalazł się tuż przed nią, zanim zdążyła powiedzieć choć słowo więcej.

– No co? – mruknęła, zerkając na zaskoczonego Attiego.

Mogła nawet nie zauważyć, że jest taka wojownicza, ale nie umknęło mojej uwadze, jakie wrażenie zrobiła na chłopaku. Coś czułam, że Atti nie uważa jej już za sztywną.

– Widzisz Willę? – spytał Yael, unosząc jedną brew.

Emmy spojrzała na mnie.

– O czym on mówi, Will?

Wywinełam się z absolutnie błogich objęć Sireta i podeszłam do przyjaciółki.

– Najwyraźniej jestem dla sol niewidzialna. Nie mogą mnie zobaczyć ani usłyszeć. Ale nasza mentalna więź działa jak zwykle, więc wiedzą, że tamta Willa jest fałszywa. – Wskazałam palcem na oszustkę.

Korzystając z chwilowego zamieszania, próbowała odczołgać się niezauważenie, lecz Rome przezornie przycisnął ją butem do posadzki, czym uniemożliwił jej ucieczkę.

Emmy poczerwieniała na twarzy, co zawsze oznaczało nadchodzące kłopoty. Nie martwiłabym się, gdyby czerwień ograniczała się do jej policzków, ale w tej chwili rozkwitła wszędzie: na czole, policzkach, szyi, nawet na wierzchu dłoni. Lada moment wściekłość miała wydostać się na zewnątrz.

W dwóch rączych skokach Emmy znalazła się przy Fałszywilli, odkopnęła stopę Rome'a i szarpnęła dziewczynę za fałszywą koszulę na karku.

– Kim ty jesteś, do diabła? – warknęła. – Co zrobiłaś Willi? Dlaczego jest niewidzialna dla sol?

Fałszywilla zaczęła szlochać. Ale nie tak zwyczajnie, tylko okropnie głośno, brzydko i do tego z otwartymi ustami. O święty ojcie bogów, wyglądałam okropnie, kiedy tak wyłam. Musiałam zapamiętać, żeby nigdy nie płakać w ten sposób. Zobaczyłam nawet smarki ściekające po mojej... po jej... po twarzy tego czegoś.

Wytrzymaj tę głupią gębę, cholerna idiotko!

Usłyszałam chichot Sireta, co nieco złagodziło mój gniew.

– Powinniśmy od razu się zorientować, że to nie ty. – Aros nie próbował zamaskować sarkazmu.

Yael kiwnął głową.

– Nic szalonego nie wydarzyło się przez cały czas, kiedy z nami była... To w pierwszej kolejności powinno dać nam do myślenia.

Emmy zaczęła tak energicznie potrząsać Fałszywką, że musiałam okiełznać jej zapędy, albowiem istniało zagrożenie poprzestawiania klepek w głowie dziewczyny, co ostatecznie uniemożliwi nam dowiedzenie się prawdy.

– Widzisz mnie, Fałszywillo? – zapytałam.

Żadnej odpowiedzi. Żadnego znaku, że w ogóle usłyszała mój głos.

– To sol – powiedziałam do Emmy. – Prawdopodobnie z darem Iluzji albo Kamuflażu. Może Oszustwa? Siret też potrafi podobne rzeczy. Czy to możliwe, że ona ma tego typu dar?

– O tak, jak najbardziej – wtrącił się Atti. – Mimo że to dość rzadkie dary, i tak przychodzą mi do głowy co najmniej trzy osoby w Bożylesie, które potrafią posługiwać się jakąś wariacją Oszustwa.

Świetnie. A jednak będzie musiał stać się dużo bardziej użyteczny, jeżeli naprawdę miał nadzieję zaliczyć moją najlepszą przyjaciółkę.

Stałam dostatecznie blisko, by móc dotknąć fałszywej mnie. Naprawdę dziwnie było patrzeć na swoją własną twarz. Dostrzegałam szczegóły, których do tej pory nie zauważałam: małe znamię tuż nad prawą brwią albo dziwne, srebrzyste kosmyki wśród złotych włosów. Ciemne rzęsy miałam pozlepiane od łez, nos czerwony od płaczu i mocno zarumienione policzki. Bogowie, to takie niewłaściwe.

Skupiłam się na misji, ze wszystkich sił usiłując ignorować nasze identyczne twarze.

– Zapytaj, co Elowin mi zrobiła. – Szturchnęłam Emmy. – Dlaczego jestem niewidzialna i co, do

cholery, ona miała zrobić? Jak długo zamierzała mnie udawać?

Emmy błyskawicznie zabrała się do dzieła, a twarz Fałszywilli wykrzywił grymas. Przez moment wyglądała tak, jakby znowu chciała paskudnie się rozryczeć, lecz zaraz westchnęła dramatycznie i wszystkie łzy dosłownie wyparowały. Właściwie to wyparowała również jej przerażona mina, a twarz przybrała zniecierpliwiony wyraz. To było straszne. Zupełnie jakby ani chwili dłużej nie mogła już grać swojej roli. Kiedy się odezwała, nawet jej głos brzmiał inaczej, bardziej płasko.

– W zasadzie to cieszę się, że mnie przyłapaliście. Na samą myśl o udawaniu tej głupiej ziemianki robiło mi się niedobrze.

Moja pięść wystrzeliła do przodu i rąbnęłam ją prosto w nos. Trzask chrząstki oraz bryźnięcie krwi były natychmiastowe, a do tego bardzo satysfakcjonujące. O tak, moja twarz wyglądała znacznie lepiej zakrwawiona niż usmarkana.

Dziewczyna złapała się za nos, usiłując zatamować krwotok. Westchnęłam, wznosząc oczy ku sufitowi. Pewnie powinnam przeprosić. Cios-niespodzianka prosto w twarz to trochę niesprawiedliwe posunięcie.

– Przepraszam, że cię uderzyłam. Myślałam, że będziesz mówić dalej, i spanikowałam.

Oczywiście nie odpowiedziała, bo nie mogła mnie usłyszeć. Abklęci natomiast parsknęli takim śmiechem, jakby dotarły do nich moje słowa. To znaczy poza Rome'em, który uniósł jedynie kąciki ust, ale u niego taka mina była równoznaczna z wybuchem wesołości.

– Tu jest nasza mała ziemianka. – Yael wyszczerzył zęby, najwyraźniej usatysfakcjonowany faktem, że walnęłam swojego sobowtóra w twarz, co wydało mi się nieco dziwne, ale nie zamierzałam się nad tym zastanawiać.

W międzyczasie Fałszywilla gorączkowo kręciła głową na wszystkie strony, próbując odkryć, skąd nadszedł cios.

– Odpowiadaj na moje pytania, do cholery – powiedziała znowu Emmy, ściągając jej wzrok na siebie.

Fałszywka prychnęła, a czerwone krople prysnęły z jej ust.

– Zapłacicie za to! Wszyscy! To miała być łatwa robota! Kazano mi odwrócić uwagę Abklętych jakimś prostym uwiedzeniem, niezdarnym i w ziemiańskim stylu, a potem na dany sygnał miałam wywołać kłótnię, zachować się tak, jakby pękało mi serce, i uciec.

Przepraszam bardzo... czy ona właśnie powiedziała, że miała uwieść sol?

Moja ręka przeszła do dzieła, zanim zdążyłam pomyśleć, i tym razem strzeliłam ją w prawy policzek.

– Ach, to było satysfakcjonujące!

Podskoczyłam kilka razy jak zawodnik gotowy do walki i poruszyłam energicznie głową, aż zachrząściło mi w karku. Mogłam to zrobić! Mogłam ją załatwić! Zwłaszcza teraz, kiedy laska nie była w stanie mi oddać, bo mnie nie widziała. W sumie to pewnie jedyna okazja, żeby sklepać ją po ryju.

Jeden z chłopaków złapał mnie od tyłu i odciągnął na bok. W jakiś sposób wiedział, gdzie jestem. Uniosłam głowę, by zobaczyć, który to – Aros. Nasze spojrzenia się spotkały, a ja zamarłam.

Widzisz mnie?

Roześmiał się.

– Teraz, kiedy wiemy, że to rodzaj Oszustwa, patrzymy czymś więcej niż oczami. Nasze dary są wielofunkcyjne.

Oczywiście. Uch... Irytujący, wielofunkcyjni sol.

– Dlaczego Willa jest niewidzialna? – Emmy znowu zaczęła cisnąć Fałszywkę, która tym razem nie wahała się odpowiedzieć. Pewnie bała się, że znowu dostanie strzał znikąd.

– Coś powinno na niej być – prychnęła, wstając i otrzepując ubranie. Jej postać zafalowała jak tafla wody i przeobraziła się na naszych oczach. – Coś, co czyni ją niewidzialną dla każdej istoty posiadającej dar. To najprostszy sposób, by mieć pewność, że nikt ważny nie zwróci uwagi na jej porwanie.

Powinnam zacząć szukać owego czegoś, gdy tylko padły te słowa, ale byłam zbyt zajęta patrzeniem na Fałszywillę, która przed chwilą wyglądała jak ja. Stała się wyższa, szczuplejsza – niemal

chorobliwie szczupła, choć w jakiś sposób pełna gracji. Włosy spływały na ramiona czarną zasłoną. Rysy miała delikatne, ale surowe, jakby nie uśmiechała się zbyt często.

Im dłużej na nią patrzyłam, tym bardziej zdawała się stawać „sobą”, aż w końcu cofnęłam się mimowolnie pod wpływem lodowatego spojrzenia jej jasnoniebieskich oczu. Cieszyłam się, że nie jest tak uzdolniona jak Abklęci i nie może przejrzeć mojej niewidzialności, bo naprawdę nie chciałam, żeby to ona stała się największą twardzielką w tym holu. Chętnie odzyskałabym jaja, które z taką dumą pokazywałam jeszcze przed chwilą, ale najwidoczniej gdzieś się odturlały. Sol wyglądała przerażająco. Inaczej nie dało się tego opisać.

W końcu otrząsnęłam się z dziwnego wrażenia, jakie wywoływały jej oczy, odsunęłam się od Arosa i zaczęłam obmacywać całe ciało w poszukiwaniu wspomnianego przez dziewczynę ustrojstwa. Nie chciałam stać jak chłop przy hałdzie gnoju. Mogłam przynajmniej udawać, że jestem dzielną twardzielką. Lepsze to niż nic.

Sprawdziłam spodnie i koszulę, po czym pochyliłam się, żeby przeszukać buty. Nie wyczuwałam jednak niczego niezwykłego. Aros przyciągnął mnie z powrotem do siebie, a potem przesunął dłońmi po moich ramionach i wzdłuż boków. Zadrżałam, próbując za bardzo nie skupiać się na jego dotyku. Nawet najlżejsze muśnięcie palców było celowe i wywoływało potrzebę przyciśnięcia do nich ciała. Gdy ciepłe dłonie dotarły do krzywizny mojego kręgosłupa – czyli mówiąc prościej, zjechały na pośladki – zostałam odciągnięta przez Yaela.

– Uwodzenie, no weź – rozległ się nad moją głową głęboki, ochryply głos. – Wiesz, że to nie jest zadanie dla ciebie.

Złote tęczęwki Arosa nieco pociemniały na brzegach, lecz nie protestował.

– Och, to idealne zadanie dla mnie, ale rozumiem, co masz na myśli – odpowiedział tylko, krzyżując ręce na szerokiej piersi.

Zabrzmiało to tak rozsądnie, aż zaczęłam się martwić, że do kompletu z Fałszywillą dołączono też fałszywych Abklętych. Coen musiał zauważyć moją minę albo usłyszeć moją myśl, bo posłał mi leniwy uśmiech.

– Rau tak łatwo nie zabawi się już naszym kosztem. – Uśmiech zbladł z jego kolejnymi słowami. – Zwłaszcza po tym, jak porwano nam cię dosłownie spod nosa, bo byliśmy zbyt zajęci walką między sobą. Przeżyliśmy wśród szalonej polityki tych światów, ponieważ trzymamy się razem. Chaos o tym wie. Nie pozwolimy mu zwyciężyć.

Od kiedy to sol przejmowali się jakąś tam polityką bogów?

Patrzyłam na braci, oczekując odpowiedzi. Oczywiście udawali, że akurat tej konkretnej myśli nie usłyszeli. Bardzo wygodne. Yael wsunął mi palce we włosy i zaczął przeczesywać je kosmyk po kosmyku. Niespodziewanie wypadło z nich coś niewielkiego i połyskującego. Pochyliłam się i ze zdumieniem przyjrzałam się żuczkiowi o lśniącym pancerzyku. Wyglądał zupełnie jak prawdziwy. Ostrożnie podniosłam go z posadzki i położyłam na otwartej dłoni... a wtedy on się poruszył!

Emmy pisnęła, po czym odskoczyła jak oparzona. Jakimś cudem udało mi się nie okazać przerażenia, może dlatego, że jej reakcja za bardzo mnie zszokowała. Wszystko sprowadzało się do faktu, że Emmy reagowała na każdą rzecz szybciej niż ja, ale i tak wyszczerzyłam do niej zęby, jakbym była lepsza, bo nie wydarłam się jak dziewczyna.

Tymczasem podszedł Rome i zabrał mi żuczka.

– Nie!

Pośpiesznie ruszyłam za jego masywną ręką, po czym chwyciłam za palce i rozwarłam mu je, żeby ocalić małą błyskotkę.

– To moje. Nie możesz tego zmiążdżyć – oświadczyłam z pretensją.

– To nie jest twoje – poprawił mnie i widziałam, że powstrzymuje się od przewrócenia oczami – tylko Elowin. Poza tym użyła tego, żeby się z nami zabawić, więc należy się tego pozbyć.

Udało mi się odzyskać prawo do opieki nad żuczkiem, ale nie na długo, bo Siret natychmiast znalazł się obok i w wymownym geście wyciągnął rękę. Łypnęłam na niego spode łba, lecz na moją podejrzliwość odpowiedział uśmiechkiem, który mówił: „Zaufaj mi”. Według mnie Siret był najmniej godnym zaufania Abklętym, ale z reguły stawał po mojej stronie, jeśli mógł w ten sposób wkurzyć

któregoś braci, dlatego podałam mu żuczka, a on wsunął go do kieszeni.

– Nie udusi się tam? – zapytałam.

Rome skrzyżował potężne ramiona na piersi, posyłając nieprzychylnie spojrzenie najpierw mnie, a potem Siretowi.

– Nie udusił się w tym bajzlu – odparł Siret, czochrając moje i tak już poczochrane włosy. – A więc i tam nic mu nie będzie.

– Słuchajcie – zagadnęła Emmy sucho. – Ona sobie idzie.

Rzeczywiście Fałszywilla spokojnym, niemal leniwym krokiem zmierzała do wyjścia. Przez ramię posłała Emmy spojrzenie pełne nikczemnych obietnic. Atti zagarnął moją przyjaciółkę ramieniem, jakby chciał ją uchronić od zakusów sol. Jakie to było opiekuńcze...

– Nie zamierzacie jej zatrzymać? – ponagliła Emmy głosem przechodzącym w falset.

Wydawała się przerażona faktem, że Fałszywka uniknie kary. To pierwszy raz, kiedy Emmy postawiła się sol, a pech chciał, że trafiło na potężną osobę.

– Już to zrobiliśmy – burknął Rome, wciąż gapiąc się na mnie i Sireta. Nawet się nie odwrócił.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Przecież Fałszywilla dotarła już do wyjścia. W następnej chwili aż podskoczyłam, widząc, jak sol zgina się wpół i pada na posadzkę, a potem z ustami otwartymi do krzyku i wytrzeszczonymi oczami zaczyna wic się w konwulsjach. Chciałam do niej podbiec, lecz Siret zatrzymał mnie w miejscu. Żaden z braci nie wydawał się zaskoczony widokiem dziewczyny wijącej się na kamiennej podłodze, najwyraźniej ogarniętej takim bólem, że nie była w stanie nawet krzyżeć. W zasadzie nie zwracali na nią większej uwagi. Poza Coenem, który posyłał jej to swoje Spojrzenie Śmierci.

I wtedy mnie olśniło.

Jasna cholera!

– Coen!

Odwrócił głowę w moją stronę. Ciemność w jego oczach była tak głęboka, że poczułam nagle zawroty głowy, jakbym spadała w otchłań bez dna. Ogarnął mnie gwałtowny strach. Lecz nie o siebie się bałam, a o Fałszywkę, mimo że żywiłam wobec niej ogromną niechęć. Dobrze, że Siret mnie trzymał, inaczej padłabym na kolana, kiedy Coen niespodziewanie przerwał kontakt wzrokowy. Miałam wrażenie, że zrobił to, aby dać mi czas na protesty przeciwko torturowaniu dziewczyny, ale skoro nie powiedziałam jednego słowa, by go powstrzymać, uznał za stosowne kontynuować.

Gdy jego moc uderzyła Fałszywillę po raz drugi, ochrypli krzyk w końcu wyrwał się z jej gardła i odbił od ścian mrożącym krew w żyłach echem. Dokładnie w tej samej chwili poczułam, że uścisk Sireta się rozluźnia. Zerknęłam na niego, bo wydało mi się dziwne, że tak niespodziewanie mnie puścił. W jego oczach dostrzegłam skupienie i domyśliłam się, że w jakiś sposób wycisza dźwięk dla osób przebywających poza holem. Musiał robić coś takiego, bo ani jedne drzwi się nie otworzyły, choć wrzask podniósłby z grobu umarłego. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że od dłuższego czasu odstawialiśmy tutaj niezłą szopkę, a nikt się nie pokazał. Siret musiał od początku nas ukrywać.

Fałszywka wrzasnęła znowu. Nie zanosilo się, by ktokolwiek miał pośpieszyć jej na ratunek. Co oznaczało... Cholera! Oznaczało, że ja muszę to zrobić.

– Coen... – powiedziałam miękko i wyciągnawszy ręce, ruszyłam w stronę sol.

– Willa, nie! – zawołał Yael, ale było już za późno, bo właśnie dotknęłam skóry Coena.

Ogień agonii przeszył moje ciało. Ktoś mocnym szarpnięciem odciągnął mnie od sol. Jęknęłam żałośnie i osunęłam się w dół, a oslepiające kolory przesłoniły mi oczy, zamazując wszystko wokoło. Ból rozrywał wnętrze gwałtownymi ukąszeniami ognia, które z każdą chwilą stawały się coraz silniejsze. Głosy przybrały na sile i zadudniły w uszach, zlewając się w niezrozumiały bełkot. Jakies ramiona objęły mnie, a zaraz potem poczułam, że choć ogień nadal pali krew, jest... inny. Niemal... Niemal go pragnęłam.

Moje ciało było zdezorientowane. Bolało, choć wcale nie bolało. Paliło, ale jedynie w niektórych miejscach. Wydawało mi się, że wiruję w zawrotnym tempie. Czułam przy policzku twardą pierś unoszącą się w przyśpieszonym oddechu. Ktoś lekkim szarpnięciem odciągnął mi głowę do tyłu. Płomienie buchnęły w górę, pochłaniając każdy skrawek skóry, kiedy gorące wargi przywarły do moich

mocno, kojąco. Zareagowałam instynktownie, bo ciągle nie mogłam się zdecydować – boli mnie czy nie. Dlaczego wyginałam się w łuk pod obcym dotykiem? Dlaczego otwierałam usta? Dlaczego moje palce zaciskały się na czyimś ciele?

Poprzez intensywną mieszaninę bólu i przyjemności mój umysł zaczął wreszcie rejestrować szczegóły. Ból powoli wyciekał, zastępowany innymi doznaniem. Zapachem palonych cukroślin. Gładkością skóry pod palcami. Smakiem czegoś uzależniającego.

Aros.

Cichy, drżący jęk zdawał się dobywać z jego gardła i przetaczać przez moje ciało. A potem już go nie było. Albo... to mnie nie było.

Osunęłam się na kolana i zamrugałam, próbując odpędzić nagłą ciemność. Pod dłońmi poczułam twardość posadzki, a słowa utknęły w gardle, zanim zdołałam wyrzucić je z siebie.

– Wi... Willa? – wyjąkała Emmy, co oznaczało, że nigdzie nie odleciałam i wciąż byłam w tym samym pomieszczeniu.

– Co się stało? – zdołałam jakoś wykrztusić.

Zamrugałam, próbując cokolwiek dostrzec w otaczającej mnie ciemności, ale bez rezultatu.

– Och, nic. Poza tym, co zwykle – mruknął Siret gdzieś nade mną. W jego głosie pobrzmiwało napięcie. – Ot kolejny przeciętny cykl słońca w życiu ziemianki, która naprawdę chce zginąć.

– Gdzie Aros? – pisnęłam.

Żadnej odpowiedzi.

Wyciągnęłam rękę i natrafiłam na materiał, więc zacisnęłam na nim palce, po czym spróbowałam wstać. Ale Siret złapał mnie za ramiona i postawił na nogi znacznie szybciej, niż zdołałabym zrobić to sama.

– Gdzie Aros? – powtórzyłam i wyraźnie usłyszałam niepokój w swoim głosie.

– Wycofał się na trochę – stwierdził Siret ze spokojem.

– Emmy? – rzuciłam pytanie w ciemność.

– Wciąż tu jestem. – Tym razem jej głos był silniejszy. – Aha, tak w ogóle to dzięki, że musiałam na to patrzeć.

– Czemu tu jest ciemno jak w dupie? – burknęłam, ignorując jej sarkazm.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, obraz prawdziwego świata zamrugał i wyłonił się z mroku, jakby ktoś niespodziewanie podkręcił knot w lampie oliwnej. Abklęci zniknęli, został tylko Siret. Fałszywki też nie było.

SZESNAŚCIE

Staralam się nie przyznawać do tego przed samą sobą, ale istniała całkiem spora szansa, że zrobiłam coś naprawdę złego i teraz wszyscy musieliśmy się zmierzyć z konsekwencjami owego czegoś. Tyle że przecież starałam się uratować sol – choć ona by pewnie nie zrobiła tego dla mnie – więc nie było to coś niewybaczalnego. Aros użył swojego daru, aby zagłuszyć w moim ciele ból wywołany przez Coena, a to również nie wydawało się niczym złym. A jednak najwyraźniej coś się wydarzyło. Przynajmniej to było jasne. Wszyscy zniknęli, zaś Siret ich krył.

– Powinniśmy iść – oznajmiła niespodziewanie Emmy, wyraźnie próbując przekazać mi spojrzeniem jakąś sekretną wiadomość.

Niestety sztuka niemej konwersacji nie była dziedziną, w której kiedykolwiek miałam stać się biegłą. Nie wspominając już o tym, że nie radziłam sobie nawet podczas normalnej rozmowy. Myślałam, że przyjaciółka sugeruje, bym opuściła hol razem z nią, ale zerknęła na Sireta, po czym złapała Attiego za rękę i razem szybko ruszyli do wyjścia.

– Nie mam pojęcia, jaką sekretną wiadomość próbowałaś mi właśnie przekazać! – krzyknęłam za nią na wypadek, gdyby sama się jeszcze nie zorientowała.

Widziałam, jak pokręciła głową, ale się nie odwróciła.

– Dlaczego mam wrażenie, że wszyscy wiedzą coś, czego ja nie wiem? – Wzięłam się pod boki. Siret uniósł brew.

– Bo tak przeważnie jest? – mruknął.

– Gdzie reszta?

– Siła ściga Karyn, Perswazja powstrzymał Uwodzenie, zanim ten zdążył cię zrujnować, a Ból jest tam. – Wskazał brodą na miejsce za moimi plecami.

Odwróciłam się i aż podskoczyłam na widok stojącego w kącie Coena, częściowo ukrytego w cieniu.

– Kim, do cholery, jest Karyn? I co masz na myśli, mówiąc o zrujnowaniu mnie? – zapytałam Sireta, choć nie odrywałam wzroku od Coena. Chyba właśnie toczył się między nami jakiś pojedynek na spojrzenia.

Jego twarz wciąż miała przerażająco pusty wyraz, a oczy nadal były ciemne i przepelnione bólem. Poza tym stał w mroku, co samo w sobie wydawało się już dostatecznie podejrzane i dziwne.

– Karyn to dziewczyna, która udawała, że jest tobą – odparł, sądząc zapewne, że to do niego skierowałam pytanie. – A poziom naszej mocy...? Cóż, powinnaś wiedzieć, Willo, że nie jest normalny. A przede wszystkim nie jest bezpieczny dla ziemianki. Gdyby Uwodzenie przejął nad tobą kontrolę, całkiem by cię zniszczył.

Miałam wrażenie, że jego niski, głęboki głos pobrzmiewa bólem. Ruszyłam ku niemu, niemal zaskoczona, że Siret mnie nie powstrzymuje, ale nagle przystanęłam. Na pewno nie miało to nic wspólnego z pocałunkiem. Przecież Coen nie przepadał za mną, prawda?

Na samą myśl o tym, że żywił do mnie jakiegokolwiek pozytywne uczucia, omal nie parsknęłam z pogardą. Taa, jasne. Ten supersol bez wątpienia na mnie leciał. Ani chybi od chwili, kiedy omal nie załadował mi bełta prosto w bebechy. Bogowie, byłam taką idiotką. Jak mogłam w ogóle pomyśleć, że którykolwiek z Abklętych postrzega mnie inaczej niż przez pryzmat rozrywki, której dostarczało im patrzeć, jak każdego cyklu słońca robię coś, co zagraża mojemu życiu?

Fakt, że przyjęli mnie do swojej grupy, nie świadczył o ich sympatii. Oni zwyczajnie uważali, że w pewnym stopniu do nich należę. Jakbym była ich ziemiańską niewolnicą, którą musieli się zajmować. W sumie chyba tak to właśnie wyglądało i nawet gdyby ziemianom dano pozycje równe sol, wciąż należałabym do Abklętych, bo dosłownie nie mogłam się od nich oddalić. Technicznie rzecz biorąc, utrzymywali mnie przy życiu.

Podeszłam do Coena i położyłam mu dłoń na ręce. Nawet się nie wzdrygnęłam. Nie przyszło mi do głowy, że znowu mogłabym zostać skrzywdzona. Coen wydawał się zdziwiony, że się nie zawahałam.

Posłał mi ponure spojrzenie spod zmarszczonych brwi, a później bez słowa pochylił się, chwycił mnie w pasie i zarzucił sobie na ramię.

– Uch – stęknęłam, na chwilę tracąc dech. – Czyli znowu do tego wracamy, Jedyńko?

Siret pokręcił głową, jakby spodziewał się zupełnie innego rozwoju wydarzeń, po czym ruszył za nami korytarzem. Mijaliśmy drzwi wszystkich tych ludzi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, co wydarzyło się tak niedaleko miejsca, w którym spali, aż w końcu zatrzymaliśmy się przed pokojem Arosa.

Zwisałam z ramienia Coena jak worek kartofli, więc kiedy weszliśmy do środka, nie widziałam zbyt wiele. Słyszałam tylko przyciszone głosy Arosa i Yaela. Zaraz potem Coen postawił mnie na nogi i odsunął się tak szybko, jakbym z nas dwojga to ja potrafiła zadać dotykami destrukcyjny ból. Jego zachowanie kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Już miałam pójść za nim i zażądać, żeby mi wszystko wyjaśnił, gdy Aros odwrócił moją uwagę. Zerwał się z fotela i w kilku krokach znalazł się obok. Nagle był wszystkim, co mogłam widzieć i czuć. Dlaczego, do diabła, pachniał tak słodko? Ta woń mieszała mi w głowie i prowokowała szalone myśli. Na przykład o tym, że chciałabym znowu poczuć pieśczętę jego ust. Musiałam złapać za brzeg koszuli, by powstrzymać ręce przed wyciągnięciem się ku niemu.

Jego twarz była łagodniejsza niż kiedykolwiek dotąd, a mimo to napięta.

– Wszystko w porządku, Willo?

Tym razem nie używał swojego daru. Wiedziałam o tym, lecz pełne delikatności słowa otuliły mnie i wsączyły się w moje ciało. Aros nie musiał aktywnie używać Uwodzenia. Ta moc przepełniała wszystko, co robił i mówił. A teraz, kiedy już jej posmakowałam, dużo trudniej było się oprzeć urokowi sol.

– Tak. Czuję się... w porządku.

Nawet nie kłamałam. Trochę kręciło mi się w głowie i miałam wrażenie, że ciało jest jakby odłączone ode mnie, ale ogólnie czułam się... jak ja. Jak bardzo zmęczona wersja mnie.

Ziewnęłam szeroko, gdzieś tam głęboko w głowie rejestrując, że pokazuję wszem wobec rozdziawioną paszczę, ale nie potrafiłam się zmusić do jakichkolwiek wyrzutów sumienia z tego powodu.

Siret pokręcił głową z dezaprobatą.

– Przez połowę czasu zachowujesz się tak, jakby w ogóle nas tu nie było. Kim ty jesteś, ziemianko? Jakim cudem istniejesz przy nas z taką łatwością?

„Co to w ogóle za pytanie?“, wruszyłam ramionami. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale kolejne ziewnięcie zaatakowało, zanim zdążyłam się odezwać. Aros otoczył mnie ramieniem i poprowadził do swojego łóżka. Olbrzymiego, z baldachimem i jedwabnymi zasłonami. Przebranie tej pościeli zajęło mi wieki. A właśnie...

– Kto sprząta twój pokój? – zapytałam, ponieważ z jakiegoś powodu byłam pewna jak cholera, że nie ja.

Aros rzucił mi zdumione spojrzenie.

– Nie mam pojęcia. Pewnie jakiś inny ziemianin.

Nie wiem czemu, ale mi to przeszkadzało. To ja byłam ich ziemianką i chociaż dostawałam mentalnej wysypki na samą myśl o sprzątanu – szczerze mówiąc, nie miałam ani krzty zaufania do osób twierdzących, że kochają sprzątać... może poza Emmy, która stanowiła wyjątek – ktoś naruszał moje terytorium. Zanotowałam w pamięci, że powinnam sprawdzić, kto odwiedzał pokoje Abklętych. Atti albo Emmy powinni wiedzieć. Oni wiedzieli wszystko.

Jakoś udało mi się wpełznąć na ogromne łóżko. Odrobinę pomógł mi w tym Aros, łapiąc za tyłek i popychając lekko.

– Prześpij się, Willo. Obudzimy cię, kiedy znajdziemy Elowin oraz tych, którzy jej pomogli. Już nigdy więcej cię nie tknie. Możesz spać spokojnie.

Otulił mnie miękkim, ciepłym kocem, po czym wstał. Niemal poprosiłam go, żeby został, bo jego słowa obudziły złe wspomnienia z całego cyklu słońca. W jakiś sposób aż do tej chwili zupełnie nie myślałam o tym, że porwano mnie i uwięziono. Właśnie tak działali na mnie Abklęci – sprawiali, że cały

mój świat kręcił się wokół nich. Lecz kiedy Aros poruszył ten temat, nie umiałam już pozbyć się wspomnień. Knebel w ustach. Worek na głowie. Poczucie zagrożenia.

Poczułam chorą satysfakcję na myśl, że chłopcy mają się zająć Elowin. Potrafili rzeczy, które znacznie przekraczały moje możliwości. Wiedziałam, że jeśli sol nie zostanie powstrzymana, nie spocznie, dopóki nie usunie mnie z tego świata. No cóż, powodzenia. Bogowie próbowali zrobić to przez osiemnaście cykli życia, a ja wciąż tu byłam. Nie dam się wykończyć komuś takiemu jak ona.

Mimo wszystko niepokój doprowadzał mnie do szaleństwa i choć czułam się potwornie zmęczona, nie mogłam odciąć się od niego na tyle, by zasnąć. Już miałam się poddać, kiedy ciepłe ciało wsunęło się pod koc i przywarło ciasno do mojego boku. Musnęły mnie maleńkie kolce bolesnej energii.

Coen.

Otworzyłam oczy, by zobaczyć, że leży na plecach ze wzrokiem utkwionym w baldachimie.

– Śpij, ziemianeczko. Zabiję Elowin, gdy tylko ją dopadniemy – mruknął.

Nie brzmiał, jakby żartował. Każde jego słowo było podszyte prawdą.

– Następnym razem powiedz, no nie wiem... „śpij dobrze” albo coś równie normalnego – mruknęłam. – A nie „idź spać, niedługo będę kogoś mordował”. To nie brzmi tak uspokajająco, jak może ci się wydawać.

Zachichotał, w odpowiedzi posyłając mi niewielką iskrę wzdłuż kręgosłupa. Mmm, przyjemnie. Jak on to robił? Przecież ból nie powinien taki być.

Chciałam jeszcze choć przez chwilę patrzeć na Coena, ale leciutkie ukłucia jego energii działały niemal hipnotyzująco, przez co ta zepsuta część mnie natychmiast się zrelaksowała. Zanim się spostrzegłam, nadeszła ciemność i straciłam ostatnie resztki przytomności.

Nie miałam pojęcia, jak długo spałam, lecz był to jeden z tych snów, kiedy pozostaje się w tej samej pozycji na wiele rotacji, a podświadomość nie rejestruje absolutnie niczego. Gdy mrok zaczął się rozpraszać – i normalnie powinnam się obudzić – zdałam sobie sprawę, że jestem w głowie Abkłętego. Sądząc po widoku pozostałej czwórki, tym razem był to Siret.

– Nie wiemy, czym stała się Willa, ale jedno nie ulega wątpliwości. Nasza moc wywiera na nią wpływ.

Aros jęknął, zwieszając swoją złotą głowę.

– Zareagowałem instynktownie. Jej cierpienie mnie wzywało. Ból i ja dzieliliśmy kobiety od tak dawna, że po prostu... Musiałem odpowiedzieć swoją energią na jego. W ten sposób utrzymujemy sol przy życiu, kiedy chcemy kogoś wyru...

Yael zerwał się z krzesła, obnażając zęby. W tej chwili wyglądał niemal jak zwierzę, ale Rome położył mu dłoń na ramieniu i popchnął z powrotem na siedzisko. Yael oczywiście nie zamierzał się uspokoić. W mgnieniu oka znów znalazł się na nogach i ruszył na Arosa. Rome złapał go w ostatniej chwili.

– Ja nie zamierzałem... – Pokręcił głową Aros, zrywając się z fotela. – Próbuję to wyjaśnić, Perswazjo!

Rome z przekleństwem na ustach po raz kolejny popchnął Yaela na krzesło, po czym skrzyżował ramiona na piersi.

– Odkąd się pojawiła, między nami panuje chaos.

Wskazał palcem, a moja głowa... znaczy głowa Sireta odwróciła się w stronę łóżka. Wydało mi się to jeszcze bardziej dziwaczne niż poprzednim razem, tak patrzeć na własne ciało pogrążone w głębokim, spokojnym śnie. Przedłużającą się ciszę przerwał w końcu Siret:

– Pozwól mu wyjaśnić, Perswazjo.

Yael krótko skinął głową.

– Jak wiecie, ja i Ból wszystkim się dzielimy – mruknął Aros, zerkając na brata, który nie kwapił się, by pośpieszyć z jakąkolwiek pomocą. – I wiecie dlaczego. Nasza moc nie przypomina waszej. Jest fizyczna. Jeśli Ból straci kontrolę, dziewczyna umrze. Jeżeli ja stracę kontrolę, dziewczyna dostanie obsesji i najpewniej się zabije. Czyli w obu scenariuszach marnie skończy. Po prostu zareagowałem na to, że moc Bólu próbowała ją zniszczyć, i użyłem swojej, żeby temu przeciwdziałać. A potem... ona... – urwał.

Zauważyłam, że twarz Coena staje się mroczniejsza niż zwykle. Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć, jednak wciąż się nie odzywał.

– Wiemy, dlaczego ty i Ból robicie to razem – mruknął zirytowany Siret. – I właśnie z tego powodu nie możemy pozwolić, żeby z nią stało się to samo. Ona nie jest nawet sol. Kiedy bierzecie w obroty jakąś sol, musicie zbalansować swoje moce... więc jak waszym zdaniem ziemianka miałaby przetrwać coś takiego?! To niemożliwe! Mamy szczęście, że żyje.

– Dotknęła mnie – prychnął w końcu Coen. – Uwodzenie tego nie zaczął, ja też nie. I znam was całą wieczność, kretyni. Zareagowalibyście dokładnie tak samo, gdyby pocałowała kogoś z was w taki...

– Żadnego więcej całowania, do cholery! – ryknął Rome, aż zszokowany Siret spojrział na niego szeroko otwartymi oczami.

Rome zamrugnął, jakby zaskoczony własnym wybuchem, a pozostali syknąciami nakazali mu być cicho. Coen podszedł do łóżka sprawdzić, czy nadal śpię.

– A więc żeby oszczędzić sobie problemów w przyszłości – zaczął Siret uroczyście – oraz prawdopodobnie ocalić życie Willi, musimy zawrzeć pakt. Umawialiśmy się tylko na jeden cykl życia. Jeden cykl życia w Bożylenie, a potem będziemy mogli wrócić do domu. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy jej zatrzymać, lecz nie możemy pozwolić, by sprawy zaszły dalej. Nigdy nie przypuszczałem, że będę walczył z własnymi braćmi o ziemiankę... a tu proszę. Nie możemy jej zostawić, więc należy znaleźć sposób, by zabrać ją ze sobą do domu. Ale jej obecność nie może prowokować nas do rzucania się sobie do gardeł. Będziemy dzielić się nią po równo. Jako przyjaciele. – W tym miejscu urwał, po czym cicho się roześmiał. – Nasza przyjaciółka ziemianka.

– Jeśli muszę zostać jej przyjacielem, żeby ją zatrzymać, to nim będę – burknął Rome.

Nikt nie wyglądał na zaskoczonego, ale ja czułam się odrobinę zszokowana. Miałam wrażenie, że Rome żywił do mnie urazę, odkąd okazało się, że moja dusza naruszyła terytorium jego duszy.

– Ja już nim jestem. – Aros przewrócił oczami, a na jego twarzy pojawiło się coś pomiędzy rezygnacją a irytacją.

– Ja też – dodał Coen.

– Chcę ją zatrzymać – mruknął Yael, zerkając w kierunku łóżka. – Bawi mnie. Nie potrafię stwierdzić, czy jest głupia czy dzielna. Chcę to rozgryźć.

– W takim razie jesteśmy zgodni – stwierdził Siret, wstając, a bracia zbliżyli się do niego.

– Żadnego całowania – zadeklarował Rome.

– Żadnego seksu – sprostował Coen, kręcąc głową.

– Żadnego deprawowania ziemianki w jakikolwiek sposób – odpowiedział Aros, unosząc prowokująco brew.

– Wszystko, co wymieniliście – stwierdził Yael. – Żadnego całowania, żadnego seksu i żadnego deprawowania. Niczego, co wykracza poza granice przyjaźni. Od tej pory traktujemy jak jedną z nas. Szóstego brata. Szóstą bratodzievczynę...

– Siostrę? – przerwał mu Coen, krzywiąc twarz z odrazą.

– Nie, kurwa. – Yael pokręcił głową. – Bratodzievczynę.

– To brzmi jak siostra...

– Bratodzievczyna, koniec dyskusji! – warknął Yael.

Pozostali spojrzeli na niego – z frustracją, ale też z rozbawieniem. Zauważyłam, że żaden nie wyglądał na zdziwionego. Może Yael miał w zwyczaju żądać, by ludzie wierzyli w sprzeczności... Zaraz! O czym ja w ogóle myślę? Przecież był Perswazją! Oczywiście, że miał taki zwyczaj.

– Czyli zawieramy układ? – chciał wiedzieć Siret.

Chociaż dostrzegałam na ich twarzach różne emocje, żaden nie zaprzeczył. Przeciwnie, wszyscy wyciągnęli ręce do środka okręgu i zrobili coś, co przypominało uścisk dłoni.

Słodcy bogowie z Topii, czy oni to zrobili? Czy tych pięciu dupków stało właśnie w kółeczku i zawierało pakt o tym, że nie będą mnie całować, tylko traktować jak... jak bratodzievczynę? Czy jak tam to sobie, do jasnej ciasnej, nazwali.

Nigdy nie przyznałabym się do tego przed nimi ani nawet przed samą sobą, ale gdzieś w środku

poczułam się zraniona. No dobra, czyli jednak przed sobą się przyznałam. Wiedziałam, że jestem tylko ziemianką – dostałam tą prawdą prosto w ryj znacznie więcej razy, niż było to konieczne, i znałam swoje miejsce w tym świecie – ale Abklęci nie traktowali mnie tak, jak teoretycznie powinni. A teraz podejmowali tak ważną decyzję, nawet nie pytając o moje zdanie. Ponoć robili tak, by uratować mi życie. Ale to było moje życie, do diabła!

Rome odezwał się, wyrывая mnie z zamyślenia, chociaż „odezwał się” to lekkie niedopowiedzenie. Jego słowa poniosły się po pomieszczeniu niczym odgłos wybuchów:

– Elowin musi zostać zniszczona. Gdy tylko ziemianka zdobędzie dla nas informacje, będziemy mogli się nią zająć. Powinniśmy zrobić to szybko, bo nasze moce zaczynają słabnąć. Niedługo znowu trzeba przejść na drugą stronę, ale tym razem mamy pewność, że ktoś będzie na nas czekał.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło z tymi mocami, postanowiłam więc skupić się na jedynej rzeczy, którą rozumiałam: na ich pakcie. Wnerwiało mnie w sposób, którego bym się nie spodziewała. Próbowałam wydostać się z umysłu Sireta. Nie miałam ochoty widzieć więcej. Byłam zbyt wściekła. Chciałam obudzić się i skopać im wszystkim tyłki.

Zostałam jednak oderwana od swoich wysiłków, kiedy drzwi otworzyły się niespodziewanie i do sypialni wpadła drobna postać. To była Emmy. Coen momentalnie znalazł się obok i nawet jej niezachwiana pewność siebie stopniała pod jego intensywnym spojrzeniem.

– Znalazłaś ją? – zapytał gardłowym, złowieszczym głosem.

Szybko pokiwała głową.

– Tak, Atti uzyskał dostęp do jej gabinetu. Znalazł jej adres w Soldel. Najwyraźniej zrobiła sobie wolne i nie ma jej już w Bożylesie.

Coen odwrócił się do braci.

– Musimy natychmiast znaleźć ją i jej współników.

To zabrzmiało, jakby Fałszywilla również uciekała. Wszyscy wymknęli się z Bożylasu, musieli już dawno mieć zaplanowaną tę małą ucieczkę. Obawiałam się, że bracia ruszą w pościg i zostawią mnie tutaj, ale na szczęście nie zapomnieli o naszej więzi. Zostałam wyrwana z umysłu Sireta, gdy tylko spoczęły na mnie dłonie Arosa. Usiadłam gwałtownie, a serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Przebywanie w czyjejś głowie było strasznie dezorientujące, nawet jeśli trwało tylko chwilę.

– Willa, wszystko w po... – zaczął Aros, ale zanim zdążył dokończyć zdanie, ja już wyskakiwałam z łóżka, gotowa wymaszerować z pokoju gniewnym krokiem.

Niestety plan się nie powiódł, bo nogi zaplątały mi się w prześcieradło i wyrznęłam jak długa. To znaczy wyrznęłabym jak długa, gdyby Yael mnie nie złapał. Próbowałam wyrwać się z jego uścisku, chciałam dalej się wściekać, ale jak zwykle... nie mogłam. Moja głupia, zależna od sol dusza pragnęła, żebym ich lubiła. Tak wyglądało teraz moje życie i nie miałam jak od niego uciec.

– Dobrze się czujesz, Zabaweczko? – Yael pomógł mi stanąć na nogi, a jego zielonym jak mech oczom nic nie umknęło. – Wyglądasz na wytraconą z równowagi, nawet jak na ciebie.

Miałam ochotę nawrzeszczeć na nich wszystkich i może poprzewracać kilka drobnych przedmiotów, żeby podkreślić, jak bardzo jestem zła, ale ostatecznie wzięłam głęboki wdech i uznałam, że to nie ma sensu. Dokonali wyboru i w jakimś stopniu ich rozumiałam. Nie podobało mi się, że podjęli decyzję beze mnie, ale zdawałam sobie sprawę, że nie do końca była to rozmowa, którą należało przeprowadzić w obecności Emmy. Choć naprawdę mnie to zabolalo, nie mogła połączyć nas żadna romantyczna relacja. Nie potrafiłabym wybrać spośród nich jednego, co oznaczało, że... no cóż, że musiałabym być z nimi wszystkimi. W Minatsol romans nawet z jednym sol był dla ziemianina nienaruszalnym tabu, a co tu w ogóle mówić o pięciu.

Wskazałam na drzwi prowadzące na korytarz.

– Muszę do łazienki.

Nie przychodził mi do głowy żaden inny sposób, by zapewnić sobie odrobinę czasu na przetrwanie tego, co się wydarzyło. Siedząc w głowie Sireta, byłam przede wszystkim wściekła. Ale teraz, kiedy trochę ochłonęłam, odkryłam, że cała ta sprawa wywołuje we mnie mieszaninę różnych emocji, i nie chciałam, by Abklęci dowiedzieli się o którejkolwiek z nich.

Dzięki bogom Emmy wciąż była w pokoju.

– Pójdziemy razem. Ze mną nic jej nie grozi – zapewniła braci, biorąc mnie pod ramię.

Chyba nie uwierzyli, bo podeszli bliżej i przez chwilę obserwowali nas w milczeniu. Emmy wyglądała na odrobinę dezorientowaną. Coen pokręcił głową tylko raz i już wiedziałam, że zanosi się na kłótnię.

– Potrafimy o nią zadbać, ziemianko – rzekł z ponurym wyrazem twarzy. – Ona nas potrzebuje.

Poczułam przemożną ochotę, by wypaść na zewnątrz i zatrzaskać im drzwi tuż przed nosem. Ale choć wyglądałoby to efektownie i przynajmniej odrobinę uleczyłoby moją zranioną dumę, Coen miał rację. Nie mogłam się od nich oddalić.

– Chłopaki, dam radę wysikać się sama. Możecie poczekać na zewnątrz.

Coen ruszył do wyjścia, po czym kopniakiem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

– Chodźcie – powiedział oschle, ruszając w kierunku sali kąpielowej.

Emmy i ja pośpieszyliśmy za nim.

– Nie wolno nam korzystać z ich sal kąpielowych, Willa – wyszeptała mi do ucha przerażona. – Będziemy miały problemy, jeśli ktoś nas przyłapie, i w najlepszym razie zostaniemy odesłane do wioski.

Parsknęłam, a ona pokręciła głową, najwidoczniej zdając sobie sprawę z tego, co powiedziała.

– No tak, nikt nie zabierze cię Abklętym – mruknęła. – Oni są trochę straszni, Will. Jesteś pewna...

Urwała, kiedy Coen skrzył w prawo i otworzył drzwi do sali kąpielowej. Zniknął w środku, a kiedy dotarliśmy do drzwi, już był z powrotem.

– Teren czysty. Zaczekam tutaj. – Spojrzał na mnie z góry, marszcząc brwi. – Krzycz, jeśli będziesz potrzebowała pomocy. Nie zgrywaj bohaterki, ziemianeczko.

Zmrużyłam oczy tak mocno, że z pewnością wyglądały jak dwie małe szparki, i z ogromnym wysiłkiem powstrzymałam się od mentalnego wykrzyknienia mu w twarz całej swojej złości. A wtedy on zaskoczył mnie jak cholera, wybuchając głębokim, wibrującym śmiechem, który przetoczył się przez moje ciało falami gwałtownych emocji.

Był piękny. Idealny. Zupełnie jak jego bracia... którzy mnie nie chcieli. Gniew w dużej mierze wyparował, bo przyzwyczaiałam się już do akceptowania takich zawodów. To nie była ich wina. Zrobili dla mnie dużo więcej niż ktokolwiek inny. Powinnam wiedzieć, że to zbyt piękne, by okazało się prawdą. Musiałam się z tym pogodzić. Pogodziłam się.

Zmusiłam się do uśmiechu. Był prawie jak prawdziwy.

– Zaraz wrócę, Jedynko, nie musisz się o mnie martwić.

Coen odezwał się ponownie, a w jego cichym głosie nie usłyszałam w nim już ani krztyny rozbawienia:

– Gdyby to było takie proste. – Wskazał czasomierz na swojej szyi. – Masz trzy kliki, zanim wejdziesz tam po ciebie.

– A jeśli nadal będę sikała? – zapytałam z udawaną grozą.

Sol popchnął mnie lekko do środka.

– Zaryzykuję. Trzy kliki.

Wiedziałam, że nie pozwoli nam zamknąć drzwi. Na szczęście kabiny znajdowały się nieco dalej, co oznaczało, że jednak nie będzie oglądał mnie podczas wydalania. Emmy zajęła sąsiedni kibelek i zaczęłyśmy szeptać między sobą:

– Powiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło, gdy spałam – poprosiłam szybko. – Chłopcy kazali ci szpiegować dla nich?

– Skąd o tym... zresztą nieważne. No wiesz, odmowa nie wchodziła w grę, a oni w międzyczasie zajmowali się chyba czymś innym. Atti nie miał problemu, żeby dostać się do jej pokoju. Sprząta dla komitetu do spraw ziemian.

Urwała na moment i wyczułam, że chce mi zadać jakieś ważne pytanie. Kiedy w końcu się odezwała, jej szept ledwie przedostał się przez ścianę:

– Znowu opuścisz Bożyłasa. Tym razem też wrócisz?

Zakłuło mnie w piersi, gdy usłyszałam bezbrzeżny smutek w jej głosie. Emmy i ja zostałyśmy od siebie oddzielone i nie mogłam zrobić zbyt wiele, by to zmienić.

– Zawsze do ciebie wrócę, Emmy. Jesteś moją siostrą.

Normalnie w tym miejscu padłybyśmy sobie w objęcia, ale jako że dzieliła nas ściana, skończyłyśmy, co miałyśmy do zrobienia, i wyszłyśmy z kabin. Oczywiście Emmy były nieco zaczerwienione, ale odchrząknęła i zmieniła temat, kiedy myłyśmy ręce:

– Więc... lubisz Arosa? Znaczy... wiesz, pocałowałaś go. Ale nie sądzę, żeby pozostali pozwolili ci wybrać. Chyba lubią tę relację między wami, a poza tym sol nie mogą wchodzić w związki z ziemianami, więc nielegalna kochanka narobiłaby niezłego bałaganu.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie ich małego paktu, a ból znowu eksplodował w sercu. Trochę przypominał ten, kiedy nasza duchowa więź została za bardzo osłabiona przez dystans.

Emmy знаła mnie zbyt dobrze i dostrzegła mój smutek.

– Will... Co się stało? Co oni ci zrobili?

Musiałam komuś powiedzieć, więc zerknęłam szybko na drzwi i dopiero wtedy zauważyłam, że Coen je zamknął. Przysunęłam się bliżej i szepnęłam:

– Zawarli pakt. Umówili się, że... nie będą mnie chcieć.

Nie chcieli mnie.

W pośpiesznych słowach opowiedziałam jej wszystko, co usłyszałam. Moja najlepsza przyjaciółka słuchała uważnie, oparta biodrem o umywalkę. Wiedziałam, że mamy mało czasu, zanim do środka wparuje Coen, więc starałam się, jak mogłam, żeby nie robić żadnych dygresji i ściśle trzymać się tematu.

Kiedy skończyłam, Emmy zrobiła minę, którą widziałam u niej milion razy – specyficzny grymas świadczący o tym, że wie coś, czego nie wie nikt inny. A ponieważ Emmy była geniuszem, zdarzało się to zdecydowanie zbyt często w ciągu ostatniego tuzina cykli życia.

– No co? – warknęłam, próbując ją ponaglić. – Powiedz!

Ujęła moje dłonie i powiedziała łagodnie:

– Will, masz okropny nawyk oczekiwania najgorszego od wszystkich. Jakbyś odpychała ich, zanim oni zdążą odepchnąć ciebie. Znaczy... Ilu przyjaciół miałas w ciągu osiemnastu cykli życia? Poza mną, rzecz jasna? Zresztą uważam, że nie wykopałaś mnie ze swojego życia wyłącznie dlatego, że dosłownie nie miałam gdzie się podziać i musiałaś w końcu do mnie przywyknąć.

– To nieprawda! – krzyknęłam zduszonym głosem. – Kocham cię!

Emmy zachichotała.

– Teraz mnie kochasz, ale przypomnij sobie, co się działo, kiedy moja mama umarła i wprowadziłam się do was. Całymi tygodniami wpychałaś kamienie pod mój siennik. Już nie wspominając o tym incydencie ze śpiączkiem.

Wciąż się uśmiechała i nie mogłam się powstrzymać, by nie odpowiedzieć tym samym.

– Fakt. Byłam pewna, że moja mama zda sobie sprawę, jakim okropnym i niezdarnym dzieckiem jestem i że znacznie przyjemniej byłoby mieć ciebie za córkę.

Ku mojemu zaskoczeniu Emmy przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła mocno.

– Wiedziałam o tym i rozumiałam. Z determinacją przebijałam się przez mur, który wzniosłaś wokół siebie, co zajęło mi całe wieki, ale w końcu się udało. A gdy wpuściłaś mnie do środka... – Oczywiście Emmy załśniły od łez. – To było piękne. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką mogę sobie wyobrazić, a moje życie stało się przez ciebie bogatsze. Zanim cię poznałam, nie było w nim radości... Nie było w nim dobra.

Teraz to ja miałam ściśnięte gardło i łzy w oczach. Przełknęłam ślinę kilka razy, zanim w końcu udało mi się odezwać:

– Myślałam... że zabierzesz mi rodzinę, ale zamiast tego to ty stałaś się jedyną prawdziwą rodziną, jaką kiedykolwiek miałam. I chociaż bardzo mnie cieszy nasza chwila szczerości, to skłamałbym, gdybym powiedziała, że rozumiem, dokąd zmierza ta rozmowa.

Emmy roześmiała się na całe gardło, aż po łazience przetoczyło się echo.

– Will, proszę... Nigdy się nie zmieniaj.

Taa, zmiana nie wchodziła w grę. Próbowалам. Większość moich nauczycieli też próbowała. To było niemożliwe. Nie mogłam uciec ani od swojej osobowości, ani od wszystkich problemów, na jakie

skazywała mnie klątwa bogów, i żadna z tych rzeczy nie zamierzała też uciekać ode mnie. Miałam pozostać mną przez resztę swojego życia.

– Chodziło mi o to, że zachowujesz się tak, jakby Abklęci byli znacznie lepsi od ciebie – odezwała się Emmy, przerywając strumień moich w większości bezproduktywnych myśli. – Jakbyś nie mogła im nic zaoferować i dlatego nie dziwisz się, że cię nie chcą. A tymczasem każdy z nich uważałby się za szczęściarza, mogąc być z kimś takim jak ty, Will. Niezależnie od tego, jaki pakt zawarli, nie sądzę, by chodziło o to, że nie jesteś dla nich dość dobra. Sprawa dotyczy czegoś większego. Czegoś, czego o nich nie wiemy.

Chciałam spytać, o co jej chodzi, ale zanim zdołałam otworzyć usta, rozległo się donośne pukanie do drzwi. Podskoczyłyśmy z Emmy na ten dźwięk jak oparzone.

– Chodź, ziemianko! – krzyknął Coen. – Czas na nas.

Emmy chwyciła mnie za ramię i szepnęła do ucha:

– Nie patrz na ciebie tak, jakbyś była nikim. A poza tym chcą dopaść Elowin, bo cię skrzywdziła. Zależy im na tobie... więc może spróbuj wpuścić ich do środka.

Na moment zamknęłam oczy, walcząc z emocjami, po czym spojrzałam na Emmy i uśmiechnęłam się smutno.

– Problem polega na tym, że już ich wpuściłam.

Znajdowali się bardziej „w środku” niż ktokolwiek inny w całym moim życiu. Nawet Emmy. Każdy z nich dosłownie trzymał w dłoniach fragment mojej duszy, a to napełniało mnie pierwotnym strachem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

SIEDEMNAŚCIE

Najwyraźniej nie opuściłyśmy łazienki dostatecznie szybko, bo drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wparował Coen. Jego oczy były wyjątkowo jasne, gdy lustrował mnie wzrokiem.

– Wszystko w porządku, ziemianeczko?

Słowa wypowiedziane niskim, ochryplym głosem zdawały się drapać moją skórę, rozpalać ją do czerwoności. Miałam wrażenie, że całe ciało napina się w oczekiwaniu na pomieszany z przyjemnością ból niesiony jego dotykiem. Emmy szturchnęła mnie w bok, a kiedy zerknęłam na nią kątem oka, zauważyłam, że szczyrzy się jak wariatka. Posłałam jej mordercze spojrzenie, na co ona samym ruchem warg powiedziała: „Mówiłam!”, po czym ruszyła w kierunku drzwi.

Coen odsunął się na bok, by ją przepuścić, a gdy tylko wyszła na korytarz, do łazienki wepchnęli się pozostali Abklęci. Każdy z nich poświęcił moment na sprawdzenie, czy nic mi się nie stało.

Postanowiłam nie przejmować się tak bardzo ich paktem. Na razie nasz układ sprawdzał się całkiem nieźle, a ja nie zamierzałam tego niszczyć. Bracia byli dla mnie pokrewnymi duszami. Buntownikami. Łamaczami reguł. Pokazali środkowy palec bogom, tak samo jak ja przez całe swoje życie. Urodziłam się po to, by znaleźć takich przyjaciół i postanowiłam, że nie pozwolę swoim irytującym uczuciom odepchnąć ich od siebie.

– Więc? – zagałam, uśmiechając się do Abklętych.

Żaden się nie odezwał. Zamiast tego zobaczyłam przymrużone oczy, zmarszczone brwi i podejrzliwość na twarzach.

– No co? – prychnęłam. – Przecież to nie tak, że nigdy się nie uśmiecham. Miałam nadzieję, że któryś z was mógłby oświecić mnie w kwestii planu.

Yael pokręcił głową, po czym upuścił ubrania u moich stóp.

– Wyjaśnimy ci po drodze. Załóż jakieś porządne ciuchy, bo te szmaty, które masz na sobie, wyglądają tak, jakbyś wcześniej myła nimi podłogę. Nie pora na pokazywanie twoich skłonności do obnażania się.

Ech, to pewnie wina wiadra pomyj, które zostało na mnie wylane... Zaraz, że co takiego? Absolutnie nie miałam żadnej skłonności do obnażania się. Po prostu czasem zdarzało mi się pokazać cycek czy dwa. Względnie tylek.

Reszta braci-dupków wyszczerzyła zęby do Yaela. „O taaak, ona zdecydowanie ma skłonność do nagości”, zadawały się sugerować ich miny. Jak śmieli nieświadomie odpowiadać na moje myśli?!

Byłam tak wściekła, że bez wahania zerwałam z siebie koszulę i cisnęłam ją na podłogę. Zaraz potem jej los podzieliły szorty i majtki... znaczy częściowo. Zsunęłam je do kostek, po czym próbowałam pozbyć się ich kopniakiem, ale straciłam równowagę i z piskiem poleciałam do tyłu. Po drodze zaczęłam o brzeg jednej z umywalek, wykonałam w powietrzu półobrót wokół własnej osi i wylądowałam z twarzą na posadzce. A właściwie na mojej własnej koszuli, która stłumiła mój wrzask. Zachowałam się jak jakaś uparta idiotka ze skłonnością do obnażania się.

Naprawdę powinnam częściej myśleć, zanim coś zrobię.

Na krótką chwilę zapadła martwa cisza, po czym jeden z braci jęknął.

– Chłopaki, ja wychodzę – usłyszałam głos Arosa.

– Taa, ja też.

Rozległ się odgłos kroków, a potem trzask zamykanych drzwi. Wiedziałam, że powinnam się podnieść, ale teraz, kiedy udało mi się po raz setny zrobić z siebie idiotkę przed Abklętymi, naprawdę nie miałam ochoty się ruszać. Mój tyłek pozostawał na widoku i najwidoczniej potrafiłam się z tym pogodzić.

W następnym momencie otuliło mnie coś ciepłego. Podniosłam głowę, by zobaczyć kucającego tuż obok Sireta.

– Każdego cyklu słońca dziękuję bogom, że potknęłaś się i wpadłaś w nasze życie, Żołnierzu. – Szczyrzył zęby tak szeroko, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem. – Ale teraz naprawdę musisz się

ubrać, bo inaczej Chaos może dostać to, czego chce. – Wstał i już zamierzał wyjść na korytarz, jednak w progę odwrócił się i dodał jeszcze: – Rusz ten swój idealny tyłek. Masz jeden klik, zanim wrócę i sam cię ubiorę.

Zdałam sobie sprawę, że zostałam w łazience sama. I nagle pomieszczenie wydało się strasznie puste bez braci. Wstałam w końcu, modląc się do bogów – poza Rau, rzecz jasna, bo ten dupek nie dostanie ode mnie nawet pół modlitwy – by podłogę w tym przybytku czyścił jakiś superziemianin jak Emmy albo Atti, a nie leniwa niedorajda, taka jak ja.

W stercie ubrań pozostawionych przez Abklętych znalazłam bieliznę, ciemne, dopasowane spodnie i czarną koszulę, które szybko założyłam. Moje buty stały nieco dalej. Wciągnęłam je więc na nogi i pchnęłam drzwi, by wyjść na korytarz, lecz zamarłam na widok ustawionych w szeregu Abklętych.

Uchwyciłam spojrzenie stojącego najbliżej Coena. Przesunął wzrokiem po mojej twarzy, na moment zatrzymał go na piersiach, a potem zerknął niżej, ale zaraz pośpiesznie odwrócił głowę i ruszył korytarzem. Zaczynałam żałować, że z taką niefrasobliwością rozebrałam się przed nim i jego braćmi, bo pod wpływem takiego zachowania sol zaczynały mi mięknać kolana. A nie jest dobrze czuć słabość w nogach, kiedy wyrusza się na misję skopania kilku tyłków. Nie żebym miała jakieś doświadczenie, jeśli chodzi o misję kopania tyłków, ale tak przypuszczałam.

– Dobra, zróbmy to – oświadczyłam przepełniona pewnością siebie, która w zasadzie nie bardzo miała sens, bo kompletnie nie wiedziałam, co tak właściwie będziemy robić.

Zdawałam sobie sprawę, że na pewno trzeba wytropić Elowin, która niedługo pożałuje, że ze mną zadarła. A wszystko za sprawą pięciu twardych jak skała sol, najwyraźniej zdeterminowanych, by zlikwidować każde zagrożenie dla ich stada – którego stałam się częścią. W tym miejscu moja wiedza na temat całej akcji się kończyła, ponieważ absolutnie nie miałam pojęcia, w jaki sposób mamy dokonać zemsty i nie wiedziałam nawet, czy to w ogóle możliwe. Bracia nie byli zwyczajni, ale nie byli też bogami, a Elowin z pewnością miała za sobą więcej cykli życia niż oni. Co oznaczało więcej doświadczenia i dostatecznie dużo mózgu, żeby zabrać swój tyłek z Bożylasu. Tak na wszelki wypadek.

Możliwe, że specjalnie próbowała wyciągnąć ich z akademii, bo stanowili zagrożenie dla jej „naturalnego porządku rzeczy” i wściekała się, że postawili mnie ponad innymi ziemianami. Ostatecznie przecież właśnie przez nich zostałam oderwana od obowiązków, które ona mi przypisała, a Abklęci nie chcieli przyjąć do wiadomości konsekwencji swoich działań.

Może... cholera, może to był jej plan zemsty.

– Jej? W sensie kogo? – zapytał Yael. Najwidoczniej to on teraz pełnił przy mnie dyżur.

– Elowin – powiedziałam, ruszając korytarzem za oddalającymi się braćmi. – Co, jeśli to też jest część planu? Może chciała wyciągnąć was z Bożylasu, żeby zemścić się za zakłócenie porządku w hierarchii?

– A potem zaatakować nas z zaskoczenia razem z grupką sol?! – zawołał Rome, oglądając się przez ramię i posyłając mi nietypowy dla siebie uśmiech.

Ten pomysł ewidentnie go rozbawił, więc postanowiłam skończyć temat.

– A moglibyście nie słuchać moich myśli? – zapytałam, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że Yael odpowiedział na coś, co powiedziałam do siebie. – Wystarczy, że wszyscy widzieliście mnie nago i wzięcie kawałki mojej duszy. Czy naprawdę musicie wtrącać się jeszcze w to?

– Po pierwsze, to twoja wina, że tyle do siebie mówisz – odparł Siret. – Normalni ludzie nie gadają ciągle w swojej głowie, jakby oczekiwali odpowiedzi. Nie żebym chciał, abyś to zmieniała. Dostarczasz mi tym mnóstwo rozrywki.

Prychnęłam urażona i postanowiłam go ignorować. Znalazł sobie rozrywkę, kurczę... Lecz irytację zaraz zastąpił niepokój na widok promieni wschodzącego słońca sączących się przez okna. Nie wiem czemu, ale w ciemności czułam się bezpiecznie. Na myśl, że cały świat budzi się ze snu – a konkretniej wszyscy bogowie – po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

– A po drugie, wcale nie wzięmy twojej duszy. To ona więzi nas – dodał Aros.

Nawet na mnie nie spojrzął, tylko niczym rączy łosiorożec pomknął za Rome'em po schodach, przeskakując po cztery stopnie naraz. Ja również znalazłam się na górze w zastraszającym tempie, lecz nie sama, tylko za sprawą Yaela, który chwycił mnie pod pachę i pobiegł za braćmi.

Coen i Rome wysunęli się na prowadzenie, ale przystanęli przy łuku prowadzącym na zewnątrz, by poczekać na resztę. Yael postawił mnie na nogi i lekko popchnął, dając do zrozumienia, że to jest ten moment, kiedy powinnam zacząć przebierać nóżkami.

– A po trzecie – rzekł – przecież wcale nie jest tak, że cię związaliśmy i zdarliśmy z ciebie ciuchy. Z własnej woli paradujesz nago. Jak na moje, to chyba masz coś przeciwko ubraniom.

– Wcale że nie! – zaprotestowałam.

Również dotarliśmy do wyjścia, więc na wszelki wypadek złapałam Coena za koszulę, żeby nigdzie mi nie zwał jak najszybszy i najbardziej wkurzający gigant w całym Minatsol.

– Poza tym to właśnie było tak, jakbyście mnie związali i zdarli mi ubranie! Powinniście mnie powstrzymać. To nie ja jestem tutaj odpowiedzialną, superinteligentną sol! Podejmuję złe decyzje. Jestem ziemianką, a nasze umysły nie są bez wad.

– O czym wy rozmawiacie, do diabła? – warknął Coen, łapiąc mnie za nadgarstek i wyrywając koszulę z moich palców.

– Nie pamiętam – odparł Siret śmiertelnie poważnie. – Mój umysł zatrzymał się na ostatnim widoku.

– Pakt – burknął Rome.

Machnął ręką tak szybko, że ledwo dostrzegłam ten ruch, i walnął Sireta prosto w brzuch.

Pakt...

Z pogardą powtórzyłam w myślach to słowo. Znow zrobiłam się zła, bo przypomnieli mi o swojej głupiej umowie, a w dodatku rozmawiali o niej przy mnie, wychodząc z założenia, że nie mam o niczym bladego pojęcia. Zaczęłam się zastanawiać, o ilu innych rzeczach mówili otwarcie w mojej obecności, zakładając, że jestem zbyt głupia, żeby zrozumieć. W sumie... to dość trafne przypuszczenie, bo do tej pory nie wychwyciłam żadnych innych ukrytych przekazów.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że się na mnie gapią. Dumnie uniosłam głowę, wyrwałam nadgarstek z uścisku Coena i z urażoną miną minęłam go szybkim krokiem. Złapał mnie za tył koszuli, kiedy już wystawiałam nogę, gotowa zrobić kolejny krok. Zerknęłam w dół... na schody, po których niechybnie bym się stoczyła, bo oczywiście ich nie zauważyłam.

– Dlaczego tu są schody?! I czemu, do cholery, prowadzą w dół? – warknęłam, jakby to była ich wina, że o mało nie poleciałam na pysk. – Przecież dopiero co weszliśmy na górę i teraz co, nagle znowu idziemy na dół?! Ta akademia nie ma żadnego sensu. Co za głupota. Można by pomyśleć, że skoro jest taka błogosławiona i skoro uczą się tutaj najlepsi, niemal święci sol, i bogowie odwiedzają ją co cykl księżycy, i w ogóle...

– Mogę ją pocałować, żeby się wreszcie zamknęła? – burknął Rome, przechodząc obok mnie.

Nikt mu nie odpowiedział. I dobrze, bo musiałabym walnąć go pięścią w twarz, żeby bronić swojego honoru – o ile w ogóle miałam jeszcze coś takiego jak honor – a to groziło złamaniem sobie ręki, co tuż przed misją skopania kilku tyłków nie było wskazane. Super. Przynajmniej tego zdołałam uniknąć.

– Chodź, Kamieniu.

Yael złapał mnie za nadgarstek i pociągnął po schodach. Głos miał ponury, jakby uznał pytanie Rome'a za groźbę.

Rome poprowadził nas do wąskiej, brukowanej ścieżki biegnącej przy ścianie rozległego gmachu akademii aż do jej frontowego dziedzińca. Tego samego, gdzie po raz pierwszy natknęłam się na Coena i Sireta. Wspomnienie wydawało się... dziwne. Nie do końca potrafiłam połączyć tamtą wersję siebie, która padła na ziemię, zanim bełt przeszył jej pierś, z wersją biegnącą teraz razem z piątką aroganckich sol, którzy w jakiś sposób stali się dla mnie najważniejszymi ludźmi na świecie.

Nie żeby Emmy nie była ważna, ale Abkleci stali się... brakującym elementem. Przy nich czułam się tak, jakbym wróciła do domu. Nie nazwałabym ich moją rodziną – nie w taki sposób, w jaki była nią dla mnie Emmy – lecz moje miejsce znajdowało się przy nich, a ich miejsce przy mnie. Po prostu. Stanowiliśmy sześć różnych odcieni dziwactwa zszytych w jedną całość i bez choćby jednego z nas wszystko by się rozpadło.

Ale... gdzieś z tyłu głowy wciąż musiałam sobie przypominać, że na tym nasza relacja się

kończyła, z ich wyboru. Nigdy nie staniemy się niczym więcej. Choć dotychczas nie zakładałam, że coś takiego byłoby w ogóle możliwe, znowu o tym myślałam. Dlaczego?

Przecieliśmy dziedziniec i ruszyliśmy w dół po schodach prowadzących ku wodzie otaczającej wyspę. Niemal spodziewałam się, że przyplynie po nas wielka platforma, ale zamiast tego Coen skręcił w bok i ruszył drewnianym deptakiem wzdłuż brzegu.

– Nie płyniemy platformą? – zapytałam.

Idący przede mną Siret parsknął.

– Barką? Nie. Używają jej dla ziemian i bykoni.

Wow. Aua, zabolalo.

– Zaraz. To jak my się dostaniemy na drugą stronę?

– Pociągiem – odparł Aros, wskazując przed siebie.

W oddali dostrzegłam postawiony na wysokich filarach most, który ciągnął się i ciągnął, i ciągnął... aż do ładu po drugiej stronie wody. Nie miałam pojęcia, czym jest ten cały pociąg, lecz jeśli mówiąc o nim, Aros myślał o tamtym moście, to zdecydowanie wolałam barkę dla bykoni. Widziałam przerwy między stalowymi elementami i wydawało mi się, że tam w ogóle nie ma miejsca, żeby normalnie iść – tylko pręty, belki i śruby. Odstępy były zbyt duże, żeby udało się je przeskoczyć. Zawsze uważałam, że sol mają obsesję na punkcie popisywania się swoją odwagą przed bogami, ale to już przesada.

– To nie może być bezpieczne – mruknęłam dostatecznie głośno, by Abklęci mnie usłyszeli.

Nie chciałam być jedynym mięczakiem w grupie, ale czułam, że akurat te słowa należy powiedzieć.

– Tylko zaczekaj – obiecał Aros, uśmiechając się w sposób, od którego momentalnie zakręciło mi się w głowie.

On mówi o pociągu, idiotko!

Jego złote oczy momentalnie pociemniały. Ewidentnie usłyszał moją myśl, a ja spłoszyłam na twarzy. Szybko odwróciłam głowę, udając, że absolutnie nic się nie wydarzyło. Co było względnie łatwe, jako że pozostali nie zareagowali.

Idąc deptakiem, pracowałam nad wyciszeniem swojego wewnętrznego monologu. Powstrzymanie myśli przed ich uformowaniem okazało się możliwe, więc potrzebowałam nowej techniki.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Zaczęłam odliczać, wyobrażając sobie cyfry. Emmy kazała mi to robić za każdym razem, gdy budziłam się z koszmaru. Mówiła wtedy: „Licząc od pięciu w dół, Will, i bierz głęboki oddech przy każdym numerze. Kiedy dotrzesz do jedynki, wszystko będzie dobrze”.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Pięć, cztery, trzy, dwa...

Sol przede mną zatrzymał się, a ja uderzyłam w niego z impetem, odbiłam się i poleciałam do tyłu. Ale niedaleko, bo Yael szedł tuż za mną. Zamrugałam zaskoczona. Rome odwrócił się i spojrzał na mnie z góry. Pozostali również popatrzyli w podobny sposób.

– No co? – zapytałam, spuszczać wzrok na własne ciało. Przecież byłam ubrana, więc o co im mogło chodzić?

– Wołałaś nas – wyjaśnił Aros.

Machnęłam ręką.

– Tylko liczyłam. Idziemy dalej.

Nie ruszyli się z miejsca. Pewnie dlatego, że im kazałam, a oni nigdy wcześniej nie przyjmowali rozkazów od ziemianki. No nieważne. Cmoknęłam z irytacją i skierowałam swe kroki do wielkiego stalowego pociągu. Nie uszłam jednak zbyt daleko, bo ktoś złapał mnie za koszulę i przytrzymał, a czterech Abklętych spokojnie przeszło obok.

– Piątka – burknęłam.

Siret zachichotał, puścił moją koszulę i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Nie chodzi o to, że nie lubimy, jak idziesz przodem, Żołnierzu, zwłaszcza teraz, kiedy możemy wyobrazić sobie siebie bez ubrań... ale nie masz pojęcia, dokąd zmierzasz.

Już miałam otworzyć usta i oświadczyć, że można tu iść tylko w jedną stronę, gdy Coen niespodziewanie zszedł z deptaka i zaczął się wspinać po stromych, drewnianych stopniach ciągnących się tuż przy skalnej ścianie i najwyraźniej prowadzących do stalowego pociągu. Westchnęłam więc i bez słowa poszłam za nim.

Mniej więcej w połowie drogi zaczęłam ciężko dyszeć, a im wyżej się znajdowaliśmy, tym szybciej się męczyłam.

– Czy tutaj trudniej się oddycha? – sapnęłam, nie dbając o to, kto rozwieje moje wątpliwości.

– Tak – rozbrzmiała chóralna odpowiedź.

Aha, no to wporzo.

Wreszcie zauważyłam koniec schodów. Kilka ostatnich stopni pokonałam na kolanach, po czym osunęłam się na platformę. Twarz aż mnie piekła z wysiłku, oddech się rwał, a włosy kleiły się do spoconej skóry.

I oto dotarłam do miejsca, w którym powitam swój kres swego istnienia.

Dobrze się składało, że miałam skłonność do nagości, bo lada moment stanę się Jeffreyem.

W moim polu widzenia pojawiły się ciężkie, czarne buty, a zaraz potem zostałam podniesiona i postawiona na nogi.

– Nie umrzesz – mruknął pod nosem Rome. – Musisz po prostu dać swojemu ciału kilka klików, żeby przyzwyczało się do wysokości.

Rzęzenie zdawało się powoli ustępować, a kłujący ból w płucach osłabł.

– Dlaczego oni... zbudowali to cholerstwo... tak cholernie wysoko, skoro trudno się tu oddycha?

Rome delikatnie popchnął mnie w kierunku swoich braci, którzy tymczasem zajęli miejsca na czymś w rodzaju podestu obok olbrzymiej metalowej bestii. O matko i córko, o co tu chodzi, do diabła? Czy to jest ten cały pociąg? Wyglądał jak metalowy potwór i byłam pewna, że chce mnie pożreć. Zginę, jak bogów kocham, zginę!

Rome nieco zmniejszył mój strach, odpowiadając na poprzednie pytanie:

– Platformę dla pociągu zbudowano jak najbliżej bogów. Wszyscy chcą być jak najbliżej nich.

Nie byłam w stanie oderwać oczu od tego potworociągu, ale jakoś udało mi się wymamrotać:

– Ktoś powinien powiedzieć tym idiotom, że bogowie mieszkają na końcu oblesnej jaskini.

Stojący najbliżej mnie Siret roześmiał się na całe gardło.

– To było tylko oblesne tylne wejście, drugie wygląda znacznie lepiej. Oczywiście tylko nieliczni kiedykolwiek je zobaczą.

Ja nie, co do tego miałam absolutną pewność. No chyba że bogowie organizowali komitet powitalny dla Jeffreyów i wabili ich do środka obietnicami wspaniałości, by potem zgotować im okropieństwo złożone z prania mózgu, golenia głów i zakładania poniżających skórzanych wdzianek.

– Ale wiesz, że oni wszyscy nie nazywają się „Jeffrey”, prawda? – Yael najwidoczniej uchwycił fragmenty mojej wewnętrznej rozmowy i wyglądał na rozbawionego tym, co usłyszał. – Kiedy byliśmy tam ostatnim razem, bogom na pewno usługiwali Bob i Linda.

– Sandy i Mitchy też, o ile dobrze pamiętam – dodał Aros.

Poważnie...? Teraz ten temat pochłonie całą moją uwagę.

– Jak to możliwe, że tyle wiecie o Topii? Znacie nawet imiona sług i w ogóle...

Mieli zdecydowanie za dużą wiedzę jak na grupkę buntowników, którzy okazjonalnie zakradli się do Topii przez oblesne tylne wejście.

Yael pokręcił głową, wciąż z tym cholernym, pełnym rozbawienia uśmiechem na ustach.

– Mamy tam przyjaciół i wiemy, jak pielęgnować takie znajomości. Swoją drogą to właśnie one pomogą nam zapewnić ci bezpieczeństwo, Zabaweczko.

Bla, bla... To brzmiało jak jeden wielki unik, co z reguły dobrze się sprawdzało, by odciągnąć od czegoś moją uwagę.

Przeraźliwy gwizd wydany przez potworociąga oraz kłęby pary buchające spod niego sprawiły, że znów gapiłam się na bestię. Wyglądała jak masywny, metalowy futrosek – jeden z tych puchatych,

podłużnych robaków posiadających zdecydowanie zbyt wiele małych, ohydnych nóżek. Potworociąg też miał za dużo nóżek – w sensie kółek – które stały na czymś w rodzaju bardzo długich metalowych sztab ciągnących się przez cały most. Poza tym był bezwłosy, podłużny i pękaty, a za nim znajdował się długi rząd wozów.

– Chodź, Żołnierzu. – Siret delikatnie popchnął mnie w kierunku drzwi, które otworzyły się w drugim wozie. – Czas na małą wycieczkę do Soldel.

Oddech uwiązał mi w gardle i zaczęłam się zastanawiać, czy może powietrze nagle zrobiło się jeszcze rzadsze. Do drzwi prowadziły trzy niewielkie stopnie i nie mogłam przestać myśleć o tym, co zastanę w środku.

– To jest nienaturalne. – Próbowałam się wycofać, ale Siret nie pozwolił mi się cofnąć nawet o cal. – Poważnie, jak to się w ogóle rusza? Dlaczego nikt tym nie kieruje jak normalnym wozem? Dlaczego nie ciągną tego bykonie? Czy nie możemy po prostu pojechać cholernym wozem?

Zanim otrzymałam choć jedną odpowiedź na moje bardzo ważne pytania, zostałam podniesiona do góry i wciągnięta w budzące niepokój wnętrze. Krzyk ugrzązł mi w gardle, ale i tak wbiłam paznokcie w skórę trzymającego mnie sol.

– Zadawanie mi bólu nic ci nie pomoże, ziemianko.

Niski, ochrypliły głos Coena wystarczył, żeby moje ręce się uspokoiły. I pozostałe części ciała również. W zasadzie... poczułam się całkiem rozluźniona, kiedy przeszedł ze mną przez wóz i posadził na jednym z siedzeń ustawionych pod ścianami. Yael posłał mi uśmiezek, który sugerował, że ten nagły spokój miał znacznie więcej wspólnego z jego Perswazją niż z moją własną zdolnością adaptacji.

W ścianie obok mnie znajdowało się okno, za którym rozciągał się imponujący widok na dolinę. Sprawił, że dosłownie opadła mi szczęka. Poza tym... Bożyłas był ogromny! Choć spędziłam w nim już jakiś czas, nie miałam pojęcia o jego rozmiarach. I z pewnością zbadałam dopiero małą część terenu akademii. Za to odwiedziłam Topię, więc przyznałam sobie tytuł ziemianki, która podróżowała najwięcej spośród wszystkich ziemian no świecie. No chyba że brać pod uwagę Jeffreyów.

Poczułam ciepło obok siebie i odwróciłam głowę. Rome zajął sąsiednie krzesło i z poważną miną udawał, że podziwia krajobraz za oknem. Jego wielkie ciało zasłaniało mi widok na pozostałych braci, ale podświadomie wiedziałam, że siedzą gdzieś z przodu i za mną.

Dzięki, złodzieje dusz.

Odwróciłam się i przycisnęłam dłonie do szyby. Rome nachylił się, a potem zbliżył głowę do mojej, by lepiej widzieć, na co patrzę.

– Bogowie rzadko dostrzegają więcej niż czubek własnego nosa. Sol są tacy sami. Bezustannie dążą do tego, by stać się bogami. To wszystko, na czym im zależy. Ale ziemianie potrafią zatrzymać się i docenić piękno. Docenić dary. Jak myślisz dlaczego? – usłyszałam cichy głos.

Okręciłam się na swoim miejscu, żeby móc spojrzeć na Rome'a. Cofnął się odrobinę, a ja na moment zatonełam w jego pełnych blasku oczach.

– Kim jesteś, ziemianko? Co sprawia, że widzisz świat w taki sposób?

Zorientowałam się, że kręcę głową.

– Ja... Nie wiem. Wydaje mi się, że docenia się coś, jeśli żyje się ze świadomością, że to wszystko, na co można liczyć. Bogowie mają Topię, sol nadzieję na nią, a ziemianie... Cóż, my mamy tylko Minatsol. To najlepsze, co może nas spotkać.

Odpowiedź bardzo w stylu Emmy. Z pewnością byłaby ze mnie dumna. Rome nie powiedział nic więcej, ale czułam, że moje słowa coś w nim poruszyły. Wydawał się zamyślony.

Podskoczyłam, kiedy potworociąg ryknął przeraźliwie, a potem coś szarpnęło naszym wozem i ruszyliśmy. Usadowiłam się wygodniej, po czym zwróciłam twarz do okna, a Rome zrobił to samo. W dole widziałam wodę – tę samą, którą pokonałam na barce – ale dopiero teraz mogłam poznać jej bezmiar. Tworzyła rozległy pierścień wokół Bożyłasu, a promienie wczesnego poranka mieniły się na powierzchni odcieniami złota, kobaltu i turkusowego.

– Chcę nauczyć się pływać – powiedziałam, zanim zdążyłam o tym pomyśleć.

Głowa Yaela pojawiła się nad oparciem krzesła przede mną.

– Czy to kolejna wymówka, żebyś mogła zdjąć ciuchy?

Posłałam mu mordercze spojrzenie, mrużąc oczy najmocniej, jak się dało, ale tak, by wciąż cokolwiek widzieć.

– Nie! Będę uczyła się pływać w ubraniu. Kocham ubrania. Nie zdejmę ich już nigdy w życiu.

Po tych słowach usłyszałam pomruk Sireta, który musiał zajmować miejsce obok Yaela:

– To bardzo rozczarowujące, Żołnierzu.

Skrzyżowałam ręce na piersi, ignorując ich wszystkich, i skupiłam się na wodzie.

W przeciwieństwie do Abklętych zamierzałam docenić to piękno. Było tego warte.

OSIEMNAŚCIE

Przejażdżka pociągiem była bliska najwspanialszej rzeczy, jaką kiedykolwiek zrobiłam w życiu. Plasowała się tuż za chwilą, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Topię, mimo że mieszkali tu także zafajdani bogowie, no i Jeffreye. Nie czułam się komfortowo w towarzystwie ani jednych, ani drugich, w pociągu natomiast siedziała tylko nasza szóstka, a ja mogłam bez skrępowania podziwiać te wszystkie cuda za oknem.

Metalowa bestia przejechała po klifie, z którego spadały liczne wodospady, przemierzyła równiny Bożylasu, a potem łagodne wzgórza Soldel. Gdy dotarliśmy na miejsce, na platformie czekał już tłum. Sol zapewne wybierali się w podróż, a ziemianie mieli za zadanie załadować ich bagaże, bo podejrzewałam, że pociąg jechał dalej – do Dvadel i Tridel.

Siret, Yael i Coen wysiedli pierwsi, potem ja, a na końcu Rome i Aros. Oczywiście nie było czasu, żeby zatrzymać się na pogawędkę – mieliśmy w końcu kilka tyłków do skopania. Zupełnie zwyczajny cykl słońca z Abklętymi. Bracia parli przez tłum z takim impetem, jakby ich hasłem przewodnim było: „Mamy na wszystko wyjebane”. Nikomu nie schodzili z drogi, w sumie to nawet nie starali się nikogo unikać, bo zarówno sol, jak i ziemianie uskakiwali przed nimi w popłochu. Gdybym ja próbowała iść w taki sposób, już dawno zaliczyłabym glebę, ale tym razem znalazłam się między Arosem a Yaelem, którzy podtrzymywali mnie pod pachami, a chwilami nieśli.

Platforma dla pociągu znajdowała się tuż obok placówki treningowej minateurów: tego lśniącego, superperfekcyjnego budynku, który zapamiętałam z podróży do Bożylasu. Nie weszliśmy do środka, ale gdy mijaliśmy szeroko otwarte podwoje, udało mi się zobaczyć dostatecznie dużo, by przekonać się, że wewnątrz budynek nie wygląda już tak elegancko jak z zewnątrz. Nie miałam jednak czasu, by to przemyśleć, bo znaleźliśmy się na ulicy – tej samej, którą niedawno jechałam w towarzystwie Emmy i Jeratha. Ciekawe, co porabiał ten koleś. Może znów popisywał się przed kimś swoją, pozał się boże, władzą.

Tymczasem Rome i Siret przeszli do awangardy – o czym się dowiedziałam, ponieważ sami mi powiedzieli. Nie miałam bladego pojęcia, czym jest owa „awangarda”, więc tylko się uśmiechnęłam i kiwnęłam głową. Czy naprawdę wszystko, co ludzie robią, musi się jakoś nazywać? W każdym razie wyglądało na to, że „ludzie z awangardy” idą przodem i ryzykują, że zostaną zaatakowani przez wściekłe Ełowiny. Awangardowie skręcili, a my podążyliśmy ich śladem kilka chwil później. Szliśmy teraz pomiędzy większymi i mniejszymi domami ogrodzonymi wysokimi płotami, których widok nieco mnie zaskoczył. Ciekawe, od czego tutejsi mieszkańcy próbowali się uchronić. Tak czy siak, była to elegancka część miasta, nawet jak na dostatecznie eleganckie Soldel.

Siret uniósł rękę i okazało się, że wszyscy znają ten sygnał. Znaczą wszyscy poza mną. Kiedy awangardowie podnoszą rękę, musisz się zatrzymać. Ja natomiast tego nie zrobiłam i wpadłam prosto na słupek. Skąd się wzięło to cholerstwo?

Aros szybko mnie podniósł i zamknął w ramionach.

– Cicho – wyszeptał mi do ucha, po czym wraz z braćmi cofnął się w cień wielkiego domu. – Patrol minateurów – dodał, kładąc dłoń na moich ustach.

Daj spokój, wcale nie zamierzałam gadać. Tak mi się wydaje.

Jego pierś poruszyła się w bezgłośnym śmiechu. Wtuliłam się w niego, pozwalając, by bliskość złagodziła napięcie. Miałam wrażenie, że jestem teraz bardziej napięta niż rozpięta, więc każde pocieszenie było na wagę złota. W końcu usłyszałam odgłosy zbliżającego się patrolu. Dziwiło mnie tylko, że bracia się ukrywają. Miałam wrażenie, że to nie w ich stylu.

Coen odpowiedział na moje wątpliwości, kiedy pięciu wartowników oddaliło się na bezpieczną odległość, a my ruszyliśmy dalej.

– Nie chcemy, żeby Elowin została ostrzeżona o naszym przybyciu – powiedział szorstko. – Znów by uciekła, a ja nie jestem w nastroju na śledzenie.

Taa, ja też zdecydowanie nie jestem w nastroju.

Siret wrócił na swoją pozycję awangardzisty i ruszył prosto w kierunku wejścia do niebosięgu. Jasny gwint! Emmy oszaleje, kiedy o tym usłyszysz.

– Nie pozwólcie, żeby to się na mnie zawało – poprosiłam nieco piskliwym głosem, kiedy weszliśmy przez drzwi.

A raczej „zakradliśmy się”. W końcu byliśmy twardzielami na tajnej misji, którzy się zakradają i robią inne zajebiste rzeczy. Elowin dostanie za swoje. Będę szósta w kolejce, żeby jej przywalić.

Dotarliśmy do wielkiej, wypolerowanej klatki, a moją uwagę zwrócił stojący obok niej ziemianin, który opierał dłoń na ogromnym, drewnianym kołowrocie z nawiniętą liną. Nie potrafiłam oderwać od niego oczu. Był najpotężniej zbudowanym ziemianinem, jakiego kiedykolwiek do tej pory widziałam. Dosłownie odniosłam wrażenie, że jego mięśnie mają mięśnie, które mają mięśnie. Mogłabym przez pomyłkę wziąć go za sol, gdyby nie fakt, że – pomijając rozmiary – wyglądał zupełnie przeciętnie. Ubrania miał skromne, nijakie, i zdałam sobie sprawę, że odwzajemnia moje spojrzenie.

Zerknęłam na swój strój, zdecydowanie zbyt elegancki dla ziemianki, choć prosty i utrzymany w ciemnych barwach. Chłopcy musieli okraść jakąś biedną dziewczynę o podobnej posturze co ja albo ubranie stanowiło kolejną manifestację magii Oszustwa. Co z kolei byłoby trochę dziwne... bo oznaczałoby, że Siret zaprojektował moją bieliznę. No ale w pierwszym przypadku miałabym na sobie majtki innej dziewczyny, a to też nie zaliczało się do normalnych rzeczy.

Pan Mięsiasty wciąż się na mnie gapił i nawet lekko rozdziawił usta. Najwyraźniej poznał, że jestem ziemianką. Pewnie zdradziły mnie zmierzwione włosy, których nie czesałam od kilku cykli słońca, oraz fakt, że ledwie sięgałam trojaczkom do ramion, mimo że byli niżsi niż bliźniacy.

– Patrz na kołowrót, ziemianinie – warknął Coen do Pana Mięsiatego, prowadząc nas do klatki.

– A ty patrz na nas, Willo – dodał Siret. Brzmiał poważnie, co w jego przypadku było nowością.

Popatrzyłam na niego z zaskoczeniem, ale w milczeniu obrzucił mnie karcącym wzrokiem, aż mi się coś w środku zagotowało. Z początku nie miałam zamiaru się z nim kłócić, tylko to jego wkurzające spojrzenie... Otworzyłam usta, gotowa odpalić jakąś ripostę, lecz właśnie w tym momencie coś szarpnęło klatką, a ja bezwładnie poleciałam na Rome'a. Przytrzymał mnie, żebym się nie przewróciła. Próbowałam nie piszczeć, czując bujanie i widząc, jak wznosimy się coraz wyżej, ale jakiś dźwięk musiał mi się wyrwać, bo sol parsknęli śmiechem.

– Ona nigdy nie była w klatce – odnotował Yael z rozbawieniem w głosie.

– Byłam w całym mnóstwie klatek – parsknęłam, wtulając się w Rome'a, żeby przypadkiem nie wypaść, choć podejrzewałam, że i tak nie zmieściłabym się między prętami. – Pewnego razu trafiłam do klatki, kiedy do mojej matki ktoś przyszedł „porozmawiać” na osobności. Nauczycielka Fern zamykała mnie w klatce za każdym razem, kiedy mieliśmy lekcje wychowania fizycznego. Nie mogła wywalić mnie z zajęć, bo obecność była obowiązkowa... więc po prostu lądowałam w klatce na środku placu, a wszystkie inne dzieci biegały dookoła i...

– Znów schodzisz z tematu, Kamieniu – przerwał mi Coen.

– No tak. – Pokręciłam głową. – Chodziło mi o to, że po prostu nigdy nie byłam w ruszającej się klatce, bo klatki nie powinny się ruszać!

– W ten sposób dociera się do wyższych poziomów – mruknął Rome.

Jego szeroka pierś zadrżała pod wpływem wypowiedzianych słów. Poczulałam te wibracje na policzku i uniosłam głowę, żeby na niego spojrzeć. Zsunął dłoń z mojego ramienia na plecy, na moment mocniej przycisnął mnie do siebie, po czym odwrócił wzrok.

– Więc jaki mamy plan? – zapytałam. – Zaczekamy przed jej domem, aż wyjdzie... a potem co?

– Nie będziemy czekać. Włamiemy się do środka i zabijemy ją – poinformował Coen ze stoickim spokojem.

– Co? – wykrztusiłam z trudem. – Myślałam, że tylko tak mówisz. W sensie, że próbujesz być dramatyczny i w ogóle.

Coen odwrócił się, kiedy klatka znieruchomiała z chrzęstem, i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Nigdy nie jestem dramatyczny i w ogóle – powiedział, łapiąc mnie za przód koszuli i wyciągając na zewnątrz.

Znaleźliśmy się w korytarzu z ponumerowanymi drzwiami, które ciągnęły się do samego końca. Przypominały wejścia do dormitoriów w akademii. Coen puścił moją koszulę, by złapać mnie za rękę, po czym zaciągnął pod numer 113. Wiedziałam, że zaraz otworzy drzwi kopniakiem jak jakiś szalony, niepoczytalny sol, dlatego szybko zapukałam. Bracia popatrzyli na mnie co najmniej tak, jakbym ukradła ich ulubioną zabawkę i urwała jej głowę.

– No co? – Wzruszyłam ramionami. – Chciałam tylko być kulturalna.

– Przyszliśmy ją zabić – jęknął Siret i wykonał gest, jakby chciał palnąć się w czoło, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Nie rozumiem, czemu nie możemy zabić jej kulturalnie – mruknęłam w odpowiedzi. – I... no wiecie... nie rozumiem też, czemu w ogóle musimy ją zabijać.

Drzwi się otworzyły, Elowin omiotła nas pełnymi zdumienia oczami, po czym próbowała zatrzasnąć drzwi. Coen rzucił się naprzód i pchnął je z całej siły, w efekcie powalając Elowin na podłogę. Pośpieszyłam za nim do środka, pozostali byli tuż za mną. Już nie czułam się podekscytowana misją skopania tyłków. Wcale nie chciałam nikogo mordować, nawet jeśli był to ktoś, kto zamknął mnie w magicznym lochu.

– Chłopaki... – zaczęłam z pewnym wahaniem, podchodząc do Elowin, by pomóc jej wstać.

Niestety nie dane mi było wykonać tej misji, bo kobieta poderwała się na nogi, złapała mnie i pociągnęła za sobą. Błysnęło ostrze sztyletu, a ja poczułam chłodny ucisk na gardle.

Abkłęci zamarli. Mogłabym przysiąc, że przestali nawet oddychać.

– Właśnie. – Elowin zaśmiała się z pogardą, lecz zaraz spoważniała. – Grzeczni chłopcy. Nie chcielibyście, żebym zabiła waszą zabawkę, prawda?

Na te słowa Yael zrobił krok naprzód. Najwidoczniej tylko on mógł nazywać mnie zabawką, nikt inny. Próbowałam nabierać jak najmniej powietrza, żeby uchronić gardło przed dotykiem sztyletu, ale nie działało... Albo to Elowin zaczęła naciskać mocniej. Skrzywiłam się, czując, jak ostrze przecina skórę. Na ten widok Yael znieruchomiał, a jego pierś zaczęła falować od ciężkiego oddechu.

– Nie ruszać się, do kurwy – poinstruował Aros cicho, zupełnie jakby głośniejszy dźwięk mógł skłonić Elowin do wbicia sztyletu głębiej.

– Dokładnie tak, nie ruszać się – powtórzyła Elowin, pomijając przekleństwo jak typowa snobka z nożem w ręku.

Czułam strużkę krwi płynącą po szyi i moczącą w materiał koszuli. Kolejne zniszczone ubranie... Nie żeby w tej chwili coś takiego było ważne. Zastanawiałam się, czy Elowin naprawdę by mnie zabiła. Im mocniej przyciskała sztylet, tym większej nabierałam pewności, że tak się właśnie stanie, i tym silniej panikowałam.

Dopóki nie odezwał się Yael:

– Elowin.

Spokojnym głosem wypowiedział tylko to jedno słowo, a jednak na dłuższą chwilę poczułam się zamroczone. I nagle wszystko było w porządku. Panika wyparowała, czas zwolnił, ból ostrza przyciśniętego do gardła zniknął.

– Puść ziemiankę – zasugerował Yael mojej oprawczyni niemal pogodnym tonem.

Zamrugalam, usiłując zrozumieć, dlaczego ta uprzejma sugestia brzmi dziwnie. W jednej chwili nabrałam pewności, że Yael i Elowin są sobie bliscy i że wpadliśmy tutaj z przyjacielską wizytą. Uparta myśl o sympatii totalnie gryzła się z faktem, że Elowin trzymała mi nóż na gardle. Czegoś takiego raczej nie robi się podczas takiego spotkania.

Kobieta najwidoczniej doszła do tego samego wniosku, bo odsunęła sztylet.

– Ja... Tak bardzo przepraszam – wymamrotała, puszczając mnie.

Potknęłam się i poleciałam do przodu... a wtedy się zaczęło. Rome chwycił mnie, po czym cisnął w bok. Zawylałam, pewna, że zaraz rąbnę o podłogę, ale w następnym momencie zostałam złapana w locie i przyciśnięta do twardej piersi. Podniosłam wzrok na Aros, kompletnie zdezorientowana, bo nagle znaleźliśmy się po drugiej stronie pokoju. Jakim, kurde, sposobem zrobiliśmy to tak szybko?

Próbowałam zobaczyć, co z pozostałymi, wijąc się i wykręcając w ramionach sol, odstawił mnie więc na nogi, lecz nie wypuścił z uścisku. Walczyłam z ogarniającą umysł mgłą, próbując skupić wzrok

na pozostałych Abklętych, którzy otoczyli Elowin.

– Grzeczna dziewczynka – zaszczebiotał Yael z aprobatą, lecz wyraz jego twarzy mówił raczej: „Mam ochotę rozerwać cię na strzępy”. Wyciągnął rękę i wyjął kobiecie sztylet z dłoni. – A teraz może wyjaśnisz, dlaczego porwałaś naszą ziemiankę i próbowałaś wejść nam w drogę, hmm?

– To nie jest jej miejsce! – pisnęła Elowin przestraszona, choć nie próbowała zatrzymać noża. W zasadzie w ogóle się nie ruszała, ręce miała zwieszona wzdłuż boków i patrzyła na Yaela z błaganiem w oczach, jakby chciała przekonać go do swoich racji. – To tylko ziemianka. Nie możecie zmienić dla niej wszystkich zasad i oczekiwać, że pozostali się z tym pogodzą. Reguły istnieją nie bez powodu.

Yael wymienił spojrzenia z pozostałymi, a Siret wyszczerzył zęby i zrobił mały krok w kierunku Elowin.

– A jaki to powód? – zapytał lekkim tonem, skupiając na sobie uwagę kobiety.

– Tego chcą bogowie – prychnęła, najwidoczniej w jakimś stopniu uwalniając się spod Perswazji Yaela, gdy na niego nie patrzyła. – Wszyscy zostaniecie ukarani za sprzeciwianie się ich woli.

– Szczera prawda – zgodził się Coen, łapiąc Elowin za ramiona i odwracając ją do siebie. – Bogowie lubią karać.

Wiedziała, że zamierza ją zabić. Widziała to w jego oczach. Naprawdę musiałam nauczyć się wycofywać i przestać bronić ludzi, którzy chcieli mnie skrzywdzić, ale nie mogłam się powstrzymać. Zawołałam Coena w swojej głowie, a on rozproszył się, szukając mnie wzrokiem. Kiedy Elowin zauważyła, że się zdekoncentrował, wrzasnęła i stanęła w płomieniach.

– O kurka! – krzyknęłam, zupełnie niepotrzebnie wskazując na nią. – Ta pani się pali!

Abklęci cofnęli się o krok, ale zdecydowanie niedostatecznie duży, by uniknąć spotkania ze śmiercią, gdyby Elowin postanowiła któregoś z nich przytulić.

– Zgaduję, że to jej dar – powiedział Aros, mocniej zaciskając palce na moich ramionach. – Przestań ich rozpraszać, bo przez ciebie komuś stanie się krzywda.

Elowin rzuciła się po nóż trzymany przez Yaela, ale zrobił unik w bok. W jego oczach zauważyłam rozbawienie. W zasadzie to wszyscy bracia wyglądali na rozbawionych. Poważnie? Czy ich nigdy nic nie przerażało?

Zanim Elowin zdążyła ponownie zaatakować, drzwi gwałtownie się otworzyły i wśród kłębow czerwonyc oparów do środka wpadła grupa ludzi. Z jakiegoś powodu dym przypomniiał mi Rau – a konkretniej jego szkarłatną pelerynę. Aros wepchnął mnie za swoje plecy i przycisnął do ściany tak mocno, że ledwo mogłam złapać oddech. Zza jego ramienia nie widziałam zbyt wiele: jakieś sylwetki biegnące w stronę płomieni, zwalistą postać Rome’a, potem już tylko dym.

Ktoś krzyknął – kobieta. Nie brzmiała do końca jak Elowin, choć w sumie trudno powiedzieć. Jakieś rzeczy zaczęły roztrzaskiwać się wokół nas, a ogień rozprzestrzenił się po pomieszczeniu. Płomienie lizały materiał zasłon, wyzwalając jeszcze większą ilość dymu.

– Muszę zabrać stąd Willę – mruknął Aros, gdy czyjeś ciało rąbnęło o ścianę tuż obok, czyniąc poważny ubytek w tynku.

– Rau blokuje wyjście – syknął Rome w odpowiedzi. – Wygląda na to, że Elowin nie była dostatecznie mądra, żeby wymyślić taki plan.

Rau?! Znowu?!

– No to go, kurwa, staranujemy – odparł Aros, łapiąc mój nadgarstek, a potem pociągnął przez pokój.

Potknęłam się o tyczkową nogę jakiegoś nieboraka leżącego pod rozwaloną ścianą, ale Rome w porę chwycił mnie za drugą rękę i pobiegliśmy do drzwi. Po drodze zauważyłam czarnowłosą dziewczynę, która wcześniej podszyła się pode mnie. Wraz z trójką sol walczyła teraz z Coenem. Chłopak zdawał się bardziej tym wszystkim bawić niż traktować ich jak poważnych przeciwników, ale Fałszywilla trzymała masywny lichtarz i wyglądało na to, że naprawdę może go nim uderzyć. Bez zastanowienia wyrwałam się z uścisku braci, by podbiec Coenowi na ratunek.

Dostrzegła mnie od razu. Zmrużyła oczy, a ja już wiedziałam, że zaraz zemści się za te wszystkie ciosy, które dostała. A raczej... zemściłaby się, gdyby Rome nie chwycił mnie wpół, kiedy złapałam lecący w moją stronę lichtarz, i nie szarpnął z całej siły. Mało mi rąk nie wyrwał ze stawów. Wciąż

zaciskałam palce na morderczym świeczniku, gdy popchnął mnie w stronę wyjścia. Aros szedł z przodu, asekuracyjnie wyciągając rękę w moją stronę, jakby próbował powstrzymać mnie przed zaatakowaniem Rau.

Co w sumie nie było złym pomysłem. Znaczący... miałam lichtarz i wydawało mi się, że bardzo łatwo użyć go jako broni. Totalnie mogłam zostać w tej chwili awangardą. No i nie zapominajmy, że już kiedyś dźgnęłam boga. To praktycznie czyniło mnie ekspertką w walce z bogami.

Gdy tylko wydostaliśmy się z pokoju, Rau objawił się po drugiej stronie korytarza. Czarne włosy musiał mieć pociągnięte jakąś pomadą, bo kleiły mu się do kanciastej czaszki. Utkwił we mnie czerwono-brązowe oczy. Wyglądał na ucieszonego moim widokiem. Wydał z siebie ten okropny, piskliwy śmiech, a ja naprawdę zaczynałam wierzyć, że to najpaskudniejszy dźwięk na całym świecie. Dosłownie chichot szaleńca.

Upuściłam lichtarz. Miałam naprawdę dość walk z bogami.

– Witaj ponownie, ziemianko.

Zarzucił szkarłatnym płaszczem, odsłaniając czerwoną szatę. Pewnie bieliznę też nosił czerwoną. Nie żebym potrzebowała wyobrazić go sobie w samych gaciach.

– Co jest? Teraz nas ignorujesz? – wycedził Aros i nawet udało mu się zabrzmieć tak, jakby był urażony, choć dobrze wiedziałam, że nie jest.

Rome zatrzasnął drzwi za sobą, odcinając nas od dymu, ognia i toczącej się wewnątrz walki. Zrobiłam się nerwowa, bo podświadomie wiedziałam, że chłopcy nie są ognioodporni. Utalentowani i silni owszem, ale nie niezwykłymi.

– Wasz ojciec zabronił mi z wami rozmawiać – odparł Rau, wciąż ze wzrokiem utkwionym we mnie. – Ale ta mała... Nikogo nie obchodzisz, prawda? Coś wspaniałego. Ulotniłem się, gdy tylko kłątwa cię trafiła, więc nie miałem pojęcia, że to przeżyłaś. Bardzo mi przykro, mała ziemianko. Gdybym wiedział, że przetrwasz, na pewno bym został.

– Że co? – wykrztusiłam.

Dokładnie w tej samej chwili drzwi za nami się otworzyły, w progu zaś stanęli Coen z Yaelem. Dyszeli ciężko i cali byli brudni od sadzy oraz krwi.

– Mamy sytuację awaryjną – oświadczył Coen, kompletnie ignorując Rau.

A właściwie nie do końca ignorując Rau, ponieważ jego już nie było. Zniknął, a czerwony dym razem z nim. W mieszkaniu Elowin panowała teraz kompletna cisza. Rau zabrał chaos ze sobą.

– Co się dzieje? – zapytał Rome, spoglądając nad ramieniem Coena.

Ja miałam lepszy punkt obserwacyjny, bo mogłam zajrzeć do środka przez szparę pod pachą Yaela – dostatecznie dużą, by dostrzec Sireta zwinętego na podłodze.

– Piątko! – wrzasnęłam.

Odepchnęłam Yaela z drogi i wpadłam do pokoju. Podłoga była poczerniała. Wszędzie dokoła leżały ciała. Zdołałam zrobić tylko kilka kroków, zanim nogi odmówiły mi posłuszeństwa i poleciałam do przodu. Tym razem jednak żaden z braci nie zdążył mnie złapać, więc padłam jak długa. Próbowałam podczołgać się do Sireta, lecz bracia byli szybsi. Musiałam przepchnąć się między kolumnami nóg, żeby do niego dotrzeć.

Łzy płynęły mi po policzkach, chociaż nie wiedziałam jeszcze, co jest nie tak. Dopiero w następnym momencie dostrzegłam rękojęść sztyletu sterczącą z jego piersi.

Jakiś sukinsyn dźgnął go prosto w serce.

Utknęłam pomiędzy intensywną falą furii i równie intensywną falą grozy. Czy on przeżyje? Był sol! Musiał przeżyć!

– Piątko?

Ujęłam jego twarz w dłonie, próbując skłonić go do otwarcia oczu. Stracił tyle krwi... Czułam jej ciepło na kolanach, gdy wsiąkała w materiał moich spodni.

– Proszę... otwórz oczy.

Skrzywił się, a jego powieki zdrząły. Powoli sięgnął drżącą dłonią do policzka i ujął moją rękę.

– Spokojnie, Żołnierzu. Nic mi nie będzie.

Zakrztusił się, a spomiędzy jego warg przysnęła krew, zaś kilka jej kropli wylądowało na moich

ustach. Groza wygrała walkę z wściekłością i zaczęłam dygotać na samą myśl, że mogłabym go stracić.

– Masz nóż w piersi, idioto!

Zdawałam sobie sprawę, że krzyczenie na niego raczej nie pomoże, ale nie umiałam nad sobą zapanować. Roześmiał się – naprawdę to zrobił! – a potem zostałam podniesiona z podłogi i odsunięta na bok. Chciałam znów paść na kolana przy Sirecie, lecz Yael zagroził mi drogę i chwycił za ramiona.

– Spokój – mruknął, a w jego oczach błysnęło niezadowolenie, jakby nie chciał używać swojej mocy, ale nie miał wyjścia.

Ogarnęła mnie niczym delikatna bryza, wymazując emocje i pozostawiając pustkę. Po chwili znalazłam się w objęciach Arosa, a pochylający się nad bratem Coen zasłonił mi cały widok. Siret jęknął z bólu, a potem usłyszałam brzęk upadającego na podłogę noża.

– Musimy zabrać go do Topii – oznajmił Coen, łapiąc brata pod pachy, podczas gdy Rome chwycił go za nogi.

– Musicie zabrać go do uzdrowiciela – sprostowałam spokojnym głosem.

Dziwnie było patrzeć na zakrwawionego Sireta bezwładnie zwisającego w objęciach braci. Czułam, że koniecznie trzeba coś z tym zrobić. Ten widok powinien doprowadzać mnie do szaleństwa z niepokoju i nawet rejestrowałam ukłucia emocji. Ale ledwie zdążyły się obudzić, natrafiały na barierę otumanienia i z sykiem rozpląwały się w nicłość.

– Wyjdzie z tego, Willo – zapewnił Aros, wynosząc mnie ze zrujnowanego mieszkania.

Kątem oka zarejestrowałam jeszcze rozciągniętą na spalonej podłodze Elowin. Głowę miała wygiętą pod dziwnym kątem. Wyglądało to niemal na wypadek, jakby się potknęła, upadła tyłem i uderzyła w coś głową.

Ale może po prostu się oszukiwałam? Może próbowałam przekonać samą siebie, że to wszystko było jednym wielkim wypadkiem? Kolejnym wytworem mojej klątwy niezdarności?

DZIEWIĘTNAŚCIE

Droga powrotna do pociągu minęła mi jak mglisty sen. Emocje wciąż pozostawały w zawieszeniu dzięki uprzejmości Yaela. Co jakiś czas musiał odnawiać działanie mocy, bo raz po raz eksplodowała we mnie panika i zaczynałam ryczeć jak małe dziecko, na co bracia reagowali zmarszczonymi brwiami.

Najwidoczniej pociąg był najszybszym środkiem transportu. Wpadliśmy do pustego wagonu – to znaczy pustego dzięki Romeowi, który wywalił z niego wszystkich sol bez krzty wyrzutów sumienia – po czym Siret został ułożony na podłodze. Zaraz potem metalowa bestia ruszyła, a ja wreszcie dopadłam do rannego sol i nie pozwoliłam się już od niego odciągnąć. Może i byłam otępieła, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, że jest z nim źle. Naprawdę źle. W pewnym momencie stracił przytomność, choć bezustannie krzyczałam, żeby się obudził. Jego rzęsy nawet nie drgnęły. Ani na moment nie zobaczyłam tych pięknych, psotnych oczu.

Nie mogłam powstrzymać łez. Początkowo z nimi walczyłam, lecz stało się to tak męczące, że w końcu pozwoliłam im płynąć i moczyć jego i tak już wilgotne od krwi ubranie.

– Dłużej tego nie wytrzymam.

Na dźwięk pomruku Coena uniosłam głowę.

Sol przeszedł między siedzeniami, podniósł mnie – znacznie delikatniej niż zwykle – odsunął od rannego brata i ciasno otoczył ramionami.

– Wszystko będzie dobrze, ziemianeczko. Siret jest twardszy, niż myślisz, i to nie pierwszy raz, kiedy dostał nożem w pierś.

Wtuliłam się w niego tak mocno, jak tylko mogłam, szukając pocieszenia w jego ciepłe. Następne słowa Coena były odrobinę zdławione:

– Proszę, dla dobra mojego zdrowia psychicznego oraz dla bezpieczeństwa ścian tego wagonu, przestań płakać.

– To przestańcie obrywać nożami – odgryzłam się.

Coen trzymał mnie w ramionach przez resztę drogi. Odwracałam głowę tylko po to, by zobaczyć, co z Siretem, ale poza tymi momentami pozostawałam w jego kojących objęciach.

W końcu pociąg pokonał wodę i zatrzymał się na platformie na szczycie wielkiej góry. Rome wziął na ręce Sireta, co najwidoczniej nie było dla niego nadmiernie uciążliwe, a ja zostałam odstawiona na nogi i szłam między Coenem a Arosem. Złoty sol pogładził mnie po policzkach, a kiedy cofnął dłonie, zdałam sobie sprawę, że moja twarz jest nie tylko mokra od łez, ale też brudna od krwi Sireta.

Nie było jednak czasu, żebym znowu się rozsypała. To tylko trochę krwi. A raczej bardzo dużo krwi, która wypływała z jednego z moich Abklętych.

Byli tak bardzo moi. Zaprzeczanie temu nie miało najmniejszego sensu.

Cieszyłam się, że Aros mocno trzymał moją koszulę, bo przynajmniej osiem razy uchroniło mnie to przed zderzeniem się z podłożem. Kiedy zeszliśmy na dół, Rome ruszył przed siebie biegiem i wtedy perswazja Yaela zupełnie przestała działać. Co za dupki! Jak śmieli tłumić mój strach i ból?! Jak śmieli umniejszać moją obawę o Sireta?! Sprawa była poważna... Musiała być! Rome nigdy by tak nie pędził, gdyby nie była!

Ja też zaczęłam biec – na tyle szybko, na ile pozwalały mi niezdarne nogi. Bieganie nie należało do moich mocnych stron, co wielokrotnie powtarzałam, ale w tamtej chwili zamieniłam się w cholerną atletkę. Ignorując pieczenie w mięśniach, jakimś cudem nadażałam za braćmi. Pewnie po prostu dostosowywali tempo do mnie, ale dla mojej psychicznej równowagi znacznie lepsza była myśl, że to ja dostosowałam się do nich.

Okrążyliśmy teren Bożylasu i pognaliśmy w stronę jaskini. Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy dotarliśmy na miejsce. Aros bez zastanowienia złapał mnie za rękę i splótł nasze palce. Spuściłam wzrok zaskoczona. Zauważył to.

– Musisz dotykać jednego z nas, pamiętasz?

Och, no tak. To była konieczność, nic więcej. Bracia zawarli pakt i nie mogłam o tym zapominać.

Z łatwością przeszliśmy na drugą stronę i po raz kolejny znaleźliśmy się w świecie piękna i dziwów. Podbiegłam do Rome'a, który wciąż trzymał Sireta w ramionach, by upewnić się, że ranny sol nadal żyje. Przesunęłam dłonią po jego policzku, a potem zjechałam na szyję. Skórę miał gorącą, niemal paliła mnie w palce, ale wyczułam pod nią stabilny puls.

– Jest bardzo rozpalony – powiedziałam, spoglądając na pozostałych. – Dlaczego zabraliście go tutaj? Powinniśmy iść do uzdrowicieli z Bożylasu.

– Oszustwo potrzebuje teraz czegoś więcej niż uzdrowiciela sol. – Pokręcił głową Rome, a następnie wrzasnął na całe gardło: – ABIL!

Nic z tego nie rozumiałam. Co to znaczy „więcej niż uzdrowiciel sol” i kim, do cholery, jest Abil? Imię brzmiało znajomo. Zaraz... Czy to nie jemu ukradłam puchar?

Akurat gdy o tym pomyślałam, moim oczom ukazały się purpurowe szaty, a z pustej przestrzeni wyłonił się bóg. Sprytna sztuczka. Spuściłam głowę, usiłując na niego nie patrzeć.

– Uhm, Rome – szepnęłam. – To ten bóg, któremu ukradłam puchar. Czy to dobry pomysł, żeby go tu wzywać?

Rome otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie je zamknął, po czym ruszył w stronę wielkiego boga. Twarz Abila – czy też K.S.T. – wyglądała tak, jakby piękno i perfekcja zderzyły się ze sobą, a na koniec ktoś pokropił je czymś olśniewającym. Poprzednim razem nie zwracałam na niego większej uwagi. Zauważyłam jedynie purpurowe szaty i puchar, teraz jednak mogłam uważniej mu się przyjrzeć. Włosy miał ognście czerwone, lecz bez ciemniejszych odcieni, zupełnie jakby ktoś zmienił w kosmyki czysty rubin. Jego oczy połyskiwały zielenią, ale było w nich coś niezemskiego, wręcz magicznego, choć nie potrafiłam określić słowami co. Skórę miał śniadą o miedzianym odcieniu.

Gapiłam się na niego w oszołomieniu, z którego wyrwały mnie dopiero słowa Rome'a:

– Oberwał ostrzem wykutym w warsztacie Crowe'a.

Piękna twarz Abila spochmurniała, a na idealnie czystym niebie pojawiły się chmury.

– Skąd Ostrze Śmierci wzięło się w Minatsol?

– Przez Rau i jego cholerny chaos – szepnął Siret.

Serce aż podskoczyło mi z radości. Mój Sirecik odzyskał przytomność!

Zupełnie zapomniałam, że stoi przede mną cholernie przerażający bóg i tak jakby trochę go staranowałam, usiłując dopchać się do Sireta. Zanim jednak Abil zdążył zareagować, Coen i Yael stanęli mi na drodze.

– Przepuście mnie! – zażądałam, próbując ich odepchnąć. – Muszę go zobaczyć!

– Tak, przepuście ją. Bardzo jestem ciekawy tej ziemianki, którą moi synowie chronią tak sumiennie.

Niski głos Abila, przesywający potęgą każdą komórkę mojego ciała, dosłownie zatrzymał mnie w miejscu. Świat zrobił się nagle jakby węższy i minęło kilka chwil, zanim pojęłam, co właśnie powiedział.

Synowie.

Czy ja się przesłyszałam? Jak Abklęci mogli być jego synami? Przecież bogowie nie mieli dzieci. Pierwotni zostali stworzeni przez tego całego Stavitiego, a inni zrodzili się z sol, którzy mieli dostatecznie dużą moc, by przyjęto ich do Topii. Prawda?

Prawda?!

Gdzie, do cholery, była Emmy, kiedy potrzebowałam lekcji historii?

– Nie zwracaj uwagi na Willę. To nie twoja sprawa. – Głos Rome'a zabrzmiał niczym rozkaz. Nigdy wcześniej nie słyszałam go tak rozgniewanego.

Potem coś łupnęło, a ja za wszelką cenę musiałam zobaczyć, co się dzieje, wcisnęłam więc Yelowi głowę pod pachę. Łupnięcie wydał Siret. Znowu stał na nogach, chociaż z trudem utrzymywał pion i był bardzo blady. Abil chyba faktycznie o mnie zapomniał. Skupił całą uwagę na Sirecie, po czym położył dłoń na jego piersi. W pierwszej chwili pomyślałam, że po prostu go dotyka, ale wtedy zauważyłam coś w jego palcach – słoiczek albo jakiś inny szklany przedmiot. Rozpadł się, gdy wszedł w kontakt z ciałem Sireta, i wydostało się z niego coś mglistego. Ziejąca w piersi rana zamknęła się powoli, a pode mną niemal ugięły się kolana, gdy Siret odetchnął z ulgą.

– Zabiję Rau – poinformował Abila, unosząc dumnie głowę.

W końcu wyglądał jak sol... Uhm, jak potomek boga? Cholera wie, kim tak właściwie był.

– Powiadom go, że jeśli znowu spróbuje zesaść na dół swój chaos, skończymy z nim. Jeżeli jeszcze raz zadrze z naszą ziemianką, zadbam o to, by konał długo i w cierpieniu.

Twarcz Abila stała się jeszcze poważniejsza, gdy obrzucił spojrzeniem pozostałych braci.

– Przekażę wiadomość, ale musicie opuścić Topię. Znacie reguły: wasza kara ma trwać jeden cykl życia, nie krócej. Wybaczę to wtargnięcie i nie będę jej przedłużał.

Potem zerknął na mnie, wciąż wciśniętą pomiędzy dwóch jego synów.

– Mam wrażenie, że wkrótce zobaczę cię znowu, mała ziemianko – rzekł Abil, po czym rozpląnął się w powietrzu.

W tej chwili ani trochę nie potrafiłam się przejąć tym, co powiedział. Bardziej byłam zainteresowana dostaniem się do Sireta. Musiałam sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nareszcie nikt mnie nie powstrzymywał, kiedy rzuciłam się w jego stronę. Podniósł mnie i przycisnął mocno do siebie.

– Nie musiałaś tak się martwić, Kamieniu. Trzeba czegoś więcej niż ostrza, żeby mnie wykończyć.

Odsunęłam się i popatrzyłam na niego spod przymrużonych powiek.

– Właśnie widzę – mruknęłam, a potem obejrzałam się na pozostałą czwórkę. – Myślę, drodzy Abklęci, że macie mi co nieco do powiedzenia.

* * *

Nie doczekałam się jednak żadnych wyjaśnień, dopóki nie wróciliśmy do pokoju Sireta w Bożylesie, co okazało się znacznie szybsze i łatwiejsze do zrobienia przez obłeśne wejście niż przez jaskinię wygnania. Zanim którykolwiek z Abklętych zdążył się przebrać albo chociaż usiąść, wzięłam się pod boki i zażądałam stanowczo:

– Gadać mi tu wszystko, ale już!

Nie spodziewałam się, że któryś z braci faktycznie coś powie, jako że nigdy wcześniej nie wypełnili żadnego mojego polecenia, ale ku mojemu zaskoczeniu odezwał się Siret:

– Abil mówił prawdę. Jest naszym ojcem, a Adeline matką. Oboje są bogami w Topii.

– Więc... Jesteście bogami? Takimi prawdziwymi, stuprocentowymi, totalnie autentycznymi bogami-bogami?

Aros parsknął krótko śmiechem.

– Tak.

– To co, do diabła, robicie w Minatsol?

Nic z tego, co właśnie usłyszałam, nie miało sensu. Kręciło mi się w głowie, kiedy usiłowałam jakoś objąć swoim maleńkim umysłem fakt, że moja dusza połączyła się z duszami pięciu bogów.

– Widzieliście mój tyłek!

Okej, było źle. Bardzo, bardzo źle.

Na twarzy Sireta pojawił się uśmiezek.

– Cóż, twój tyłek był niemal najlepszą częścią całej tej serii wydarzeń.

– Pakt – warknął Rome, szturchając Sireta w ramię.

Zrobił to niemal delikatnie. Może nie chciał być brutalny, bo jego brat dopiero co wrócił do zdrowia.

Stres i zmęczenie walką ogarnęły mnie tak nagle, że po prostu osunęłam się na podłogę. Potrzebowałam usiąść.

– Wciąż nie rozumiem – powiedziałam. – Wyjaśnijcie mi wszystko.

– Możemy powiedzieć ci tylko odrobinę, żeby pozostali Pierwotni Bogowie nie obrali sobie ciebie za cel – odparł Coen. – Wystarczy, że wiedzą o tobie Rau i Abil. Więcej kłopotów nam nie potrzeba.

Już nabierałam tchu, żeby zrobić scenę, taką w moim stylu, kiedy odezwał się Aros:

– Na razie musisz wiedzieć tylko tyle, że jesteśmy bogami, którzy utknęli w Minatsol do końca

tego cyklu życia, i że Minatsol nas osłabia, dlatego musieliśmy zabrać Sireta do Topii.

W jakiś sposób nagle stałam na równych nogach, a potem w jakiś sposób wychodziłam na korytarz. Nie pamiętałam nawet, że się przemieszczałam, lecz z pewnością wydarzyło się jakieś bieganie, a potem przytrafiło się rozrywanie piersi, później zaś odkryłam, że leżę w pobliżu kanciapy na szczotki, która niedawno służyła mi za tymczasowe sanktuarium.

Wpełzłam do środka, zwinęłam się w kłębek i próbowałam poukładać w głowie wszystko, czego się dowiedziałam. Abklęci okazali się bogami... synami Abila i Adeline. Abil był przerażająco piękny i przerażająco groźny, a do tego bardzo mocno wydawało mi się, że Emmy nazwała go bogiem Oszustwa. Rau trafił mnie jakąś klątwą, po czym w dość odrażający sposób dawał mi do zrozumienia, że jestem wyjątkowa, skoro to przeżyłam. Z jakiegoś powodu zainteresował się mną, niemal jakby uważał mnie za użyteczną.

Podskoczyłam na dźwięk głośniego łupnięcia w drzwi.

– Wyłaż stamtąd – rozkazał Siret. – Nie zmuszaj mnie, żebyś wlaził do tej skurwiałej pakamery, to dobre dla ziemian.

– Jestem ziemianką! – krzyknęłam. – Tu jest moje miejsce, nie z wami!

Drzwi rozwarły się z hukiem, a do środka wdarła się długa ręka i wywlekła mnie na zewnątrz. Zostałam podniesiona z podłogi i obrzucona przewiercającym na wskroś spojrzeniem złych, zielonych, przypominających kocie oczu.

– Nigdy nie byłaś ziemianką, Willo. I gdybyś nie była w stanie pogrywać z bogami, klątwa Rau by cię zabiła.

Och, do jasnej kur...

– Czy wy zawsze musicie mieć rację, cholerne dupki? Poza tym przestańcie podsłuchiwać moje myśli!

Pozostała czwórka stała nieco dalej, czekając, aż wezmę się w garść. Siret odstawił mnie na posadzkę, a ja uniosłam dłonie w geście obronnym.

– Przepraszam za to... Taki tam drobny atak paniki. Już wszystko ze mną w porządku.

Najzabawniejsze, że w momencie, gdy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że wcale nie kłamie. Było w porządku. Nawet lepiej, tak na dobrą sprawę. Pewnie dopiero z opóźnieniem zareagowałam na wszystko, co się wydarzyło. Może to wina Yaela, który tłumil moje emocje za pomocą Perswazji. Tak czy siak, miałam wrażenie, że atak paniki minął, a błogi spokój przenika mnie aż do kości. Elowin była martwa, Rau uciekł, Siret żył. Zastanawiając się nad sprawami większej wagi, doszłam do wniosku, że wszystko naprawdę jest dobrze.

– To jaki mamy plan? – zapytałam, spoglądając na aroganckie twarze pięciu facetów, którzy szybko stali się centrum mojego świata.

Siret wciągnął mnie pod ramię i ruszyliśmy w kierunku dormitoriów.

– Jutro idziesz z nami na zajęcia. Mam nadzieję, że jesteś przygotowana, bo będziesz uczyć się wszystkiego, czego uczą się sol.

Jęknęłam. Nauka...? Najgorszy plan na świecie.

Rome wybuchnął gromkim śmiechem.

– Zadbamy o twoje bezpieczeństwo, Willo. Nawet jeśli Rau znowu po ciebie przyjdzie, nie przedostanie się przez nas. Obiecuję.

A co będzie, kiedy odejdą? Kiedy ich wygnanie wreszcie dobiegnie końca?

– Wtedy pójdziesz z nami – wyszeptał Siret z ustami tuż przy mojej skroni.

– Za co tak właściwie zostaliście ukarani? – zapytałam, rozmyślając o wszystkich tych złych rzeczach, które mogły rozzłościć bogów na tyle, by wygnano Abklętych z Topii.

– Oszustwo uznał, że doskonałym pomysłem będzie... – zaczął Yael, ale Siret mu przerwał:

– Naprawdę nie musimy rozmawiać o tym w tej chwili.

Szturchnęłam Sireta w bok, delikatnie, bo nie wiedziałam, czy nadal nie dokuczają mu skutki odniesionej rany.

– Co zrobiłeś?

Siret westchnął, zsuwając rękę z moich ramion, i wymamrotał coś niezrozumiałego, na co Rome

znów się roześmiał.

– Nie słyszymy cię, Oszustwo!

– Wkręciłem Stavitego, żeby spróbował kopulować z jednym z tworów Bestiariusza.

Przystanęłam i z wrażenia rozdziawiłam usta, a potem kwiknęłam:

– Źe co?

Siret wyrzucił ręce w górę.

– No bo nic nie rozumiesz! To taki żart wśród bogów. Od zarania dziejów Staviti kochał się w bogini Miłości Pice. Była pierwszą towarzyszką, jaką stworzył. Ale ona go nie kochała. Zapalała uczuciem do Rau, więc Staviti zabronił wszystkim bogom łączyć się w pary i mieć potomstwo. Wolał już, żeby nikt nie miał partnera, niż żeby Pica i Rau byli razem. Aby obejść reguły, K.S.T. – nasz Kochany-Stary-Tata – użył swojej magii i zamienił naszą matkę w Picę. Pobiegła do Stavitego i poprosiła, by obdarzył ją dziećmi. To jedyny sposób, żeby mieć potomstwo w Topii, bo Staviti wszystko kontroluje. Powiedziała mu, że go pokocha, jeżeli pozwoli jej mieć dzieci. Zgodził się i obdarzył ją dwiema ciężami pod warunkiem, że to nie Rau będzie ojcem dzieci. Ewidentnie sądził, że jeśli wykluczy Rau, Pica zwróci się do niego.

– Uhm...

Chyba miałam jakąś awarię w mózgu. Trochę trudno było mi przelknąć tę historię.

– Więc myślał, że Adeline to Pica, i pozwolił, żeby zaszła w dwie ciąży?

– Zgadza się – potwierdził Yael, a kąciaki jego ust uniosły się w cierpkim uśmiechu. – Kiedy odkrył, że został oszukany, było już po ptakach. A ponieważ nasz ojciec jest dupkiem, zmanipulował magię tak, by mieć z tych dwóch cięż najwięcej synów, jak tylko się da.

– To... – „Naprawdę popieprzone”. – Imponujące?

Siret prychnął.

– Zdziwiłabyś się, ile razy Staviti dał się nabrać na Iluzję Piki przez te wszystkie cykle życia. Zupełnie jakby ciągle się łudził i przy każdej sposobności przekonywał samego siebie, że to naprawdę ona. Tak desperacko ją kocha.

– Więc... zamieniłeś jakieś zwierzę w Picę – powiedziałam ostrożnie, starając się, by mój głos brzmiał obojętnie.

Siret burknął w odpowiedzi, co uznałam za potwierdzenie. Na twarzach pozostałych braci zauważyłam uśmieszki. Ewidentnie nadal ich to bawiło.

– Ale zaraz... – Zmarszczyłam brwi, spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Skoro Siret został ukarany, dlaczego wy wszyscy znaleźliście się na dole?

Coen złapał mnie za ramiona i odwrócił w swoją stronę.

– Trzymamy się razem – powiedział zdecydowanie. Brzmiało to niemal jak ostrzeżenie albo ultimatum.

Pozostali patrzyli na mnie, ale starali się nie robić tego zbyt nachalnie, jakby chcieli usłyszeć moją odpowiedź albo zobaczyć reakcję. Przygryzłam wargę, próbując powstrzymać uśmiech.

– Dobra – odparłam. – No to trzymamy się razem.

Coen uśmiechnął się – ale tak naprawdę szeroko, pięknie i kompletnie rozbrajająco. Ten widok niemal zwałił mnie z nóg, a potem poczułam szczęście tak wielkie, że o mało nie eksplodowałam. Po raz pierwszy w życiu nie martwiłam się, co przyniesie następny cykl słońca. Nieważne, jakie wyzwanie rzuci nam świat bogów, zmierzymy się z nim wspólnie.

I nic nas nie pokona.

Ciąg dalszy nastąpi...